

Raymond Chandler "Hiszpańska krew"

Hiszpańska krew 1. Duży John Masters był wielki, spasiony, tłusty. Miał lśniące od potu sine szczęki, grube palu chy z dołeczkami tam, gdzie powinny być kostki, i gładko zaczesane do tyłu kasztanowe włosy. Nosił garnitur o barwie czerwonego wina, z nakładanymi kieszeniami, krawat w tym samym odcieniu i brą zową jedwabną koszulę. Z ust sterczało mu grube brązowe cygaro z ogromną czerwono-złotą nalep ką. Zmarszczył nos i powstrzymując uśmiech, znowu podejrział swoją zakrytą kartę. - Dorzuć mi jeszcze, Dave... byle nie na furę - powiedział. Odkrył czwórkę i dwójkę. Siedzący po drugiej stronie stołu Dave Aage przyjrzał im się z na maszczeniem i zerknął na swoje karty. Był nadzwyczaj wysoki i chudy, miał długą, kościstą twarz i włosy w kolorze mokrego piasku. Trzymając talię w wyprostowanej dłoni, powoli odwrócił kartę na samym wierzchu i pstryknął ją na stół. Była to dama pik. Duży John Masters rozdziawił usta, pomachał cygarem i zachichotał. - Bulisz, Dave. Choć raz damulka na coś się przydała. - Zamaszystym ruchem odwrócił zakrytą kartę. Piątkę. Dave Aage uśmiechnął się uprzejmie, lecz ani drgnął. Obok niego, za długimi zasłonami z jed wabiu, okalającymi bardzo wysokie, zakończone ostrołukiem okno, rozległ się stłumiony dzwonek

te lefonu. Aage wyjął papierosa z ust i starannie umieścił go w popielniczce stojącej na taborecie przy stoliku karcianym. Sięgnął za kotarę po aparat. Chłodno, zniżając głos niemal do szeptu, powiedział kilka słów, po czym przez dłuższy czas tylko słuchał. Jego zielonkawe oczy nie zmieniły wyrazu, wąska twarz nie zdradzała śladu emocji. Masters wiercił się na krześle, gryząc cygaro. - W porządku, odezwiemy się - rzekł w końcu Aage. Odłożył słuchawkę na widelki, odstawił telefon na miejsce i podniósł papierosa. Pociągnął się za ucho. Masters zaklął. - Czym się tak gryziesz, jak pragnę zdrowia? Dawaj dychę. Aage uśmiechnął się sucho i rozparł na krześle. Sięgnął po szklanę, pociągnął łyk, odstawił ją na miejsce i zaciągnął się papierosem, czyniąc to wszystko powoli, w zamyśleniu, jakby z roztargnie niem. - Powiedz, John, mamy łeb na karku? - odpowiedział pytaniem. - Mowa. Całe miasto jest nasze. Ale przy oku nie mam z tego żadnego pożytku. - Za dwa miesiące są wybory, prawda? Masters spojrział na niego spode łba, pogrzebał w kieszeni i wetknął do ust nowe cygaro. - No to co? - Gdyby tak coś się przytrafiło naszemu głównemu konkurentowi? Właśnie teraz. Co ty na to? - He? - Masters uniósł potężne brwi. Zdawało się, że cała twarz napina mu się, aby je podnieść. Przez chwilę dumiał z kwaśną miną. - Wyszłoby to parszywie... jakby faceta migiem nie złapali. Psia krew, wyborcy mogliby

pomyśleć, żeśmy wynajęli kogoś do tej roboty. -
Mówisz o morderstwie, John - wtrącił cierpliwie
Aage. - Ja nic na ten temat nie wspomniałem.
Masters opuścił brwi i szarpnął czarny,
kędzierzawy włos, wyrastający mu z nosa. -
Wyduś wreszcie, o co chodzi! Jego kompan z
uśmiechem wypuścił kółko dymu, patrząc, jak
unoszą się i rozdziela na cieńsze pasemka. -
Właśnie miałem telefon - rzekł cicho. - Donegan
Marr nie żyje. Masters ruszał się powoli. Teraz
przysunął się cały do stołu i pochylił. A kiedy już
nie mógł wychylić się dalej, wysunął brodę, aż
mięśnie szczęk naprężyły mu się jak grube
druty. - Że jak? - warknął ochryple. - Że co?
Aage, zimny jak lód, przytaknął ruchem głowy.
- Ale co do morderstwa, miałeś rację, John.
Zamordowano go. Jakieś pół godziny temu, w
jego biurze. Nie wiadomo, kto to zrobił... na
razie. Masters ciężko wzruszył ramionami i
wyprostował się, wodząc dookoła ogłupiałym
wzrokiem. Nagle wybuchnął śmiechem. Jego
dudniący rechot zagrzmiał w małym,
przypominającym wieżyczkę pokoju, gdzie grali
w karty, skąd przepłynął do sąsiadującego z nim
olbrzymiego salonu, odbijając się echem w
labiryncie ciężkich, ciemnych mebli, stojących
lamp, którymi można by oświetlić cały bulwar i
dwóch rzędów płócien w bogatych pozłacanych
ramach. Aage siedział w milczeniu. Bez
pośpiechu zgniół papierosa w popielniczce, aż
resztki żaru wygasły i została tylko duża czarna

plama. Otrzepał z popiołu kościste palce i czekał. Masters przestał się śmiać równie nagle, jak zaczął, i w pokoju zapanowała cisza. Był wyraźnie zmęczony. Otarł z potu szeroką twarz. - Musimy coś zrobić, Dave - powiedział spokojnie. - Mało brakowało, a byłbym zapomniał. Musimy to załatwić czym prędzej. To dynamit. Aage znów sięgnął za kotarę po telefon i podał go Mastersowi nad kartami. - Chyba wiemy, co robić? - stwierdził chłodno. W ciemnobrązowych oczach Dużego Johna Mastersa zamigotały przebiegłe błyski. Grubas obli zał się i wyciągnął olbrzymią łapę po aparat. - Taaa - mruknął. - Wiemy, Dave. Jeszcze jak wiemy, do...! Wybrał numer paluchem, który ledwie mieścił się w otworach tarczy telefonu. 2. Nawet po śmierci rysy Donegana Marra były spokojne, regularne, łagodne. Marr miał na sobie jasnoszary garnitur z flaneli; odrzucone do tyłu włosy w tym samym kolorze co ubranie odsłaniały zwykle zakryte blade czoło, kontrastując z opalenizną na czerstwej, wiecznie młodej twarzy. Spoczywał bezwładnie na wyściełanym niebieskim krześle biurowym. Cygaro w popielniczce, ozdobionej na brzegu figurką charta z brązu, dopaliło się samo. Lewa ręka zmarłego zwisała obok krzesła, prawa zaś dotykała pistoletu na biurku. Promienie słońca, padające z tyłu przez zamknięte okno, odbijały się na wypolerowanych paznokciach. Przesiąknięta krwią lewa strona szarej

kamizelki była niemal czarna. Marr nie żył; nie żył już od jakiegoś czasu. Wysoki, szczupły mężczyzna o ciemnej cerze w milczeniu opierał się o mahoniową szafkę, nie odrywając wzroku od zmarłego. Ręce trzymał niedbale w kieszeniach eleganckiego garnituru z granatowej serży. Słomkowy kapelusz miał zsunięty na tył głowy. Tylko jego oczy i proste, zaciśnięte usta zdradzały, że to, co się stało, nie jest mu obojętne. Zwalisty mężczyzna o piaskowych włosach macał rękami po niebieskim dywanie. Wciąż pochyłony, stwierdził ochryple: - Ani jednej łuski, Sam. Ciemnowłose nie poruszył się, nie odpowiedział. Blondyn wstał, ziewnął i przyjrzał się zwłokom na krześle. - Cholera! Ale będzie smród. Wybory już za dwa miesiące. Szkoda gadać, komuś dostanie się za to po dupie. - Chodziliśmy razem do szkoły - odezwał się ciemnowłose powoli. - Byliśmy kumplami. Kochaliśmy się w tej samej dziewczynie. Wybrała jego, ale mimo to zostaliśmy przyjaciółmi, wszyscy troje. Świetny był z niego chłopak... może tylko ciut za sprytny. Blondyn obszedł pokój, nie dotykając niczego. Nachylił się, powąchał broń na biurku i potrząsnął głową. - Z tego nie strzelano. - Zmarszczył nos i wciągnął powietrze. - Klimatyzacja. Tu całe trzy górne piętra są klimatyzowane. I dźwiękoszczelne. To się nazywa klasa. Mówili mi, że ten dom jest spawany elektrycznie. Nie ma tu ani jednego nitu. Słyszałeś o czymś takim,

**Sam? Zapytany pokręcił głową powoli. -
Ciekawe, gdzie był personel? - ciągnął blondyn.
- Taka gruba ryba, jak ten tutaj, na pewno za
trudniał więcej niż jedną dziewczynę. Jego
kolega znowu zaprzeczył ruchem głowy. - Chyba
tylko tę. Wyszła wtedy na obiad. On miał naturę
samotnika, Pete. To był szczwany lis. Jeszcze
parę lat i miasto byłoby jego. Tymczasem
blondyn stanął za biurkiem i pochylając się nad
ramieniem trupa, oglądał oprawny w skórę
terminarz z kremowymi kartkami. - Jakiś Imlay
był umówiony na dwunastą piętnaście -
oznajmił. - Innych spotkań nie zapisał. Zerknął
na tani zegarek. - Wpół do drugiej. Facet już
dawno zniknął. Kto to może być, ten Imlay! Hej,
czekaj no! Tak się nazywa zastępca
prokuratora. Kandyduje na sędziego przy
poparciu kliki Masters-Aage. Myślisz, że...
Rozległo się natarczywe pukanie. Gabinet był
tak długi, że obaj policjanci przez chwilę zasta
nawiali się, do których z trojga drzwi ktoś stuka.
Wreszcie blondyn ruszył do najdalszych. - Może
przyjechali od koronera - rzucił przez ramię. -
Piśnij coś o tym jakiemuś z gazety, a wy lądujesz
na bruku. Mam rację? Drugi policjant nie
odpowiedział. Stanął przy biurku, nachylił się
lekko i szepnął do zmarłego: - Żegnaj, Donny.
Nic się nie martw, ja się tym zajmę. I zaopiekuję
się Belle. Otworzyły się drzwi na końcu
gabinetu. Jakiś mężczyzna dziarskim krokiem
przeszedł po niebieskim dywanie i rzucił na**

biurko torbę. Blondyn zamknął ciekawskim drzwiami przed nosem i bez pośpiechu wrócił do biurka. Energiczny człowieczek przekręciwszy na bok głowę badał zwłoki. - Dwie kule - mruknął. - Chyba z trzydziestki dwójki... z twardą koszulką. Przeszły tuż koło serca, ale go nie przebiły. Umarł prawie natychmiast. Żył jeszcze z minutę, góra dwie. Ciemnowłosy chrząknął z niesmakiem i podszedł do okna. Zwrócony tyłem do pokoju, wyglądał na dachy wysokich budynków i ciepły błękit nieba. Blondyn przyglądał się, jak lekarz unosi po wiekę zmarłego. - Może by tak wreszcie przyszli zdjąć odciski - powiedział. - Chciałbym skorzystać z telefonu. Ten Imlay... Ciemnowłosy odwrócił nieco głowę. - To korzystaj - rzekł z bladym uśmiechem. - W tej sprawie nie będzie żadnych zagadek. - Czy ja wiem? - wtrącił się lekarz, zginając nadgarstek i przykładając grzbiet dłoni do twarzy zmarłego. - Może to wcale nie jest taka polityczna afera, jak ci się zdaje, Delaguerra. Przystojny ten truposz. Blondyn ostrożnie zdjął słuchawkę z widełek, trzymając ją przez chusteczkę. Odłożył ją, wybrał numer, znów podniósł przez materiał i przysunął do ucha. Po chwili opuścił brodę i powiedział: - Pete Marcus. Obudźcie inspektora. - Ziewnął, a po chwili odezwał się całkiem innym tonem: - Marcus i Delaguerra meldują się z biura Donegana Marra, inspektorze. Ekipa techniczna jeszcze nie dotarła... Że co?...

**Wstrzymać się do przyjazdu komisarza?...
Rozumiem... Tak, jest tutaj. Ciemnowłoso
odwrócił się od okna. Blondyn przywołał go
ruchem ręki. - Trzymaj, Hiszpan. Sam
Delaguerra wziął słuchawkę, nie zwracając
sobie głowy chusteczką, i przez chwilę słuchał w
milczeniu. Jego twarz stężała. - Jasne, że go
znałem... ale nie spałem z nim - stwierdził
spokojnie. - Jest tu tylko jego sekretar ka. To
ona podniosła alarm. W terminarzu zapisano
tylko jedno nazwisko... Imlay, spotkanie o dwu
nastej piętnaście. Nie, nic jeszcze nie
ruszaliśmy... Nie... Dobrze, zaraz jadę. Rozłączył
się tak powoli, że stuk odkładanej słuchawki był
ledwie słyszalny. Przez chwilę trzy mał rękę na
telefonie, po czym opuścił ją nagle. - Odwołali
mnie, Pete - oświadczył stłumionym głosem. -
Masz czekać ze wszystkim na przy jazd
komisarza Drewa. Nikogo nie wpuszczać.
Białych, czarnych, Irokezów... nikogo. - Po co
cię wzywają? - parsknął gniewnie Marcus. - Nie
wiem. To rozkaz - odparł Delaguerra
bezbarwnym tonem. Lekarz oderwał się od
wypełniania formularza i z ukosa zerknął
ciekawie na śniadego policjanta. Delaguerra
wyszedł do mniejszego gabinetu z wydzieloną
poczekalnią. Stało tam kilka skórze nych foteli i
stół, zarzucony pismami ilustrowanymi. Po
drugiej stronie przegrody znajdowało się biur
ko maszynistki, kasa pancerna i kilka szafek.
Przy biurku siedziała drobna, ciemnowłosa**

dziewczyna z twarzą ukrytą w zmiętoszonej chusteczce. Na głowie miała przekrzywiony kapelusik. Jej ramiona drżały; ochryply szloch brzmiał tak, jakby dostała zadyszki. Delaguerra poklepał ją po ramieniu. Spojrzała na niego poprzez łzy, z wykrzywionymi ustami.

Odpowiedział uśmiechem na jej pytające spojrzenie i rzekł łagodnie: - Dzwoniłaś już do pani Marr? Bez słowa skinęła głową, wstrząsana spazmatycznym płaczem. Jeszcze raz poklepał ją po ramieniu, zawahał się i wyszedł, z zaciśniętymi ustami i mrocznym błyskiem w ciemnych oczach. 3. Wielki, typowo angielski dom przy wąskiej betonowej wstążce zwanej De Neve Lane był od sunięty od ulicy. Kamienie wytyczające krętą ścieżkę przez trawnik niemal ginęły w wysokiej trawie. Frontowe drzwi osłaniał daszek. Po ścianach piał się bluszcz, a rosnące tuż-tuż drzewa sprawiały, że dom wydawał się ciemny, odosobniony. Wszystkie posesje przy De Neve Lane cechował ten sam artystyczny nieład. Ale wysoki zielony żywopłot, skrywający garaże i podjazd, był przyszczyżony niczym francuski pudel, a w klombach żół tych i płomienistych mieczyków, rosnących po drugiej stronie trawnika, trudno byłoby się doszukać czegoś mrocznego czy tajemniczego. Delaguerra wysiadł z brązowego kabrioletu. Był to stary model Cadillaka, ciężki i brudny. Na ciągnięty brezent osłaniał tył wozu. Policjant był w białej płóciennej czapce i ciemnych okularach.

Granatowy garnitur z serży zamienił na szare sportowe ubranie i zapinaną na zamek błyskawiczny kur tkę. Nie wyglądał na gliniarza. Ani teraz, ani w biurze Donegana Marra. Powoli ruszył wytyczoną przez kamienie ścieżką, dotknął mosiężnej kołatki u drzwi, lecz nie zastukał; tylko nacisnął dzwonek, niemal ukryty w bluszczu obok futryny. Czekał długo. Było ciepło, spokojnie. Nad rozgrzaną, jasnozieloną trawą bzycały pszczoły. W oddali mruczał silnik kosiarki do strzyżenia trawników. Drzwi uchyliły się powoli i wyjrzała czarna twarz - pociągała, smutna czarna twarz, na której strumienie łez rozmywały lawendowy puder. Twarz wykrzesiała z siebie nikły uśmiech i rzekła z wa haniem: - O, witam, panie Sam! Jak to dobrze, że pan jest. Delaguerra zdjął czapkę i zsunął okulary przeciwsłoneczne. - Cześć, Minnie - przywitał się. - Tak mi przykro. Przyjechałem, żeby się zobaczyć z panią Marr. - No pewno. Pan wejdzie, panie Sam. Pokojówka usunęła się na bok, wpuszczając go do ciemnego hallu z podłogą wyłożoną kafelkami. - Byli jacyś dziennikarze? Dziewczyna pokręciła głową powoli. W jej ciepłych brązowych oczach malowało się zaskoczenie, wręcz szok. - Nie było nikogo... Ona też przyszła niedawno. Ani się nie odezwała. Stoi tam tylko w tym słonecznym pokoju, co to w nim nie ma słońca. Delaguerra pokiwał głową. - Z nikim nie rozmawiaj, Minnie. Przez jakiś czas chcę to utrzymać w

tajemnicy, z dala od prasy. - No pewno, panie Sam. Ja tam nic nie wiem. Delaguerra uśmiechnął się do niej i poruszając się bezszelestnie w butach na gumowej pode szwie, przeszedł na tyły domu, skręcił pod kątem prostym w następny korytarz i zapukał do drzwi. Bez odpowiedzi. Nacisnął klamkę i wszedł do długiego, wąskiego pokoju. Pomimo licznych okien panował tam półmrok, gdyż otaczające dom drzewa rosły tak blisko, że ich liście dotykały szyb. Kilka okien zasłaniały długie kretonowe zasłony. Wysoka dziewczyna nie spojrzała na wchodzącego. Sztywno wyprostowana, stała nieruchomo na środku pokoju, z wzrokiem utkwionym w oknach i z zaciśniętymi pięściami. Miała ciemnorude włosy, które zdawały się skupiać światło z całego pomieszczenia i tworzyły miękką aureolę wokół jej pięknej, choć chłodnej twarzy. Ubrana była w niebieski sztruksowy kostium o sportowym kroju, z nakładanymi kieszeniami. Z kieszonki na piersi wystawała biała chusteczka z niebieską obwódka, złożona ze starannością godną fircyka. Delaguerra czekał, a jego oczy przyzwyczajały się do półmroku. Po chwili dziewczyna przerwała ciszę niskim, głębokim głosem: - A więc... załatwili go, Sam. W końcu go załatwili. Czy był aż tak znienawidzony? - Ludzie, z którymi miał do czynienia, nie przebierają w środkach, Belle - odparł cicho policjant. - Przypuszczam, że - na ile to możliwe

- zachował czyste ręce, ale przy okazji musiał narobić sobie wrogów. Powoli odwróciła głowę i spojrzała na niego. Światło zmieniło jej włosy, zabłysło w nich złoto. Miała zaskakująco niebieskie oczy. - Kto go zabił, Sam? - spytała załamującym się głosem. - Czy już coś wiedzą? Delaguerra przytaknął i usiadł na wiklinowym krześle. Czapkę i okulary trzymał między kolanami. - Tak. Chyba wiemy, kto to zrobił. Niejaki Imlay, zastępca prokuratora okręgowego. - Boże jedyny! - szepnęła z westchnieniem. - Do czego to dochodzi w tym skorumpowanym mieście! - To było tak... - ciągnął Delaguerra beznamiętnie. - Chyba że nie chcesz jeszcze o tym słu chać... - Chcę. Gdziekolwiek spojrzę, zewsząd patrzą na mnie jego oczy. Błagają, żebym coś zrobiła. On był dla mnie naprawdę dobry, Sam. Układało nam się raz lepiej, raz gorzej, to prawda, ale... to o niczym nie świadczy. - Ten Imlay kandyduje na sędziego przy poparciu kliki Mastersa i Aage'a. Jest po czterdziestce i zdaje się, że - jak to bywa w tym wieku - miał skok w bok z niejaką Stellą La Motte, tancerką z klubu nocnego. Jakimś cudem sfotografowano ich razem, gołych i pijanych. Donny zdobył te zdjęcia, Belle. Znalezione je w jego biurku. W terminarzu miał zapisane spotkanie z Imlayem o dwunastej piętnaście. Sądzymy, że skoczyli sobie do oczu, ale Imlay był szybszy. - To ty znalazłeś te zdjęcia, Sam? - zapytała dziewczyna spokojnie. -

Nie. Ja bym je pewnie wyrzucił. Znalazł je komisarz Drew... po tym, jak odebrano mi tę sprawę. Poderwała głowę i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma. - Odebrano ci tę sprawę? Tobie... przyjacielowi Donny'ego? - Tak. Nie bierz sobie tego tak do serca, Belle. Jestem policjantem, muszę stosować się do rozkazów. Odwróciła się od niego bez słowa. - Chciałbym, żebyś mi dała klucze do waszego domku nad Jeziorem Pумы - rzekł po chwili. - Kazali mi się tam rozejrzeć, poszukać jakichś dowodów. Donny odbywał tam różne zebrania. Mina dziewczyny zmieniła się gwałtownie. Stała się niemal pogardliwa. - Zaraz ci je przyniosę - odparła głucho. - Ale nic tam nie znajdziesz. Jeżeli pomagasz im wygrzebać coś na Donny'ego, żeby mogli wybielić tego całego Imlaya... Uśmiechnął się i pokręcił głową, patrząc na nią smutnym, zadumanym wzrokiem. - Pleciesz bzdury, moja droga. Prędzej bym rzucił robotę, niż zgodził się na coś takiego. - Powiedzmy. - Minęła go i wyszła z pokoju. Siedział nieruchomo, spoglądając na ścianę pustym wzrokiem. Jego mina zdradzała, że jest dotknięty. Zaklął pod nosem. Dziewczyna wróciła, podeszła do niego i wyciągnęła rękę. Coś z brzękiem spadło mu na dłoń. - Klucze, gliniarzu. Wstał i z kamienną twarzą schował klucze do kieszeni. Belle Marr podeszła do stołu. Jej paznokcie zazgrzytały o emaliowaną szkatułę, gdy wyjmowała papierosa. - Jak

mówiłam, wątpię, żebyś coś tam znalazł - stwierdziła, zwrócona do niego plecami. - To prawdziwy pech, że oprócz szantażu nie macie przeciwko niemu nic więcej. Delaguerra odetchnął powoli, przez chwilę stał bez ruchu, aż wreszcie odwrócił się. - W porządku - rzucił beztrosko, jak gdyby był piękny dzień, jak gdyby nikt nie zginął. Przy drzwiach odwrócił się raz jeszcze. - Zajrzę do ciebie po powrocie, Belle. Może będziesz w lepszym nastroju. Nie odpowiedziała, nie poruszyła się. Nie zapalonego papierosa trzymała sztywno na wysokości twarzy, tuż przy ustach. - Powinnaś wiedzieć, jaki mam do tego stosunek - podjął Delaguerra. - Donny i ja byliśmy kie dyś jak bracia. Słyszałem... słyszałem, że między wami się nie układało. Ale cieszę się jak cholera, że to nieprawda. Nie bądź taka zawzięta, Belle. Nie masz powodu... przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Przez chwilę obserwował jej plecy, a nie doczekawszy się odpowiedzi, wyszedł. 4.

Odchodząca od autostrady wyboista droga biegła zboczem wzgórza nad brzegiem jeziora. Tu i ówdzie spoza sosen prześwitywały dachy domków. Delaguerra zaparkował Cadillaka w otwartej szopie na stoku i zszedł wąską ścieżką nad wodę. Była ciemnoniebieska, lecz płytka. Pływało po niej kilka łódek, a w oddali, za zakrętem jeziora, posapywał silnik motorówki. Depcząc sosnowe szpilki, policjant zapuścił się w gąszcz, skręcił przy pniaku i przez drewniany

mostek doszedł do domku Marra. Zbudowany z półokrągłych bali, miał szeroką, wychodzącą na jezioro werandę. Wydawał się samotny i pusty. Tuż przed nim zakręcał płynący pod mostkiem strumyk, a weranda kończyła się z jednej strony urwiskiem, za którym leżały obmywane przez strumyk płaskie otoczaki. Podczas wio sennych przyborów kamienie całe niknęły pod wodą. Delaguerra wszedł po drewnianych schodkach, wyciągnął klucze z kieszeni i otworzył masywne frontowe drzwi. Przez chwilę stał na werandzie, paląc papierosa. Po wielkomijskim skwarze panował tutaj przyjemny chłód, cisza i spokój. Na pniaku przysiadła górska sójka i zaczęła czyścić dziobem skrzydła. Daleko, po drugiej stronie jeziora, ktoś brzdąkał na gitarze hawajskiej. Policjant wszedł do domku. Obrzucił wzrokiem zakurzone jelenie rogi, pisma ilustrowane na wielkim, topornym stole, sta romodne radio na baterie, gramofon w kształcie pudełka i rozrzucone obok niego płyty. Na stole przed olbrzymim kamiennym kominkiem stały brudne szklanki i pół butelki szkockiej whisky. Jakiś samochód przejechał drogą biegnącą ponad domem i zatrzymał się w pobliżu. Delaguerra skrzywił się. - Podpucha - mruknął zrezygnowany. Wszystko to nie miało sensu. Ktoś taki jak Donegan Marr nie zostawiłby nic ważnego w domku letniskowym. Zajrzał do dwóch sypialni. W pierwszej - zwykłym kącie do spania - znalazł tylko dwie

pryce. Druga była lepiej wyposażona. Na zasłanym łóżku leżała fikuśna damska piżama. Zdecydowanie nie wyglądała na własność Belle Marr. Dalej znajdowała się ciasna kuchnia z piecem drzewnym i kuchenką na benzynę. Policjant otworzył tylne drzwi i wyszedł na niewielki, sklecony na poziomie ziemi taras, obok stosu drewna na opał i dwustronnej, białej w pniak siekiery. Wtedy to ujrzał muchy. Z boku domu drewniana rampa prowadziła do komórki na opał w suterenie. W miejscu, gdzie padało na rampę przebijające przez drzewa światło, zakrzepły rój much rozkładał się na czymś lepkim i brązowym. Owady nie odlatywały. Delaguerra nachylił się, dotknął lepkiej plamy i powąchał palce. Jego twarz stężała. Nieco dalej, w cieniu, przy drzwiach komórki spostrzegł taką samą, tylko mniejszą plamę. Szybko wyciągnął klucze, wybrał właściwy i gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi. W komórcie znajdowało się drewno na opał. Nie szczapy, lecz kłody. Nie ułożone, lecz walające się gdzie popadnie. Policjant zaczął przenosić je na bok. Przerzucił niemało ciężkich kłód, zanim udało mu się chwycić za dwie sztywne nogi w fildeko sowych skarpetkach i wyciągnąć ciało na dwór. Były to zwłoki szczupłego, średniego wzrostu mężczyzny w dobrze skrojonej garniturze z sa modziału i małych, zgrabnych butach. Na wypastowanej skórze osiadł kurz. Człowiek ten na dobrą

sprawę nie miał twarzy - była zmasakrowana na krwawą miazgę. Potężny cios rozplątał mu czaszkę; siwiejące kasztanowe włosy zlepił mózg zmieszany z krwią. Delaguerra wstał szybko i wrócił do domu. W salonie odkorkował butelkę szkockiej, pociągnął łyk, odczekał chwilę i znów napił się wprost z butelki. - Fiu! - rzucił na głos i wzdrygnął się, gdy whisky smagnęła mu nerwy. Wrócił do komórki. Gdy się pochylał nad trupem, w pobliżu rozległ się warkot zapuszczanego silnika samochodu. Policjant znieruchomiał. Warkot przybrał na sile, po czym zamarł w oddali i znów zapadła cisza. Delaguerra wzruszył ramionami i przeszukał kieszenie zmarłego. Były puste. Jedną z nich odcięto - prawdopodobnie nosiła stempel pralni. Także z wewnętrznej kieszeni marynarki usunięto metkę krawca, zostały po niej tylko postrzępione szwy. Mężczyzna był sztywny. Nie żył od jakichś dwudziestu czterech godzin, nie więcej. Gruba warstwa krwi na jego twarzy zakrzepła, ale nie wyschła całkowicie.

Delaguerra kucnął przy zwłokach i spoglądał na lśniąca taflę jeziora i błyskające w oddali wiosło. Potem wszedł do komórki. Poszukiwania zakrwawionej kłody nie dały rezultatu. Wrócił do domu, stanął na werandzie i przyjrzał się urwisku oraz płaskim otoczakom w źródle. - Taaak - wyszeptał. Na dwóch kamieniach dostrzegł muchy, masę much. Nie zauważył ich przedtem. Urwisko miało dobre dziesięć metrów

wysokości - aż nadto, by spadający zeń człowiek roztrzaskał sobie głowę. Przez kilka minut siedział w fotelu bujanym, nieobecny duchem, w zamyśleniu paląc papierosa. W kącikach ust błąkał mu się napięty, twardy, a zarazem sardoniczny uśmieszek. Po pewnym czasie wrócił cicho na drugą stronę domu, zaciągnął zwłoki do komórki i przykrył je kilkoma kłódami. Zamknął komórkę na kłódkę, zamknął dom i wąską, stromą ścieżką dotarł do swojego samochodu. Kiedy odjeżdżał, słońce wciąż jeszcze świeciło, choć minęła już szósta. 5. W przydrożnej kawiarni rolę baru spełniała stara lada sklepowa. Stały przed nią trzy niskie stoliki. Delaguerra zajął ten od strony drzwi i spojrzał wymownie na pianę osiadłą we wnętrzu pustego kufła. Barmanem był śniady chłopak w kombinezonie, o spłoszonym wzroku i przylizanych włosach. Jąkała. - Z-zmienić p-panu k-kufel? - wydukał. Delaguerra potrząsnął głową. Wstał. - Chrzczone to piwko, synu - powiedział ze smutkiem. - Bez smaku jak blondyna z motelu. - T-to "P-Portola". P-podobno n-najlepsze. - Ehe. Najgorsze. Albo je sprzedajesz, albo tracisz koncesję. Trzymaj się, synu. Podeszedł do niskich drzwi wahadłowych i wyjrzał na zewnątrz. Na szosie kładły się coraz dłuższe cienie. Za pasem betonu znajdował się wyżwirowany plac, ogrodzony białą siatką. Stał tam sta ry Cadillac Delaguerry i zakurzony, zdezelowany Ford. Wysoki chudzielec w

ubraniu koloru khaki stał obok Cadillaka, przyglądając mu się. Policjant wyciągnął pękata fajkę i nabił ją do połowy tytoniem z zamykanego na suwak kapciu cha. Zapalił ją bez pośpiechu, starannie, i pstryknął zapalną w kąt sali. Nagle zeszywniał. Wysoki chudzielec odwiązywał brezent zakrywający tył Cadillaka. Odchylił go i zajrzał pod spód. Delaguerra cicho otworzył drzwi i długim, swobodnym krokiem przeszedł przez betonową szosę. Jego buty na gumowej podeszwie zaszurały na żwirze parkingu, ale chudzielec się nie odwrócił. Policjant stanął obok niego. - Dobrze mi się zdawało, żeś za mną jechał - odezwał się posępnie. - O co chodzi? Nieznajomy odwrócił się bez pośpiechu. Miał długą, zgorzkniałą twarz i oczy o barwie wodo rostów. Prawą rękę trzymał na lewym biodrze. Spod rozpiętego płaszcza wystawała kolba rewolweru, skierowana do przodu, na modłę kawaleryjską. Z bladym, fałszywym uśmiechem zmierzył Delaguerrę wzrokiem od stóp do głów. - To wasza bryczka? - A jak ci się zdaje? Chudzielec rozchylił płaszcz jeszcze szerzej, pokazując odznakę na piersi. - Mnie to się zdaje, że jestem leśniczym okręgu Toluca, uważasz pan? I zdaje mi się, że sezon na jelenie tak jakby się skończył. A o sezonie na łanie tom jeszcze nie słyszał. Delaguerra powoli spuścił wzrok, nachylił się i zajrzał pod brezent. Na jakichś rupieciach leżała tam młoda łania, a obok niej strzelba. Śmierć

nie zamglila łagodnych oczu zwierzęcia;
spoglądały na niego jakby z niemym wyrzutem.
Smukłą szyję łani pokrywała zakrzepła krew.
Policjant wyprostował się. - Sprytnie pomyślane
- rzucił cicho. - Masz pan zezwolenie na
odstrzał? - Nie jestem myśliwym. - Co z tego?
Widzę, że masz pan strzelbę. - Jestem z policji. -
Gliniarz, co? A nie masz pan przypadkiem
odznaki? - Przepadkiem mam. Delaguerra
wyciągnął z kieszeni na piersiach odznakę
policyjną, przetarł ją rękawem i podsunął
leśniczemu pod nos. Ten wlepił w nią wzrok i
oblizal się. - Porucznik ze śledczego, co? Z
komendy miasta. - Na jego twarzy pojawila się
obojętność, znudzenie. - Dobra jest, poruczniku.
Przejedziemy się teraz z kilometrów w dół waszą
gablotą. Potem złapię okazję i wrócę po swoją.
Delaguerra schował odznakę, starannie
wytrząsnął fajkę i przydeptał żar. Poprawił
brezent. - Jestem zatrzymany? - Właśnie,
poruczniku. - No to w drogę. Wskoczył za
kierownicę Cadillaka. Leśniczy okrążył
samochód i usiadł obok niego. Policjant zapuścił
silnik, cofnął wóz i ruszył w dół gładką
betonową szosą. W oddali majaczyła
przesłonięta gęstą mgłą dolina, nad którą
górowały wysokie szczyty, odcinające się
wyraźnie na tle nieba. Delaguerra prowadził
swobodnie, bez pośpiechu. Samochód sunął w
dół na jałowym biegu. Dwaj mężczyźni bez
słowa patrzyli przed siebie. Po dłuższej chwili

policjant przerwał ciszę: - Nie wiedziałem, że nad Jeziorem Pумы są jelenie. A dalej nie dotarłem. - Tam jest rezerwat, poruczniku - odparł spokojnie leśniczy, wyglądając przez zakurzoną szybę. - Wchodzi w skład lasów okręgu Toluca... a może pan o tym nie wiedział?- Nie wiedziałem. Nigdy wżyciu nie upolowałem jelenia. Nawet po ładnych paru latach w policji nie jestem aż taki twardy. Leśniczy tylko się uśmiechnął. Minęli przełęcz. Po prawej ręce mieli teraz opadający stok, po lewej zaś małe kaniony wrzynały się w zbocza gór. Niektórymi wąwozami biegły zarośnięte zielskiem i poorane koleinami drogi. Nagle Delaguerra gwałtownie skręcił w lewo, na pas czerwonej ziemi i wysuszonej trawy. Wcisnął hamulec. Samochód zarzucił, zakołysał się i zarył w miejscu. Leśniczy odbił się od prawych drzwiczek wozu i grzmotnął w przednią szybę. Sypiąc przekleńs twami, wyprostował się i sięgnął po broń. Delaguerra chwycił go za chudy, twardy nadgarstek i wykręcił. Leśniczy zbladł pod opalenizną. Lewą ręką pogmerał przy kaburze, lecz szybko zrezygnował.- Pogarszasz tylko swoją sytuację, tajniaku - wystękał. - Ktoś dzwonił do mnie do Salt Springs. Dostałem cynk, że w twoim wozie jest łania. Dowiedziałem się, jak wygląda twoja gablota i gdzie stoi. Ja... Delaguerra puścił jego rękę, wyciągnął mu colta z kabury i wyrzucił go z wozu. - Wysiadka. Chciałeś wracać okazją, to

jazda. Co jest, pensyjka nie starcza już na życie? Sam żeś mi podrzucił tę łanię, krętaczu, tam nad jeziorem! Leśniczy wysiadł powoli. Z rozdziawionymi ustami stanął przy samochodzie, gapiąc się tępym wzrokiem. - Twardziel, co? - mruknął. - Jeszcze pożałujesz, tajniaku. Złożę skargę. Policjant przesunął się na sąsiedni fotel i wysiadł z prawej strony wozu. Stanął obok leśniczego. - Może się myłę - stwierdził powoli. - Może ktoś do ciebie dzwonił. A może nie. Wytaszczył martwą łanię z samochodu i nie spuszczać chudzielca z oka, ułożył ją na ziemi. Leśniczy nawet nie drgnął, nawet nie próbował zbliżyć się do swej broni, leżącej w trawie cztery metry dalej. Jego oczy o barwie wodorostów były matowe, zimne. Delaguerra wrócił do samochodu, zwolnił hamulec i zapuścił silnik. Gdy wycofywał się na szosę, chudzielec nadal stał jak wryty. Dopiero gdy Cadillac wyrwał do przodu i zniknął mu z oczu, leśniczy podniósł rewolwer, wsadził go do kabury i zaciągnął łanię w krzaki. Potem wyszedł na szosę i pieszo ruszył pod górę. 6. - Ten człowiek dzwonił do pana trzy razy, poruczniku, ale nie chciał zostawić numeru - poinformowała recepcjonistka w hotelu "Kenworthy". - Dwa razy dzwoniła jakaś pani. Nie podała ani numeru, ani nazwiska. Delaguerra wziął od niej trzy kartki z napisem "Joey Chill" i trzema różnymi godzinami. Zabrał dwa listy, uchylił kapelusza i wszedł do

windy samoobsługowej. Na czwartym piętrze przeszedł ci chym, wąskim korytarzem i otworzył drzwi. Nie zapalając świateł podszedł do wielkich drzwi balko nowych, otworzył je na oścież i popatrzył na ciemne niebo, światła neonów i ostre błyski reflektorów na bulwarze Ortega, dwie przecznice dalej. Stojąc tam, wypalił pół papierosa. W panującym mroku jego twarz wydawała się bardzo smutna, bardzo zmartwiona. W końcu przeszedł do małej sypialni, zapalił stojącą lampkę i rozbierał się do ro sołu. Wziął prysznic, wytarł się, zmienił bieliznę i w maleńkiej kuchni przygotował sobie szklaneczkę. Popijając i paląc następnego papierosa, skończył się ubierać. Właśnie dopinał kaburę, kiedy w salonie zaterkotał telefon. Dzwoniła Belle Marr. Głos miała niewyraźny, zachrypnięty, jak gdyby od wielu godzin płakała. - Jak to dobrze, Sam, że cię wreszcie złapałam. Ja... ja nie mówiłam wtedy poważnie. Byłam wstrząśnięta, roztrzęsiona, kompletnie rozbita. Chyba wiedziałeś? - Jasne, dziecino. Nie myśl o tym więcej. Zresztą miałaś rację. Właśnie wróciłem znad jeziora. Wygląda na to, że wysłali mnie tam tylko po to, żeby się mnie pozbyć. - Tylko ty mi teraz zostałeś, Sam. Nie pozwolisz, żeby ci zrobili coś złego, prawda? - Kto? - Dobrze wiesz kto. Nie jestem taka głupia, Sam. Ja wiem, że to był spisek, nikczemny polityczny spisek, żeby się go pozbyć. Delaguerra mocniej chwycił słuchawkę. Przez chwilę nie mógł

wydobyć głosu. - Możliwe jednak, że pozory nie mylą, Belle - rzekł w końcu. - Mogli się pokłócić z powodu tych zdjęć. Było nie było, Donny miał prawo powiedzieć takiemu facetowi, żeby wycofał swoją kan dydaturę. To nie szantaż... Pamiętaj, że on też trzymał broń. - Postaraj się wpaść do mnie jak najszybciej, Sam. - W jej przeciągłych słowach odżyło wygasłe uczucie, zadawniona tęsknota. Wahał się, bębniąc palcami po stole. Wreszcie odparł: - Jasne... Kiedy ostatnio ktoś był w waszym domku nad jeziorem? - Nie mam pojęcia. Nie zaglądałam tam od roku. On... on jeździł tam beze mnie. Może się z kimś spotykał? Nie wiem. Zmienił temat i wkrótce pożegnał się. Siedział zapatrzony w ścianę nad biurkiem. Jego oczy rozbliły jakimś twardym blaskiem. Twarz miał skupioną, nie żywił już najmniejszych wątpliwości. Wrócił do sypialni po płaszcz i kapelusz. Przed wyjściem wziął trzy kartki z nazwiskiem Joeya Chilla, podarł je na strzępy i spalił w popielniczce. 7. Pete Marcus - potężny, jasnowłosy tajniak - siedział bokiem przy małym, zagraconym biurku w prawie pustym gabinecie. Pod przeciwległą ścianą stało bliźniacze biurko, to jednak było porządne i schludne - leżała na nim zielona suszka, przybory do pisania z onyksu, mosiężny kalendarz i zastępu jąca popielniczkę muszla ślimaka. Okrągła słomiana poduszka, oparta pionowo na krześle pod oknem, przypominała

tarczę strzel niczą. Pete Marcus, niczym meksykański nożownik, celował w nią piórami, których całą garść trzymał w lewej ręce. Rzucił z roztargnieniem, bez specjalnej wprawy. Do pokoju wszedł Delaguerra. Zamknął drzwi, oparł się o nie i z kamienną twarzą spojrzął na siedzącego policjanta. Ten okręcił się na skrzypiącym krześle i z powrotem oparł o biurko. Paznokciem kciuka podrapał się w brodę. - Serwus, Hiszpan! Udany wypad? Stary żyć bez ciebie nie może. Delaguerra jęknął i wetknął papierosa w gładkie, brązowe usta. - Byłeś przy tym, jak znaleźli te zdjęcia, Pete? - Być byłem, ale to stary komis je wygrzebał, nie ja. A bo co? - Widziałeś, jak to się odbyło? Marcus spojrzął mu prosto w oczy i odparł asekuracyjnie: - On je naprawdę znalazł, Sam. Nie podrzucił ich... jeśli o to ci chodzi. Delaguerra skinął głową i wzruszył ramionami. - Jest coś nowego w sprawie broni? - Tak. Kaliber dwadzieścia pięć, a nie trzydzieści dwa. Cholerny kieszonkowy gnat! Koszulki ze stopu miedzi i niklu. Samopowtarzalny, łusek nie znaleźliśmy. - O tym Imlay pamiętał, a o zdjęciach, z powodu których zabił, jakoś zapomniał - stwierdził Hiszpan spokojnie. Blondyn opuścił nogi na podłogę i pochylił się, spoglądając na niego z ukosa. - Możliwe. Przypisali mu motyw, ale skoro Marr też trzymał spluwę, to teoria o zabójstwie z premedytacją jakby upada, nie? - Dobrze

główkujesz, Pete. - Delaguerra stanął przy oknie, wyglądając na ulicę. Po chwili Marcus rzucił posępnie: - Pewnie uważasz, że ja nic nie robię, co? Delaguerra odwrócił się powoli i podszedł do kolegi. - Bez urazy, stary. Jesteś moim współnikiem, a że uchodzę za wtyczkę Marra na komendzie, więc i tobie się trochę dostało. Ale ty przynajmniej siedzisz na tyłku, a mnie wysłali nad Jezioro Pумы tylko po to, żeby mi podrzucić do samochodu zastrzeloną łanię i zwalić na głowę leśniczego. Marcus wstał, zaciskając pięści i szeroko otwierając wzburzone szare oczy. Jego nozdrza zbielały. - Sam, tutaj nikt by się nie posunął tak daleko. - Też tak myślę - przytaknął Delaguerra. - Raczej dali się namówić, żeby mnie tam wysłać, a ktoś z zewnątrz załatwił resztę. Pete Marcus usiadł i z wściekłością cisnął piórem w poduszkę. Stalówka utkwiała w słomie, za drgała i złamała się, a pióro z grzechotem spadło na podłogę. - Słuchaj - powiedział ochryple, nie podnosząc wzroku - dla mnie to tylko robota. Nic więcej. Źródło utrzymania. Ja nie idealizuję pracy w policji tak jak ty. Jedno twoje słówko, a wezmę tę cho lerną odznakę i rzucę staremu w pysk. Delaguerra nachylił się i dał mu sójkę w bok. - Wybij to sobie z głowy, gliniarzu. Mam pomysł. Zbieraj się do domu i zalej pałę. Szybko wyszedł z pokoju. Nieco dalej wykładany marmurem korytarz rozszerzał się, tworząc niszę z trojgiem drzwi. Na środkowych widniał napis: "Szef

Wydziału Śledczego. Wstęp wolny". De laguerra otworzył je i znalazł się w małej poczekalni. Siedzący za barierką policyjny stenotypista spoj rzał na niego i ruchem głowy wskazał mu drzwi wewnętrzne. Delaguerra otworzył furtkę w barierce i zniknął za drzwiami sąsiedniego pomieszczenia. W wielkim gabinecie zastał dwóch mężczyzn. Szef wydziału śledczego, Tod McKim, posłał mu twarde spojrzenie zza masywnego biurka. Był to zwalisty, nieco już zwiotczały mężczyzna o dłu giej, irytująco melancholijnej twarzy. Zezował lekko na jedno oko. Z boku biurka, w fotelu z półokrągłym oparciem, siedział ubrany z przesadną elegancją mężczyzna w kamazach. Obok niego, na drugim fotelu, leżały szare rękawiczki, perłowszary kapelusz i hebanowa laska. Człowiek ten miał bujne, miękkie białe włosy i przystojną, zdradzającą rozpustny tryb życia twarz. Regularne masaże zapewniały mu niezwykle różową cerę. Z ironiczną, rozbawioną miną palił papierosa w długiej bursztynowej cygarniczce. Uśmiechnął się do wchodzącego. Delaguerra usiadł naprzeciwko McKima i zerknął na siwego mężczyznę. - Dobry wieczór, komisarzu - przywitał się. Komisarz Drew skwitował to niedbałym ruchem ręki. McKim pochylił się, splatając krótkie palce o poobgryzanych paznokciach na lśniącym biurku. - Nie śpieszyło ci się z raportem - stwierdził cicho. - Znalazłeś coś? Delaguerra

patrzył na niego spokojnie, bez wyrazu. - A miałem coś znaleźć... oprócz podrzuconej łani w moim wozie? Na twarzy McKima nie drgnął ani jeden mięsień, nie zaszła najmniejsza zmiana. Komisarz Drew przejechał różowym, opiłowanym paznokciem po gardle i świsnął przez zęby. - Ładnie to tak odzywać się do szefa w ten sposób, chłopcze? Policjant nie odrywał wzroku od przełożonego. Czekał. - Miałeś nieskazitelne akta, Delaguerra - rzekł McKim powoli, ze smutkiem. - Twój dziadek był jednym z najlepszych szeryfów w historii tego okręgu. Ale dzisiaj rzuciłeś na to wszystko głęboki cień. Jesteś oskarżony o pogwałcenie ustawy o ochronie zwierzyny, utrudnianie wykonywania obowiązków służbowych funkcjonariuszowi z okręgu Toluca i stawianie oporu podczas aresztowania. Masz mi coś do powiedzenia na ten temat? - Wydano już nakaz aresztowania? - spytał Delaguerra bezbarwnym tonem. McKim pokręcił głową. - To sprawa wewnętrznydziałowa. Nie wniesiono formalnego oskarżenia. Przypuszczam, że z braku dowodów. - Uśmiechnął się sucho, posępnie. - W takim razie mam pewnie zwrócić odznakę? McKim przytaknął w milczeniu. - Coś ty taki szybki Bill? - wtrącił Drew. - Nie za prędko się zgadzasz? Delaguerra wyciągnął odznakę policyjną, przetarł ją rękawem i pchnął przez blat. - Nie ma sprawy, szefie - rzekł cicho. - W moich żyłach płynie czysta hiszpańska krew. Nie

jes tem Mulatem, Metysem czy innym mieszańcem. Mój dziadek w takiej sytuacji zużyłby mniej słów, za to więcej prochu, ale to wcale nie jest zabawne. Wrobiono mnie dlatego, że Donegan Marr był moim przyjacielem. Wie pan równie dobrze jak ja, że to nie miało żadnego wpływu na moją pracę. Ale ko misarz i jego polityczni poplecznicy nie są tego chyba tacy pewni. Drew zerwał się z miejsca. - Jak mi Bóg miły, nie pozwolę się obrażać! - ryknął. Delaguerra uśmiechnął się. Nie odpowiedział, nawet nie spojrział na komisarza. Drew usiadł, sa piąc ciężko i łypiąc na niego spode łba. Po chwili McKim wrzucił odznakę do środkowej szuflady biurka i wstał. - Jesteś zawieszony, Delaguerra - oznajmił. - Bądź ze mną w kontakcie. - Nie oglądając się za siebie, szybko wyszedł z gabinetu. Delaguerra odsunął krzesło i poprawił kapelusz. Drew chrząknął. - Może i ja się zbytnio pospieszyłem - rzekł, uśmiechając się pojednawczo. - To ta moja irlandzka krew. Ale nie obrażaj się. Prędzej czy później każdy z nas dostaje taką lekcję. Można ci coś pora dzić? Policjant wstał i spojrział na niego z nikłym, suchym uśmieszkiem, który wprawił w ruch tylko kąciki ust na jego kamiennej twarzy. - Wiem, co to za rada. Mam się odczepić od sprawy Marra. Komisarz wybuchnął śmiechem. Wrócił mu dobry humor. - Niezupełnie. Nie ma już żadnej sprawy Marra. Imlay - za pośrednictwem adwokata - przyznał się do

zabójstwa. Twierdzi, że działał w obronie własnej. Rano ma się stawić do dyspozycji prokurato ra. Nie, ja chciałem ci doradzić co innego... żebyś wrócił do Toluca i pogadał od serca z leśniczym. To chyba powinno załatwić sprawę. W każdym razie warto spróbować. Delaguerra podszedł cicho do drzwi, otworzył je i odwrócił się, prezentując w uśmiechu wszystkie zęby. - Ja wyczuję łajdaka na kilometr, komisarzu. Jego już wynagrodzono za fatygę. Wyszedł. Rozwścieczony Drew patrzył, jak drzwi zamykają się za nim z szelestem i suchym trzaskiem. Jego różowa twarz zsiniała, dłoń podtrzymująca bursztynową cygarniczkę dygotała z wściekłości. Bezwiednie strącił popiół na nienagannie zaprasowane spodnie. - Jak mi Bóg miły! - syknął zawzięcie. - Ty gładka hiszpańska zarazo, możesz być sobie gładki jak szkło... ale ciebie łatwiej jest podziurawić! Z furją wygramolił się z fotela, starannie otrzepał spodnie i sięgnął po laskę i kapelusz. Jego wypielęgnowane palce drżały. 8. Koloryt lokalny Newton Street, na odcinku między Trzecią a Czwartą, tworzyły tanie sklepy z konfekcją, lombardy, automaty z papierosami i gumą do żucia oraz podrzędne hoteliki, przed którymi mężczyźni wymieniali ukradkowe spojrzenia, a słowa sączyły się po papierosach przyklepionych do ich nieruchomych warg. W połowie drogi wystający drewniany szyld zapraszał: "Sala bilardowa Stolla". Delaguerra zszedł po

schodkach prowadzących z chodnika do sutereny. Od frontu w sali bilardowej panował mrok. Stoły były przykryte pokrowcami, kije spoczywały w szeregu na stojakach. Ale na tyłach pomieszczenia paliło się światło, ostre białe światło, na tle którego odcinały się stłoczone głowy i barki. Z wrzawy wybijały się odgłosy kłótni i krzyki markiera po dającego wyniki. Delaguerra ruszył w tamtą stronę. Nagle, jak na komendę, wrzawa ucichła. W chwilowej ciszy rozległ się ostry stukot kul, matowy odgłos bili odbijającej się od ścian, a w końcu ostry trzask potrójnego karambolu. Znow podniósł się zgiełk. Delaguerra przystanął koło zakrytego stołu i wyjął z portfela banknot dziesięciodolarowy oraz małą nalepkę. Napisał na niej: "Gdzie jest Joe?", przykleił ją do banknotu i złożył go we czworo. Pod szedł do tłumu kibiców i przepchał się do samego stołu. Wysoki, blady mężczyzna o beznamiętnej twarzy i kasztanowych włosach z przedziałkiem na cierał kredą czubek kija, przyglądając się ustawieniu kul. Nachylił się i oparł kij w widelkach sinych białych palców. Hałas wykrzykiwanych zakładów urwał się jak nożem uciał. Blady dryblas popisał się efektownym strzałem. - Czterdzieści dla Chilla - obwieścił puciołowaty facet siedzący na wysokim stołku. - Osiem do przodu. Dryblas znow natarł kij kredą i rozejrzał się leniwie, omijając wzrokiem Delaguerrę, jak gdyby się nie znali. Policjant

przepchnął się bliżej niego. - Postawisz na siebie, Max? - zapytał. - Zaryzykuję piątała, że teraz ci nie wyjdzie. Dryblas skinął głową. - Przyjmuję. Delaguerra położył złożony banknot na skraju stołu. Młody chłopak w pasiastej koszuli sięgnął po pieniądze, lecz Max Chill uprzedził go - jakby mimochodem - i schował banknot do kieszeni kami zelki. - Stoi piątała - rzekł obojętnie i złożył się do strzału. Było to precyzyjne, skomplikowane zagranie, istny majstersztyk. Nastąpił zasłużony aplauz. Dryblas oddał kij swojemu pomocnikowi w pasiastej koszuli. - Przerwa - zarządził. - Muszę skoczyć na stronę. Zniknął za kotarą i drzwiami z napisem: "Męski". Delaguerra zapalił papierosa, rozglądając się po typowej hołocie z Newton Street. Przeciwnik Maxa Chilla - jeszcze jeden beznamiętny dryblas - rozmawiał z markierem, nie patrząc na niego. Koło nich stał samotny przystojny Filipińczyk w szy kownym brązowym garniturze i palił papierosa o barwie czekolady. Max Chill wrócił do stołu, wziął swój kij i natarł go kredą. Sięgnął do kieszeni, rzucił od nie chcenia: - Jestem ci krewny piątkę reszty, kolego - i podał Hiszpanowi złożony banknot. Niemal bez chwili przerwy zrobił trzy karambole. - Chill czterdzieści cztery - ogłosił markier. - Dwanaście do przodu. Dwaj kibice wydostali się z tłumu i ruszyli do wyjścia. Delaguerra poszedł w ich ślady. Zatrzy mał się u podnóża schodów, rozwinął banknot i przeczytał

adres nabazgrany pod jego pytaniem. Zwinął banknot w dłoni i właśnie miał go schować do kieszeni, gdy coś twardego dźgnęło go w plecy. - Pomóc ci wyjść, mistrzu? - zapytał głos przypominający trąconą strunę banjo. Policjant zmarszczył nos. Spojrzał w górę, na znikające nogi dwóch mężczyzn na schodach i odbity blask latarni. - No jak? - zabrzdąkał głos ponuro. Delaguerra padł na podłogę, odwracając się w powietrzu i wyrzucając do tyłu rękę. Nim upadł, zacisnął dłoń na nodze przeciwnika. Cios pistoletem rozminął się z jego głową, trafił go w lewy bark, przesywając bólem całe ramię. Policjant czuł na sobie ciężki, gorący oddech. Coś lekko uderzyło go w kapelusz. Tuż obok niego ktoś warczał wściekle, piskliwie. Przeturlał się, wykręcając napastnikowi nogę w kostce, podparł się kolanem i poderwał. Wstał z kocią zwinnością i z całej siły odepchnął no gę przeciwnika. Filipińczyk w brązowym garniturze grzmotnął plecami o podłogę. Chwiejnie poderwał broń. Delaguerra kopnął małą brązową rękę; pistolet wylądował pod którymś ze stołów. Filipińczyk leżał na plecach, z wysiłkiem unosząc głowę. Kapelusz wciąż trzymał się jego natłuszczonych włosów, niczym przylepiony. W głębi sali partia karambola spokojnie toczyła się dalej. Możliwe, że ktoś usłyszał odgłosy bójki, lecz nikt się tym nie zainteresował. Delaguerra wyszarpnął z tylnej kieszeni plecioną skórzaną pałkę i nachylił się.

Napiętą brązową twarz Filipińczyka wykrzywił skurcz. - Musisz się jeszcze wiele nauczyć, przyjemniaczku - stwierdził Delaguerra zimno, lecz obojęt nie. - Wstawaj. Śniady chłopak wstał z podniesionymi rękami. Nagle błyskawicznie sięgnął pod prawą pachę. Policjant zamachnął się od niechcienia. Chłopak opuścił przetrąconą lewą rękę i pisnął niczym zgłód niałe kocię. Delaguerra wzruszył ramionami i uśmiechnął się sardonicznie. - Napad, co? Ano, innym razem, żółtodziobie. Teraz jestem zajęty. Spadaj! Filipińczyk prześlizgnął się między stołami, przykucnął. Delaguerra przełożył pałkę do lewej ręki, a prawą oparł na kolbie rewolweru. Stał tak przez chwilę, patrząc chłopakowi prosto w oczy. Na gwałt odwrócił się, szybko wszedł na schody i zniknął. Brązowy chłopak skoczył pod ścianę i wczuł się pod stół, szukając swego pistoletu. 9. Joey Chill gwałtownie otworzył drzwi. W rękę trzymał krótki, zniszczony rewolwer bez muszki. Był to drobny, zawzięty człowieczek o spiętej, skłopotanej twarzy. Przydałoby mu się golenie i czysta koszula. Z pokoju za jego plecami dolatywał cierpki, zwierzęcy odór. Opuścił broń i z kwaśnym uśmiechem cofnął się w głąb mieszkania. - Wskakuj, śledziu. Coś ci się nie śpieszyło. Delaguerra zamknął za sobą drzwi. Zsunął kapelusz na tył głowy, odsłaniając kędzierzawe włosy, i obrzucił gospodarza obojętnym wzrokiem. - Uważasz, że powinienem

pamiętać adres każdego chłystka w mieście? Musiałem się dowiedzieć u Maxa. Mały człowieczek burknął coś pod nosem, położył się na łóżku i schował broń pod poduszkę. Splótł ręce za głową i puścił oko do sufitu. - Masz stówę, śledziu? Delaguerra przysunął do łóżka drewniane krzesło i usiadł na nim okrakiem. Wyciągnął pękata fajkę. Nabił ją bez pośpiechu, rozglądając się z niesmakiem: zamknięte okno, łóżko z odpryskującą farbą, zmiętoszona pościel, umywalka i dwa poplamione ręczniki w rogu, pusty kredens kuchenny, a na nim Biblia przyciśnięta opróżnioną do połowy butelką dzinu. - Dekujesz się? - spytał bez specjalnego zainteresowania. - Pali mi się pod nogami. Depczą mi po piętach. Ale mam dla ciebie coś, za co warto odpalić stówę. Obojętnie, bez pośpiechu, policjant schował kapciuch, przypalił fajkę i irytująco powoli wydmuchał dym. Człowieczek na łóżku wiercił się niespokojnie, zerkając na niego z ukosa. - Dobry z ciebie kapuś, Joey, to ci muszę przyznać - stwierdził Delaguerra powoli. - Ale sto pa pierków piechotą nie chodzi. - Warto wybulić, chłopie. Jeśli chcesz się dowiedzieć, kto naprawdę sprzątnął Marra. Policjant zatrzymał na nim lodowaty wzrok. Przygryzł ustnik fajki. - Mów, Joey - polecił cichym, ponurym głosem. - Zapłacę, jeśli uznam, że warto. Bylebyś tylko nie zalewał. Informator wsparł się na łokciu. - Wiesz, co za jedna figlowała z Imlayem na tych

obrazkach? - Znam jej nazwisko. Ale zdjęć nie widziałem. - Stella La Motte to pseudo estradowe. Naprawdę nazywa się Stella Chill. To moja młodsza siostra. Delaguerra splótł ręce za oparciem krzesła. - Nieźle. Mów dalej. - Ona go w to wrobiła. Wrobiła go za parę działek heroiny od jednego skośnookiego Filipińczyka. - Filipińczyka? - wtrącił szorstko policjant. Na jego twarzy malowało się skupienie. - Właśnie. To jeden z tych naszych małych brązowych braci. Przystojniak, elegancik i handlarz od prochów. Sakramencki czubek. Nazywa się Toribo, a wołają go Gorący Chłopak. Mieszka drzwi w drzwi ze Stellą. Najpierw wciągnął ją w nałóg, a potem w sprawę Imlaya. Doprawiła czymś Imlay owi wódkę, żeby mu się film urwał, i wpuściła żółtka, żeby im cyknął parę zdjęć. Cwane, co nie? A potem, jak to kobita, pożałowała tego i wyśpiewała wszystko mnie i Maxowi. Delaguerra surowo pokiwał głową. Milczał. Joey uśmiechnął się pełną gębą, błyskając małymi ząbkami. - A co ja robię? A ja się zasadzam na żółtka. Chodzę za nim jak cień, bracie. Nie minęło czasu wiele, patrzę, a on zasuwa do mieszkanka Dave'a Aage'a na Vendome... Za to chyba należy się paczka? Policjant kiwnął głową, wysypał na dłoń nieco popiołu z fajki i zdmuchnął go. - Kto jeszcze o tym wie? - Max. Potwierdzi, co mówię, jak z nim dobrze zagadasz. Ale on nie chce mieć z tym nic wspólnego. Nie bawi się w takie rzeczy. Dał

Stelli forse, żeby wywiała z miasta, i wypisał się z tego. Bo tamci nie dają sobie w kaszę dmuchać. - Max nie może wiedzieć, dokąd trafiłeś za Filipińczykiem. Joey usiadł raptownie i spuścił nogi na podłogę. Sposepniał. - Ja nie zalewam, tajniaku. Ciebie nigdy nie kantowałem. - Wierzę ci, Joey - odparł cicho Delaguerra. - Ale przydałoby się więcej dowodów. Rozumiesz coś z tego? - Toż to śmierdzi na odległość, że aż głowa boli - parsknął mały człowieczek. - Albo żółtek pracował dla Mastersa i Aage'a już wcześniej, albo dogadał się z nimi, jak zdobył obrazki. Potem Marr dostaje zdjęcia, a głowę daje, że tyle by je zobaczył, jakby mu ich sami nie podesłali. Nie wiedział, że to od nich. Imlay kandydował na sędziego z ich ramienia. Jasne, że to ich fagas, ale fagas to tylko fa gas. Tak się składa, że to moczymorda i choleryk. Wszyscy o tym wiedzą. Twarz policjanta przypominała wykutą w kamieniu maskę i tylko jego oczy lekko błyszczały. Z ust sterczała mu fajka, tak nieruchoma, jak gdyby zatopiono ją w cemencie.- No więc, poszli na całość - ciągnął Joey Chill, znów szczerząc zęby w uśmiechu. - Marr dostał obrazki, ale nie wie dział, od kogo. A Imlay dostał cynk, że Marr ma jego zdjęcia z panienką i że chce go przycisnąć. Więc co robi taki facet jak Imlay? Wyrusza na łowy... ale ubita kaczka trafia na stół Dużego Johna Mastersa i jego pomagiera. - Albo łania -

mruknął Delaguerra z roztargnieniem. - Że co? To jak, należy się stówa? Policjant wytrząsnął pieniądze z portfela i odliczył na kolanie kilka banknotów. Zwinął je w ciasny rulon i rzucił na łóżko. - Joey, muszę raz-dwa pogadać ze Stellą. Da się zrobić? Człowieczek na łóżku schował pieniądze do kieszeni koszuli i potrząsnął głową. - Nie da rady. Może spróbuj przez Maxa. Chyba się ulotniła z miasta, a ja sam też znikam, jak już podłapałem trochę grosza. Bo jak mówiłem, oni nie dają sobie w kaszę dmuchać... a nie wiem, czy nie nakryli mnie na tym śledzeniu. Łaził za mną jakiś oprych. - Wstał, ziewnął i dorzucił: - Strze limy po jednym? Delaguerra odmówił ruchem głowy. Patrzył, jak jego informator podchodzi do kredensu, nale wa szcudrą porcję dżinu do grubej szklanki i opróżnia ją jednym haustem. Właśnie miał zamiar odstawić pustą szklankę, gdy od strony okna doleciał brzęk. Rozległ się odgłos przypominający uderzenie rękawiczką. Kawalek szyby spadł na gołe, poplamione klepki za dywanem, niemal u stóp Joeya. Przez dwie, trzy sekundy Chill stał jak wryty. Nagle szklanka wypadła mu z dłoni i potoczyła się pod ścianę. Kolana odmówiły mu posłuszeństwa. Powoli opadł na bok i przetoczył się na plecy. Krew z dziury nad lewym okiem spłynęła mu ospale na policzek. Zaczęła płynąć szybciej. Otwór powiększył się, poczerwieniał. Joey Chill wpatrywał się w sufit pustym wzrokiem, jak

gdyby takie drobiazgi przestały go już obchodzić. Delaguerra cicho opadł na czworaki. Przesunął się wzdłuż łóżka do ściany pod oknem i sięgnął pod koszulę rannego. Przyłożył mu palce do serca. Po chwili cofnął rękę i potrząsnął głową. Przykucnął, zdjął kapelusz i ostrożnie wyjrzał nad parapetem. Po drugiej stronie uliczki zobaczył wysoką ścianę jakiegoś magazynu. Na samej górze było kilka okien, lecz w żadnym nie paliło się światło. Policjant schylił głowę. - Pewnie karabin z tłumikiem - mruknął pod nosem. - Strzał przedniej marki. Nieśmiało wyciągnął rękę i zabrał zwitek banknotów z koszuli zmarłego. Skulony przeszedł wzdłuż ściany do wyjścia, wyciągnął klucz z zamka, otworzył drzwi, wyprostował się i wyszedł szybko. Zamknął drzwi na klucz. Zostawił za sobą brudny korytarz i pieszo zszedł do wąskiego, wyludnionego hallu. Za ladą recepcji nie było nikogo. Stał przy szklanych drzwiach wyjściowych, spoglądając na drewniany dom z umeblowanymi mieszkaniami do wynajęcia po drugiej stronie ulicy. Na werandzie dwaj starszycy w fotelach bujanych pykali z fajek. Wyglądali całkiem nieszkodliwie. Obserwował ich przez kilka minut. W końcu wyszedł, rozejrzał się szybko i mijając zaparkowane przy krawężniku samochody, dobiegł do najbliższego rogu. Dwie przecznice dalej złapał taksówkę i kazał się zawieźć z powrotem do sali bilardowej Stolla na Newton Street. Teraz już cała sala była

oświetlona. Kule zderzały się i wirowały, gracze snuli się w gęstych chmurach dymu z papierosów. Delaguerra rozejrzał się i podszedł do pucołowatego gościa siedzącego na wysokim stołku przy kasie. - Pan Stoll? Pucłowaty skinął głową. - Gdzie się podziewa Max Chill? - Już dawno wyszedł, bracie. Grali tylko do stu. Pewnie jest w domu. - To znaczy? Pucłowaty rzucił mu z ukosa szybkie spojrzenie, niczym świetlnego "zajączka". - A bo ja wiem? Delaguerra uniósł rękę do kieszeni, w której zwykle nosił odznakę, i opuścił ją znacząco. Pucłowaty wyszczerzył zęby. - Platfus, co? W porządku, hotel "Mansfield", na Grand, trzy przecznice stąd na zachód. 10. Cefarino Toribo - przystojny Filipińczyk w szykownym garniturze - zgarnął dwie dziesięcio- i trzy jednocentówki z lady urzędu pocztowego i uśmiechnął się do znudzonej blondynki, która go ob służywała. - Wyślesz to od razu, złotko? Z lodowatą miną zerknęła na blankiet. - Hotel "Mansfield"? Doręczymy za dwadzieścia minut... a złotko niech pan zachowa na lepszą okazję. - Jak sobie życzysz, złotko. Bez pośpiechu, z gracją, Toribo opuścił pocztę. Blondynka ze złością nadziała blankiet na kolec. - Wariat, czy co? - rzuciła przez ramię. - Wysłać telegram do hotelu o trzy przecznice stąd. Cefarino Toribo przeszedł się spacerkiem po Spring Street, wlokąc za sobą smugę dymu z cze koladowego papierosa. Przy Czwartej skręcił na zachód i trzy przecznice

dalej wszedł do hotelu "Mansfield", bocznym wejściem koło zakładu fryzjerskiego. Marmurowe schody zaprowadziły go na półpiętro; dalej szedł już schodami wyłożonymi dywanem. Na trzecim piętrze skręcił przy windach i dumnym krokiem przemierzył korytarz, sprawdzając numery na drzwiach. Wrócił do wnęki w połowie korytarza, gdzie pod dwoma oknami, wychodzącymi na dziedzińiec, stał stolik ze szklanym blatem i krzesła. Usiadł, odpalił papierosa od niedopałka poprzedniego i rozsiadł się wygodnie, nasłuchując. Za każdym razem, gdy winda stawała na tym piętrze, pochylał się gwałtownie i wsłuchiwał w dźwięk kroków. Doczekał się po mniej więcej dziesięciu minutach. Wstał i podszedł do rogu wnęki. Spod prawej pachy wyciągnął długi, wąski pistolet, przełożył go do prawej ręki i schował za nogą, od strony ściany. Korytarzem nadszedł przysadzisty, dziobaty Filipińczyk w liberii chłopca hotelowego. Niósł małą tacę. Toribo syknął przez zęby, unosząc broń. Przysadzisty chłopak odwrócił się. Na widok pistoletu tu rozdziawił usta i wybałuszył oczy. - Do którego numeru to niesiesz, gnojku? - warknął Toribo. Chłopak uśmiechnął się nerwowo, pojednawczo. Zbliżył się i pokazał żółtą kopertę na tacy. Widniał na niej numer 338. - Zostaw go tu - rozkazał zimno Toribo. Chłopak położył telegram na stoliku. Nie spuszczał wzroku z pistoletu. - A teraz zjeżdżaj i pamiętaj, żeś

wsunął telegram pod drzwi. Przysadzisty Filipińczyk pochylił okrągłą głowę, jeszcze raz uśmiechnął się nerwowo i szybko ruszył w stronę wind. Toribo schował broń do kieszeni marynarki i wyjął złożoną kartkę. Rozwinął ją ostrożnie i wy sypał lśniący biały proszek na lewą dłoń, w zagłębienie powstałe między wyciągniętym kciukiem a palcem wskazującym. Gwałtownie wciągnął proszek do nosa, wyjął jaskrawoczerwoną jedwabną chusteczkę i otarł nos. Przez chwilę stał nieruchomo. Oczy zaszyły mu mgłą, brązowa skóra na wystających kościach policzkowych jakby się napięła. Oddychał ze świstem przez zęby. Z żółtą kopertą w ręku przeszedł korytarzem do samego końca i zapukał do ostatnich drzwi. Z apartamentu dobiegł czyjś głos. - Telegram do pana - odpowiedział piskliwie, pełnym szacunku tonem, z twarzą przy samych drzwiach. Zaskrzypiały sprężyny łóżka. Czyjeś kroki zaszurały po podłodze. W zamku przekręcił się klucz i uchylily się drzwi. Toribo wyciągnął tymczasem broń. Szybko, z gracją, wcisnął się bokiem w szparę w drzwiach i wbił lufę pistoletu w brzuch Maxa Chilla. - Cofnij się! - warknął. Jego metaliczny głos znów przypominał dźwięk trąconej struny banjo. Max Chill odsunął się od pistoletu. Tyłem przeszedł przez pokój i siadł na łóżku, gdy oparł się o nie nogami. Sprężyny zaskrzypiały, zaszeleściła gazeta. Błada twarz pod uczesanymi z przedziałem kasztanowymi

włosami była absolutnie bez wyrazu. Toribo cicho zamknął drzwi. Trzask opuszczonej zasuwki wywołał na twarzy Chilla grymas strachu. Jego usta zaczęły się trząść niepoohamowanie. - Donosimy glinom, co? - rzucił Toribo drwiącym, metalicznym głosem. - Adios. Wąski pistolet podskoczył w jego rękę. Podskoczył kilka razy. Z lufy uleciała smużka białego dymu. Huk strzału nie był głośniejszy niż wbijanie gwoźdźnia lub silne pukanie w drewno. Powtórzył się siedmiokrotnie. Max Chill opadł na łóżko powolutku, nie odrywając nóg od podłogi. W oczach miał pustkę, na rozchylone usta wystąpiła różowa piana. Rozpiętą koszulę w kilku miejscach zabarwiła krew. Wpał trzony w sufit, leżał na wznak, z nogami na podłodze i bąbelkami różowej piany na posiniałych warstwach. Toribo przełożył pistolet do lewej ręki i schował go pod pachę. Podszedł bokiem do łóżka, przyglądając się zabitemu. Wkrótce różowa piana przestała bulgotać i na twarz Maxa Chilla spłynęły spokój i pustka, właściwe umarłym. Toribo wrócił do drzwi, otworzył je i tyłem zaczął się wycofywać z pokoju, nie spuszczając oka z trupa na łóżku. Nagle usłyszał za sobą szelest. Poderwał rękę, okręcając się na pięcie. Coś uderzyło go w głowę. Podłoga zawirowała mu przed oczami, pędziła ku niemu. Nie wiedział, kiedy zderzyła się z jego twarzą. Delaguerra kopniakiem usunął nogi Filipińczyka z drogi i zamknął drzwi na

klucz. Wymachując u boku skórzaną pałąką, podszedł do łóżka. Przez dłuższą chwilę patrzył na zwłoki. - Robią czystkę - mruknął w końcu. - Tak, to normalna czystka. Podszedł do Filipińczyka, odwrócił go na plecy i zrewidował. Znalazł nabity portfel bez żadnych dokumentów, wysadzaną granatami złotą zapalniczkę, złotą papierośnicę, klucze, złoty ołówek, nóż, jaskrawoczerwoną chusteczkę, nieco drobnych, dwa pistolety z zapasowymi magazynkami i pięć działek heroiny w kieszonce marynarki. Zostawił to wszystko na podłodze i wstał. Toribo leżał z zamkniętymi oczami, oddychając ciężko. Mięśnie policzka drgały mu nerwowo. Delaguerra wyjął z kieszeni kłębek cienkiego drutu i skrępował mu ręce na plecach. Przeciągnął go w głąb pokoju, oparł o nogę łóżka i połączył drucianą pętlą jego szyję ze słupkiem baldachimu. Do pętli przywiązał czerwoną chusteczkę. Przyniósł z łazienki szklanek zimnej wody i z całej siły chlusnął nią chłopakowi w twarz. Toribo wzdrygnął się i zacharczał, gdy drut wbił mu się w szyję. Raptownie otworzył oczy. Spróbował krzyknąć. Delaguerra ściągnął drut opasujący brązowe gardło. Krzyk urwał się jak nożem uciął. Rozległ się napięty, bolesny bulgot. Z ust chłopaka pociekła ślina. Delaguerra poluzował drut i przysunął twarz do głowy Filipińczyka. - Będziesz chciał ze mną pogadać, żółtku - odezwał się łagodnie. Jego uprzejmość nie

wróżyła nic dobrego. - Może nie od razu. Może nawet nieprędko. Ale w końcu sam będziesz chciał pogadać. Chłopak odwrócił wystraszony wzrok. Splunął. I zacisnął usta. Delaguerra uśmiechnął się ponuro. - Twarda sztuka - rzucił cicho. Pociągnął za chusteczkę, aż drut wpił się w brązowe gardło powyżej jabłka Adama. Chłopak zaczął bębnić nogami o podłogę, wstrząsany nagłymi spazmami. Jego twarz z brązowej przeszła w ciemnopurpurową, niemal tryskała krwią. Przekrwione oczy wyszły z orbit. Delaguerra znów poluzował drut. Filipińczyk łapczywie zaczerpnął powietrza. Opuścił głowę, poderwał ją i uderzył o słupek. Przeszedł go dreszcz. - Si - wyszeptał. - Będę gadał. 11. Słyszając dzwonek, Toomey Zakuta Pała starannie przykrył czerwonego waleta czarną dzie siatką. Przesunął językiem po wargach, odłożył karty i spojrział przez łukowaty otwór w ścianie jadalni na drzwi wejściowe domku. Powoli dźwignął się z krzesła - wielki, zwałisty goryl z grzywą siwych włosów i olbrzymim nochalem. Po drugiej stronie łuku, szczupła blondynka leżała na sofie, czytając jakiś magazyn w świetle lampy z podartym czerwonym abażurem. Była ładna, choć zbyt blada; wąskie, silnie wygięte brwi na dawały jej twarzy zdziwiony wyraz. Odłożyła pismo, spuściła nogi na podłogę i zerknęła na Toomeya wylęknionym wzrokiem. Toomey Zakuta Pała w milczeniu skinął kciukiem. Dziewczyna wstała,

przeszła szybko pod łukiem i zniknęła w kuchni, bezszelestnie przemykając za sobą wahadłowe drzwi. Dzwonek znów zabrzmiał, tym razem dłużej. Toomey wsunął stopy w białych skarpetkach w bambosze, obarczył nochę okularami i chwycił rewolwer z sąsiedniego krzesła. Trzymając go w lewej ręce, wziął z podłogi zmiętą gazetę i przewiesił ją na rękę tak, by zakrywała broń. Bez pośpiechu ruszył do drzwi. Otworzył je i ziewnął, przyglądając się wysokiemu człowiekowi na werandzie. - Co jest? - spytał znudzonym głosem. - Gadaj pan. - Jestem z policji - wyjaśnił Delaguerra. - Chcę się zobaczyć ze Stellą La Motte. Toomey Zakuta Pała oparł się o futrynę, zagrządzając drzwi ręką przypominającą solidny pień. Jego mina nadal wyrażała znudzenie. - Pomyliłeś adres, glino. Tu nie ma pańienek. - Wejdę się rozejrzeć. - Aha... po moim trupie - odparł wielkolud radośnie. Delaguerra zwinnie wyszarpnął colta z kieszeni i rąbnął nim goryla w lewy nadgarstek. Gazeta i wielki rewolwer upadły na podłogę werandy. Znudzenie zaczęło ustępować z twarzy Toomeya. - Stary numer - warknął Delaguerra. - Wchodzimy. Toomey potrząsnął lewą ręką, a prawą puścił framugę drzwi i zamachnął się, celując w szczękę policjanta. Delaguerra przesunął głowę o jakieś dziesięć centymetrów. Pełen niesmaku zmarszczył brwi i cmoknął. Goryl rzucił się na niego szczupakiem. Delaguerra uskoczył i

walnął rewolwerem w wielki, siwy łeb. Toomey wylądował na brzuchu, w samym progu. Jęknął, podciągnął ręce pod siebie i jak gdyby nigdy nic, zaczął się zbierać na nogi. Delaguerra kopniakiem usunął rewolwer goryla z zasięgu jego rąk. Wewnątrz domu skrzypnęły cicho drzwi wahadłowe. Policjant spojrział w tamtą stronę. Tymczasem Toomey klęczał już na kolanie, podpierając się ręką. Wyrzwał policjanta w brzuch. Delaguerra jęknął i jeszcze raz zaprawił go coltem. Toomey tylko potrząsnął głową. - Walić mnie w łeb to strata czasu, szefie - burknął. Dał nura w bok, chwycił policjanta za nogi i podciął go. Delaguerra siadł na deskach werandy, nieco zamroczony po uderzeniu głową w futrynę. Przez łukowaty otwór w ścianie wybiegła szczupła blondynka z małym pistoletem w ręku. Wy celowała w policjanta. - Łapy w górę, draniu! - rzuciła z furją. Delaguerra potrząsnął głową. Chciał się odezwać, lecz tylko zachłysnął się, gdy Toomey, zacis kając zęby, wykręcił mu stopę. Wykręcał ją, jak gdyby na całym bożym świecie był tylko on i ona, jak gdyby to była jego stopa i mógł z nią robić, co zechce. Głowa policjanta znowu odskoczyła do tyłu. Jego twarz pobladła. Usta wykrzywił mu gorzki grymas bólu. Dźwignął się, lewą ręką chwycił Toomeya za włosy i szarpnął w górę. A kiedy wielki łeb napiął się i odchylił, z całej siły rąbnął lufą colta w odsłoniętą twarz. Toomey sflaczał jak przekłuty balon i zwałił się

na niego bezwładnie. Delaguerra nie mógł się ruszyć. Prawą ręką zapierał się, by nie zniknąć na dobre pod cielskiem wielkoluda. Nie mógł jej oderwać od podłogi, a tym samym jego colt był bezużyteczny. Tymczasem blondynka zbliżała się do niego. Wzrok miała dziki, twarz pobraźliwą z wściekłości. - Nie wygłupiaj się, Stella - powiedział pośpiesznie, wyczerpanym głosem. - Joey... Twarz blondynki była nienaturalna. Nienaturalne były jej oczy o zwężonych źrenicach i dziwnym, matowym blasku. - Gliny! - Jej głos przypominał wrzask. - Gliny! Jezu, jak ja nienawidzę glin! Pistolecik w jej ręku plunął ogniem. Echo wystrzału wypełniło pokój, uciekło przez otwarte drzwi i zamarło na wysokiej siatce od ulicy. Delaguerra zarejestrował ostre uderzenie w lewą skroń, przypominające cios pałką. Poczul, że ból rozsada mu głowę. Rozbłysło światło - oślepiające białe światło, przepelniające cały świat. Nagle zgasło. Delaguerra bezszelestnie zapadł się w bezdenną ciemność. 12. Światło powróciło w postaci czerwonej mgły. Kłujący, przenikliwy ból przeszywał mu skroń, całą twarz, sięgał zębów. Spróbował poruszyć językiem - był rozpalony i spuchnięty. Spróbował poruszyć rękami - były gdzieś daleko, zupełnie nie przypominały jego rąk. W końcu otworzył oczy, czerwona mgła rozplynęła się, a on patrzył na twarz. Wielką, pochyłą nad nim twarz. Była tłusta, sine szczęki lśniły od

potu, a z wyszczerzonych w uśmiechu wąskich ust sterczało cygaro z barwną nalepką. Twarz zachichotała. Delaguerra zamknął oczy. Fala bólu zalała go, zatopiła. Stracił przytomność. Minęły sekundy, które trwały całą wieczność. Znowś spojrzął na twarz i usłyszał gruby głos: - Oho, nareszcie wrócił do żywych. Swoją drogą, twardy z niego chłopak. Twarz zbliżyła się, a koniuszek cygara rozblił się czerwienią. Delaguerra zakrztusił się dymem i zaniósł niepohamowanym kaszlem. Miał wrażenie, że eksploduje mu skroń. Czuł swędzenie policzka, tam gdzie spływająca świeża krew podrażniła skórę, zanim dotarła do starszej, która zdążyła mu już zakrzepnąć na twarzy. - To go postawi na nogi jak się patrzy - oświadczył gruby głos. Inny głos, w którym pobrzmiwał irlandzki akcent, dorzucił cicho sprośny komentarz. Wielka twarz odwróciła się i parsknęła śmiechem. Delaguerra ocknął się na dobre. Wyraźnie widział cały pokój, a w nim cztery osoby. Wielka twarz należała do Dużego Johna Mastersa. Szczupła blondynka siedziała zgarbiona na skraju sofy. Z narkotycznym ośpieniem gapiała się w podłogę. Ręce zwiesiła sztywno po bokach, chowając dłonie pod poduszki. Wysoki, chudy Dave Aage stał oparty o ścianę koło zasłoniętego okna. Na jego przypominającej klin twarzy malowało się znużenie. Z drugiej strony sofy, pod wystrzępioną lampą, siedział komisarz Drew.

Światło uwydatniało siwe pasemka w jego włosach. Niebieskie oczy komisarza błyszcząły, były czujne. Duży John Masters ścisnął w garści rewolwer. Na jego widok Delaguerra zamrugał i spróbował się podnieść. Silna dłoń spoczęła mu na piersi, spychając go w dół. Poczł mdłości. - Wolnego, szpiclu - rzucił ochryple gruby głos. - Ty już się ubawiłeś. Teraz kolej na nas. Delaguerra oblizał wargi. - Dajcie się napić wody. Dave Aage oderwał się od ściany i przeszedł do jadalni. Wrócił ze szklanką i przysunął ją poli ciantowi do ust. Delaguerra wypił. - Podoba nam się twoja ikra, tajniaku. Ale robisz z niej zły użytek. Wygląda na to, że wszystko trzeba ci klarować od A do Z. A to niedobrze. To znaczy, że jesteś skończony. Pojmujesz? Blondynka spojrzała na Delaguerrę mętnymi oczami i spuściła wzrok. Aage wrócił na swoje miejsce pod ścianą. Drew zaczął się nerwowo poklepywać palcami po twarzy, jak gdyby rozboleła go już na sam widok zakrwawionego policjanta. - Zabijając mnie zyskasz tyle, że zawiśniesz na wyższej gałęzi, Masters - oświadczył Delaguerra powoli. - Frajer, któremu udało się wskoczyć na wysoki stółek, zawsze pozostanie frajerem. Zabiliście dwóch ludzi bez najmniejszego powodu. Nawet nie wiecie, co staracie się zatuszować... Grubas zaklął ochryple, podrywając błyszczący rewolwer, lecz opuścił go i wyszczerzył zęby. - Spokojnie, John - przestrzegł Aage. - Daj mu

się wygadać. - Ta oto pani jest siostrą tych dwóch ludzi, których zabiliście - podjął Delaguerra tym samym niedbałym tonem. - Opowiedziała im o wrobieńiu Imlaya, o tym, kto zrobił zdjęcia i w jaki sposób tra fiły w ręce Donegana Marra. Wasz skośnooki bandzior wyśpiewał to i owo. Mam już ogólny pogład na sprawę. Nie byliście pewni, czy Imlay zabije Marra. Mogło się stać na odwrót. Ale czy w te, czy wewte, wasze byłoby na wierzchu. Tyle że gdyby to Marr zginął, Imlaya trzeba by raz-dwa posadzić. I właśnie na tym się potknęliście. Zaczęliście tuszować całą sprawę nie wiedząc, co się naprawdę wy darzyło. - Kiepsciuchno, gliniarzu, kiepsciuchno - wtrącił ochryple Masters. - Zabierasz mi tylko czas. Blondynka spojrziała na policjanta, na plecy Mastersa. Z jej zielonych oczu wyzierała teraz nie nawiść. Delaguerra lekko wzruszył ramionami i mówił dalej: - Wynajęcie zabójców do zlikwidowania braci Chill było z waszej strony rutynowe. Podobnie jak rutynowe było odebranie mi sprawy Marra i wrobieńie mnie tak, żebym został zawieszony. Myśle liście, że siedziałem u Marra w kieszeni. Ale musieliście zerwać z rutyną, jak się okazało, że nie można znaleźć Imlaya... i dostaliście pietra. Masters wlepił w niego puste spojrzenie. Żyły na jego grubej szyi nabrzmiały. Aage zrobił kilka kroków i stanął sztywno na środku pokoju. Po chwili Masters zadzwonił zębami. - A to pyszne - stwierdził

spokojnie. - Opowiedz nam o tym, szpiclu. Delaguerra przejechał dwoma palcami po skrwawionej twarzy i zerknął na nie. Z jego oczu wy zierała bezdenna pustka. - Imlay nie żyje, Masters. Nie żył już, kiedy zabito Marra. Zapadła cisza. Wszyscy zamarli w bezruchu. Delaguerra obrzucił wzrokiem całą czwórkę, do słownie sparaliżowaną szokiem. W końcu Masters ze świstem wciągnął powietrze, wypuścił i rozkazał szeptem: - Gadaj, szpiclu. Gadaj migiem, bo... - Imlay poszedł na spotkanie z Marrem, a jakże - przerwał mu policjant beznamiętnie. - Bo i czemu nie? Nie wiedział, że został wystawiony do wiatru. Tyle że spotkał się z nim wczoraj wieczorem, a nie dzisiaj. Wyciągnął go do domu nad Jeziorem Pумы, niby żeby obgadać sprawę po przyjacielsku. Rzecz jasna, to był podstęp. W każdym razie doszło między nimi do kłótni i Imlay zginął. Spadł z werandy i rozwalił sobie głowę o kamienie. Leży teraz sztywny jak kłoda w komórcie na drewno w domku Marra... Marr ukrył go tam i wrócił do miasta. A dzisiaj ktoś zadzwonił do niego i powiedział, że niejaki Imlay chce się z nim spotkać o dwunastej piętnaście. Co mu pozostawało? Oczywiście, grać na czas. Wysłał więc sekretarkę na obiad, położył pistolet tak, żeby go mieć pod ręką. Był przygotowany na kłopoty. A jednak widok gościa tak go zaskoczył, że nie użył broni. - Znalazł się, mądrała - burknął Masters. - Niby

skąd mógłbyś to wszystko wiedzieć? Obejrzał się na komisarza. Drew siedział napięty, z poszarzałą twarzą. Aage zrobił jeszcze kilka kroków i stanął koło niego. Dziewczyna ani drgnęła. - Racja, ja tylko zgaduję, ale to odpowiada faktom - przyznał Delaguerra. - Inaczej być nie mogło. Marr potrafił radzić sobie z bronią, a do tego był cały zwarty i gotowy. Więc dlaczego nie strzelił? Ano dlatego, że odwiedziła go kobieta. Wskazał palcem blondynkę. - Oto wasz zabójca. Wrobiła Imlaya, mimo że go kochała. Tak to już jest z narkomanami. Po tem zrobiło jej się smutno, pożałowała swojego czynu i sama postanowiła sprzątnąć Marra. Zapytajcie ją! Dziewczyna zwinnie zerwała się z sofy. W prawej ręce trzymała mały pistolecik - ten, z którego postrzeliła Delaguerrę. Jej zielone oczy były blade, puste, wytrzeszczone. Masters odwrócił się i za machnął rewolwerem, próbując wytrącić jej broń. Bez namysłu, bez chwili wahania strzeliła do niego dwa razy. Z szyi grubasa trysnęła krew, pla miąc mu marynarkę. Masters zatoczył się, wypuścił rewolwer, który spadł niemal u stóp Delaguerry, i poleciał do tyłu, jedną ręką usiłując przytrzymać się ściany za krzesłem policjanta. Drapiąc po niej palcami, runął na podłogę i znieruchomiał. Delaguerra już sięgał po jego rewolwer. Drew z wrzaskiem zerwał się na nogi. Nie zwracając uwagi na Delaguerrę, dziewczyna odwróciła się powoli do

Aage'a. Ten wyrwał spod pachy wielkiego lugera, jednocześnie odpychając komisa rza. Oba pistolety wypaliły w tej samej chwili... ale tylko luger nie spudłował. Dziewczyna chwyciła się za pierś i siadła na sofie. Wywracając oczami, jeszcze raz spróbowała unieść pistolet. Nagle prze wróciła się na bok; lewa ręka, którą ścisnęła pierś, opadła jej bezwładnie. Z przodu sukienki pojawiła się krwawa plama. Stella otworzyła oczy, zamknęła, znów otworzyła i znieruchomiała. Aage wycelował w policjanta. Ostro wygięte brwi zdradzały jego napięcie. Przyлизane piaskowe włosy na kościstej czaszce wyglądały jak namalowane. Delaguerra strzelił do niego cztery razy, tak szybko, że zabrzmiało to niczym seria z automatu. Przez ułamek sekundy Aage gapił się pustym wzrokiem idioty. Jego twarz przypominała chudą, bezmyślną twarz starca. Potem zgiął się wpół i nie wypuszczając lugera z ręki, upadł na podłogę. Le żał z podwiniętą pod siebie nogą, jak gdyby była pozbawiona kości. W powietrzu wisiał gryzący swąd prochu i echo kanonady. Delaguerra wstał powoli i skinął lśniącym rewolwerem na Drewa. - To pański bal, komisarzu. Tak pan go sobie wyobrażał? DREW wolno skinął głową. Był blady i roztrzęsiony. Przełknął ślinę i mijając zwłoki Aage'a, podszedł do dziewczyny na sofie. Obrzucił ją wzrokiem, potrząsnął głową i przyklęknął koło Mastersa. Dotknął go i wyprostował się. -

Wygląda na to, że wszyscy nie żyją - mruknął. - No i dobrze. A gdzie się podział wielkolud? Walimorda? - Kazali mu wyjść. Oni... oni chyba nie chcieli cię zabić, Delaguerra. Policjant lekko skinął głową. Rysy mu zmiękły, złagodniały. Jego twarz - tam, gdzie nie mas kowała jej krew - odzyskała ludzki wyraz. Potarł ją chusteczką - materiał natychmiast zabarwił się na czerwono. Odrzucił chusteczkę i przeczesał palcami zmierzwione włosy, tu i ówdzie zlepione zakrzepłą krwią. - Nie chcieli, akurat! Wokół panowała absolutna cisza. Z zewnątrz nie dochodziły żadne dźwięki. Drew nastawił uszu, pociągnął nosem i wyjrzał za drzwi. Ulica była ciemna, spokojna. Komisarz podszedł do Dela guerry. Na twarzy miał wypracowany uśmiezek. - To dopiero będzie szum... skoro komisarz policji we własnej osobie musiał się wcielić w taj niaka, a zwykłego gliniarza trzeba było zawiesić, żeby mógł mu pomóc. Policjant patrzył na niego bez wyrazu. - Więc to tak chce pan z tego wybrnąć? Głos komisarza brzmiał już spokojnie; rumieniec powrócił na jego twarz. - Człowieku, to jedyne wyjście. Dla dobra policji, całego miasta i... dla nas samych. Delaguerra spojrział mu prosto w oczy. - Mnie też to odpowiada - powiedział martwym głosem. - Pod warunkiem, że nie będzie żad nych zmian w tym scenariuszu.

13. Marcus zahamował i uśmiechnął się z uznaniem na widok wielkiego, otoczonego drzewami domu. - Ładnie tu, nie powiem. Sam

bym tu chętnie pomieszkał. Delaguerra wysiadł powoli, zdrętwiały i zmordowany. Kapelusz trzymał pod pachą. Gruby opa trunek z gazy i plaster przykrywały mu szwy na częściowo wygolonej lewej skroni. Sterczący ponad bandażem kosmyk czarnych kędzierzawych włosów stwarzał nieco komiczny efekt. - Nie wątpię... ale ja tu nie zamierzam zostać, głupolu. Zaczekaj na mnie. Ruszył kamienną ścieżką wijącą się wśród trawy. W porannym świetle drzewa rzucały długie cienie. Zaciągnięte żaluzje i czarna wstęga na mosiężnej kołatce podkreślały otaczającą dom ciszę. De laguerra nie podszedł do drzwi, lecz skręcił na ścieżkę biegnącą pod oknami, obok klombów mieczyków. Na tyłach domu było więcej drzew, więcej trawy, więcej kwiatów, słońca i cienia. Był tam też staw z liliami wodnymi i wielką kamienną żabą na brzegu. Dalej stały półkolem krzesła ogrodowe i że lazny stolik z kamiennym blatem. Siedziała przy nim Belle Marr. Miała na sobie prostą, luźną sukienkę w tonacji czarno-białej. Kapelusz z szerokim rondem przykrywał jej kasztanowe włosy. Poblada twarz podkreślała ostrość makijażu. Powoli odwróciła głowę i z nikłym uśmiechem wskazała sąsiednie krzesło. Delaguerra nie usiadł. Wyciągnął słomkowy kapelusz spod pachy i pstryknął w rondo.- Sprawa jest zamknięta - odezwał się. - Będzie śledztwo, przesłuchania, pogróżki, paru pyskaczy zacznie szukać rozgłosu, takie tam

rzeczy. Przez jakiś czas gazety będą o tym pisać na pierwszych stronach. Ale tak naprawdę akta są już zamknięte. Więc spróbuj, może uda ci się o tym zapomnieć. Dziewczyna spojrzała na niego szeroko otwartymi błękitnymi oczami i odwróciła wzrok, pa trząc na trawę. - Jak twoja głowa, Sam? - spytała cicho. - Dziękuję, w porządku... No więc to ta La Motte zastrzeliła Mastersa... i Donny'ego. Ją z kolei zabił Aage, a ja jego. Wszyscy sztywni... Jak naprawdę zginął Imlay, tego się pewnie nie dowiemy, ale to już nie ma znaczenia. - A skąd wiedziałeś, że to zwłoki Imlaya leżą w naszym domku? - wtrąciła Belle Marr spokojnie, nie patrząc na niego. - W gazetach pisali... - Przerwała i wzdrygnęła się gwałtownie. Policjant z kamienną twarzą wpatrywał się w kapelusz. - Nie wiedziałem. Ale doszedłem do wniosku, że Donny'ego zabiła kobieta. Więc podejrzenie, że ten nad jeziorem to Imlay, miało ręce i nogi. Rysopis się zgadzał. - A skąd wiedziałeś, że... że to kobieta zabiła Donny'ego? - spytała półszepem, z tęsknotą w głosie. - Po prostu wiedziałem. Oddalił się o kilka kroków, spoglądając na drzewa. Po chwili wrócił i stanął koło niej. Z jego twarzy przebijało zmęczenie. - Przeżyliśmy razem wspaniałe chwile... we troje. Ty, Donny i ja. Ale życie płata paskudne figle. Teraz już wszystko skończone... wszystko, co dobre. - Może nie wszystko, Sam - szepnęła. - Będziemy się musieli częściej widywać, dużo częściej. Cień uśmiechu

przemknął mu po twarzy. - Dałem się zrobić - stwierdził spokojnie. - Mam nadzieję, że po raz pierwszy i ostatni. Belle Marr poderwała głowę, zaciskając dłonie na poręczach krzesła. Jej biała skóra kontrastowała z lakierowanym drewnem. Dziewczyna wyraźnie zeszywniała. Po chwili Delaguerra sięgnął do kieszeni i spojrzał posępnie na błyszczący przedmiot w ręku. - Zwrócili mi odznakę. Nie jest już taka czysta jak kiedyś. Ale chyba nie gorsza niż większość. W każdym razie postaram się nie zabrudzić jej jeszcze bardziej. - Schował ją z powrotem. Dziewczyna wstała powoli. Stała przed nim, zadarła brodę i obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem. Jej twarz pod makijażem stanowiła białą, gipsową maskę. - Mój Boże, Sam... zaczynam rozumieć. Policjant patrzył sztywno przed siebie, unikając jej wzroku. - Tak - bąknął wymijająco, z rezerwą. - Uznałem, że to była kobieta, bo strzelano z pistoletu małego kalibru, jakim mężczyźni rzadko kiedy się posługują. Ale nie tylko dlatego. Po wizycie w waszym domku wiedziałem, że Donny spodziewał się kłopotów, a więc mężczyzna nie mógłby go sprzątnąć tak łatwo. A jednak wszystko pozornie wskazywało na Imlaya. W każdym razie Masters i Aage przyjęli, że to jego robota... Właśnie na ich polecenie adwokat Imlaya zawiadomił telefonicznie, że jego klient przyznaje się do winy i że rano stawia się do dyspozycji. Wszyscy, którzy nie wiedzieli, że Imlay nie żyje, dali się na

to złapać, to całkiem zrozumiałe. Zwłaszcza że żaden policjant nie spodziewałby się po kobiecie, że pozbiera łuski. Kiedy Joey Chill opowiedział mi swoją historię, pomyślałem, że może zabójcą jest ta La Motte. Ale zarzucając jej to w ich obecności wcale już tak nie myślałem. To było zagranie poniżej pasa. Na dobrą sprawę zabiłem ją. Choć znając tych przyjemniaczków i tak nie dałbym złamanego grosza za jej życie. Belle Marr wpatrywała się w niego bez przerwy. Stała jak wryta i tylko kosmyk jej włosów po wiewał na wietrze. Delaguerra spojrział na nią poważnie i odwrócił wzrok. Wyciągnął z kieszeni niewielki pęk kluczy i rzucił go na stół.- Dopóki całkiem nie zmądrzałem, miałem trzy zagwozдки: notatkę w terminarzu, pistolet w ręku Donny'ego i brakujące łuski. Aż wreszcie wpadłem na to co i jak. Donny nie zgiął od razu. Nie brakowało mu sprytu i korzystał z niego do samego końca... żeby kogoś osłonić. No tatka w terminarzu była trochę nieczytelna. Skreślił ją już po wszystkim, kiedy umierał w samotności. Myślał o Imlayu, a zapisanie jego nazwiska pozwoliło mu zmylić trop. Potem wyciągnął z szuflady pistolet, żeby umrzeć z bronią w ręku. Zostały już tylko łuski. Ale po jakimś czasie i do tego doszedłem. Strzały padły z bliska, z drugiej strony biurka, na którym leżały książki. Właśnie tam spadły łuski, tak że mógł je dosięgnąć. Z podłogi nie dałby rady ich pozbierać. Wśród kluczy, które

mi dałaś, był także klucz do jego biurka. Poszedłem tam wczoraj, późno w nocy. I znalazłem łuski w pudełku na cygara. Nikt ich tam nie szukał. W końcu człowiek znajduje tylko to, czego się spodziewa. Przerwał i potarł szczękę. Po chwili mówił dalej: - Donny zrobił, co w jego mocy... i umarł. Pięknie to wykombinował... więc niech to się skoń czy po jego myśli. Belle Marr rozchyliła usta. Początkowy bełkot dziewczyny szybko ułożył się w jasne, wyraźne słowa:- Nie przeszkadzało mi, że zadawał się z innymi, Sam. Rzecz w tym, co to były za kobiety... - Wzdrygnęła się. - Jadę oddać się w ręce policji.- Nie. Mówiłem już, niech to się skończy po jego myśli. Policji odpowiada taki stan rzeczy. To piękny obrót sprawy. Klika Mastersa i Aage'a jest skoń czona. Drew znajdzie się na szczycie, ale jest za słaby, żeby się utrzymać, więc nie ma problemu... Ty się do tego wszystkiego nie mieszaj. Masz robić to, czego chciał Donny - trzymać się z dala od tej afe ry. Żegnaj. Jeszcze raz spojrział szybko na jej białą, zdruzgotaną twarz, po czym odwrócił się i ruszył przez trawnik. Minął staw z liliami wodnymi, kamienną żabę i wzdłuż domu skierował się do samochodu. Pete Marcus otworzył mu drzwi. Delaguerra wsiadł, rozparł się na siedzeniu i z odchyloną do tyłu głową zamknął oczy. - Tylko nie szalej, Pete - powiedział apatycznie. - Głowa mi pęka. Marcus zapalił silnik, zakręcił i ruszył De Neve Lane w

**kierunku miasta. Otoczony drzewami dom
malął za nimi, aż w końcu całkiem zniknął im z
oczu. Ujechali jeszcze spory kawałek drogi, nim
Delaguerra znów otworzył oczy. Gaz skazańców
1. Hugo Candless, zginając w pasie potężne
ciało, stał na środku kortu do gry w squasha.
Kciu kiem i palcem wskazującym lewej ręki
delikatnie trzymał małą czarną piłkę. Upuścił ją
tuż przy linii serwisowej i zamachnął się rakieta
o długiej ręczce. Czarna piłka trafiła w przednią
ścianę mniej więcej na środku jej wysokości,
odbiła się i poszybowała wysokim, leniwym
łukiem, nieomal muskając sufit i lampy osłonięte
drucianą siatką. Ześliznęła się ospale po tylnej
ścianie, dotykając jej za lekko, by mogła się
odbić. George Dial złożył się od niechcienia i
grzmotnął rakieta w cementowy mur. Piłka
upadła i znie ruchomiła. - I to by było na tyle,
szefie. Dwadzieścia jeden do czternastu. Jak dla
mnie, jesteś za dobry. George Dial był wysoki,
ciemnowłosy, przystojny. W hollywoodzkim
typie. Śniady i szczupły, wyglądał na twardego
faceta, który dużo przebywa na słońcu. Bo też
wszystko w nim było twarde, pomijając jego
pełne, miękkie wargi i olbrzymie krowie oczy. -
Właśnie. Zawsze byłem dla ciebie za dobry -
zarechotał Candless. Przegiął się do tyłu i
wybuchnął śmiechem, szeroko otwierając usta.
Jego piersi i gruby brzuch błyszcząły od potu.
Za cały strój służyły mu tylko niebieskie szorty,
białe wełniane skarpety i trampki na grubej**

gumowej podeszwie. Miał szpakowate włosy, twarz okrągłą jak księżyc w pełni, mały nos i usta oraz przebiegłe, błyszczące oczy. - Spuścić ci jeszcze raz manto? - zapytał. - Nie, chyba że musisz. Candless spojrział na Diala spode łba. - Nie, to nie - odburknął. Wsadził rakiętę pod pachę i wyciągnął z kieszeni szortów ceratowy kapciuch, a z niego papierosa i zapalki.

Przypalił papierosa zamasyście i rzucił zapalkę na środek kor tu, skąd powinien ją podnieść kto inny. Gwałtownie otworzył drzwi sali i z wypiętą pierśią przedelfilował korytarzem do szatni. Dial bez słowa ruszył za nim - bezszelestnie jak kot, gibko i z wdziękiem. Weszli pod natrysk.

Candless śpiewał pod prysznicem, obficie namydlając swe potężne ciało, a potem wskoczył z gorącej wody pod lodowatą. Lubił to. Bez pośpiechu wytarł się do sucha, wziął świeży ręcznik i dumnie jak paw wymaszerował z łaźni, wrzeszcząc na kelnera, żeby podał lód i piwo imbirowe. Murzyn w wykrochmalonej białej marynarce czym prędzej zjawił się z tacą.

Candless zamaszys tym ruchem podpisał czek, otworzył swoją wielką, podwójną szafkę i stuknął butelką Johnny Walkera w okrągły zielony stolik, zajmujący wnękę koło szafki. Kelner pieczołowicie zmieszał dwa koktajle, bąknął: - Tak, dziękuję, panie Candless - i odszedł, ściskając ćwierć dolara. George Dial, ubrany w elegancki garnitur z szarej flaneli, wyszedł zza rogu i podniósł jedną ze szklanek. -

To jak, szefie, na dziś koniec? - spytał, zwięzonymi oczyma obserwując napój pod światło. - Chyba tak - odparł Candless wielkodusznie. - Chyba wróćę do domu i wezmę kobitkę w obro ty. - Może pojechałbyś dzisiaj beze mnie? - rzucił Dial od niechcienia. - Mnie tam za jedno. To Naomi będzie zawiedziona - odparł Candless nieprzyjemnym tonem. Dial cmoknął cicho i wzruszył ramionami. - Lubisz wkurzać ludzi, co, szefie? Candless nie odpowiedział, nawet na niego nie spojrział. Dial w milczeniu popijał koktajl, pa trząc, jak jego szef wkłada jedwabną bieliznę z monogramem, fioletowe skarpetki z szarym szlacz kiem, jedwabną koszulę, również znaczoną inicjałem, i garnitur w czarnobiałą pepitę, w którym wy dawał się wielki jak stodoła. Zawijając fioletowy krawat, Hugo wrzeszczał na czarnego, żeby przyszedł zmieszać następny koktajl. Dial wymówił się od drugiej szklanki, skinął głową i odszedł, stąpając bezszelestnie po chodniku wyścielającym podłogę między wysokimi zielonymi szafkami. Candless skończył się ubierać, wypił drugi koktajl, zamknął butelkę w szafce i włożył do ust brązowe cygaro. Poczekał, aż czarny mu je przypali, i opuścił salę dostojnym krokiem, żegnany przez niektórych gromkimi okrzykami. Gdy wyszedł, zdawało się, że w szatni zapanowała nienaturalna cisza. Ten i ów parsknął. Na dworze padało. Portier klubu "Delmar" pomógł Candlessowi uporać się z

białym, zapinanym na pasek deszczowcem i poszedł sprowadzić jego samochód. Później osłaniał Huga parasolem, eskortując go do krawężnika. Czekał tam już Lincoln - granatowa limuzyna w płowe pasy, o numerze rejestracyjnym 5A6. Szofer w czarnym deszczowcu z wysoko postawionym kołnierzem nawet się nie obejrzał. Portier otworzył drzwiczki. Hugo Candless wszedł i opadł ciężko na tylne siedzenie samochodu. - Dobranoc, Sam. Każ mu jechać do domu. Portier dotknął palcem czapki, zatrzęsął drzwiami i przekazał polecenie kierowcy, który skinął głową nie odwracając się. Samochód odjechał w ulewę. Zacinający deszcz bębnił o szyby wozu, miotany nagłymi podmuchami wiatru u wylotów ulic. Na skrzyżowaniach ludzie zbijali się w gromadki, usiłując przejść na drugą stronę Bulwaru Zachodzącego Słońca tak, by ich nie ochlapano. Candless uśmiechał się do nich z politowaniem. Samochód zjechał z bulwaru, minął Sherman i skręcił w stronę wzgórz. Pędził coraz szybciej. O tej porze ruch na bulwarze był niewielki. W limuzynie zrobiło się gorąco. Okna były zamknięte, a szklana przegroda, tuż za plecami szofera, zasunięta. Z tyłu samochodu wisiał gęsty, duszący dym z cygara Huga. Candless skrzywił się gniewnie i szarpnął za gałkę do opuszczania szyby. Ani drgnęła. Spróbował z drugiej strony. Także bez skutku. Z narastającą wściekłością sięgnął po słuchawkę telefonu, że

by zwymyślać szofera. Ale słuchawki nie było. Samochód wziął ostry zakręt i zaczął piąć się na wzgórze długą, prostą drogą, wysadzaną z jednej strony eukaliptusami. Wokół nie było ani jednego domu. Candless poczuł zimne ciarki przecho dzące po kręgosłupie, od krzyża po kark i z powrotem. Nachylił się i załomotał pięścią w szybę. Kie rowca nie zareagował. Samochód pędził pod górę długą, ciemną szosą. Rozwścieczony Hugo sięgnął do klamki. Drzwi nie miały klamki... ani z jednej, ani z drugiej strony. Okrąglą jak księżyc w pełni twarz Candlessa wykrzywił pełen udręki i niedowierzania grymas. Kierowca pochylił się w prawo, sięgając po coś dłonią w rękawicze. Rozległ się ostry syk. Candless poczuł zapach migdałów. Z początku bardzo słaby... słaby i nawet dosyć przyjemny. Syczenie nie ustawało. Zapach mig dałów stał się gorzki, ostry, śmiertelny. Upuścił cygaro i z całej siły zaczął grzmocić pięścią w najbliż sze okno. Szkło nie pękło. Samochód był już na wzgórzach, z dala nawet od sporadycznych latarni w dzielnicach willo wych. Candless opadł z powrotem na siedzenie i uniósł nogę, by wykopać szklaną przegrodę przed so bą. Ale do kopnięcia nie doszło. Jego oczy już nie widziały. Twarz wykrzywił grymas, głowa uderzyła w zagłówek, opadła na szerokie barki. Miękki, biały pilśniowy kapelusz spoczywał bezkształtnie na wielkiej, kwadratowej czaszce. Kierowca

obejrzał się szybko, przez okamgnienie ukazując chudą, ptasią twarz. Znów pochylił się w prawo i syczenie ustało. Zjechał na pobocze opustoszałej szosy, zahamował i wygasił światła. Deszcz bębnił głucho o dach. Kierowca wysiadł na deszcz, otworzył tylne drzwi wozu i szybko odskoczył do tyłu, zaciskając nos. Przez pewien czas stał z dala od samochodu, obserwując drogę. Na tylnym siedzeniu limuzyny Hugo Candless leżał bez ruchu. 2. Francine Ley siedziała w niskim czerwonym fotelu, przy stoliku, na którym stała alabastrowa misa. Z papierosa, którego dopiero co do niej wrzuciła, ulatywał dym, tworząc w stojącym ciepłym powietrzu fantazyjne wzory. Dziewczyna splotła ręce za głową; jej zamglone niebieskie oczy spoglądały leniwie, kusząco. Miała ciemnokasztanowe, luźno wijące się włosy. W załamaniach fal kładły się niebieskie cienie. George Dial nachylił się i mocno pocałował ją w usta. Pocałunek rozpałił mu wargi, przyprawił o dreszcz. Dziewczyna siedziała nieruchomo. Kiedy się wyprostował, obdarzyła go leniwym uśmiechem. - To jak, Francie - powiedział Dial ochryple, zacinając się. - Kiedy puścisz kantem tego hazardzistę i pozwolisz, żebym cię ustawił? Francine Ley wzruszyła ramionami, nie przesuwając splecionych rąk. - Jest hazardzistą, ale uczciwym - wycedziła. - To dzisiaj rzadkość, George, a ty i tak nie masz dość forsy. - Zdobędę. - Jak? - Głos miała niski, głęboki.

Rozczuł George'a niczym brzmienie wiolonczeli. - Od Candlessa. Wiem to i owo o tym ptaszku. - Na przykład? - podsunęła leniwie. Uśmiechnął się do niej łagodnie. Zrobił okrągłe oczy, udając niewiniątko. Spostrzegła, że białka jego oczu wcale nie są białe. Pomachał nie zapalonym papierosem. - Kupę rzeczy... na przykład, jak to zeszłego roku wykołował jednego gangstera z Reno. Przy rodni brat gangstera siedział tu oskarżony o morderstwo, a Candless wziął dwadzieścia pięć kawałków za to, że go wywinie od stryczka. Ale dogadał się z prokuratorem okręgowym w innej sprawie i pozwolił, żeby braciszek dostał czapę. - A co na to ten gangster? - spytała łagodnie. - Nic... na razie. Pewnie nie podejrzewa szwindlu. Każdy od czasu do czasu przegrywa. - Ale gdyby wiedział, mógłby narozrabiać - stwierdziła Francine Ley, kiwając głową. - Jak się nazywa ten gangster, Georgie? Dial ściszył głos i znów się nad nią pochylił. - Chyba zgłupiałem do reszty, że ci to mówię. Nazywa się Zapparty. Nie znam go. - I módl się, żebyś go nie poznał... jeżeli masz za grosz rozsądku. Nie, dzięki, nie mam ochoty wpakować się z tobą w taką kabałę. Uśmiechnął się lekko. Jego równe zęby błysnęły na tle ciemnej, gładkiej twarzy. - Zostaw to mnie, Francy. Zapomnij o tym. Pamiętaj tylko, jak za tobą szaleję. - Zrób coś do picia - powiedziała. Znajdowali się w utrzymanym w tonacji białoczerwonej salonie apartamentu hotelowego. Wy

strój wnętrza był przeładowany, zbyt sztywny. Białe ściany zdobiły czerwone malowidła, białe kotary tworzyły oprawę dla białych żaluzji, przed kominkiem gazowym leżał półkolisty czerwony dywan z białą lamówką. Przy ścianie, między oknami, stało białe biurko w kształcie nerki. Dial podszedł do biurka i nalał szkockiej do dwóch szklanek. Dodał lodu i wody sodowej i wrócił ze szklankami na drugą stronę pokoju, gdzie cienka smuga dymu wciąż ulatywała z alabastrowej misy. - Puść go kantem - doradził podając dziewczynie napój. - To on cię wpakuje w kabalę, nie ja. Upiła łyk, skinęła głową. Dial odebrał jej szklankę, przytknął usta do jej krawędzi w miejscu, którego dotykały wargi dziewczyny, i też się napił. Trzymając obie szklanki, pochylił się i znów ją po całował w usta. W drzwiach prowadzących z salonu do krótkiego korytarza wisiały czerwone zasłony. Rozsunęły się o kilka centymetrów i w szparze ukazała się twarz mężczyzny. Zimne szare oczy w zamyśleniu obserwowały pocałunek. Zasłony opadły bezszelestnie. Po chwili głośnie trzasnęły drzwi i w korytarzu rozległy się kroki. W chwili, gdy zza zasłony wszedł do salonu Johnny De Ruse, Dial przypalał już sobie papierosa. Johnny De Ruse był wysoki, szczupły, spokojny. Nosił ciemny, wystrzałowy garnitur. Drobne zmarszczki w kącikach jego zimnych szarych oczu zdradzały wesole usposobienie. Miał delikatne, lecz wcale nie miękkie wąskie usta i

dołeczek w brodzie. Dial wlepił w niego wzrok i niezobowiązująco machnął ręką. De Ruse bez słowa podszedł do biurka, nalał sobie whisky i wypił ją jednym haustem. Przez chwilę stał twarzą do ściany, bębniąc palcami w blat biurka. Nagle odwrócił się z nikłym uśmiechem. - Sie macie! - rzucił miękkim, przeciągłym głosem i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Znalazł się w wielkiej, przesadnie umeblowanej sypialni, wyposażonej w dwa bliźniacze łóżka. Zajrzał do szafy w ścianie, wyciągnął brązową walizkę z cielej skóry i położył ją na łóżku. Opróżnił szuflady komody i starannie, bez pośpiechu zaczął się pakować, pogwizdując przez zęby. Zamknął spakowaną walizkę i zapalił papierosa. Stał na środku pokoju, wpatrując się w ścianę niewidzącym wzrokiem. Po chwili znów zajrzał do szafy w ścianie i wrócił z małym pistoletem w miękkiej skórzanej ka burze mocowanej na dwa krótkie paski. Podwinął lewą nogawkę i przypiął kaburę do nogi. Dopiero wtedy podniósł walizkę i wrócił do salonu. Na widok bagażu Francine Ley przymrużyła oczy. - Wybierasz się gdzieś? - spytała swym niskim, głębokim głosem. - Uhm. Gdzie Dal? - Już poszedł. - Szkoda - stwierdził cicho De Ruse. Postawił walizkę na podłodze i stał, wodząc zimnymi szarymi oczyma po twarzy dziewczyny, po jej szczupłym ciele, od kostek do kasztanowych włosów. - Bardzo szkoda - powtórzył. - Lubię, jak się tu kręci. Ja jestem

dla ciebie za nudny. - Może i masz rację,
Johnny. Sięgnął po walizkę, lecz wyprostował się
nie dotykając jej. - Pamiętasz Mopsa Parisi? -
rzucił od niechcienia. - Widziałem go dzisiaj na
mieście. Zrobiła okrągłe oczy, zmrużyła je
szybko i zadzwoniła zębami. Przez chwilę
obserwował ostry zarys jej szczęki. Nadal
mierzył ją wzrokiem od stóp do głów. - Masz w
związku z tym jakieś plany? - zapytała. -
Myślałem, żeby się wybrać w podróż - odparł. -
Nie jestem już taki chojrak jak kiedyś. -
Nawiewasz - stwierdziła cicho. - Dokąd
jedziemy? - Ja nie nawiewam... wybieram się w
podróż - sprostował bezbarwnym tonem. - I nie
my, tylko ja. Wyjeżdżam sam. Siedziała bez
ruchu, patrząc mu prosto w oczy. Na jej twarzy
nie drgnął ani jeden mięsień. Johnny sięgnął do
wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął długi,
otwierany jak książka portfel. Rzucił
dziewczynie na kolana plik banknotów. Nie
dotknęła ich.- Zanim ci się skończą, dawno już
przygadasz sobie takiego, co się tobą zaopiekuje
- powiedział beznamietnie. - Ale nie mówię, że ci
nie podeślę więcej, jakbyś była w potrzebie.
Wstała powoli, nie zwracając uwagi na
banknoty, które zsunęły jej się po spódnicy na
podłogę. Zwiesiła ręce, zaciskając pięści tak, że
kostki na dłoniach zarysowały się ostro. Jej oczy
zgasły jak zdmuchnięta świeca. - To znaczy, że z
nami koniec, Johnny? Dźwignął walizkę.
Dwoma szybkimi krokami zagroziła mu drogę

i dotknęła jego marynarki. Stał bez ruchu, uśmiechając się oczami. Podrażnił go zapach perfum "Shalimar". - Wiesz, co ty jesteś, Johnny? - Jej głęboki głos przypominał syk. Czekał. - Frajer jesteś, Johnny. Frajer. Skinął lekko głową. - Jasne. Bo napuściłem gliny na Mopsa Parisi. Porywanie ludzi dla okupu mnie nie bawi, złotko. Za takie coś każdego wydałbym gliniarzom, zawsze i wszędzie. Choćby mi to miało nie wyjść na zdrowie. Ale to już znasz na pamięć. Skończyłaś? - Wydałeś Mopsa Parisi gliniarzom i myślisz, że o tym nie wie. Ale on może wiedzieć, więc uciekasz przed nim. Porzucając mnie. - Może po prostu mam cię dość, skarbie. Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się ochryple. W jej śmiechu pobrzmiwała wściekłość. De Ruse stał niewzruszony. - Ty wcale nie jesteś twardy, Johnny. Jesteś mięczak. To już George Dial jest twardszy. Boże, ale z ciebie mięczak! Odsunęła się i utkwiała wzrok w twarzy mężczyzny. W jej oczach mignęła i zgasła nieznośna udręka. - Przystojny z ciebie szczeniak, Johnny. Boże jedyny, aleś ty przystojny. Szkoda, że jesteś taki miękki. - Nie, złotko, nie miękki, tylko sentymentalny - odparł łagodnie, nie ruszając się z miejsca. - Lu Cię obstawiać konie, sięść do partyjki pokerka czy pobawić się czerwonymi kostkami w białe cętki. Lubię hazard, w tym także kobiety. Ale jak przegrywam, nie wnerwiam się ani nie kantuję. Po prostu

zmieniam stolik. To na razie! Schylił się, podniósł walizkę i wyminął dziewczynę. Nie odwracając się, zniknął za zasłoną po drugiej stronie pokoju. Francine Ley wbiła wzrok w podłogę. 3. Stojąc pod szklanym daszkiem w kształcie muszli, który osłaniał boczne wejście do hotelu "Chatterton", De Ruse rozejrzył się po Irolo, zerknął na jarzące się światła Wilshire i obrzucił wzrokiem ciemny, spokojny wylot przecznicy. Padał drobny, zacinający deszcz. Niesiona wiatrem kropla wpadła pod daszek i z sykiem trafiła na rozżarzony koniuszek jego papierosa. Dźwignął walizkę i ruszył do samochodu, który zaparkował przy następnej przecznicy Irolo. Był to lśniący czarny Packard, tu i ówdzie dyskretnie zdobiony chromem. Pochylił się i otworzył drzwiczki wozu. Z samochodu niespodziewanie wysunął się pistolet i szturchnął go, w pierś. - Spokojnie! - warknął czyjś głos. - Łapki w górę, słoneczko! De Ruse widział niewyraźną sylwetkę mężczyzny w samochodzie, jego szczupłą ptasią twarz, której rysów w odbitym świetle nie był w stanie rozróżnić. Czuł, jak pistolet uciska mu pierś, boleśnie wgniatając mostek. Usłyszał za sobą szybkie kroki i następny pistolet dźgnął go w plecy. - Teraz lepiej? - zapytał drugi głos. De Ruse upuścił walizkę, podniósł ręce i oparł je na dachu samochodu. - W porządku - odezwał się ze znużeniem. - Co to ma być... napad? Mężczyzna w samochodzie parsknął śmiechem.

Ten z tyłu poklepał Johnny'ego po biodrach. - Cofnij się... tylko powoli! De Ruse cofnął się, podnosząc ręce jak najwyżej. - Nie tak wysoko, palancie - ostrzegł go ten z tyłu. - Na kark. De Ruse opuścił ręce nieco niżej. Ten z samochodu wysiadł i wyprostował się. Znow wbił pistolet w pierś Johnny'ego, wyciągnął długą rękę i rozpiął mu płaszcz. De Ruse odchylił się do tyłu. Facet o długiej ręce przeszukał mu kieszenie, obmacał go pod pachami. Trzydziestka ósemka w elastycznej kaburze przestała mu ciążyć pod ramieniem. - Jednego gnata znalazłem, Chuck. A ty? - Na biodrach czysty. Ten z przodu cofnął się i podniósł walizkę. - Ruszaj, słoneczko. Pojedziesz naszą gablotą. Przeszli do stojącego nieco dalej Lincolna - granatowej limuzyny w jaśniejsze pasy. Mężczyzna o ptasiej twarzy otworzył tylne drzwiczki. - Wskakuj. De Ruse obojętnie wykonał polecenie. Schylając się do samochodu, wypluł niedopałek papierosa w mokrą ciemność. Uderzył go lekki zapach... przejrzałych brzoskwiń, a może migdałów. Wsiadł do limuzyny. - Wskakuj do tyłu, Chuck. - Słuchaj, jedźmy obaj z przodu. Dam sobie radę z... - Nic z tego. Wskakuj do tyłu! - warknął ten o ptasiej twarzy. Chuck sarkając usiadł obok De Ruse'a. Jego kompan mocno zatrzasnął drzwi wozu. Przez zamknięte okno widzieli, jak ptasią twarz wykrzywia sardoniczny uśmiech. Mężczyzna usiadł za kierownicą, zapuścił silnik i oderwał samochód od krawężnika. De Ruse

pociągnął nosem, wdychając dziwny zapach. Na skrzyżowaniu skręcili na wschód w Ósmą, potem na północ, w Normandie, przecięli Wilshire i kilka innych przecznic i pokonawszy strome wzgórze, dotarli do Melrose. Siąpiło. Olbrzymi Lincoln sunął bezszelestnie. Chuck siedział w samym rogu, trzymając broń na kolanach i łypiąc spode łba. Uliczne latarnie wydobywały z mroku jego twarz - kwadratową, czerwoną, arogancką. A przede wszystkim zdradzającą niepokój. Głowa kierowcy za szklaną przegrodą ani drgnęła. Minęli Bulwar Zachodzącego Słońca i Hollywood, skręcili na wschód w aleję Franklina, a potem na północ do Los Feliz, skąd zjechali ku rzece. Wjeżdżające na wzgórze samochody zalały nagle wnętrza Lincolną jaskrawym światłem. De Ruse zebrał się w sobie i czekał. Kiedy następne reflektory trafiły w limuzynę, schylił się szybko i podciągnął lewą nogawkę. Zanim oślepiające światło przesunęło się dalej, siedział już wygodnie oparty. Chuck nie poruszył się, nic nie zauważył. U stóp wzgórza, na rogu Riverside Drive, spod zmieniających się świateł ruszyła na nich cała falanga samochodów. De Ruse wyczekał na odpowiedni moment, wyliczył, kiedy zostaną oślepieni. Schylił się w mgnieniu oka, opuścił rękę i wyrwał mały pistolet z kabury na nodze. Znowu oparł się wygodnie. Przy lewym udzie trzymał broń, ukrytą przed wzrokiem Chucka. Lincoln wpadł w Riverside i minął bramę parku

Griffitha. - Dokąd jedziemy, palancie? - zapytał De Ruse obojętnie. - Stul pysk! - warknął Chuck. - Zobaczysz. - To chyba nie napad, co? - Stul pysk! - powtórzył Chuck. - Robicie to dla Mopsa Parisi? - spytał Johnny powoli, cienkim głosem. Rewolwerowiec o nabiegłej krwią twarzy poderwał się, unosząc broń z kolan. - Stul pysk, powiedziałem! - ryknął. - Przykro mi, palancie - rzekł De Ruse. Wysunął pistolet ponad udo, wycelował szybko i lewą ręką nacisnął spust. Rozległ się cichy, głuchy wystrzał - dźwięk niemal bez znaczenia. Chuck zawył, a jego ręka podskoczyła gwałtownie. Wypuścił broń, która potoczyła się na pod łogę wozu, i lewą dłonią zacisnął prawe ramię. De Ruse przelożył mausera do prawej ręki i wbił lufę głęboko w bok gangstera. - Spokoj nie, chłoptasiu, tylko spokojnie. Niech cię aby ręce nie świerzbią. A teraz kopnij no tu tę armatę... raz-dwa! Rewolwerowiec pchnął nogą wielki pistolet samopowtarzalny. De Ruse schylił się i podniósł go zwinnie. Kierowca o ptasiej twarzy szarpnął głową, oglądając się za siebie. Samochód lekko zarzucił, po czym znów jechał prosto. Johnny zważył w dłoni wielki pistolet. Jego mauser nie nadawał się na pałkę, był za lekki. Moc no uderzył Chucka w skroń. Ten jęknął i osunął się do przodu, zginając wyciągnięte niczym szpony palce. - Gaz! - wybelkotał. - Gaz! On tu wpuści gaz! De Ruse przyłożył mu jeszcze raz, mocniej. Chuck zwałił

się bezwładnie na podłogę. Lincoln skręcił w Riverside i minawszy krótki mostek i alejkę do jazdy konnej, wjechał na wąską piaszczystą drogę, która przecinała pole golfowe i ginęła w ciemnościach między drzewami. Pędzący samochód kołysał się z boku na bok, jak gdyby o to właśnie kierowcy chodziło. Johnny zbierał się w sobie, macając drzwi w poszukiwaniu klamki. Ale klamki nie było. Bez głośnie poruszył ustami, z całej siły waląc pistoletem w szybę. Grube szkło przypominało kamienny mur. Kierowca pochylił się i rozległ się syk. Zapach migdałów nagle przybrał na sile. De Ruse wyrwał z kieszeni chusteczkę i przycisnął ją do nosa. Mężczyzna o ptasiej twarzy wyprostował się i zaraz zgarbił, prowadząc z nisko pochyloną głową. Johnny przytknął lufę wielkiego pistoletu do szklanej przegrodyza głową kierowcy, który rzucił się w bok. Wystrzelił szybko cztery razy pod rząd, zamykając oczy i odwracając się niczym znerwico wana panienska. Szkło się nie rozprysło. Gdy otworzył oczy, ujrzał wyszczerbioną, okrągłą dziurę w przegrodzie. Przednia szyba wozu na wprost otworu była popękana, ale nie stłuczona. Zaczął walić pistoletem w otwór w przegrodzie. Udało mu się wybić kawałek szkła. Teraz już wchłaniał gaz poprzez chusteczkę. Czuł, że głowę ma wielką jak balon. Wszystko falowało, rozplywało się przed oczami. Kierowca, nadal skulony, otworzył drzwi po swojej stronie, obrócił

kierownicę w przeciwnym kierunku i wyskoczył z wozu. Samochód pokonał niską skarpe, okręcił się i wpadł bokiem na drzewo. Karoseria wygięła się; tylne drzwi po jednej stronie wozu puściły. De Ruse wyskoczył szczupakiem. Upadek na miękką ziemię pozbawił go tchu, lecz wkrótce za czerpnął świeżego powietrza. Przetoczył się na brzuch, oparł na łokciach i trzymając głowę przy samej ziemi, uniósł broń. Mężczyzna o ptasiej twarzy klęczał jakieś dziesięć metrów dalej. Johnny widział, jak wyciąga pistolet z kieszeni i składa się do strzału. Broń Chucka zagrzmiała w dłoni Johnny'ego. Umilkła dopiero, gdy magazynek był pusty. Mężczyzna o ptasiej twarzy powoli zgiął się wpół. Jego sylwetka zlała się z czarnymi cieniami i mokrą ziemią. W oddali, na Riverside Drive, przejeżdżały samochody. Z drzew spadały krople de szczy. Reflektor patrolowy w parku Griffitha omiótł ołowiane niebo. Poza tym była tylko ciemność i cisza. De Ruse odetchnął głęboko. Wstał, wyrzucił pusty pistolet i wyciągnął z kieszeni płaszcz małą latarkę. Zakrył usta i nos klapą płaszcza, mocno przyciskając gruby materiał do twarzy, i podszedł do samochodu. Zgasił światła i skierował promień latarki na schowek. Nachylił się szybko i przekręcił ku rek miedzianego, przypominającego gaśnicę pojemnika. Gaz przestał, syczeć. Poszedł sprawdzić, co z kierowcą. Był martwy. W kieszeniach miał nieco

drobnych, papierosy i firmowe zapalniczki klubu "Egipt". Portfela nie było. De Ruse znalazł jeszcze dwa zapasowe magazynki do pistoletu i swoją trzydziestkę ósemkę. Schował ją na miejsce i wstał znad leżących na ziemi zwłok. Spojrzał na światła Glendale po drugiej stronie ciemnego koryta rzeki. Stosunkowo blisko mru gał zielony, oddalony od innych neon z napisem: "Klub Egipt". Johnny uśmiechnął się pod nosem, wrócił do Lincolna i wytaszczył Chucka na mokrą ziemię. W świetle latarki zwykle czerwona twarz gangstera była sina. Otwarte oczy patrzyły pustym wzrokiem. Pierś nie poruszała się. De Ruse odłożył latarkę i znów zaczął przeszukiwać kieszenie. Znalazł to, co zwykle nosi się przy sobie, w tym portfel z prawem jazdy wystawionym na nazwisko Charlesa Le Grand, hotel "Metropol", Los Angeles. Ponadto zapalniczki z klubu "Egipt" i klucz hotelowy z plakietką, informującą: hotel "Metropol", 809. Schował klucz do kieszeni, przymknął wygięte drzwiczki Lincolna i usiadł za kierownicą. Silnik zapalił od razu. Przy akompaniamencie zgrzytu odrywanego zderzaka odjechał od drzewa, zakręcił powoli na grząskiej ziemi i znalazł się na drodze. Na Riverside włączył światła i wrócił do Hollywood. Zaparkował pod drzewami pimentowymi przed wielką ceglana kamienicą na Kenmore, kawałek na północ od bulwaru Hollywood, zgasił silnik i podniósł walizkę. Światło z bramy kamienicy

padalo na przednia tablice rejestracyjna
Lincolna. Odchodzac zasta nawial sie, po co
gangsterom samochod z rejestracja 5A6. Taki
numer mogl dostac tylko ktos uprzy wilejowany.
Z drogerii zadzwonil po taksowke, ktora wroutil
do "Chattertona". 4. Apartament byl pusty. W
cieplym powietrzu unosil sie zapach perfum
"Shalimar" i dym z pa pierosa, jak gdyby
jeszcze calkiem niedawno ktos tu przebywal. De
Ruse wpadl do sypialni, przejrzal zawartosc obu
szaf i przybory na komodzie i wroutil do bialo-
czerwonego salonu, gdzie zmieszal sobie mocny
koktajl. Zamknal drzwi od korytarza na
zatrask i ze szklanka w reku przeszedl do
sypialni. Zrzucil za blocone ubranie i przebral
sie w ciemny, swietnie skrojony garnitur.
Popijajac koktajl, zawiatal czar nego motyla w
wycieciu rozpietej pod szyja koszuli z miemkiego
bialego plotna. Wyrzucil magazynek z mausera i
wsadzil go z powrotem, wciskajac jeszcze jeden
naboj. Scho wal broń do kabury na nodze.
Potem umyl reke i usiadl ze szklanka koło
telefonu. Najpierw zadzwonil do redakcji
"Chronicle" i poprosil Wenera z dzialu
miejskiego. - Mowi Werner - dolecial go
przecialy glos. - Dalej, zasun mi jakis glodny
kawalek. - Tu John De Ruse, Claude. Sprawdz
mi w swoich papierach rejestracje kalifornijska
numer 5A6. - Pewnie jakis sakramencki polityk
- odparl przecialy glos i zapadla cisza. De Ruse
siedzial nieruchomo, spoglajac na zlobiona

kolumnę w rogu pokoju. Na jej szczycie stała biało-czerwona misa ze sztucznymi różami, białymi i czerwonymi. Z niesmakiem zmarszczył nos. W słuchawce rozległ się głos Wenera: - To Lincoln, rocznik trzydziesty, zarejestrowany na nazwisko Hugo Candlessa, Casa de Oro Apartments, 2942 Clearwater Street, West Hollywood. - Czy to aby nie ten mecenasik? - zapytał De Ruse obojętnie. - Zgadza się. To on. Papuga. Spec od wrabiania świadków. - Wenera ściszył głos. - Tak między nami mówiąc, Johnny, ale tylko dla twoich uszu, to kawał spasionego kanciarza, który nawet nie jest cwany, po prostu chodzi po tym świecie dość długo, żeby wiedzieć, kto jest na sprzedaż... Da się z tego wykroić jakiś materiał? - Gdzie tam - odparł De Ruse. - Obtarł mi tylko bok wozu i nawet się nie zatrzymał. Odłożył słuchawkę, dopił koktajl i zmieszał sobie następny. Przeniósł książkę telefoniczną na białe biurko, wyszukał numer Casa de Oro i zadzwonił. Telefonistka w centrali poinformowała go, że pan Hugo Candless wyjechał za miasto. - Proszę mnie połączyć z jego mieszkaniem - poprosił. Odpowiedział mu zimny kobiecy głos: - Mówi pani Candless. Słucham, o co chodzi? - Jestem klientem pana Candlessa i muszę się z nim pilnie porozumieć - rzekł De Ruse. - Czy może mi pani pomóc? - Bardzo mi przykro, ale męża wezwano nagle za miasto - odparł zimny, powolny głos. - Nie wiem nawet, dokąd pojechał, chociaż spodziewam się,

że zadzwoni wieczorem. Wyszedł z klubu... -
Jakiego? - wtrącił Johnny obojętnie. -
"Delmar". Więc, jak mówiłam, wyszedł stamtąd
i nawet nie zajrzał do domu. Jeżeli chce pan
zostawić wiadomość... - Nie, dziękuję pani. Być
może zadzwonię później. Odłożył słuchawkę,
uśmiechnął się posępnie i popijając koktajl
małymi łyżkami, wyszukał nu mer hotelu
"Metropol". Zadzwonił tam i poprosił "pana
Charlesa Le Grand z pokoju osiemset dzie
więć". - Sześćset dziewięć - sprostowała
telefonistka obojętnie. - Łączę. - A po chwili
dodała: - Nie odpowiada. De Ruse podziękował,
wyciągnął klucz z kieszeni i spojrzął na
plakietkę. Był na niej numer 809. 5. Sam,
portier z klubu "Delmar", stał oparty o jasną
ścianę przy wejściu, obserwując Bulwar
Zachodzącego Słońca i przejeżdżające ze
świstem samochody. Ich światła raziły go w
oczy. Był zmęczony i pilno mu było do domu.
Marzył o papierosku i szklanicy dżinu. Chciał,
żeby przestało padać. Podczas deszczu życie w
klubie zamierało. Oderwał się od ściany i zaczął
spacerować pod daszkiem osłaniającym
fragment chodnika, klaszcząc wielkimi
czarnymi dłońmi w białych rękawiczkach.
Spróbował zagwizdać walca "Na śliz gawce", a
że nie mógł się zbliżyć do melodii ani na
kilometr, przerzucił się na "Low Down Lady".
Ten kawałek nie miał żadnej melodii. Zza rogu
Hudson Street wyszedł De Ruse i stanął koło

niego przy ścianie. - Jest Hugo Candless? - zapytał, nie patrząc na Sama. Portier z dezaprobatą zgrzytnął zębami. - Nie. - A był? - Pan lepiej zapyta w recepcji. De Ruse wyciągnął z kieszeni dłonie w rękawiczkach i zaczął obracać banknot pięciodolarowy wokół palca lewej ręki. - A co oni tam wiedzą takiego, czego ty nie wiesz? Sam uśmiechnął się powoli, patrząc, jak banknot coraz ciaśniej oplata palec w rękawiczkę. - Co racja, to racja, szefie. No więc był. Przyjeżdża prawie dzień w dzień. - O której wyszedł? - Widzi mi się, że coś koło pół do siódmej. - Odjechał swoim granatowym Lincolnem? - Pewno. Ale on sam nie prowadzi. Na co to panu? - Padało wtedy - powiedział spokojnie De Ruse. - Lało jak z cebra. Może to nie był Lincoln? - Lincoln, a jakże - zaprotestował Murzyn. Przecie sam go wsadziłem do środka. Zawsze nim jeździ. - Numer rejestracyjny 5A6? - Johnny nieubłaganie wiercił czarnemu dziurę w brzuchu. - Zgadza się. - Sam zarechotał. - Numer jak dla jakiego radnego, no nie? - Znasz kierowcę? - A pewno... - zaczął portier, lecz urwał w pół zdania. Potarł czarną szczękę białym paluchem wielkości banana. Znowu zafundował sobie nowego szofera, jakim czarny. Bo tego żem jeszcze nie widział. De Ruse wetknął zwinięty banknot w wielkie białe łapsko. Murzyn chwycił pieniądze, lecz naraz łypnął na Johnny'ego podejrzliwie. - Panie, a na

co panu wiedzieć to wszystko? - Zdaje się, że jesteśmy kwita? - odparł Johnny. Zniknął za rogiem Hudson i wsiadł do swojego czarnego Packarda. Dojechał do Bulwaru Za chodzącego Słońca, skręcił na wschód i tuż przed Beverly Hills zboczył w stronę wzgórz, wypatrując na skrzyżowaniach tabliczek z nazwami ulic. Clearwater Street biegła w poprzek stoku. Roztaczał się z niej widok na całe miasto. Casa de Oro, przy rogu Parkinsona, był to zmyślny zespół luksusowych parterowych domków, otoczony murem z suszonej na słońcu cegły, przyozdobionym na szczycie czerwonymi dachówkami. Recepcja mieściła się w oddzielnym budynku, a wzdłuż muru od strony Parkinsona ciągnął się olbrzymi prywatny garaż. De Ruse zaparkował po drugiej stronie ulicy, na wprost garażu, obserwując przez szerokie okno przeszkloną stróżówkę, gdzie dozorca w nieskazitelnie białym kombinezonie siedział z nogami na biurku i strzykał śliną przez ramię do niewidocznej spluwaczki. Po chwili Johnny wysiadł z Packarda, przeszedł nieco dalej na drugą stronę ulicy, wrócił i nie zauważony przez dozorcę wśliznął się do garażu. Samochody stały w czterech rzędach - dwa rzędy pod białymi ścianami, dwa na środku pomieszczenia. Było tam sporo wolnych miejsc, choć równie wiele pojazdów udało się już na spoczynek. Przeważały wielkie, kosztowne kryte modele, a do tego ze dwa, trzy wystrzałowe

kabriolety. I tylko jedna limuzyna, o numerze rejestracyjnym 5A6. Był to dobrze utrzymany samochód, wypucowany i lśniący. Granatowe nadwozie zdobiły płowe pasy. De Ruse zdjął rękawiczkę i oparł dłoń na masce chłodnicy. Zimna. Pomacał opony i obejrzał palce. Trochę się zabrudziły. Na oponach nie znalazł śladu błota, jedynie suchy pył. Przeszedł wzdłuż rzędu ciemnych karoserii i oparł się o framugę otwartych drzwi stróżówki. Po chwili dozorca raptownie podniósł wzrok. - Nie ma tu gdzie szofera Candlessa? - zapytał De Ruse. Dozorca pokręcił głową i zręcznie strzyknął śliną do miedzianej spluwaczki. - Nie było go tu, odkąd przyszedłem... o trzeciej. - Może pojechał do klubu po starego? - E, chyba nie. Ta landara jak stała, tak stoi. A on zawsze nią jeździ. - Gdzie uderza w kimono? - Kto? Mattick? Służba ma tu mieszkania na tyłach. Ale zdaje się mówił coś, że parkuje w jakimś hotelu. Niech no pomyślę... - Zmarszczył brwi. - W "Metropolu"? - odpowiedział De Ruse. Wpatrywał się w czubek brody dozorca, który przetrawiał w myślach jego sugestię. - Taa. Chyba tak. Ale nie jestem pewny. Mattick niełatwo puszcza farbę. De Ruse podziękował i wrócił na drugą stronę ulicy. Wsiadł do Packarda i pojechał do centrum. Gdy dotarł na róg Siódmej i Spring, gdzie mieścił się "Metropol", była dziewiąta dwadzieścia pięć. Ten stary, niegdyś ekskluzywny hotel żeglował teraz chwiejnie

pomiędzy upadłością a złą marką w branży. Za dużo w nim było wyświeconych boazerii z ciemnego drewna i popękanych lusterek w złocistych ramach. Za dużo dymu wisiało pod niskim sufitem hallu, a sfatygowaną skórę foteli wycierało za dużo trutki. Blondynka sprzedająca papierosy za wielką ladą w kształcie podkowy nie grzeszyła młodością. Miała cyniczny wzrok kobiety przywykłej do spławiania natrętów. De Ruse oparł się łokciami o szklany blat i zsunął kapelusz na tył czarnych, kędzierzawych włosów. - Camele, bambino - odezwał się niskim głosem hazardzisty. Z trzaskiem położyła przed nim paczkę, wybiła na kasie piętnaście centów i z ledwie uchwytnym uśmiechem wsunęła mu pod łokieć dziesięć centów reszty. Podobasz mi się - mówiły jej oczy. Oparła się o ladę naprzeciwko niego i pochyliła głowę, by mógł poczuć zapach perfum w jej włosach. - Zrobisz coś dla mnie? - zapytał. - Co? - szepnęła. - Dowiesz się, kto mieszka w osiemset dziewięć, ale jakby cię recepcjonista wypytywał, nic nie mów. Była wyraźnie zawiedziona. - A sam pan nie może go spytać? - Jestem zbyt nieśmiały. - Jasne, widać gołym okiem. Podeszła do telefonu, z omdlewającym wdziękiem zamieniła kilka słów i wróciła do De Ruse'a. - Nazywa się Mattick. Coś to panu mówi? - Niewiele - odparł. - Ale dzięki. Podoba ci się w tym miłym hotelu? - A kto powiedział, że to miły hotel? Johnny uśmiechnął się, dotknął

kapelusza i odszedł bez pośpiechu. Odprowadziła go smutnym wzrokiem. Oparła na ladzie kościste łokcie i spoglądała za nim, podpierając brodę. De Ruse przeszedł przez hall, pokonał trzy schodki i wszedł do windy. Ażurowa klatka z szarpnięciem ruszyła w górę. - Ósme - rzucił i z rękami w kieszeniach oparł się o ścianę windy. Ósme było na samym szczycie "Metropolu". Johnny ruszył długim korytarzem, przesiąkniętym zapachem lakieru. Na końcu skręcił i stanął twarzą w twarz z numerem 809. Zastukał w ciemne drewno. Bez odpowiedzi. Nachylił się, zajrzał przez dziurkę od klucza i zastukał ponownie. Po chwili wyciągnął z kieszeni klucz z plakietką, otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Dwa okna były zamknięte. Śmierdziało whisky. U sufitu paliła się lampa. W pokoju znajdowało się szerokie mosiężne łóżko, ciemna komoda, dwa kryte brązową skórą fotele i solidne na pierwszy rzut oka biurko, na którym stała jasnobrązowa, prawie pusta litrowa butelka Four Roses, bez nakrętki. De Ruse powąchał ją, oparł się tyłem o biurko i zaczął myszkować wzrokiem po pokoju. Jego spojrzenie powędrowało od ciemnej komody do łóżka i drzwi w ścianie, aż padło na drzwi, zza których przebijało światło. Otworzył je. Mężczyzna leżał twarzą w dół na żółtawobrązowej posadzce łazienki. Krew na podłodze wydawała się lepka i czarna. Dwie mokre plamy z tyłu głowy leżącego zaznaczały,

skąd wyciekły ciemnoczerwone strumyczki krwi i spłynęły po szyi na podłogę. Ale krew już od dawna nie płynęła. De Ruse ściągnął rękawiczkę, nachylił się i przytknął dwa palce do miejsca, gdzie powinna pulsować tętnica. Potrząsnął głową i włożył rękawiczkę. Wyszedł z łazienki, zamknął drzwi i otworzył okno. Wychylił się i wdychając czyste, wilgotne powietrze, spoglądał przez zacinające nitki deszczu na ciemny wylot alejki. Po chwili zamknął okno, z górnej szuflady komody zabrał wywieszkę z napisem "Nie przeszkadzać" i wyszedł, gasząc za sobą światła. Powiesił wywieszkę na klamce, wrócił korytarzem do windy i opuścił hotel "Metropol".

6. Francine Ley mruczała pod nosem, idąc cichym korytarzem hotelu "Chatterton". Podśpiewywała niepewnie, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co nuci. Czerwień jej paznokci kontrastowała z zielenią aksamitu, gdy lewą ręką przytrzymała zarzuconą na ramiona pelerynę. W prawej niosła zawiniętą butelkę. Przekręciła klucz w zamku, otworzyła drzwi i zatrzymała się, marszcząc brwi. Stała nieruchomo, przypominając sobie, usiłując sobie przypomnieć. Była jeszcze trochę wstawiona. A właśnie, wychodząc zostawiła zapalone światła. A teraz były pogaszone. Oczywiście, mogła to zrobić pokojówka. Francine weszła przez czerwone zasłony do salonu. Blask kominka padał na czerwono-biały dywan i rzucał

czerwone światło na dwa lśniące, czarne przedmioty. Buty. Nieruchome buty.- O... och! - wyjąkała dziewczyna. Długie, pięknie opiłowane paznokcie ręki przytrzymującej pelerynęomal nie przebiły jej szyi. Coś pstryknęło i rozbłysła lampa. Obok niej siedział w fotelu De Ruse i spoglądał na dziewczynę beznamiętnie. Był w płaszczu i kapeluszu. Wzrok miał mętny, nieobecny; na jego twarzy malowała się głęboka zaduma. - Wychodziłaś, Franczy? - odezwał się. Przysiadła powoli na skraju półkolistej kanapy i odłożyła butelkę. - Wstawiłam się - odparła. - Więc pomyślałam, że może by tak coś zjeść. A potem doszłam do wniosku, że warto by się znowu wstawić. - Poklepała butelkę. - Zdaje się, że porwali szefa twojego przyjaciela Diala. - De Ruse powiedział to obojętnie, jak gdyby wcale go to nie obchodziło. Francine Ley powoli rozchyliła wargi. Cała jej uroda gdzieś przysła, znikła pod maską bez wyrazu, na której ostro odcinała się szminka. Usta jakby same składały się do krzyku. Po chwili zamknęły się, a uroda wróciła na twarz dziewczyny. - Czy to coś da, jeśli powiem, że nie mam pojęcia, o czym mówisz? - Jej głos dobiegł jak gdyby z oddali. De Ruse nie zmienił wyrazu twarzy. - Kiedy stąd wyszedłem, na ulicy napadło mnie dwóch osiłków - rzekł. - Jeden z nich czekał ukryty w samochodzie. Oczywiście, mogli mnie namierzyć gdzie indziej i przyjechać tu za mną. - Tak było - wtrąciła bez tchu. - Na pewno tak było, Johnny.

Przekręcił głowę o centymetr. - Wsadzili mnie do wielkiego Lincolna - ciągnął. - Nie z tej ziemi gablota. Nietłukące się szyby, drzwi bez klamek i szczelnie zamknięta. A z przodu zbiornik z gazem skazańców - wiesz, z cyjankiem który facet za kierownicą mógł wpuszczać na tylne siedzenie tak, że sam go nie wdychał. Wieźli mnie przez park Griffitha do klubu "Egipt". To ten lokal na państwowym terenie, koło lotniska. - Przerwał, pomasował koniuszek brwi i mówił dalej: - Przegapili mausera, którego noszę czasami na nodze. Kie rowca rozbił wóz, a ja się wydostałem. Rozłożył ręce i przyjrzał im się. W kąciku jego ust zaigrał metaliczny uśmiezek. - Ja nie miałam z tym nic wspólnego, Johnny - zapewniła go dziewczyna martwym głosem, jak gdyby obchodziło ją to tyle, co zeszłoroczny śnieg.- Ten, co jechał tym samochodem przede mną, raczej nie miał broni. To znaczy Hugo Candless. To była wierna kopia jego wozu - ten sam model, ko lor i rejestracja - ale to nie był jego Lincoln. Ktoś zadał sobie wiele trudu. Candless odjechał tym pod stawionym samochodem sprzed klubu "Delmar" około szóstej trzydzieści. Żona twierdzi, że go wez wali za miasto. Rozmawiałem z nią godzinę temu. Jego Lincoln nie ruszał się z garażu od południa... Żona może już wie o porwaniu, ale niekoniecznie. Francine Ley skubała spódnicę długimi paznokciami. Jej wargi drżały. - Ktoś zastrzelił szofera Candlessa w hotelu, w centrum

miasta - ciągnął De Ruse zimno, bezna miętnie. -
Dziś wieczorem albo po południu. Policja jeszcze
nic o tym nie wie. Ktoś zadał sobie na prawdę
wiele trudu, Francie. Ty byś się chyba nie bawiła
w takie rzeczy, co, skarbie? Spuściła głowę i
wbija wzrok w podłogę. - Muszę się napić -
powiedziała ochryple. - Wszystko już ze mnie
wyparowało. Czuję się okropnie. Wstał i
podszedł do białego biurka. Wlał resztę whisky z
butelki do szklanki i stanął przed dziewczyną,
trzymając naczynie poza zasięgiem jej ręki. -
Rzadko kiedy się wkurzam, dziecino, ale jak już
się wkurzę, niełatwo mnie powstrzymać. Mo-
żesz mi wierzyć na słowo. Jeśli wiesz coś na ten
temat, to teraz masz najlepszą okazję, żeby
wszystko wyśpiewać. Podał jej szklankę.
Wychyliła whisky i jej zamglone niebieskie oczy
odzyskały nieco blasku. - Ja naprawdę nic o tym
nie wiem, Johnny - powiedziała wolno. - W
każdym razie nie to, co myślisz. Ale dziś wieczór
George Dial proponował mi wspólne gniazdko.
Powiedział, że może wycisnąć forszę z Candlessa,
grożąc mu, że wyśpiewa, jak to wykołował on
jednego gangstera z Reno.- Łebskie chłopaki, te
mieszkańce - stwierdził De Ruse. - Znam Reno
jak własną kieszeń, złotko. Znam tam
wszystkich gangsterów. Który to? - Nazywa się
Zapparty. - Zapparty to nazwisko właściciela
klubu "Egipt" - powiedział cicho De Ruse.
Francine zerwała się z kanapy i chwyciła go za
ramię. - Nie mieszaj się do tego, Johnny! Na

miłość boską, czy choć raz w życiu mógłbyś się do czegoś nie mieszać? Potrząsnął głową, uśmiechając się do niej delikatnie, przeciągle. Potem uwolnił ramię z jej uścisku i odsunął się. - Nie spodobała mi się przejażdżka tą ich komorą gazową, dziecino. Nawąchałem się gazu skażonego. I poczęstowałem ołowiem czyjś gnojka od wymachiwania splotów. Więc albo śpiewam glinom, albo podpadam pod paragraf. Jeżeli kogoś porwali, a ja napuszczę gliniarzy, to pewnie jak dwa a dwa cztery, że faceta sprzątną i będziemy mieli kolejną ofiarę porwania. Zapparty to gangster z Reno, co by się nawet zgadzało z historyjką Diale, a jeżeli kombinuje coś z Mopsem Parisi, to mam powód, żeby się tym zająć. Parisi utopiłby mnie w łyżce wody. Co nie znaczy, że od razu musisz się bać w jednoosobową armię - wtrąciła dziewczyna z desperacją. Nadal się do niej uśmiechał, z zaciśniętymi ustami i powagą w oczach. - Będzie nas dwoje, skarbie. Włóż lepiej długi płaszcz. Ciągle jeszcze pada.

Wytrzeszczyła na niego oczy. Wyprostowała palce wyciągniętej ręki, tej, którą niedawno trzymała go za ramię, i naprężyła tak, że aż się wygięły do góry. - Ja, Johnny? - wyjąkała głuchym ze strachu głosem. - Och nie, proszę cię... - Bierz płaszcz, złotko. I postaraj się wyglądać szalowo. Kto wie, czy nie po raz ostatni wycho dzimy razem - powiedział łagodnie. Przeszła chwiejnie obok niego. Ujął ją

lekko za ramię, przytrzymał i szepnął: - To nie ty mnie wystawiłaś na odstrzał, Francie, powiedz? Spojrzała kamiennym wzrokiem w jego pełne bólu oczy, mruknęła coś ochryple pod nosem i wyszarpnęła rękę. Szybko zniknęła w sypialni. Po chwili ból zniknął z oczu De Ruse'a, a w kącikach ust znów pojawił się metaliczny uśmiech. 7. De Ruse obserwował spod przymkniętych powiek, jak palce krupiera cofają się i zatrzymują na krawędzi stołu. Były okrągłe, pulchne, stożkowate i zwinne. Johnny podniósł wzrok na jego twarz. Ujrzał łysego mężczyznę w nieokreślonym wieku, o spokojnych niebieskich oczach. Był łysy jak kolo no, na głowie nie miał choćby jednego, jedyne go włoska. Znów spojrzał na jego ręce. Prawa dłoń krupiera obróciła się tak, że guziki na rękawie brązowej aksamitnej marynarki - skrojonej jak smoking - dotknęły krawędzi stołu. De Ruse pozwolił sobie na leciutki metaliczny uśmiech. Postawił właśnie trzy niebieskie sztony na czerwone. Tym razem kulka zatrzymała się na czarnej dwójce. Krupier wypłacił wygraną dwóm z czterech graczy przy stole. De Ruse posunął pięć niebieskich sztonów i obstawił czerwony romb. Odwrócił się w lewo, pa trząc, jak potężnie zbudowany blondyn stawia trzy czerwone sztony na zero. Oblizął wargi i przeniósł wzrok dalej. Z boku tej niewielkiej salki siedziała na kanapie Francine Ley, opierając głowę o ścianę. - Coś mi się widzi, że

przerznięciem, złotko - zwrócił się do niej. - Oj, przerznięciem. Dziewczyna zatrzepotała długimi rękami i oderwała głowę od ściany. Sięgnęła po szklaneczkę stojącą przed nią na niskim, okrągłym stoliku. Upiła łyżek, wbiła wzrok w podłogę, nie odpowiedziała. Johnny znów spojrzał na blondyna. Trzej pozostali już obstawili. Krupier był zniecierpliwiony, a zarazem czujny. - Jak to się dzieje, że zawsze obstawia pan zero, jak ja stawiam na czerwone, a podwójne zero, jak stawiam na czarne? - spytał De Ruse. Blondyn uśmiechnął się i bez słowa wzruszył ramionami. De Ruse oparł dłoń na stole. - Zadałem pytanie - rzekł cicho. - Widać taki już ze mnie cwaniak, że lubię tracić, co nie moje - warknął blondyn. - Co jest, panowie? - wtrącił się ostro jeden z pozostałych hazardzistów. - Gracie na zwłokę? - Proszę obstawiać, panowie - ponaglił krupier. De Ruse spojrzał na niego. - Kręć pan. Krupier puścił tarczę w ruch lewą ręką i - także lewą - rzucił kulkę w przeciwnym kierunku. Prawej dłoni nie odrywał od stołu. Kulka zatrzymała się na czarnym 28, obok zera. Blondyn roześmiał się. - Blisko - powiedział. - Bliziotko. Johnny przeliczył swoje sztony i ułożył je starannie. - Jestem sześć kawałków do tyłu - stwierdził. - Przykre to, ale zdaje się, że ktoś na tym zarobi. Jest tu gdzie właściciel tej szulerni? Krupier uśmiechnął się powoli i spojrzał Johnny'emu prosto w oczy. - Powiedział pan: szulernia? -

zapytał spokojnie. De Ruse skinął tylko głową. Nie raczył odpowiedzieć. - Zdawało mi się, że pan powiedział: szulernia? - powtórzył krupier, przesunął jedną nogę i oparł się na niej. Trzej gracze szybko zabrali swoje sztony i podeszli do małego baru w rogu sali. Zamówili coś do picia i oparci plecami o ścianę koło lady, obserwowali Johnny'ego i krupiera. Blondyn został na miejscu, uśmiechając się sarkastycznie do De Ruse'a. - No, no, no - rzucił w zamyśleniu. - Co za maniery. Francine Ley dopiła koktajl i znów oparła głowę o ścianę. Przymknęła oczy, ukradkiem obser wując Johnny'ego spoza długich rzęs. Wkrótce otworzyły się wykładane boazerią drzwi i do sali wszedł istny olbrzym o czarnych wą sach i krzaczastych czarnych brwiach. Krupier spojrział na niego i wskazał mu wzrokiem De Ruse'a. - Taak, zdaje się, że pan coś mówił o szulerni - powtórzył bezbarwnym tonem. Olbrzym przysunął się do Johnny'ego i trącił go łokciem w łokieć. - Jazda stąd - powiedział beznamiętnie. Blondyn uśmiechnął się od ucha do ucha i włożył ręce do kieszeni szarego garnituru. Olbrzym nie patrzył na niego. De Ruse spojrział ponad stołem na krupiera. - Odbiorę tylko swoje sześć kawałków i już mnie tu nie ma. - Jazda stąd - powtórzył olbrzym ze znużeniem i dał mu sójkę w bok. Łysy krupier uśmiechnął się uprzejmie. - Nie chcesz się chyba stawiać, co? - rzekł olbrzym. De Ruse obrzucił go sarkastycznym, zdziwionym

wzrokiem. - Patrzcie, patrzcie, wykidajło - powiedział cicho. - Bierz go, Nicky. Blondyn wyciągnął z kieszeni prawą rękę i zamachnął się. W jaskrawym świetle pałka wydawała się czarna, błyszcząca. Z głuchym odgłosem trafiła wykidajkę w tył głowy. Olbrzym wyciągnął łapy do De Ruse'a, który odsunął się szybko, wyrywając rewolwer spod pachy. Wykidajło zaczepił palcami o skraj stołu do rulety i runął ciężko na podłogę. Francine poderwała się, wydając zduszony, ochryply okrzyk. Blondyn skoczył w bok, okręcił się na pięcie i spojrzał na barmana, który natychmiast położył ręce na ladzie. Pozostali trzej gracze byli wyraźnie zainteresowani, lecz stali bez ruchu. - Środkowy guzik prawego rękawa, Nicky - odezwał się De Ruse. - Pewnie miedziany. Blondyn bez pośpiechu okrążył stół, chowając pałkę do kieszeni. Podszedł do krupiera, chwycił środkowy z trzech guzików prawego rękawa marynarki i pociągnął mocno. Za następnym szarpnięciem guzik puścił, a za nim wysunął się z rękawa cienki drut. - Zgadza się - potwierdził obojętnie i puścił rękę krupiera. - To teraz odbiorę swoje sześć kawałków, a potem pójdziemy pogadać z twoim szefem - rzekł De Ruse. Krupier powoli skinął głową i sięgnął po sztony leżące na stojaku obok stołu. Olbrzym na podłodze leżał bez ruchu. Blondyn sięgnął prawą ręką za siebie i wyjął pistolet samopowtarzalny kaliber 0,45, który nosił na

plecach, za paskiem od spodni. Zakręcił nim na palcu, uśmiechając się sympatycznie do wszystkich obecnych. 8. Przeszli galerią wychodzącą na salę jadalną i parkiet do tańca, skąd dobiegał jazgot jazzu w wykonaniu gibkich rozkołysanych Mulatów, a z nim zapach potraw, dymu papierosowego i potu. Widok z wysokiego balkonu przypominał wykonaną z góry fotografię. Łysy krupier otworzył drzwi w rogu galerii i minął je, nie oglądając się za siebie. Za nim wszedł blondyn, którego De Ruse nazywał Nicky, a na końcu Johnny i Francine Ley. Znaleźli się w krótkim korytarzu, oświetlonym lampą z mlecznego szkła i prowadzącym do malowanych metalowych drzwi. Krupier nacisnął pulchnym palcem guzik z boku wejścia i zadzwonił w umówiony sposób. Rozległ się brzęczyk elektrycznego zamka. Krupier pchnął drzwi przy framudze. Za nimi znajdował się pogodny, ni to mieszkalny, ni to biurowy pokój. Na wprost drzwi, pod kątem prostym do kominka, stała kryta zieloną skórą kanapa. Siedzący na niej mężczyzna odłożył ga zetę, podniósł wzrok i jego twarz posiniała z wściekłości. Był to śniady mikrus o małej, okrągłej głowie i małej, okrągłej twarzy. Jego matowe oczka wyglądały jak guziki z gagatu. Środek pokoju zajmowało wielkie, niskie biurko. Stojący obok niego drażał z shakerem w rękę powoli odwrócił głowę i spojrzał przez ramię na wchodzących, nie przestając kołysać

naczyniem w łagodnym rytmie. Twarz i oczy miał zapadnięte, szarą skórę obwisłą, a rudawe włosy przylizane, bez połysku i przedziałka. Lewy policzek szpeciła wąska blizna w kształcie krzyża, przypominająca szramę po szabli. Odstawił shaker, odwrócił się i wbił wzrok w krupiera. Mikrus na kanapie ani drgnął. Mimo po zornego bezruchu siedział spięty, gotów do skoku. - Myślę, że to napad - odezwał się krupier. - Sam nic nie mogłem poradzić. Uśpili Dużego Ge orge'a. Blondyn uśmiechnął się radośnie, wyciągnął z kieszeni czterdziestkę piątkę i wycelował w pod łogę. - On myśli, że to napad - powiedział. - Myślenie niewprawnym szkodzi. De Ruse zamknął masywne drzwi. Francine odsunęła się od niego i stanęła pod ścianą naprze ciw kominka. Nie spojrział na nią. Za to mikrus na kanapie na nią patrzył, patrzył na wszystkich. - Ten wysoki to Zapparty - przedstawił spokojnie De Ruse. - A ten mały to Mops Parisi. Blondyn usunął się na bok, zostawiając krupiera samego na środku pokoju. Wycelował czterdziestkę piątkę w człowieka na kanapie. - Jestem Zapparty, a bo co? - potwierdził drągal. Przez chwilę spoglądał na De Ruse'a z zaciekawieniem, po czym odwrócił się do niego tyłem, wziął shaker, odkorkował i nalał koktajlu do płytkiego kieliszka. Wypił do dna, otarł usta batystową chusteczką i starannie wsadził ją z powrotem do kieszonki na piersi, tak żeby wystawały trzy rogi. Johnny

uśmiechnął się blado i potarł palcem lewą brew. Prawą rękę trzymał w kieszeni mary narki. - Odstawiliśmy z Nickym mały cyrk - powiedział. - Po to, żeby chłopcy za drzwiami mieli o czym gadać, jakby nasza wizyta przebiegała za głośno. - Zaczyna się ciekawie - przyznał Zapparty. - A czemu to zawdzięczam waszą wizytę? - Tej komorze gazowej na kółkach, którą zabierasz ludzi na przejażdżki - wyjaśnił De Ruse. Mikrus na kanapie poderwał nagle rękę, jakby go coś użądliło. - Nie radzę... a zresztą, jak pan sobie życzy, panie Parisi - rzekł blondyn. - Wszystko jest kwestią gustu. Parisi znieruchomiał, a jego ręka opadła na krótkie, grube udo. Zapparty wytrzeszczył głęboko osadzone oczy. - Komora gazowa na kółkach? - spytał lekko zdziwionym tonem. De Ruse wyszedł na środek pokoju i stanął obok krupiera, balansując na piętach. Jego szare oczy błyszczały sennie, lecz twarz miał ściągniętą, zmęczoną, postarzałą. - Możliwe, że ktoś ci podrzucił kukulcze jajo, Zapparty, ale nie sądzę - powiedział. - Mówię o granatowym Lincolnie numer rejestracyjny 5A6, ze zbiornikiem gazu skazańców na przednim sie dzeniu. Wiesz, z tym draństwem, którym w naszym stanie likwidują morderców. Zapparty przełknął ślinę, a jego wystające jabłko Adama poruszyło się w górę i w dół. Wydał wargi, przygryzł je i znowu wydał. Mikrus na kanapie roześmiał się na cały głos. Najwyraźniej znakomicie się bawił. - Rzuć to,

blondasku! A reszta przewietrzyć pachy! - padł ostry rozkaz, choć nikt z obecnych się nie odezwał. De Ruse spojrział na uchylonego judasza w ścianie nad biurkiem. W otworze pojawiła się dłoń z pistoletem. Żadnej twarzy, nic. Światło w pokoju padało tylko na rękę i broń. Pistolet wycelowany był w dziewczynę. - W porządku - rzucił Johnny i podniósł ręce. Puste. - To pewnie Duży George - stwierdził blondyn. - Wypoczęty, zwarty i gotowy. - Rozchylił palce. Czterdziestka piątka z głuchym stukiem upadła na podłogę. Parisi zwinnie powstał z kanapy, wyrywając broń spod pachy. Zapparty wyciągnął rewolwer z szuflady biurka i wycelował. - Wracaj do roboty, Louis! Uszy do góry. Krupier skinął głową, odwrócił się i wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi. Francine Ley zachichotała głupawo. Podniosła rękę i otuliła się szczerze kołnierzem peleryny, jak gdyby zmarzła. Ale pokój nie miał okien, a z kominka rozchodziło się ciepło. Parisi zagwizdał przez zęby, podszedł szybko do De Ruse'a i przycisnął mu rewolwer do twarzy. Lewą ręką przeszukał kieszenie, odebrał colta i zrewidował pod pachami. Obszedł go dokoła, poklepując po biodrach, i znów stanął przed nim. Cofnął się o krok i kolbą rewolweru uderzył go w policzek. De Ruse ani drgnął, jedynie głowa odskoczyła mu do tyłu, gdy twardy metal wyrznął go w twarz. Parisi uderzył go jeszcze raz, w to samo miejsce. Z policzka De Ruse'a powoli spływała

kw. Głowa opadła mu na bok, kolana odmówiły posłuszeństwa. Osunął się na podłogę. Leżał skulony, z podciągniętymi nogami, wspierając się lewą ręką i potrząsając głową. Prawa ręka zwisała bezwładnie obok lewej stopy. - Wystarczy, Mops - wtrącił Zapparty. - Coś taki napalony? Najpierw muszą nam wyśpiewać to i owo. Francine znów zachichotała głupawo. Zatoczyła się i oparła ręką o ścianę. Oddychając ciężko, Parisi odsunął się od Johnny'ego z uśmiechem szczęścia na okrągłej, śniadej twarzy. - Długo czekałem na tę chwilę - powiedział. Gdy cofnął się o dwa metry, w dłoni De Ruse'a pojawił się ciemny połyskujący przedmiot. Zda wało się, że wyskoczył z jego lewej nogawki. Rozległ się suchy trzask wystrzału i z podłogi wytrysnął maleńki, pomarańczowozielony płomień. Parisi szarpnął głową do tyłu. Pod brodą wykwitła mu nagle okrągła dziurka, która natychmiast rozszerzyła się i zabarwiła na czerwono. Rewolwer wypadł z rozwartych, bezwładnych dłoni. Parisi zachwiał się i runął na podłogę. - Jezus, Maria! - wrzasnął Zapparty i poderwał rewolwer. Francine krzyknęła i rzuciła się na niego - kopiąc, drapiąc, wyjąc przeraźliwie. Rewolwer wypalił dwukrotnie z głuchym odgłosem. Dwie kule utkwily w ścianie. Zagrzechotał tynk. Dziewczyna osunęła się na podłogę. Wylądowała na czworakach, prezentując spod spódnicy długie, zgrabne uda.- Odebrała sukinsynowi

broń! - krzyknął blondyn, klęcząc na jednym kolanie z odzyskaną czterdziestką piątką. Zapparty stał z pustymi rękami i wykrzywioną z wściekłości twarzą. Na grzbiecie prawej dłoni miał długą, krwawą pręgę. Nie dowierzając własnym oczom, spoglądał z przerażeniem na rewolwer leżący obok dziewczyny. Parisi zakaszłał i znieruchomiał na podłodze. De Ruse wstał. Niewielki mauser wyglądał w jego dłoni jak zabawka. - Miej oko na tę dziurę w ścianie, Nicky... - Zdawało się, że jego głos dobiega gdzieś z oddali. Zza drzwi nie dochodziły żadne dźwięki, panowała absolutna cisza. Zapparty stał przy biurku jak skamieniały. Wyglądał upiornie. De Ruse schylił się i dotknął ramienia dziewczyny. - Wszystko w porządku, dziecinko? Podciągnęła nogi i wstała, wpatrując się w Parisiego. Jej ciałem wstrząsnął nerwowy dreszcz. - Przepraszam, dziecinko - powiedział cicho Johnny. - Chyba się co do ciebie myliłem. Wyjął z kieszeni chusteczkę, poślinił i delikatnie przetrął sobie lewy policzek. Spojrzał na za krwawiony materiał. - Zdaje się, że Duży George znowu zasnął - rzekł Nicky. - Pograłem jak ostatni cymbał, trzeba go było kropnąć. De Ruse lekko skinął głową. - Fakt - przyznał. - Rozegraliśmy to parszywie. A gdzie pański płaszcz i kapelusz, panie Zappar ty? Zabieramy pana na przejażdżkę. 9. - Patrz, Nicky, jest - powiedział De Ruse, gdy zaparkowali w cieniu drzew pimentowych. - O, tam. Nikt się nim nie

zainteresował. Rozejrzyj się. Blondyn wysiadł z za kierownicy Packarda i odszedł pod drzewami. Przystanął na chodniku, po czym przemknął się na drugą stronę ulicy, do wielkiego Lincolna zaparkowanego przed murowaną kamienicą na North Kenmore. De Ruse nachylił się nad oparciem przedniego siedzenia i uszczypnął Francine Ley w policzek. - Pojedziesz teraz do domu, dziecinko... tą bryczką. Zobaczymy się później. - Johnny - szepnęła chwytając go za ramię. - Co chcesz zrobić? Na miłość boską, nie masz już dosyć na dzisiaj? - Jeszcze nie, maleńka. Pan Zapparty chce nam opowiedzieć to i owo. Coś mi się widzi, że przejażdżka w tej komorze gazowej rozwiąże mu język. Zresztą i tak ta gablota będzie mi potrzebna jako dowód rzeczowy. Zerknął z ukosa na gangstera, skulonego na tylnym siedzeniu przy drzwiach. Zapparty chrząknął ochryple, gapiąc się przed siebie z ponurą miną. Nicky wrócił i oparł nogę na stopniu Packarda. - Nie ma kluczyków - powiedział. - Zabrałeś? - Jasne. - De Ruse wyciągnął kluczyki z kieszeni i podał je blondynowi. Nicky przeszedł na drugą stronę wozu i otworzył drzwiczki. - Wysiadaj pan. Zapparty wysiadł sztywno. Stał na lekko zacinającym deszczu, mamrocząc coś pod nosem. De Ruse wysiadł za nim. - No jedź, dziecinko. Francine Ley przesunęła się za kierownicę i przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik zaskoczył z cichym pomrukiem. - Na

razie, dziecinko - powiedział Johnny łagodnie. -
Czekaj na mnie i wygrzej mi pantofle. I jeszcze jedno, skarbie. Bądź tak dobra i nie dzwoń do nikogo. Packard odjechał ciemną ulicą pod drzewami pimentowymi. De Ruse spoglądał za nim, póki nie skręcił w przecznicę, i szturchnął gangstera łokciem.- Idziemy. Tym razem ty się przejedziesz swoim samochodem na tylnym siedzeniu. W przegrodzie jest dziura, więc nie wpuścimy ci tyle gazu, ile byś my chcieli, ale i tak ci się spodoba. Pojedziemy gdzieś za miasto. Mamy przed sobą całą noc. - Zdajecie sobie sprawę z tego, że to jest porwanie? - wykrztusił Zapparty ochryple. - Wolę o tym nie myśleć - zadrwił De Ruse. Przeszli na drugą stronę ulicy - trzech mężczyźni, którym się nigdzie nie spieszy. Nicky otworzył nie uszkodzone tylne drzwiczki Lincolna. Zatrzasnął je za gangsterem, usiadł za kierownicą i włożył kluczyk do stacyjki. De Ruse zajął miejsce obok niego, trzymając między nogami pojemnik z gazem. Zapach migdałów wciąż unosił się w samochodzie. Nicky ruszył, zawrócił nie dojeżdżając do skrzyżowania i pojechał na północ, ku alei Franklina, a potem przez Los Feliz w kierunku na Glendale. Wkrótce Zapparty pochylił się i zabębnił w przegrode. De Ruse przysunął ucho do dziury za głową Nicky'ego. - Kamienny dom... - wykrztusił Zapparty ochryple. - Na Castle Road... w strefie powodzi w La Crescenta. - Patrz pan, jaki mięczak - mruknął Nicky, nie

odrywając wzroku od szosy. De Ruse pokiwał głową. - Coś w tym musi być - powiedział w zamyśleniu. - Jeżeli puszcza farbę po śmierci Parisiego, to widać liczy, że się jakoś wywinie. - Ja tam na jego miejscu wolałbym dostać po pysku, ale trzymać gębę na kłódkę - oświadczył Nicky. - Przypał mi, Johny. De Ruse przypalił dwa papierosy i podał jednego blondynowi. Rzucił okiem na długą postać Zapparty'ego, skuloną w rogu samochodu. Światło przydrożnej latarni omiotło gangstera, uwydatniając głębokie cienie na jego napiętej twarzy. Limuzyna bezszelestnie minęła Glendale, pokonała wzniesienie prowadzące do Montrose, a stamtąd przez Sunland wyjechała na niemal wyludnioną strefę powodzi w La Crescenta. Odnaleźli Castle Road i skręcili w stronę gór. Po kilku minutach dotarli do kamiennego domu. Stał z dala od szosy, na rozległym terenie, gdzie kiedyś był pewnie trawnik. Teraz jednak zalegał tam tylko ubity piach, kamienie i kilka wielkich głazów. Tuż przed parcelą droga zakręcała pod kątem prostym, a dalej kończyła się gładką betonową krawędzią - pozostałością powodzi w dniu Nowego Roku, 1934. Była to granica zasięgu głównej fali powodzi. Za nią rozciągało się pustkowie usiane olbrzymimi głazami, pośród których rosły jakieś krzewy. Na samej krawędzi sterczało samotne drzewo, wystawiające połowę korzeni dwa i pół metra ponad teren

nawiedzony przez powódź. Nicky zahamował, wygasił światła i podał Johnny'emu wielką, niklowaną latarkę, którą wyciągnął z kieszeni w drzwiach samochodu. De Ruse wysiadł. Przez chwilę stał oparty jedną ręką o drzwi Lincolna; w drugiej miał latarkę. Sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął rewolwer i opuścił rękę, trzymając broń tuż przy boku. - Wpuścił nas chyba w maliny - powiedział. - Na mój gust nie ma tu żywego ducha. Zerknął na Zapparty'ego, uśmiechnął się zjadliwie i ruszył po zwałach piasku w stronę domu. Podszedł do rogu budynku, trzymając się - na ile to możliwe - z dala od uchylonych, zaklinowanych przez piach drzwi. Przemknął się wzdłuż bocznej ściany, spoglądając na zabite deskami okna. W żadnym nie dojrzał przebłysków światła. Na tyłach domu stał kurnik. Kupa zardzewiałego żelastwa w zgniecionym garażu była jedyną pozostałością po rodzinnym samochodzie. Tylne drzwi budynku były zabite deskami tak samo jak okna. De Ruse stał na deszczu, zastanawiając się, dlaczego frontowe drzwi są otwarte. Przypomniawszy sobie, że zaledwie przed kilkoma miesiącami wystąpiła tu następna powódź, już nie tak groźna, lecz jak widać dostatecznie duża, by woda otworzyła drzwi z tej strony domu, która wychodziła na góry. Na sąsiednich parcelach majaczyły w ciemności dwa opuszczone, pokryte stiukami domy. Nieco dalej od nurtu powodzi, na niewielkim wzniesieniu,

palilo się światło w oknie. Było to jedyne światło w zasięgu wzroku Johnny'ego. Wrócił przed front budynku, wśliznął się przez otwarte drzwi i stanął, wyteżając słuch. Po dłuższej chwili zapalił latarkę. Dom wcale nie pachniał domem, pachniało w nim jak na dworze. We frontowym pokoju był tylko piasek i kilka połamanych mebli. Tam, gdzie nie doszła woda, widniały na ścianach ślady po obrazach. Przeszedł korytarzykiem do kuchni. W miejscu, gdzie kiedyś stał zlewozmywak, straszyla teraz dziura w podłodze, zatkana przerdzewiałym gazowym piecykiem. Wszedł do sypialni. Jak dotąd, nie dobiegł go najlżejszy szelest. Sypialnia była kwadratowa, ciemna. Podłogę oblepiał sztywny od zaschniętego błota dywan. Poplamiony materac leżał krzywo na zardzewiałych sprężynach metalowego łóżka. Spod łóżka wystawały stopy. Duże stopy, w brązowych pantoflach z juchtowej skóry i fioletowych skarpetkach. Po bokach skarpetek biegł szary szlaczek. Nad nim widać było spodnie w czarno-białą pepitkę. De Ruse znieruchomiał, oświetlając latarką stopy pod łóżkiem. Cmoknął cicho. Przez dłuższą chwilę stał jak wryty. Potem ustawił latarkę na podłodze, tak że odbity od sufitu promień zalewał cały pokój mrocznym światłem. Ściągnął materac z łóżka. Nachylił się i dotknął ręki leżącego. Była zimna jak lód. Chwycił tru pa za nogi i pociągnął, ale mężczyzna był duży i ciężki. Łatwiej było

usunąć znad niego łóżko. 10. Zapparty odchylił zwróconą na bok głowę na oparcie siedzenia i zamknął oczy. Zaciskał powieki, usiłując odwrócić się jak najdalej od światła wielkiej latarki. Nicky przyciskał mu latarkę do twarzy i monotonnie zapalał ją i gasił, zapalał i gasił w jednos tajnym rytmie. De Ruse, z nogą na stopniu samochodu, stał przy otwartych drzwiczkach, przebijając wzrokiem deszcz i mrok. Na horyzoncie błysnęły słabo światła pozycyjne samolotu. - Nigdy nie wiadomo, co na kogo podziała - stwierdził Nicky obojętnie. - Widziałem raz faceta, co pękł, jak mu gliniarz przejechał paznokciem po dołeczku w brodzie. De Ruse roześmiał się cicho. - Ten jest twardy - powiedział. - Musisz wymyślić coś lepszego niż świecenie po oczach. Nicky zapalał latarkę i gasił, zapalał i gasił. - Czemu nie? - odparł. - Ale nie chcę sobie ubabrać rąk. Wkrótce Zapparty podniósł dłonie do oczu, opuścił je i zaczął gadać. Mówił niskim, monotonnym głosem, zaciskając powieki przed ostrym światłem:- Parisi sam zorganizował to porwanie. Ja się o tym dowiedziałem dopiero po fakcie. Przyssał się do mnie z miesiąc temu, z dwoma gorylami do pomocy. Dowiedział się jakoś, że Candless podjął się obrony mojego przyrodniego brata w sprawie o morderstwo i że wycyckał ze mnie dwadzieścia pięć kawałków, a chłopaka wystawił do wiatru. Ja mu tego nie mówiłem. Do dziś nie miałem pojęcia, że on o tym wie.

Przyszedł do klubu o siódmej, może trochę później, i powiedział: "Mamy twojego przyjaciela Candlessa. Robota za sto patoli, z rączki do rączki. Ty masz tylko pomóc rozprować szmal... przy stołach, zmieszany z inną forszą. Musisz to zrobić, odpalimy ci za to działkę, a jakby co nawaliło, ten numer i tak pójdzie na twoje konto". To wszystko. Potem siedział u mnie, gryzł paluchy i czekał na swoich chłopaków. Nieźle się wkurzył, jak nie przyjechali. Wszedł raz zadzwonić z piwiarni. De Ruse zaciągnął się papierosem, osłaniając go dłonią przed deszczem. - Kto nadał robotę i skąd wiedziałeś, że Candless jest tutaj? - zapytał. - Mops mi powiedział. Ale nie wierzyłem, że nie żyje. Nicky roześmiał się i kilkakrotnie zamrugał szybko latarką. - Nie gaś przez chwilę - rzekł Johnny. Nicky oświetlił białą twarz gangstera. Zapparty poruszył ustami. Na chwilę otworzył oczy. Były martwe jak spojrzenie śniętej ryby. - Zimno tu jak cholera - stwierdził blondyn. - Co zrobimy z jego dostojnością? - Weźmiemy go do domu i przywiążemy do Candlessa - odparł Johnny. - Ogrzeją się nawzajem. Wrócimy rano, może będzie miał już jakieś nowe pomysły. Zapparty wzdrygnął się. Coś - być może łza - błysnęło mu w kącie oka. Po chwili przerwał milczenie: - Zgoda, to ja wszystko zaplanowałem. Samochód z gazem to był mój pomysł. Nie chodziło mi o forszę. Chciałem dostać Candlessa, chciałem, żeby

**zdechł. W zeszły piątek powiesili w Quentin mo
jego młodszego brata. Zapadła cisza. Nicky
mruknął coś pod nosem. De Ruse nie poruszył
się, nie odezwał. - Mattick, szofer Candlessa, też
brał w tym udział - ciągnął Zapparty. -
Nienawidził go. Miał pojechać tym
podstawionym samochodem, żeby wszystko było
na cacy, a potem prysnąć. Ale za bardzo się zalał
przed robotą, więc Parisi sprzątnął go na
wszelki wypadek. Kto inny prowadził wóz. Na
szczęście akurat padało, co ułatwiło sprawę. -
Już lepiej, Zapparty... ale to jeszcze nie wszystko
- rzekł Johnny. Gangster szybko wzruszył
ramionami i otworzył na chwilę oczy. Omal się
nie uśmiechnął. - Chcę mieć dowody na tego
cwaniaczka, co kazał mnie porwać - wyjaśnił De
Ruse. - Ale nie ma sprawy. Sam to załatwię.
Zdjął nogę ze stopnia i pstryknął niedopałkiem
w ciemność. Zatrzasnął drzwiczki i usiadł z
przodu. Nicky odłożył latarkę, wsunął się za
kierownicę i zapalił silnik.- Wysadź mnie gdzieś,
skąd będę mógł zadzwonić po taksówkę, Nicky.
Pojeźdź z nim jakąś godzinę, a potem
zadzwoń do Franczy. Zostawię ci u niej
wiadomość. Blondyn pokręcił głową powoli. -
Lubię cię, Johnny, dobry z ciebie kumpel. Ale i
tak już zabrnęliśmy za daleko. Jadę przekazać
to do centrali. Nie zapominaj, że pod starymi
koszulami trzymam w domu licencję
prywatnego detek tywa. - Daj mi godzinę, Nicky
- poprosił De Ruse. - Tylko jedną godzinę.**

Samochód zjechał ze wzgórza, przeciął Sunland Highway i skierował się w dół, ku Montrose. W końcu Nicky powiedział: - Zgoda. 11. Zegar na ladzie recepcji w hallu Casa de Oro wskazywał pierwszą dwanaście. Hall utrzymany był w stylu wczesnokolonialnym - czerwono-czarne indiańskie pledy, nabijane ćwiekami krzesła ze skórzanymi poduszkami, zdobionymi na rogach skórzaną frędzlą; szarozielone drzwi z drewna oliw kowego wyposażono w ciężkie zawiasy z kutego żelaza. Szczupły, wytworny recepcjonista z wypomadowanym blond wąsem i misternie ułożoną blond fryzurą oparł się o ladę, spojrzął na zegar i ziewnął, stukając w zęby błyszczącymi paznokciami. Otworzyły się drzwi od ulicy i wszedł De Ruse. Zdjął kapelusz, potrząsnął nim, nałożył go z powrotem i zgiął rondo w dół. Powoli ogarnął wzrokiem wyludniony hall, podszedł do recepcjonisty i uderzył w ladę dłonią w rękawiczce. - Pod jakim numerem mieszka Hugo Candless? - zapytał. Recepcjonista był wyraźnie zirytowany. Zerknął na zegar, na twarz De Ruse'a i znowu na zegar. Uśmiechnął się lekceważąco. - Dwanaście C - odparł z lekkim obcym akcentem. - Chce pan, żebym pana zapowiedział... o tej porze? - Nie. Johnny odwrócił się i skierował się do szerokich drzwi ze szklaną taflą w kształcie rombu, które sprawiały wrażenie, że prowadzą do wytwornej wygodki. W chwili gdy sięgał do klamki, usłyszał za sobą ostry dzwonek. Obejrzał się przez ramię

i zawrócił. Recepcjonista szybko zdjął rękę z dzwonka. - To nie taki hotelik, jak pan myśli, jeśli łaska. - Jego głos był zimny, sarkastyczny, bezczelny. Na policzkach De Ruse'a wystąpiły dwie ciemne plamy. Johnny przechylił się, chwycił recepcjonistę za obszytą galonem klapę kurtki i przyciągnął go do lady. - Mówiłeś coś, lala? Recepcjonista zbladł, lecz zdołał jeszcze trącić dzwonek trzepoczącą ręką. Zza rogu recepcji wyszedł pękaty mężczyzna w luźnym garniturze i peruce o barwie laku. - Hej! - powiedział, wyciągając tłusty paluch. De Ruse puścił recepcjonistę. Spojrzał beznamiętnie na popiół z cygara na marynarce pękatego. - Jestem detektyw hotelowy - wyjaśnił pękaty. - Chcesz rozrabiać, to zgłoś się do mnie. - Mówimy tym samym językiem. Chodź pan na stronę. Usiedli w rogu hallu, koło palmy. Pękaty uśmiechnął się sympatycznie, uniósł skraj peruki i pod rapał się po czaszce. - Nazywam się Kuvalick - powiedział. - Czasami sam bym mu chętnie przyłożył, jak mnie wnerwi, szwajcar jeden. W czym problem? - Potrafisz trzymać język za zębami? - Nie. Lubię gadać. To jedyna rozrywka na tym ranczu dla miastowych. - Kuvalick wyciągnął z kieszeni pół cygara i przypalił je niemal z własnym nosem. - Tym razem nie puścisz pary z gęby - rzekł Johnny. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyjął portfel, a z niego dwa banknoty dziesięciodolarowe. Okręcił je na palcu wskazującym, zwinął w

rulonik i wsadził pękatemu do kieszeni marynarki. Kuvalick zamrugał, ale nic nie powiedział. - W mieszkaniu Candlessa jest taki jeden facet, nazywa się George Dial - wyjaśnił De Ruse. - Je go samochód stoi na ulicy, więc musi tam być. Muszę się z nim zobaczyć, ale nie chcę podawać na zwiska. Możesz mnie tam zaprowadzić i zostać ze mną, póki nie wyjdę. - Trochę późno - zauważył ostrożnie pękaty. - Może już być w łóżku. - Jeśli nawet, to nie w swoim. Powinien wstać. Pękaty podniósł się z miejsca. - Nie podoba mi się to, co mi chodzi po głowie, ale podobają mi się twoje dychy - oświadczył. - Przejdę się zobaczyć, czy nie śpią. Ty siedź tutaj. Johnny skinął głową. Kuvalick ruszył wzdłuż ściany do drzwi w rogu hallu. Spod marynarki wy stawał mu kawałek topornego olstra na biodrze. Recepcjonista odprowadził go wzrokiem, spojrzął pogardliwie na De Ruse'a i wyciągnął pilnik do paznokci. Minęło dziesięć minut, piętnaście, Kuvalick nie wracał. Johnny wstał raptownie, zmarszczył brwi i pomaszerował do drzwi w rogu. Recepcjonista zeszywniał, spojrzął na telefon przed sobą, ale go nie dotknął. De Ruse minął drzwi i znalazł się pod arkadami. Z pochyłych dachówek cicho kapwały krople de szczu. Przeszedł przez patio, którego środek zajmowała podłużna sadzawka, obramowana barwną mozaiką. Za nią odchodziły na boki inne patia. Na końcu, po lewej stronie, widać

było światło w oknie. De Ruse zdał się na los szczęścia i ruszył ku niemu. Dopiero z bliska odczytał numer na drzwiach: 12C. Wszedł po dwóch schodkach i trącił dzwonek, który zabrzączał w oddali. Bez skutku. Po chwili zadzwonił jeszcze raz i nacisnął klamkę. Zamknięte. Zdawało mu się, że słyszy dolatujący z mieszkania cichy stukot. Przez chwilę stał na deszczu, po czym okrążył róg domku i wąskim, mokrym przejściem dotarł na tyły budynku. Sprawdził drzwi kuchenne - także zamknięte. Zaklął, wyciągnął spod pachy rewolwer, przyłożył kapelusz do szyby w drzwiach i uderzył w nią kolbą broni. Szkło z cichym brzękiem wpadło do kuchni. Schował rewolwer, nałożył kapelusz i wsadził rękę w wybity otwór, by odsunąć rygiel. Kuchnia była duża, jasna, wyłożona glazurą w czarno-żółtą szachownicę. Wyglądała, jak gdyby korzystano z niej głównie do mieszania koktajli. Na suszarce z kafelków stały dwie butelki whisky Haig and Haig, brandy Hennessy i jeszcze trzy lub cztery oryginalne flaszki. Krótki korytarz kończył się drzwiami prowadzącymi do salonu. W rogu stał fortepian, a obok niego paliła się lampa. Druga lampa stała na niskim stoliku, wśród alkoholu i szklanek. Na kominku dogasały polana. Stukot przybrał na sile. De Ruse przeszedł przez obramowane frędzlą drzwi do drugiego korytarza, a stamtąd do wyłożonej dywanami boazerii sypialni. Stukot dobiegał z szafy w

ścianie. Johnny otworzył ją i ujrzał jakiegoś mężczyznę. Z twarzą owiniętą ręcznikiem, siedział na podłodze, wciśnięty w gąszcz sukienek na wieszakach. Drugi ręcznik krępował mu nogi w kostkach. Ręce miał związane na plecach. Był kompletnie łysy, zupełnie jak krupier z klubu "Egipt". De Ruse patrzył na niego nieprzyjaźnie. Nagle z szerokim uśmiechem pochylił się i oswobodził go z więzów. Mężczyzna wypluł myjkę do naczyń, zaklął chrapliwie i zniknął wśród ubrań w głębi szafy. Wrócił ściskając w ręku coś puszystego. Doprowadził to coś do porządku i nadział na łysą głowę. W jednej chwili przeobraził się w Kuvalicka, detektywa hotelowego. Wciąż syjąc przekleństwami, wstał i odsunął się od De Ruse'a z wymuszonym, czujnym uśmiechem na tłustej twarzy. Prawą rękę poderwał do olstra na biodrze. Johnny rozłożył ręce. - Opowiadaj - polecił, siadając na małym, krytym perkalem podnóżku. Przez chwilę Kuvalick gapił się na niego w milczeniu. W końcu cofnął rękę z olstra. - Widzę światło, no to dzwonię - rozpoczął. - Otwiera wysoki, ciemny facet. Znam go, często się tu kręcił. To Dial. Mówię mu, że mam w hallu gościa, co chce się z nim spotkać na osobności, ale nie chce podać nazwiska. - Toś pograł jak ostatni osioł - skomentował sucho De Ruse. - Fakt, ale trochę później - przyznał Kuvalick z uśmiechem i wypluł strzępy materiału. - Opisuję cię. Teraz dopiero

wychodzę na osła. Tamten uśmiecha się tak jakoś dziwnie i zaprasza mnie do środka. Przechodzę obok niego, a on zamyka drzwi i pakuje mi gnata w nery. "Mówisz, że jest ubrany cały na czarno?" - pyta. "Tak - odpowiadam - a na co to kopyto?". "Ma szare oczy, kręcone czarne włosy i twardo mu patrzy z pyska?" - pyta dalej. A ja: "Tak, sukinsynu, ale na co to kopyto?". "A na to" - mówi i wali mnie nim od tyłu w globus. To ja klap na podłogę, miękki w nogach, ale przytomny. Wtedy wchodzi babka Candlessa, wiążą mnie, pakują do szafy, i tyle. Jeszcze chwilę słyszę, jak się tu kręcą, a potem cisza. I to wszystko, pókiś nie zadzwonił. De Ruse uśmiechnął się leniwie, sympatycznie. Siedział zupełnie odprężony. Z jego zachowania przebijała opieszałość, jak gdyby miał czasu pod dostatkiem. - Wyparowali - stwierdził cicho. - Dostali cynk. Moim zdaniem nie był to najlepszy pomysł. - Jestem tajniak ze szkoły starego Wellsa Fargo - oświadczył Kuvalick. - Zniosę każdy szok. Co takiego zmajstrowali? - Jaka ona jest, ta pani Candless? - Ciemna, przystojna. Jak to się mówi, niedopieczona. Trochę jakby przechodzona i przepita. Co trzy miesiące zmieniają szofera. Tu, w Casa, też sobie upodobała paru facetów. No i tego żigo laka, co mnie stuknął w globus. De Ruse spojrział na zegarek, skinął głową i pochylił się, wstając. - Chyba już czas na mundurowych. Masz jakiegoś znajomka, któremu chciałbyś

sprzedać matę riał o porwaniu? - Nie tak prędko - powiedział czyjś głos. George Dial wszedł szybko do sypialni i stanął, ściskając w garści długi, wąski pistolet z tłumikiem. W jego błyszczących oczach czaił się obłęd, lecz poźółkły palec na spuście ani drgnął. - Nie wyparowaliśmy - ciągnął. - Nie byliśmy jeszcze gotowi. Ale wy moglibyście wyparować jak kamfora... to wcale niezły pomysł. Tłusta dłoń Kuvalicka śmignęła do olstra na biodrze. Pistolet z czarnym cylindrem na lufie wydał dwa głuche, stłumione trzaski. Z przodu marynarki Kuvalicka poderwał się szary obłoczek. Detektyw gwałtownie rozpostarł ręce, a jego oczy wyskoczyły z orbit jak nasiona z pękającego strąka. Osunął się ciężko na podłogę. Leżał na boku, oparty plecami o ścianę, z przymkniętymi oczami i zsuniętą na bakier peruką. De Ruse zerknął na niego i z powrotem przeniósł wzrok na Diala. Jego twarz nie zdradzała śladu emocji, żadnego podniecenia. - Jesteś skończonym idiotą, Dial. Pogrzebałeś swoją ostatnią szansę. Mogłeś się z tego wykręcić. Chociaż to nie jedyny twój błąd. - Fakt - przyznał Dial spokojnie. - Teraz to widzę. Nie powinieneś napuszczać na ciebie chłopaków. Zrobiłem to ot tak, dla draki. Tak to bywa, jak człowiek nie jest zawodowcem. Johnny pokiwał głową. Patrzył na Diala niemal przyjaźnie. - A tak przez ciekawość... kto ci dał cynk, że wszystko wzięło w łeb? - Francy...

choć mogła się z tym, cholera jedna,
pośpieszyć! - warknął Dial z wściekłością. -
Wyjeżdżam, więc na razie nie będę jej mógł
podziękować. - Ani teraz, ani nigdy. Nie uda ci
się przekroczyć granicy stanu. Nie zo baczysz
złamanego grosza z forsy starego. Ani ty, ani
twoi kołesie, ani twoja babka. Gliny już wiedzą
o wszystkim... spisują właśnie zeznania. - Damy
sobie radę. Mamy za co pojeździć po świecie.
Żegnaj, Johnny. Twarz Diała stwardniała;
wycelował broń. De Ruse przymknął oczy,
gotując się na najgorsze. Pistolet nie wypalił. Za
plecami Diała coś zaszeleściło i do sypialni
weszła wysoka, śniada kobieta w szarym futrze i
małym kapelusiku przykrywającym związane
na karku ciemne włosy. Krucha i mi zerna, była
na swój sposób ładna. W zestawieniu z bielą
policzków szminka na jej ustach wydawała się
czarna jak smoła. Zimny, leniwy głos nie
pasował do malującego się na jej twarzy
napięcia. - Kto to jest Francy? - zapytała
lodowatym tonem. Johnny otworzył szeroko
oczy, zeszywniał, a jego prawa ręka
powędrowała ku piersi. - Francy to moja
dziewczyna - wyjaśnił. - Pan Dial chciał mi ją
zabrać. Ale nie ma sprawy. Przy stojny z niego
chłopak, to i wie, jak przygadać sobie panienkę.
Kobietę ogarnęła ślepa furia; jej twarz nagle
pociemniała. Z wściekłością uczepliła się ręki
Diała - tej, w której trzymał pistolet. Johnny
błyskawicznie sięgnął pod pachę, wyrwał swoją

trzydziestkę ósemkę. Ale to nie jego rewolwer wypalił. Pistolet z tłumikiem Diała też milczał. To zagrzmiał olbrzymi colt rodem z Dzikiego Zachodu, o dwudziestocentymetrowej lufie, którego huk przypominał eksplozję bomby. Wystrzelił z podłogi, sponad prawego biodra Kuvalicka, gdzie trzymała go tłusta dłoń detektywa. Wypalił tylko raz. Diał, jakby pchnięty ręką olbrzyma, poleciał do tyłu i uderzył głową w ścianę. Jego śniadą, przystojną twarz natychmiast zalala krew. Osunął się bezwładnie po ścianie, wypuszczając pistolet z czarnym cylindrem na lufie. Kobieta rzuciła się na podłogę, na czworakach szukając broni przed rozciągniętym ciałem. Złapała ją, uniosła. Jej twarz zmieniała się nie do poznania. Wykrzywione wargi odsłaniały błyszczące, wąskie wilcze zęby. - Jestem twardy - powiedział głos Kuvalicka. - Byłem tajniakiem u Wellsa Fargo. Olbrzymia armata zagrzmiała po raz drugi. Z ust kobiety wyrwał się przeraźliwy krzyk. Rzuciło nią o Diała. Leżała bez ruchu, otwierając oczy i zamykając, otwierając i zamykając. Pobladła twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu. - Dostała w ramię. Nic jej nie będzie - stwierdził Kuvalick, dźwigając się na nogi. Rozpiął marynarkę i poklepał się po piersi. - Kamizelka kuloodporna - oświadczył z dumą. - Ale woląłem poleżeć trochę spokojnie, żeby mi nie wygarnął w twarz. 12. Francine Ley ziewnęła, prostując długą, osłoniętą zieloną

piżamą nogę i przyglądając się wąskiemu, zielonemu pantofelkowi na bosej stopie. Ziewnęła znowu, wstała i przeszła nerwowo przez pokój do biurka w kształcie nerki. Nalała sobie szklaneczkę, wypila szybko i wzdrygnęła się nerwowo. Twarz miała ściągniętą, zmęczoną, a oczy zapadnięte, podkrążone. Spojrzała na maleńki zegarek na ręku. Dochodziła czwarta rano. Spłoszona nagłym dźwiękiem, nie opuszczając ręki okręciła się na pięcie. Zwrócona plecami do biurka oddychała szybko, łapczywie. Zza czerwonej zasłony wszedł do salonu De Ruse. Zatrzymał się i spojrzał na dziewczynę pus tym wzrokiem. Bez pośpiechu zdjął kapelusz, płaszcz i rzucił je na fotel. Ściągnął marynarkę, odpiął brązową kaburę na szelkach i podszedł do butelek. Powąchał szklankę, nalał whisky do jednej trzeciej wysokości naczynia i wypił jednym haustem. - Musiałaś dać cynk tej gnidzie? - odezwał się ponuro, wpatrzony w dno pustej szklanki. - Tak - odparła Francine Ley. - Musiałam do niego zadzwonić. Co się stało? - Musiałaś zadzwonić do tej gnidy - powtórzył tym samym tonem. - Chociaż doskonale wiedział, że maczał w tym palce. Woliałaś, żeby mnie sprzątnął, byleby się wywinął. - Nic ci się nie stało, Johnny? - szepnęła zmęczonym głosem. Nie odpowiedział, nie spojrzał na nią. Powoli odstawił szklankę, nalał whisky, rozcieńczył ją wodą sodową i rozejrzał się za lodem. Nie znalazłszy go, upił

łyk, wpatrując się w biały blat biurka. - Ty każdemu przeciwnikowi powinienes dawać fory, Johnny - stwierdziła dziewczyna. - Każ dego, kogo znam, musiałabym uprzedzić, choć nic by mu z tego nie przyszło. - Pięknie - odparł. - Tyle że aż taki dobry to ja nie jestem. Gdyby nie tajniak hotelowy żywcem wyjęty z komiksu, co nosi do roboty armatę i kuloodporną kamizelkę, byłbym już sztywny. - Mam się wynieść? - spytała po dłuższej chwili. Posłał jej szybkie spojrzenie i odwrócił wzrok. Postawił szklanę i odszedł od biurka. - Nie, dopóki jesteś ze mną szczerza - rzucił przez ramię. Usiadł w głębokim fotelu, oparł łokcie na poręczach i ukrył twarz w dłoniach. Francine spoglądała na niego przez chwilę, zbliżyła się i przysiadła na poręczy. Delikatnie przechyliła jego głowę do tyłu, na oparcie, i zaczęła masować mu czoło. De Ruse zamknął oczy. Rozluźnił się i odprężył. - W "Egipcie" uratowałaś mi chyba życie - powiedział sennym głosem. - Więc pewnie miałaś prawo dać teraz szansę przystojniakowi. Dziewczyna bez słowa masowała mu czoło. - Przystojniak nie żyje - ciągnął De Ruse. - Platfus odstrzelił mu twarz. Jej ręka znieruchomiała. Po chwili znów masowała mu czoło. - Żona Candlessa też maczała w tym palce. Babka z temperamentem, szkoda gadać. Chciała mieć szmal Huga, a do kompletu wszystkich mężczyzn na świecie z wyjątkiem niego. Bogu dzięki, że się nie przekręciła. Śpiewała aż miło.

Zapparty też. - Tak, kochanie - szepnęła Francine Ley. De Ruse ziewnął. - Candless nie żyje. Kiedy się w to włączyliśmy, był już martwy. O to im właśnie chodziło... chcieli go ukatrupić. Parisi miał to gdzieś, byleby tylko dostał forszę. - Tak, kochanie - powtórzyła. - Resztę opowiem ci rano - powiedział De Ruse ochryple. - Nicky i ja chyba wyszliśmy z tego czyści... Jedźmy do Reno, pobierzemy się... Mam dość tego życia na kocią łapę... Nalej mi jeszcze szklaneczkę, dziecinko. Francine Ley nie ruszyła się z miejsca. Miętko, kojąco przesuwiała palcami po jego czole i skroniach. Osunął się w fotelu. Głowa opadła mu na bok. - Tak, kochanie. - Nie mów do mnie "kochanie". Mów mi "frajerze". Gdy zasnął na dobre, wstała z poręczy i usiadła przed nim na podłodze. Siedziała bez ruchu, pa trząc na niego, z głową podpartą smukłymi, delikatnymi dłońmi o wiśniowych paznokciach. Wpadka na Noon Street 1. Przytulona para minęła powoli wyblakły, malowany szyld z napisem "Hotel Niespodzianka". On nosił fioletowy garnitur i panamę na tłustych, gładko zaczesanych włosach. Szedł bezszelestnie, płasko stawiając stopy. Ona - wystrojona w zielony kapelusz, krótką spódniczkę i cienkie pończochy - stukała na dzie sięciocentymetrowych szpilkach. Roztaczała zapach perfum "Nocny narcyz". Na rogu mężczyzna pochylił się i szepnął jej coś do ucha. Odskoczyła chichocząc. - Kup wpierw

gorzałkę, Skowronek, jak chcesz mnie zabrać na chatę. - Innym razem, mała. Właśnie żem się splukał do cna. Jej głos stwardniał. - To pożegnamy się przy najbliższej przecznicy, przystojniaczku. - A takiego! - odparł. Światła na skrzyżowaniu padały wprost na nich. Przeszli przez jezdnię osobno, z dala od siebie. Po drugiej stronie ulicy mężczyzna chwycił kobietę za rękę. Wyrwała się. - Łapy przy sobie, szulerze od siedmiu boleści! - krzyknęła przenikliwie. - Taki palant to dla mnie śmierć, rozumiesz! Bujaj się! - A dużo oliwy ci trzeba? - Dużo. - Skąd ja ci ją wytrzasnę, jak się zgrałem do czysta? - A od czego masz ręce? - zadrwiła, już nie tak przenikliwym głosem. Przysunęła się do niego. - Spluwę pewnie też masz, co, ważniaku? Powiedz, masz spluwę? - Mowa. Tylko że bez kulek. - Ale te trutnie z Central o tym nie wiedzą. - Co to, to nie - burknął mężczyzna w fioletowym garniturze. Nagle strzelił palcami i zeszywniał. - Czekaj no, mam pomysł. Przystanął i obejrzał się na wyblakły szyld hotelu za skrzyżowaniem. Dziewczyna pieszczotliwie trzepnęła go rękawiczką w policzek. Powiało mu "Nocnym narcyzem". Znow pstryknął palcami i uśmiechnął się szeroko w mrocznym świetle ulicy. - Wytrzasnę... jeżeli ten pijus kibluje jeszcze u Doca. Zaczekasz na mnie, co? - Może, ale w domu. Jak się pośpieszysz. - W domu, to znaczy gdzie? Spojrzała na niego taksująco. W

kącikach jej pełnych ust zaigrał przelotny uśmiezek. Mężczyz na gwałtownie podniósł nogę, gdy strzęp gazety, uniesiony wiatrem z rynsztoka, przyczepił mu się do nogawki. - Calliope Apartments 4B, Wschodnia Czterdziesta Ósma 246 - wyjaśniła. - Kiedy przyjdiesz? Stanął tuż przed nią i poklepał się po tylnej kieszeni. - Czekaj na mnie, mała - przykazał cicho lodowatym tonem. Wciągnęła szybko powietrze i skinęła głową. - Nie bój nic, przystojniaczku. Zaczekam. Mężczyzna cofnął się wyboistym chodnikiem do skrzyżowania i dalej, do miejsca, gdzie nad chodnik wystawał malowany szyld. Pchnął szklane drzwi i wszedł do hallu, tak wąskiego, że stojące pod otynkowaną ścianą brązowe krzesła niemal tarasowały dostęp do recepcji. Urzędujący za ladą kompletnie łysy kolorowy siedział rozwalony na krześle i bawił się wpiętą w krawat szpilką z zielonym oczkiem. Murzyn w fioletowym garniturze nachylił się i błysnął zębami w przelotnym, twardym uśmiechu. Był bardzo młody: miał wąski, ostro zarysowany podbródek, niskie, kościste czoło i błyszczące, apa tyczne oczy gangstera. - Jest tu jeszcze ten osilek? - spytał cicho. - Ten zachrypnięty, co wieczorem zgarnął pulę w kości? Łysy za ladą przyjrzał się muchom na suficie. - Nie widziałem, żeby wychodził, Skowronek. - Nie o to pytałem, Doc. - Ano. Jeszcze jest. - Dalej zalany? - Pewnie tak. Nie ruszał się z numeru. -

Trzy czterdzieści dziewięć, zgadza się? - Byłeś tam już, co? Na co ci to wiedzieć? - Orznął mnie do suchej nitki. Muszę wyciągnąć od niego trochę grosza. Łysy był wyraźnie zdenerwowany. Skowronek łagodnie patrzył na zielony kamień w jego spin ce. - Spylaj, Skowronek. U nas gości się nie okrada. Nie jesteśmy hołotą z Central Avenue. - Doc, to jest mój kumpel - szepnął chłopak. - Pożycz mi ze dwie dychy. Odpalę ci połowę. Wyciągnął otwartą dłoń. Recepcjonista przyglądał jej się przez chwilę, po czym z cierpką miną kiwnął głową, wszedł za szklaną przegrodę i wrócił powoli, zerkając na drzwi od ulicy. Wysunął rękę nad otwartą dłoń, która zamknęła się na kluczu uniwersalnym i zniknęła w kieszeni taniego fioletowego garnituru. Skowronek błysnął zębami w lodowatym uśmiechu. - Idę na górę, Doc... a ty uważaj. - Pośpiesz się. Niektórzy wcześniej wracają. - Recepcjonista obrzucił wzrokiem zieloną tarczę zegara elektrycznego na ścianie. Było piętnaście po siódmej. - A ściany tu są cieniutkie - dorzucił. Chudy chłopak jeszcze raz błysnął zębami, skinął głową i ostrożnie przeszedł przez hall do nieoświetlonych schodów. W hotelu "Niespodzianka" nie było windy. Minutę po siódmej Pete Anglich, tajniak z brygady antynarkotykowej, przekręcił się na twardym łóżku i spojrzął na tani ręczny zegarek. Oczywiście miał silnie podkrążone, a brodę pokrytą gęstą,

czarną szczeciną. Był w lichej bawełnianej piżamie. Opuścił bose stopy na podłogę, wstał i napiął mięśnie. Przeciągnął się, pochylił z jękiem i nie zginając kolan, dotknął palcami podłogi. Podeszedł do zniszczonej komody i łyknął z litrowej flaszki taniej żytniej. Skrzywił się, wepchnął korek w szyjkę butelki i wbił go do końca otwartą dłonią. - Ludzie, ale mam kaca! - wymamrotał ochryple. Przejrzał się w lustro nad komodą - zobaczył zarośniętą twarz i szeroką białą bliznę na szyi, ko ło tchawicy. Blizna ta oraz chrypka były pozostałością po kuli, która uszkodziła mu struny głosowe. A jednak jego głos, choć chrapliwy, był aksamitny jak u wokalisty bluesowego. Rozebrał się do naga i stanął na środku pokoju, palcami stóp skubiąc nierówną krawędź wielkiej dziury w dywanie. Szerokie bary sprawiały, że wydawał się niższy niż w rzeczywistości. Garbił się lekko, miał szeroki nos, a skóra na jego policzkach wyglądała jak wyprawiona. Miał też krótko obcięte, kędzierzawe czarne włosy, pewne spojrzenie i małe, zaciśnięte usta, zdradzające bystrość umysłu. Ruszył do ciemnej, brudnej łazienki, wszedł do wanny i odkręcił prysznic. Przez chwilę stał w strumieniach ledwo letniej wody, po czym namydlił się, wyszorował, rozmasował mięśnie i splukał mydliny. Ściągnął z wieszaka brudny ręcznik i zaczął trzeć skórę, aż się zaczerwieniła. Nagle przerwał, słysząc cichy odgłos za uchylonymi drzwiami łazienki.

Wstrzymał oddech i na stawiał uszu. Dźwięki powtórzyły się - skrzypnięcie deski w podłodze, suchy trzask, szelest materiału. Pete Anglich dotknął drzwi i otworzył je powoli. Przed komodą stał czarnuch w fioletowym garniturze i panamie. Trzymał marynarkę Anglicha. Na komodzie leżały dwa rewolwery - jednym z nich był stary, wysłużony colt Pete'a. Drzwi wejściowe były zamknięte. Koło nich, na dywanie, leżał klucz hotelowy, jak gdyby wypadł z zamka lub został wypchnięty od zewnątrz. Skowronek upuścił marynarkę na podłogę. W lewej ręce trzymał portfel; prawą sięgnął po colta. Uśmiechnął się szeroko. - Nie przeszkadzaj sobie, biały bracie - rzucił. - Wycieraj się dalej. Pete Anglich usłuchał. Wytarłszy się do sucha, stanął nagi, trzymając mokry ręcznik w lewej ręce. Skowronek wytrząsnął zawartość portfela na komodę i lewą ręką przeliczył pieniądze. W prawej wciąż ścisnął colta. - Osiemdziesiąt siedem papierków. Ładny grosz. Część z tego przegrałem do ciebie w kości, ale biorę wszystko, przyjacielu. Tylko spokojnie. Mam tu przody u kierownika.- Bądź człowiekiem, Skowronek wychrypiał Pete Anglich. - To moja cała forsa. Zostaw mi parę dolców, co? - Mówił celowo szorstkim, jakby przepitym głosem. Murzyn błysnął zębami, potrząsając wąską głową. - Nie mogę, przyjacielu. Zarwałem panienkę i potrzebuję szmalu. Anglich, uśmiechając się nieśmiało,

zrobił niedbale krok do przodu. Lufa colta drgnęła i wyce lowała w niego. Skowronek przesunął się bokiem i sięgnął po butelkę żytniówki. - To też mi się przyda. Moja mała lubi przepłukać gardziółko, oj, lubi. Co ci zostało w portkach, to twoje. Anglich uskoczył w bok. Twarz Murzyna wykrzywił grymas wściekłości. Poderwał broń, wy puszczając z ręki butelkę, która uderzyła go w stopę. Zawył, wierzgnął nogą i zawadził o dziurę w dywanie. Policjant zamachnął się mokrym ręcznikiem, celując w oczy czarnego. Ten zatoczył się i wrzasnął z bólu. Anglich złapał go za nadgarstek i wykręcił mu rękę, w której trzymał rewolwer. Lewa dłoń policjanta przesunęła się w dół, obejmując dłoń Skowronka z coltem. Lufa rewolweru dotknęła boku Murzyna. Zdradzieckie kopnięcie kolaniem trafiło policjanta w podbrzusze; omal nie zwymiotował. Odruchowo nacisnął palec Murzyna oparty na spuście colta. Fioletowy garnitur wytłumił głuchy huk wystrzału. Skowronek wywrócił oczy; wąska szczeka opadła mu bezwładnie. Anglich ułożył go na podłodze. Dysząc ciężko, przez chwilę stał schylony, z poszarzałą twarzą. Odszukał na podłodze butelkę whisky i wlał do gardła palący płyn. Niezdrowy kolor ustąpił z jego twarzy. Oddech wrócił do normy. Wierzchem dłoni otarł pot z czoła. Zbadał tętno chłopaka. Nie wyczuł pulsu. Skowronek nie żył. Anglich uwolnił broń z jego dłoni, podszedł do

drzwi i wyjrzał na korytarz. Pusty. W zamku od zewnątrz tkwił klucz uniwersalny. Poli cjan wyjął go i zamknął drzwi od środka. Włożył bieliznę, skarpetki i buty, potem znoszony garnitur z popeliny i zawiązał krawat pod wygniecionym kołnierzykiem koszuli. Z kieszeni zabitego wyciągnął zwitek banknotów. Wrzucił ubrania i kosmetyki do taniej fibrowej walizki i postawił ją koło drzwi. Wepchnął ołówkiem oderwany strzęp prześcieradła do lufy swojego colta, przeczyścił ją, wy mienił wystrzelony nabój na nowy, zgniótl obcasem pustą łuskę na podłodze łazienki, wrzucił ją do sedesu i spuścił wodę. Zamknął pokój od zewnątrz i zszedł schodami do hallu. Łysy recepcjonista zerknął na niego i spuścił wzrok. Twarz mu poszarzała. Pete Anglich oparł się o ladę. Gdy otworzył dłoń, dwa klucze z brzękiem upadły na porysowane drewno. Na ich widok recepcjonista wzdrygnął się. - Nie słyszałeś aby czegoś dziwnego? - zapytał Anglich powoli ochrypłym głosem. Łysy potrząsnął głową, przełykając ślinę. - Dzisiaj już grają gdzie indziej, co? - rzekł policjant. Recepcjonista z wysiłkiem poruszył głową, przekręcił szyję uwięzioną w ciasnym kołnierzyku. Jego ciemna łysina lśniła w padającym z sufitu świetle. - Szkoda - stwierdził Anglich. - Pod jakim nazwiskiem się tu wczoraj zameldowałem? - Wcale się pan nie meldował - odparł szeptem łysy. - A może w ogóle mnie tu nie było? - zasugerował policjant cicho. - Nie

widziałem pana na oczy. - Teraz też mnie nie widzisz. I nigdy nie zobaczysz... a w każdym razie nie poznasz. No nie, Doc? Łysy pokręcił szyją, próbując przywołać na twarz uśmiech. Pete Anglich wyciągnął portfel, a z niego trzy dolary. - Nie jestem z tych, co to wychodzą nie płacąc - oświadczył powoli. - To za pokój trzysta czterdzieści dziewięć, aż do przedpołudnia. Zdaje się, że chłopak, któremu dałeś klucz, ma twardy sen. - Przerwał i wbił zimny wzrok w twarz recepcjonisty. - No, chyba że ma przyjaciół, którzy zechcą go stąd zabrać - dorzucił w zamyśleniu. Na usta łysego wystąpiły bąbelki śliny. - On... on nie... - wyjąkał. - Tak... a czego się spodziewał? - rzucił Anglich. Z walizką w ręku ruszył do drzwi wyjściowych. Na ulicy przystanął pod malowanym szyldem, spoglądając w stronę jaskrawych świateł Central Avenue. Po chwili skierował się w przeciwną stronę. Ulica była ciemna, spokojna. Zanim dotarł do Noon Street, minął cztery przecznice drewnianych domków. Była to dzielnica murzyńska. Po drodze spotkał tylko ciemnoskórą dziewczynę w zielonym kapeluszu, cienkich pończochach i na dziesięciocentymetrowych szpilkach. Stała pod zakurzoną palmą i paliła papierosa, spoglądając w stronę "Niespodzianki".

2. Jadłodajnia

mieściła się w starym wagonie restauracyjnym bez kół, ustawionym frontem do ulicy, pomiędzy warsztatem mechanicznym a domem z pokojami

do wynajęcia. Jej nazwa, "Bella Donna", wypisana była na wszystkich ścianach wyblakłymi złotymi literami. Pete Anglich wszedł po dwóch żelaznych schodkach na końcu wagonu wprost w odór przypalonego tłuszczu. Gruby czarny kucharz w białym fartuchu stał odwrócony plecami do niego. Po drugiej stronie wagonu siedziała przy ladzie biała dziewczyna w tanim pilśniowym kapeluszu i znoszonym żakiecie. Popijała kawę, podpierając lewą ręką brodę. Nikogo więcej nie było. Anglich postawił walizkę na podłodze i zajął miejsce przy samych drzwiach. - Serwus, Mopsy! Lśniaca czarna twarz ponad białym fartuchem odwróciła się ku niemu. Tłuścioch rozdziawił usta w uśmiechu. Wysunął siny, mięsisty język i przesunął nim między grubymi wargami. - Co tam słyhać? Zjesz coś? - Jajecznice z dwóch jajek, kawę, grzanki, bez ziemniaków. - I to ma być żarcie dla chłopca? - zaprotestował Mopsy. - Popiło się - wyjaśnił Anglich. Siedząca przy drugim końcu lady dziewczyna zmierzyła go ostrym wzrokiem, zerknęła na tani budzik na półce, a potem na swój zegarek, wystający spod rękawiczki. Przygarbiła się i znów utkwiała wzrok w filiżance. Kucharz wybił na patelnię dwa jajka i rozbełtał je z domieszką mleka. - Chcesz klina? Pete Anglich odmówił ruchem głowy. - Jestem za kółkiem, Mopsy. Kucharz uśmiechnął się od ucha do ucha. Wyciągnął spod lady brązową butelkę, nalał solidną miarkę do szklanki i

postawił ją przed Anglichem, który chwycił ją gwałtownie i opróżnił jednym haustem. - Zdaje się, że wskoczę za kółko innym razem. - Odstawił pustą szklanę. Dziewczyna wstała, przeszła obok stolika i położyła na ladzie dziesięć centów. Kucharz otwo rzył kasę i wydał jej piątkę reszty. Anglich spojrział na dziewczynę obojętnie. Kiepsko ubrana, miała niewinne oczy i kasztanowe włosy, spływające falami na kark. Ostre łuki, wymalowane w miejscu wy skubanych brwi, nadawały jej twarzy zdziwiony wyraz. - Czy pani się czasem nie zgubiła? - spytał miękkim, ochrypłym głosem. Dziewczyna otworzyła właśnie torebkę, by schować resztę. Teraz wzdrygnęła się gwałtownie i upuściła ją, rozsypując zawartość po podłodze. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w pobo jowisko. Pete przyklęknął i zaczął zbierać do torebki rozsypane drobiazgi: tanią niklowaną puderniczkę, papierosy, firmowe zapalniczki ze złotym napisem klub "Juggernaut" na fioletowym tle. A do tego dwie kolorowe chusteczki, zmietoszony banknot dolarowy i trochę drobnych. Zamknął torebkę, wstał i podał ją dziewczynie. - Przepraszam - powiedział łagodnie. - Chyba panią przestraszyłem. Wciągnęła powietrze ze świstem. Wyrwała mu torebkę, wybiegła z wagonu i tyle ją widzieli. Kucharz odprowadził ją wzrokiem. - Nie pasuje mi ta lalunia do tej dzielnicy - stwierdził powoli. Nałożył jajecznicę i

grzanki na talerz, nalał kawy do grubego kubka i postawił to wszystko przed Anglichem. Policjant dotknął grzanki. - Nie dość, że sama, to jeszcze ma zapalki z "Juggernaut" -powiedział z roztargnieniem. - To lo kal Waltza Elegancika. Sam wiesz, jak kończą panienki, które mu wpadną w ręce. Kucharz oblizał się i wyjął spod lady butelkę. Nalał sobie szklaneczkę, uzupełnił ubytek whisky wodą i schował flaszkę z powrotem. - Ja tam się nigdy nie bawiłem w gangstera i teraz też nie mam zamiaru - oświadczył powoli. - Ale tacy biali jak on wszystkim tu podpadli. W końcu ktoś mu zrobi kuku. Pete Anglich kopnął walizkę. - Pewnie tak. Przechowaj mi ten kufer, Mopsy. Wyszedł. Był rześki, jesienny wieczór. Nieliczne samochody przemykały ulicą, lecz chodniki były ciemne, wyludnione. Tylko nocny stróż wędrował powoli od jednego obskurnego sklepiku do drugiego, sprawdzając drzwi. Po drugiej stronie ulicy stało kilka drewnianych domów; z dwóch dolatywały hała sy. Policjant minął skrzyżowanie. Trzy przecznice dalej znów ujrzał dziewczynę. Stała oparta o ścianę, bez ruchu. Tuż za nią paliło się słabe światelko nad schodami prowadzą cymi do czynszówki. Dalej widać było niewielki parking, zastawiony od frontu tablicami ogłoszenia wymi. W padającym skądś bladym świetle rysował się kapelusz dziewczyny, znoszony żakiet z posta wionym kołnierzem, policzek. Pete Anglich rozpoznał

znajomą z baru. Schował się w bramie i obserwował ją z ukrycia. Gdy uniosła rękę, w słabym świetle mignęło coś błyszczącego. Zegarek. Gdzieś w pobliżu zegar powoli wybił ósmą. Ulicę zalał snop światła. Zza rogu wysunęła się olbrzymia limuzyna; kierowca skręcając przyga sił reflektory. Samochód sunął bezszelestnie - ciemne, lśniące szyby i wypolerowany lakier. Anglich uśmiechnął się ironicznie, nie wychodząc z ukrycia. Wykonany na zamówienie Duesen berg sześć przecznic od Central Avenue! Nagle zeszywniał, słysząc szybkie kroki i stukot szpilek. Dziewczyna biegła chodnikiem w jego stronę. Światło przygaszonych reflektorów nie dosięgło jej, wóz był jeszcze za daleko. Policjant wysunął się z kryjówki, chwycił kobietę za ramię i wciągnął do bramy. Wyłowił rewolwer spod marynarki. Dziewczyna dyszała u jego boku. Duesenberg minął ich powoli. Nie padły żadne strzały. Kierowca w liberii nie zwolnił. - Nie mogę tego zrobić. Boję się - wydyszała kobieta w ucho policjanta. Wyszarpnęła rękę i po biegła w przeciwną stronę niż samochód. Anglich obserwował limuzynę, która mijala właśnie tablice ogłoszeniowe przed parkingiem. Je chała już w prawdziwie żółwym tempie. Nagle coś wyleciało z jej lewego okna i z suchym trzaskiem upadło na chodnik. Samochód przyspieszył bezszelestnie i z cichym pomrukiem wtopił się w ciemność. Kierowca włączył światła mijania

dopiero za skrzyżowaniem. Nic się nie wydarzyło. To, co wyrzucono z samochodu, leżało spokojnie na chodniku, z dala od jezdni, niemal pod jedną z tablic reklamowych. Po chwili dziewczyna wróciła. Szła powoli, ociągając się. Pete Anglich obserwował ją z bramy. - Co tu się dzieje? - zapytał, gdy się z nim zrównała. - Może pani w czymś pomóc? Odwróciła się raptownie, wydając zduszony jęk, jak gdyby całkiem zapomniała o jego obecności. Stojąc obok niego, poruszyła głowę; w ciemności błysnęły jej oczy. Jej broda drżała. - Pan jest tym mężczyzną z baru. Widziałam tam pana. - Mówiła cicho, pośpiesznie, wystraszonym głosem. - Niechże pani odpowie. Co tu jest grane... szantaż? Znowu poruszyła głowę w ciemności, w górę i w dół. - Co jest w tej paczce? - warknął Anglich. - Forsa? - Przyniesie mi ją pan? - wyrzuciła z siebie jednym tchem. - Tak pana proszę. Byłabym panu tak wdzięczna. Byłabym... Roześmiał się. Zabrzmiało to jak ciche warknięcie. - Przynieść ją, skarbie? Dla ciebie? Ja też mam wydatki. No jak, co tu jest grane? Gadaj! Spróbowała mu się wyrwać, ale nie puścił jej ręki. Schował rewolwer pod marynarkę i przytrzymał dziewczynę oburącz. - On mnie zabije, jeśli mu jej nie przyniosę - wyszeptała przez łyki. - Kto? - spytał ostro, zimnym tonem. - Waltz Elegancik? Wzdrygnęła się i niemal oswobodziła z jego uścisku. Ale tylko niemal. Po chodniku zaszurały czyjeś kroki.

Dwie ciemne sylwetki przeszły koło tablic reklamowych, nie zatrzymując się i nie pochylając. Kroki były coraz bliższe; rozbłysły koniuszki papierosów. - Cześć, kiciu! - rozległ się czyjś głos. - Nie chcesz czasem zmienić chłopaka? Dziewczyna schowała się za policjanta. Jeden z czarnych roześmiał się cicho i pomachał zapalonym papierosem. - A niech to, ta cizia jest biała - powiedział szybko drugi. - Pryskamy. Odeszli rechocząc. Na najbliższym skrzyżowaniu skręcili i zniknęli za rogiem. - No i fajnie - warknął Anglich. - Nareszcie się przekonałaś, gdzie jesteś. - Mówił twardo, ze złością. - Szlag by trafił, nie ruszaj się stąd, to ci przyniosę ten twój szmal. Zostawił dziewczynę i trzymając się blisko ściany domu, podszedł do najbliższej tablicy. Przy stanął, przebijając wzrokiem ciemność. W końcu dostrzegł paczkę. Owiniętą w ciemny materiał i raczej niewielką, ale widoczną gołym okiem. Pochylił się i zajrzał pod tablicę, lecz nic więcej nie zauważył. Zrobił cztery kroki, schylił się i podniósł zawiniątko. Pod palcami wyczuł materiał i dwie grube gumowe opaski. Stał nieruchomo, wyęzając słuch. Z oddali dolatywały ciche odgłosy ruchu ulicznego na głównej arterii. W szklanych drzwiach domu naprzeciwko paliło się światło, nad nimi zaś ujrzał otwarte, ciemne okno. Za jego plecami rozległ się przeraźliwy kobiecy krzyk. Zamarł, po czym okręcił się na pięcie. Światło trafiło go między oczy. Padało z

ciemnego okna naprzeciwko - oślepiający biały promień, który przygwoździł go do tablicy. Twarz Anglica wykrzywił grymas; policjant zamrugnął, ale ani drgnął. Czyjeś buty stuknęły o beton i z boku, zza ostatniej tablicy ogłoszeniowej, trafił go mniejszy promień światła, a spokojny głos polecił: - Nie waż się ruszyć małym palcem, kolego. Jesteś otoczony przez policję. Z obu stron zbliżali się mężczyźni z wycelowanymi rewolwerami. W oddali zastukały obcasy, po czym zapanowała cisza. Nie na długo - zza rogu wyjechał samochód z czerwonym światłem na dachu i zatrzymał się koło ludzi otaczających Anglica. - Jestem Angus, porucznik policji - przedstawił się mężczyzna o spokojnym głosie. - Pozwoli pan, że zaopiekuję się tą paczką. A teraz będzie pan łaskaw złożyć ręce... Kajdanki z suchym trzaskiem zamknęły się na nadgarstkach Anglica. Zatrzymany wyteżył słuch, próbując pochwycić szybki, oddalający się stukot obcasów. Ale teraz już było wokół niego za głośno. W sąsiednich domach otwierały się drzwi - to Murzyni wysypywali się na ulicę. 3 John Vidaury miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i najszlachetniejszy profil w całym Holly wood. Był ciemnowłosy, ujmujący i romantyczny; lekko szpakowate skronie przydawały mu tylko atrakcyjności. Szeroki w barach, w biodrach wąski, miał talię godną oficera angielskiej Gwardii Królewskiej.

Świetnie skrojony smoking leżał na nim jak ulał. Vidaury patrzył właśnie na Anglicha tak, jak gdyby chciał go przeprosić za to, że go nie zna. Pe te Anglich obrzucił wzrokiem kajdanki, swoje sfatygowane buty na puszystym dywanie, wysoki zegar z kurantem pod ścianą. Oblał się rumieńcem; jego oczy pałały.- Nie, nigdy go nie widziałem - oświadczył Vidaury łagodnym, czystym, modulowanym głosem i uśmiechnął się do Anglicha. Angus, porucznik w cywilu, oparł się o skraj rzeźbionego stołu bibliotecznego i pstryknął palcem w rondo kapelusza. Dwaj inni policjanci stali pod boczną ścianą. Czwarty siedział przy małym biurku, na którym leżał notes do stenografowania. - No nic, tak tylko myśleliśmy, że może pan go zna - rzekł porucznik. - Niewiele udało nam się z niego wyciągnąć. Vidaury uniósł brwi i uśmiechnął się leciutko. - Doprawdy? Pan mnie zdumiewa. Pozbierał szklanki na tacę i zaczął je napełniać od nowa. - Bywa i tak - stwierdził Angus. - Myślałem, że macie swoje sposoby - powiedział subtelnie Vidaury, nalewając whisky do szklanki. Porucznik obejrzał swój paznokieć. - Mówiąc, że nic z niego nie wyciągniemy, chcę powiedzieć, że nie dowiemy się nic ważnego, panie Vidaury. Twierdzi, że nazywa się Pete Anglich, że kiedyś był bokserem, ale od kilku lat już nie walczy. Od roku jest bezrobotny, przedtem pracował jako prywatny detektyw. Wygrał w kości parę groszy, zalał się i laził po

mieście, aż trafił na Noon Street. Widział, jak z pańskiego wozu wylatuje ja kaś paczka, podniósł ją i to wszystko. Co najwyżej możemy go oskarżyć o włóczęgostwo. - Całkiem możliwe, że tak właśnie było - powiedział cicho Vidaury. Zaniósł szklanki czterem policjantom, po dwie naraz. Następnie wziął swoją, skłonił się lekko i z wdziękiem podniósł ją do ust. Z jego ruchów przebijała wyszukana elegancja. - Nie, nie znam go - powtórzył. - Szczerze mówiąc, nie wygląda mi na kogoś, kto oblewa ludzi kwasem. - Machnął ręką. - Obawiam się, że sprowadzanie go tutaj... Pete Anglich podniósł nagle głowę i spojrzał na gospodarza. - To dla ciebie komplement, Vidaury - dokończył za niego drwiąco. - Rzadko kiedy marnuje się czas czterech gliniarzy, żeby obwozili aresztowanego po ludziach. Vidaury uśmiechnął się uprzejmie. - Jesteśmy w Hollywood. Było, nie było, ma się tę reputację. - Raczej "miało" - sprostował Anglich. - Twój ostatni film jest do tego, o czym nie wspomina się przy damach. Angus zdrętwiał. Vidaury pobladł. Powoli odstawił szklankę i opuścił rękę. Sprężystym krokiem przeszedł przez dywan i stanął twarzą w twarz z aresztowanym. - To tylko pańskie zdanie - wycedził chrapliwie. - Ale ostrzegam... Anglich spojrzał na niego spode łba. - Słuchaj no, ważniaku. Wybuliłeś tyśiączek, bo niby jakiś gnojek groził, że cię obleje kwasem. Znalazłem te twoje śliczne, nowiutkie pieniążki, ale ich nie

dostałem. Wróciły do ciebie. W ten sposób nie wydając złamanego grosza załatwiłeś sobie reklamę wartą dziesięć kawałków. To się nazywa inte res! - Dość tego, prostaku! - wtrącił ostro Angus. - Tak? - parsknął Anglich. - Podobno chcieliście, żebym gadał? No to gadam. Bo nie znoszę ta kich skner. Aktor oddychał z wysiłkiem. Nagle zacisnął pięść i uderzył aresztowanego w szczękę. Anglich szarpnął głową do tyłu, przymknął oczy i natychmiast otworzył je szeroko. Otrząsnął się. - Łokieć w górę, kciuk w dół, Vidaury - powiedział zimno. - Bijąc w ten sposób, złamiesz sobie rękę. Gwiazdor cofnął się i potrząsnął głową, oglądając kciuk. Bładość ustąpiła z jego twarzy, na któ rą nieśmiało powrócił uśmiech. - Przepraszam - wytłumaczył się ze skruczą. - Najmocniej przepraszam. Nie przywykłem do ta kich zniewag. A skoro nie znam tego człowieka, poruczniku, niech go pan stąd zabierze. W kajdan kach. Zachowałem się trochę niesportowo, prawda? - Powiedz to swoim kucom do polo - wtrącił Anglich. - Mnie nie tak łatwo złamać. Angus podszedł do niego i klepnął go w ramię. - Rusz tylek, chłopie. Spływamy. Nie przepadasz za przyzwoitymi ludźmi, co? - Nie. Ja lubię łobuzów - odparł Anglich. Wstał powoli i przesunął nogą po grubym włosiu dy wanu. Stojący pod ścianą gliniarze podeszli do niego z dwóch stron i razem wyszli pod łukiem z wiel kiego salonu. Angus i czwarty gliniarz zamykali

pochód. Zatrzymali się w małym, prywatnym hallu, czekając na windę. - Co ci strzeliło do głowy, żeby wdawać się z nim w pyskowę? - warknął porucznik. Anglich roześmiał się. - Nerwy - wyjaśnił. - Poniosło mnie. Nadjechała winda i zwozła ich do przestronnego, spokojnego hallu Chester Towers. Dwaj de tektywi hotelowi zabijali czas przy ladzie, za którą stało dwóch czujnych recepcjonistów. Pete Anglich uniósł skute kajdankami ręce w geście boksterskiego pozdrowienia. - Co to? Nie ma jeszcze żadnych łowców sensacji? - rzucił drwiąco. - Oj, bo się Vidaury po gniewa, że nie będzie rozgłosu. - Jazda, cwaniaku! - popędził go jeden z gliniarzy, wykręcając mu rękę. Przeszli korytarzem do bocznego wyjścia i wydostali się na wąską, stromą uliczkę, kończącą się pozornie na koronach drzew, za którymi światła miasta układały się w wielki złoty dywan, tu i ówdzie nakrapiany czerwienią i zielenią, błękitem i fioletem. Zaszumiały silniki dwóch samochodów. Anglicha wepchnięto na tylne siedzenie pierwszego wo zu; po jednej ręce miał Angusa, po drugiej - innego policjanta. Oba wozy zjechały powoli ze wzgórza, przy Fountain skręciły na wschód i płynnie, kilometr za kilometrem, przecinały ciemności. Z Fountain zjechały w Bulwar Zachodzącego Słońca i skierowały się do centrum, ku wysokiej białej wieży ratu sza. Na placu pierwszy samochód skręcił w lewo, na południe, drugi zaś

pojechał prosto. Wkrótce Anglich skrzywił się i zerknął z ukosa na porucznika. - Dokąd mnie wieziecie? Na komendę główną to nie tędy. Ciemna, surowa twarz Angusa odwróciła się do niego powoli. Po chwili zwalisty gliniarz odchylił głowę na oparcie i ziewnął do księżyca. Nie odpowiedział. Samochód dojechał Los Angeles Street do Piątej, skręcił na wschód, do San Pedro, i jeszcze raz, na południe. Mijał przecznice za przecznica - jedne spokojne, inne hałaśliwe; takie, gdzie ludzie w milczeniu przesiadywali na wałących się werandach, i takie, gdzie młodzi osiłkowie wszelkiej maści kłócili się i przekomarzali przed tanimi knajpami, sklepami i piwiarniami pełnymi automatów. Radiowóz raz jeszcze skręcił na wschód, w Santa Barbara, i powoli podjechał do Noon Street. Zatrzymał się na rogu koło jadłodajni. Pete Anglich znowu się skrzywił, lecz nie powiedział ani słowa. - No dobra - wycedził Angus. - Zdejmijcie mu bransoletki. Siedzący po drugiej stronie aresztowanego gliniarz wygrzebał kluczyk z kieszeni kamizelki, otworzył kajdanki i potrząsnął nimi z upodobaniem, nim przypiął je sobie do pasa. Angus otworzył drzwiczki i wysiadł. - Wynocha! - rzucił przez ramię. Anglich stanął na chodniku. Porucznik oddalił się nieco od latarni, zatrzymał i skinął na niego ręką. Sięgnął pod marynarkę i wyciągnął rewolwer. - Musieliśmy to rozegrać w ten sposób - szepnął. - Inaczej

tamci skapowaliby się co i jak. Oprócz Pearsona nikt cię nie zna. Wpadłeś na coś? Pete Anglich wziął swego colta i wolno potrząsnął głową. Schował broń pod marynarkę, zasła niając ją przed wzrokiem gliniarzy w samochodzie. - Chyba wykryli nasz punkt obserwacyjny - rzekł powoli. - Poza tym kręciła się tu jakaś dziewczyna, ale to mógł być przypadek. Angus patrzył na niego bez słowa. Po chwili skinął głową i wrócił do wozu. Trzasnęły zamyka ne drzwiczki, samochód ruszył i nabrał szybkości. Anglich doszedł Santa Barbara do Central i skręcił na wschód. Wkrótce ujrzał przed sobą jas krawy, fioletowy neon z napisem: "Klub Juggernaut". Wyłożone dywanem schodki zaprowadziły go tam, skąd dobiegał gwar rozmów i muzyka taneczna. 4. Stoliki otaczające mały parkiet do tańca stały tak blisko siebie, że dziewczyna musiała prze ciskać się bokiem. Trąciła biodrem plecy mężczyzny, który odwrócił się i z uśmiechem złapał ją za rękę. Uśmiechnęła się do niego odruchowo, wyszarpnęła rękę i przeszła dalej. W brązowej, połyskującej metalicznie sukni bez ramion i z falą kasztanowych loków spływają cych na kark prezentowała się o wiele lepiej niż na wysokich szpilkach, z odsłoniętymi udami i w ku sym żakiecie, a do tego w pilśniowym kapelusiku zawadiacko zsuniętym na bakier. Miała drobną, ładną, choć wymizerowaną buzię i wielkie oczy. Orkiestra rznąła na całego, pró bując zagłuszyć

brzęk talerzy, głośny pomruk rozmów i szuranie nóg po parkiecie. Dziewczyna pode szła do stolika, przy którym siedział Pete Anglich, odsunęła krzesło i usiadła. Trzymając łokcie na obrusie, podparła brodę splecionymi dłońmi i wpatrzyła się w policjanta. - Cześć! - odezwała się nieco drżącym głosem. Anglich pchnął ku niej paczkę papierosów i patrzył, jak wytrząsa jednego i wkłada go do ust. Zapalił zapalniczkę. Dziewczyna wyjęła mu ją z ręki i sama sobie przypaliła. - Napijesz się? - Jeszcze jak! Dał znak kędzierzawemu kelnerowi o migdałowych oczach i zamówił dwa koktajle. Gdy ten odszedł, Anglich wyprostował się na krześle i zaczął oglądać krótko obcięte paznokcie. - Dostałam pański liścik - szepnęła dziewczyna. - I co, podobał ci się? - spytał zimno, obojętnie. Nie patrzył na nią. Roześmiała się nieszczerze. - Życzenie klienta jest dla nas rozkazem. Anglich spojrział ponad jej ramieniem na róg podium dla orkiestry. Jakiś mężczyzna stał tam przy mikrofonie i palił papierosa. Potężnie zbudowany, miał przylizane szpakowate włosy, wielki noś i przekrwioną cerę moczymordy. Jak na wodzireja, był za stary. Rozdawał uśmiechy na prawo i lewo. Policjant obserwował go przez chwilę, ciekaw kierunku, w jakim wędrują jego spojrzenia. - I tak byś tu przyszła - stwierdził tym samym zimnym, obojętnym tonem. Dziewczyna wyprostowała się na krześle i zgarbiła z powrotem. - Nie musi mnie pan

obrażać. Powoli zmierzył ją pustym wzrokiem. - Jesteś przegrana, kotku, stoczyłaś się na samo dno. Wiem coś o tym, nieraz mi się to zdarzało. A zresztą wpakowałaś mnie dzisiaj w niezły pasztet. Należy ci się ode mnie parę przykrych słówek. Wrócił kelner. Postawił tacę, wytarł szklanki od spodu brudną ścierką, ustawił je na stole i od szedł. Dziewczyna szybko podniosła swoją szklankę i pociągnęła zdrowo. Odstawiając ją, wzdrygnęła się lekko. Zbladła. - Niechże pan coś powie... zażartuje, czy co - rzuciła pośpiesznie. - Proszę tak nie siedzieć. Obserwuj mnie. Anglich dotknął szklanki i świadomie uśmiechnął się w stronę podium dla orkiestry. - Tak, domyślam się. Opowiedz mi o tej wpadce na Noon Street. Błyskawicznie wyciągnęła rękę i oparła mu dłoń na ramieniu. Ostre paznokcie wpiły mu się w ciało. - Nie tutaj - wyszeptała. - Nie wiem, jak mnie pan znalazł, i nic mnie to nie obchodzi. Wygląda pan na takiego, co to nie opuści dziewczyny w potrzebie. O mało tam nie umarłam ze strachu. Ale tu proszę o tym nie mówić. Zrobię, co tylko pan zechce, pójdę, gdzie mi pan każe. Byle nie tutaj. Policjant uwolnił ramię z uścisku i usiadł prosto. Oczy miał zimne, lecz usta łagodne. - Rozumiem. Spełniałaś życzenie Elegancika. Pewnie miał tam na ciebie oko? Szybko skinęła głową. - Zwinął mnie, zanim minęłam trzy przecznice. To, co tam zrobiłam, uznał za świetny kawał, ale przestanie tak myśleć, jak

pana tu zobaczy. Wyjdzie na to, że pan coś wie. Pete Anglich skosztował koktajlu. - Właśnie tu idzie - powiedział z niezmaconym spokojem. Siwy wodzirej lawirował między stolikami, kłaniając się i zatrzymując na słówko z gośćmi. Wy raźnie sterował w kierunku Anglicha i dziewczyny. Dziewczyna patrzyła w wielkie poślacane lustro nad głową policjanta. Nagle jej twarz wykrzywił grymas strachu, a usta zaczęły drżeć niepoohamowanie. Waltz Elegancik bez pośpiechu zbliżył się do ich stolika, oparł dłoń na blacie i wycelował prze krwiony nochal w Anglicha. Na twarzy miał łagodny, płaski uśmiech. - Witaj, Pete. Nie pokazywałeś się tu, odkąd pochowali McKinleya. Jak leci? - Tak sobie - odparł Anglich ochryple. - Zalewałem robaka. Waltz uśmiechnął się szeroko i spojrział na dziewczynę. Zerknęła na niego, szybko odwróciła wzrok i zaczęła skubać brzeg obrusa. - Znałeś wcześniej tę damulkę, czy poderwałeś ją tu na miejscu? - zagruchał Waltz łagodnie. Anglich, z wyrazem znudzenia na twarzy, wzruszył ramionami. - Po prostu chciałem się z kimś napić. Posłałem jej liścik. A co? - Nie, nic takiego. - Waltz podniósł jedną ze szklanek i pociągnął nosem. - Chętnie podawałbym coś lepszego, ale za pół dolara szklanka to niemożliwe. Co wy na to, żeby wychylić parę głębszych z odpowiedniej butelki, w mojej jaskini? - My? To znaczy oboje? - spytał Anglich łagodnie. - Zgadza się, oboje. Za jakieś

pięć minut. Muszę się tu jeszcze trochę pokręcić. Waltz uszczypnął dziewczynę w policzek i ruszył dalej, lekko kołysząc ramionami w szytym na miarę garniturze. - A więc masz na imię Pete - odezwała się dziewczyna powoli. W jej ochrypłym głosie brzmiała rozpacz. - Ty chyba chcesz umrzeć młodo, Pete. Ja się nazywam Token Ware. Głupio, no nie? - Mnie się podoba - odparł cicho. Spojrzała na punkt poniżej białej blizny na jego szyi. Jej oczy zaszyły łzami. Waltz Elegancik krążył tymczasem po sali, od czasu do czasu zamieniając parę słów z klientami. Przepisnął się do ściany, a stamtąd na podium dla orkiestry. Omiótł wzrokiem cały lokal. Gdy spojrzał na Anglicha, skinął głową i wycofał się za grube zasłony. Policjant odsunął krzesło i wstał. - Idziemy. Token Ware drżącymi palcami zgmiotła papierosa w szklanej popielniczce, dopiła koktajl i wstała. Przepisnęli się między stolikami i skrajem parkietu podeszli z boku do orkiestry. Zasłony prowadziły do mrocznego korytarza z drzwiami po obu stronach. Podłogę pokrywał wyświechtany czerwony dywan. Ze ścian sypał się tynk, drzwi skrzypiały. - Na samym końcu, po lewej - szepnęła Token Ware. Pete Anglich zapukał. Usłyszeli głos Waltza, zapraszający ich do środka. Policjant przez chwilę spoglądał na drzwi, po czym odwrócił głowę i obrzucił dziewczynę twardym spojrzeniem przymrużo nych oczu. Otworzył drzwi, ponaglając ją ruchem ręki. Weszli. W

pokoju było stosunkowo ciemno. Wprawdzie światło małej prostokątnej lampy na biurku padało na wypolerowany blat, ale nie sięgało już wytartego czerwonego dywanu i długich, grubych za słon w tym samym kolorze. W panującym zaduchu unosił się ciężki, słodkawy zapach alkoholu. Waltz Elegancik siedział przy biurku, dotykając tacy, na której stała kryształowa karafka, kilka połączonych szklanek, kubek lodu i syfon z wodą sodową. Uśmiechnął się i podrapał po olbrzymim nosie. - Siadajcie, kochani. Szkocka whisky po sześć dziewięćdziesiąt za literkę. Tyle płacę w hurcie. Anglich zamknął drzwi i zlustrował pokój, od sięgających podłogi zasłon, po zgaszoną lampę na suficie. Bez pośpiechu, swobodnie, rozpiął górny guzik marynarki. - Gorąco tu - rzekł cicho. - Są może jakieś okna za tymi zasłonami? Dziewczyna usiadła na okrągłym krześle naprzeciwko Waltza, który uśmiechnął się do niej ła godnie i odparł: - Dobry pomysł. Mógłbyś otworzyć? Policjant obszedł biurko i ruszył w stronę ściany. Mijając Waltza, sięgnął pod marynarkę i do tknął kolby rewolweru. Bezszelestnie zbliżył się do czerwonych zasłon, spod których wystawały czubki czarnych butów o kwadratowych noskach, ledwie widoczne w ciemnym kącie. Stał, wyciągnął lewą rękę i jednym szarpnięciem rozsunał zasłony. Stwierdził, że buty w kącie pod ścianą są puste. Za plecami usłyszał cichy śmiech Waltza i

gruby, zimny głos: - Rączki w górę, chłoptasiu! Dziewczyna wydała zduszony jęk, lecz nie krzyknęła. Anglich opuścił ręce i odwrócił się powoli. Olbrzymi Murzyn z postury przypominał goryla, a luźny, kraciasty garnitur sprawiał, że wydawał się wręcz kolosalny. Wyszedł bosy ze ściennej szafy; wielki czarny rewolwer niemal cały ginął w jego potężnej łapie. Elegancik także był uzbrojony, w *savage*. Razem z Murzynem przyglądał się spokojnie policjanowi. Anglich zacisnął usta i podniósł ręce, gapiąc się na nich pustym wzrokiem. Czarny w kraciastym garniturze podszedł do niego długim, swobodnym krokiem i przystawił mu rewolwer do piersi. Sięgnął mu pod marynarkę, odebrał colta i rzucił go za siebie na podłogę. Przeło żył rewolwer z ręki do ręki, jakby od niechcenia, i kolbą uderzył policjanta w szczękę. Anglich zatoczył się; na języku poczuł słony smak krwi. Zamrugał. - Nie zapomnę ci tego, wielkoludzie - wychrypiał. Czarny uśmiechnął się od ucha do ucha. - Zapomnisz, przyjacielu. Niedługo zapomnisz o wszystkim. Jeszcze raz uderzył go rewolwerem, po czym wepchnął broń do bocznej kieszeni, wyciągnął łapska i zacisnął palce na gardle policjanta. - Lubię przydusić takiego chojraka, jak mi się zacznie stawiać - powiedział nieomal łagodnie. Anglich poczuł, że w tętnice szyjne wpijają mu się kciuki równie wielkie i twarde jak klamki. Przed oczami miał olbrzymią,

rosnącą z każdą chwilą twarz... olbrzymią, ciemną twarz przepołowioną szerokim uśmiechem. Falowała w coraz słabszym świetle, nierealna i fantastyczna. Uderzył w nią. Jego ciosy były słabe, słabe jak muśnięcie dziecięcym balonikiem; pięści okłada jące twarz czarnego nic nie czuły. Murzyn odwrócił go, wbił mu kolano w krzyż i przegiął go do tyłu. Przez chwilę Anglich słyszał jedynie łomot krwi w uszach. Aż wreszcie, jakby z oddali, dobiegł go piskliwy kobiecy krzyk i - jeszcze bardziej odległy - głos Walta Elegancika: - Spokojnie, Rufe. Tylko spokojnie. Świat Pete'a Anglicha wypełniła głęboka czerń, zmieszana z krwistą czerwienią. A potem cisza. Wszystko zamarło w bezruchu, nawet krew. Murzyn ułożył bezwładne ciało Anglicha na podłodze, cofnął się i zatarł ręce. - Taak - wycedził. - Lubię przyduszać takich chojraków. 5. Murzyn w kraciastym garniturze siedział na skraju kanapy i ospale brzdąkał na pięciostruno wym banjo. Twarz miał poważną, spokojną, choć może nieco smutną. Z przekrzywioną na bok głową i zgniecionym niedopałkiem sterczącym z kącika ust, powoli przebierał po strunach. Grał samymi palcami, bez kostki. Z jego gardła wydobywał się cichy pomruk. Śpiewał. Tani zegar elektryczny na gzymsie kominka wskazywał jedenastą trzydzieści pięć. Salonik był mały, nadmiernie zagracony jasnymi meblami. Czerwoną lampę stojącą ozdabiała u podstawy

kolekcja lalek. Na podłodze leżał pogodny dywan z wzorem w wielkie romby. Pomiedzy dwoma zaslonietymi oknami wisialo lustro. Jedne drzwi byly uchylone, a drugie, wychodzace na korytarz, zamkniete. Pete Anglich lezal na podlodze na wznak, z otwartymi ustami i rekami rozrzuconymi na boki. Oddychal chrapliwie. Oczy mial zamkniete; w swietle lampy jego twarz wydawala sie czerwona, jak w goraczce. Murzyn odlozyl banjo i wstal. Ziewnal, przeciagnal sie i podszedl do kalendarza wiszacego nad kominkiem po drugiej stronie pokoju. - Sierpień juz dawno sie skonczyl - mruknal z niesmakiem. Zerwal kartke z kalendarza, zmiatal ja w kulke i rzucil ja w nieprzytomnego policjanta. Trafil go w policzek. Anglich ani drgnal. Murzyn wyplul peta na dlon, wyprostowal palce i pstryknal nim w tym samym kierunku. Przeszedl kilka krokow i pochylil sie. Pomacal skron policjanta w miejscu, gdzie widnial wielki siniak, i nacisnal, usmiechajac sie lagodnie. Anglich dalej lezal bez ruchu. Czarny wyprostowal sie, zamyslony i - niezbyt mocno - zaczal kopac lezacego w zebra. W koncu Anglich poruszyil sie, zabelkotal i przekrecil glowe. Murzyn, najwyrazniej usatysfakcjonowany, zostawil go i podszedl do kanapy. Wzial banjo i oparl je o sciane koło drzwi wejsciowych. Na stoliku lezala gazeta, na niej rewolwer. Olbrzym zniknal za uchylonymi

drzwiami prowadzącymi do sąsiedniego pokoju i wrócił z na wpół opróżnioną litrową butelką dżinu. Wytarł ją dokładnie chusteczką i postawił na gzymsie kominka. - Już czas, kolego - powiedział na głos. - Jak się obudzisz, pewnie ci będzie tyle jak. Pewnie będziesz chciał strzelić klina... Hej, mam lepszy pomysł! Sięgnął po butelkę, przyklęknął, oblał dżinem usta i brodę policjanta i skropił mu koszulę. Znow wytarł butelkę i postawił ją na podłodze, a szklany korek z odmierzaczem wrzucił pod kanapę. - Weź to złap - powiedział cicho. - Odciski palców nie zaszkożą. Wziął gazetę ze stolika, zsunął z niej rewolwer na dywan i kopnął go tak, by znalazł się niemal w zasięgu ręki Anglicha. Od progu raz jeszcze przyjrzał się bacznie scenerii, kiwnął głową i podniósł banjo. Otworzył drzwi, wyjrzał na korytarz i odwrócił głowę. Żegnaj, przyjacielu - powiedział łagodnie. - Czas, żebym się ulotnił. Nie masz przed sobą wielkiej przyszłości, za to nie będziesz długo czekał na to, co ma się stać. Zamknął drzwi i zszedł po schodach na parter. Z sąsiednich mieszkań dolatywały ciche dźwięki radia. W hallu nie było nikogo. Murzyn w kraciastym garniturze wcisnął się do budki telefonicznej w samym rogu sali, wrzucił do aparatu pięć centów i wybrał numer. - Policja - usłyszał. Przysunął usta do słuchawki. - Czy to gliny? - rzucił piskliwie, zmieniając głos. - Panie, ale się tu strzelali!

Calliope Apart ments 4B, Wschodnia

**Czterdziesta Ósma dwieście czterdzieści sześć.
Zapisał pan? Szybko odwiesił słuchawkę i
chichocząc zbiegł po schodkach na ulicę.
Wskoczył do małego, brudnego sedana, zapalił
silnik i odjechał w kierunku Central Avenue.
Był już niedaleko Central, gdy zza rogu ukazały
się czerwone światła radiowozu, który skręcił we
Wschodnią Czterdziestą Ósmą. Murzyn za
kierownicą sedana roześmiał się, nie
przerywając jazdy. A kiedy mijał go pędzący na
sygnale radiowóz, nucił już gardłowo pod
nosem. Słyszając trzask zamka w drzwiach, Pete
Anglich uchylił powieki. Poruszył głową - jego
twarz natychmiast wykrzywił grymas bólu.
Mimo to przekręcił głowę dalej, aż wreszcie
dostrzegł pusty kąt i środek pokoju. Odwrócił
głowę w drugą stronę i obejrzał resztę
pomieszczenia. Przeturlał się i sięgnął po broń
na podłodze. Był to jego własny rewolwer.
Anglich usiadł i od ruchowo otworzył bębenek.
Pomimo bólu, jego twarz stężała. Ktoś wystrzelił
jeden pocisk. Lufa wciąż jeszcze śmierdziała
prochem. Policjant wstał i skulony ruszył w
stronę uchylonych drzwi. Powoli otworzył je na
oścież, schy lając się jeszcze niżej. Nic się nie
stało. Zajrzał do sypialni wyposażonej w dwa
bliźniacze łóżka, zasłane i przykryte różową
adamaszkową narzutą w złoty deseń. Na jednym
łożku ktoś leżał. Kobieta. Nie ruszała się. Twarz
Anglicha wykrzywił twardy, zacięty grymas.
Policjant wyprostował się i podszedł na palcach**

do łóżka. Zobaczył, że drzwi do łazienki są otwarte, lecz panowała tam absolutna cisza. Spojrzał więc na dziewczynę. Wciągnął powietrze i wypuścił je powoli. Kobieta nie żyła. Na wpół przymknięte oczy patrzyły obojętnie, ręce spoczywały bezwładnie wzdłuż ciała. Nogi miała lekko podkurczone; jedna pończocha trochę opadła, ukazując gołe ciało. Na podłodze leżał zielony kapelusz. Dziewczyna miała na nogach dziesięciocentymetrowe szpilki. W pokoju unosił się zapach "Nocnego narcyza". Anglich przypomniał sobie, że widział ją przed hotelem "Niespodzianka". Dziewczyna nie żyła; nie żyła dostatecznie długo, by krew wypływająca z osmalonej przez proch dziury pod lewą piersią zdążyła zakrzepnąć. Policjant wrócił do salonu, porwał butelkę dżinu i duszkiem wychylił ją do dna. Nawet się nie zakrztusił. Przez chwilę stał w miejscu, dysząc ciężko i zastanawiając się. Rewolwer trzymał niedbale w lewej ręce. Zaciśnięte usta sprawiały, że wyglądał, jakby nie miał warg. Poglądził pustą butelkę, rzucił ją na kanapę i schował broń do kabury pod pachą. Podeszedł do drzwi i cicho opuścił pokój. W długim, ciemnym korytarzu hulał lodowaty przeciąg. Samotny kinkiet u szczytu schodów dawał nieco żółtawego światła. Oszklone drzwi prowadziły na balkon nad frontową werandą. Odbijała się w nim zimna szara plama - księżyc. Pete Anglich zszedł na dół, ruszył do wyjścia i złapał za

klamkę. W oszklone drzwi trafił reflektor. Czerwone światło przedarło się przez szkło i zakrywającą je zasłonę. Anglich przykucnął, by go nie było widać przez szybę, i zgarbiony przemknął się pod boczną ścianę. Szybko rozejrzał się po hallu i zatrzymał wzrok na ciemnej budce telefonicznej. - Wpadłem w pułapkę - szepnął, wcisnął się do budki i skulił, zostawiając małą szparę w drzwiach. Na werandzie zatupotały czyjeś kroki; skrzypnęły otwierane drzwi. Ktoś wszedł do hallu i zatrzymał się. - Cisza i spokój, co? - rozległ się gruby głos. - Jak nic, fałszywy alarm. - W każdym razie zajrzyjmy pod cztery B - odparł inny głos. Kroki przeszły przez hall na parterze i wróciły. Wkrótce zabębniły na schodach, a potem w ko rytarzu na piętrze. Pete Anglich otworzył budkę, prześliznął się do drzwi wyjściowych i przykucnął, mrużąc oczy przed ostrym czerwonym światłem. Dostrzegł ciemną sylwetkę radiowozu przy krawężniku i jego reflektory oświetlające wyszczer biony chodnik. Nie mógł jednak zajrzeć do wnętrza samochodu. Westchnął, otworzył drzwi i szybko, choć bez pośpiechu, zszedł po drewnianych schodkach z werandy. Radiowóz był pusty, przednie drzwiczki z obu stron miał otwarte. Po drugiej stronie ulicy gro madziły się ostrożnie ciemne postacie. Anglich podszedł wprost do samochodu i usiadł za kierownicą. Zapalił silnik i wrzucił bieg. Odjechał, mijając

zgromadzonych mieszkańców sąsiednich domów. Na najbliższym skrzyżowaniu skręcił w przecznicę i zgasił czerwony reflektor.

Przyspieszył. Klucząc po okolicy, oddalił się od Central, po czym zawrócił. Gdy światła i ruch alei były już blisko, zaparkował na zakurzonej, wysadzonej drzewami ulicy i porzucił radiowóz. Spacerkiem ruszył ku Central. 6. Waltz

Elegancik odłożył słuchawkę lewą ręką. Palcem wskazującym prawej dłoni odsunął górną wargę i wolno potarł zęby i dziąsła. Jego płaskie, bezbarwne oczy przesunęły się na olbrzymie go Murzyna w kraciastym garniturze, siedzącego po drugiej stronie biurka. - Pięknie - powiedział drewnianym głosem. - Coś pięknego. Zwiął, zanim go przyskrzynili. Czysta robota, Rufe, szkoda gadać. Czarny wyjął z ust niedopałek cygara i zgniótł go olbrzymim płaskim kciukiem i równie płaskim palcem wskazującym. -

Cholera, przecież on był normalnie sztywny! - parsknął. - A łapsy minęli mnie, zanim dojechałem do Central. Nie ucieknie im, nie da rady. - Właśnie z nim rozmawiałem przez telefon - stwierdził głucho Waltz. Otworzył górną szufladę biurka i położył przed sobą wielkiego savage. Murzyn spojrział na broń. Jego oczy zmatowiały, straciły blask; przypominały teraz obsydian. Czarny wyjął wargi. - Ta mała puszczała się za moimi plecami - burknął. - Należała jej się kulka. No i klawo. Fajno jest. To co, przejdę się chyba po tego cwaniaczka?

Uniósł się z krzesła. Waltz dwoma palcami dotknął kolby savage i potrząsnął głową. Czarny usiadł z powrotem. - On zwał, Rufe. A ty wezwalesz mundurowych do trupa kobiety. Jeżeli go nie nakryją ze spluwą - a szansa na to jest jak jeden do tysiąca - to nijak go nie powiążą z tym zabójstwem. Więc kto jest głównym podejrzanym? Ty. To ty tam mieszkałeś. Murzyn błysnął zębami w uśmiechu, nie spuszczać matowych oczu z broni na biurku. - Znaczy, pali mi się grunt pod nogami - powiedział. - A giry mam takie, że jest pod czym palić. Lepiej się ulotnię, co? Waltz westchnął. - Tak, chyba powinieneś na jakiś czas wyjechać z miasta - przyznał w zamyśleniu. - Z Glendale. Akurat zdążymy na ostatni pociąg do Frisco. Czarny sposepniał. - Z Frisco nici, szefie. Poglaskałem tam szyjkę jednej cizi. Udusiła się. Nici z Frisco. - Ty coś kombinujesz, Rufe - rzekł zimno Waltz. Podrapał się jednym palcem po przekrwionym nosie i odgarnął włosy do tyłu. - Widzę to po twoich oczach. Ale daj sobie z tym spokój. Sam się tobą zajmę. Wyprowadź samochód. Przemyślimy wszystko po drodze do Glendale. Murzyn zamrugał; olbrzymią łapą otarł z brody popiół z cygara. - A ten wielki błyszczący rewolwer zostaw lepiej tutaj - dorzucił Elegancik. - Przyda mu się chwila wytchnienia. Rufe sięgnął za siebie i powoli wyciągnął broń z tylnej kieszeni spodni. Jednym palcem pchnął ją po wypolerowanym blacie

biurka. W głębi jego oczu czał się nikły uśmiezek. - Nie ma sprawy, szefie - powiedział niemal z rozmarzeniem. Przeszedł przez pokój i zniknął za drzwiami. Waltz wstał i ruszył do ściennej szafy. Włożył ciemny pilśniowy kapelusz, lekki płaszcz i ciemne rękawiczki. Do lewej kieszeni wrzucił swojego sa vage, do prawej - rewolwer Murzyna. Wyszedł z pokoju i skierował się tam, skąd dobiegała muzyka taneczna. Na końcu korytarza lekko rozchylił zasłony. Orkiestra grała walca. Klientela dopisała; a jak na Central Avenue, towarzystwo było wyjątkowo spokojne. Waltz westchnął, jeszcze przez chwilę przyglądał się tańczącym parom, po czym opuścił zasłony. Cofnął się i mijając gabinet, doszedł do drzwi na samym końcu korytarza, prowadzących na schody, u stóp których kolejne drzwi wychodziły na ciemną alejkę na tyłach budynku. Waltz delikatnie zamknął drzwi i stanął w ciemności pod ścianą. Usłyszał szum silnika pracującego na jałowym biegu i lekki stukot zaworów. Uliczka z jednej strony kończyła się ślepo, z drugiej zaś zakręcała pod kątem prostym przed frontem budynku. Światła Central Avenue odbijały się na ceglanych murach na końcu poprzecznej alejki, tuż za czekającym samochodem - małym sedanem, który nawet w ciemności wydawał się zniszczony i brudny. Waltz zanurzył prawą rękę w kieszeni, wyjął rewolwer Rufe'a i trzymając go w fałdach płaszcza, bezszelestnie ruszył do

samochodu. Podszedł do prawych drzwiczek, otworzył je i schylił się, by wsiąść do środka. Z samochodu wysunęły się dwie olbrzymie dłonie i chwyciły go za gardło. Twarde dłonie, wyposażone w zgoła nieludzką siłę. Z ust Waltza wyrwał się cichy bulgot; z odgiętą do tyłu głową i wytrzeszczonymi oczami ślepeca Elegancik wpatrywał się w niebo. Nagle poruszył prawą ręką, poruszył nią tak, jak gdyby nie miała nic wspólnego z jego sztywnym, napiętym ciałem, z miażdżoną w uścisku szyją, z wysadzonymi, ośleplonymi oczami. Ostrożnie, delikatnie przesuwał ją dopóty, dopóki lufa rewolweru, który ścisnął w garści, nie dotknęła czegoś miękkiego. A wtedy powoli, bez pośpiechu, lufa przejechała po czymś, jak gdyby sprawdzając, co to takiego. Waltz Elegancik nic nie widział, niewiele czuł. Nie oddychał. Mimo to jego ręka słuchała płyną cich z mózgu rozkazów niczym jakaś niezależna siła, pozostająca poza zasięgiem straszliwych łap Murzyna. Nacisnął spust. Zaciśnięte na jego gardle dłonie zmiotczyły i opadły. Zatoczył się, omal nie przewrócił i uderzył barkiem w ścianę. Wyprostował się powoli, łapczywie wciągając powietrze do obolałych płuc. Zaczął dygotać. Nawet nie zauważył, jak olbrzymie cielsko goryla wypada z samochodu na beton. Murzyn leżał u jego stóp, bezwładny, kolosalny, ale już niegroźny. Już nieważny. Waltz rzucił rewolwer na zwłoki. Przez pewien czas delikatnie masował

gardło, oddychając głę boko, nierówno, chrapliwie. Przesunął językiem w ustach. Poczł krew. Z wysiłkiem spojrzł na skrawek nieba w kolorze indygo, widoczny ponad alejką. - Przewidzialem to, Rufe - wychrypiał po chwili. - Widzisz, ja to przewidzialem. Roześmiał się, wzdrygnął, postawił kolnierz płaszcza i okrążył zwłoki. Sięgnął do stacyjki wozu, by zgasić silnik, i ruszył z powrotem do tylnych drzwi klubu "Juggernaut". Z cienia za samochodem wynurzył się jakiś mężczyzna. Waltz błyskawicznie sięgnął lewą ręką do kieszeni płaszcza, lecz opuścił ją, gdy mrugnął do niego błyszczący metal.- Tak właśnie myś lałem, że mój telefon wywabi cię na dwór - powiedział Pete Anglich. - I pomyślałem, że pewnie wyjdiesz tędy. Nie przeliczyłem się. - On mnie dusił - odparł Waltz po dłuższej chwili. - To była samoobrona. - Jasne. Obu nas bolą karki. Z mojego została miazga. - Czego chcesz, Pete? - Próbowałeś mnie zrobić w zabójstwo dziewczyny. Waltz roześmiał się znieńacka, jakby postradał zmysły. - Ja się nie patyczkuje, jak mi wchodzą na odcisk, Pete. Powinieneś o tym wiedzieć. Lepiej od wal się od małej Token Ware. Anglich poruszył rewolwerem; światło zamigotało na lufie. Podszedł do Waltza i wbił mu colta w brzuch. - Rufe nie żyje - powiedział cicho. - To bardzo wygodne. Gdzie dziewczyna? - A co ci do tego? - Nie zgrywaj idioty. Mam swój rozum. Próbowałeś oskubać Johna

Vidaury'ego. Wdepnąłem w to przez Token. I chcę się dowiedzieć całej reszty. Waltz stał bez ruchu, z coltem przytkniętym do brzucha. Przebierał palcami w rękawiczkach. - No dobra - burknął. - Ile chcesz, żeby trzymać język za zębami... raz na zawsze? - Dwie setki. Rufe zwędził mi portfel. - A co ja z tego będę miał - spytał powoli Elegancik. - Nic a nic. Dziewczynę też chcę dla siebie. - Pięć paczek - oświadczył Waltz łagodnie. - Ale dziewczyny nie dostaniesz. Dla gnojka z Cen tral Avenue pięć stówek to kawał grosza. Nie kombinuj, tylko bierz forszę i zapomnij o całej sprawie. Colt oderwał się od jego brzucha. Pete Anglich zwinnie okrążył Elegancika, zrewidował, odebrał mu savage i machnął lewą ręką. - Stoi - powiedział zręczliwie. - Co znaczy dziewczyna między przyjaciółmi? Wykładaj gotówkę. - Mam ją u siebie w biurze. Anglich roześmiał się krótko. - Elegancik, tylko bez numerów! Prowadź. Przeszli korytarzem na piętrze. W oddali, za zasłonami, orkiestra grała rzewny kawałek Duke'a Ellingtona - smutne, monotonne brzmienie blachy, gorzkie smyczków i cichy stukot instrumentów perkusyjnych. Waltz otworzył gabinet, zapalił światło i usiadł za biurkiem. Odrzucił głowę do tyłu, uśmiechnął się i wysunął zamykaną na klucz szufladę. Nie spuszczać go z oka, Pete Anglich zamknął drzwi gabinetu na klucz. Podszedł przy ścianie do szafy, zajrzał do środka i za plecami Waltza

zbliżył się do zasłon w oknach. Wciąż ścisnął w garści colta. Wrócił do biurka w chwili, gdy Waltz odsuwał od siebie plik banknotów. Anglich zignorował pieniądze i pochylił się nad biurkiem. - Zatrzymaj to, ale oddaj mi dziewczynę - powiedział. Elegancik z uśmiechem pokręcił głową. - Vidaury miał ci wybulić tyśiączek... przynajmniej na początek - ciągnął policjant. - Noon Street masz dosłownie pod nosem. Czyżbyś już musiał zmuszać kobiety, żeby odwalaly za ciebie brudną robotę? Mnie się wydaje, że chciałeś mieć na nią jakiegoś haka, żeby zmusić ją do uległości. Waltz zmrużył oczy i wskazał na plik banknotów. - To biedna, zastraszona mała. Pewnie wynajmuje jakąś umeblowaną klitkę. Nie ma przyjaciół, bo nie pracowałyby w twojej spelunie. Oprócz mnie pies z kulawą nogą by się nie zainteresował jej losem. Nie chciałeś jej chyba posłać do bajzla, co, Waltz? - Bierz forszę i zjeżdżaj - odparł Elegancik piskliwie. - Wiesz, co robią z kapusiami w tej okolicy? - Jasne, pozwalają im prowadzić nocne kluby - odparował Anglich łagodnie. Odłożył colta i sięgnął po pieniądze. Nagle zacisnął dłoń w pięść i od niechcienia poderwał ją w górę. Poparł cios ruchem łokcia. Pięść odwróciła się i niemal delikatnie wylądowała na twarzy Wal tza, koło spojenia szczęk. Elegancik sflaczał jak przekłuty balon. Rozdziawił usta. Kapelusz spadł mu z głowy. Pete Ang lich zmierzył go wzrokiem. - I dużo mi

z tego przyszło - burknął. W pokoju panowała cisza, dolatywała jedynie cicha muzyka orkiestry tanecznej, jakby z przyciśzonego radia. Anglich stanął za plecami Waltza i sięgnął mu pod płaszcz do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjął portfel i wytrząsnął z niego pieniądze, a także prawo jazdy, zezwolenie na posiadanie broni i polisy ubezpieczeniowe. Schował cały ten majdan z powrotem i markotnie wlepił wzrok w biurko, paznokciem kciuka drapiąc się w szczękę. Na biurku leżał notatnik w błyszczącej skórzanej oprawie. Na czystej górnej kartce widać było odcisnięte ślady pisma. Policjant obejrzał ją pod światło, wziął ołówek i lekko, swobodnie, zaczął mażąc nim po kartce, na której stopniowo pojawił się niewyraźny napis. Gdy cała była już zamazana, Anglich odczytał: "Noon Street 4623. Prosić Reno". Wydarł kartkę z notatnika, złożył ją i schował do kieszeni, po czym wziął swego colta i ruszył do drzwi. Przełożył klucz w zamku, zamknął drzwi od zewnątrz i wyszedł po schodach na alejkę. Zwłoki Murzyna leżały tam, gdzie przedtem, pomiędzy małym sedanem a ciemną ścianą. Alejka była wyludniona. Policjant schylił się, przeszukał kieszenie zabitego i wyciągnął zwitek banknotów. W słabym świetle zapalki odliczył osiemdziesiąt siedem dolarów. Kiedy chował pozostałe kilka banknotów z powrotem, na chodnik upadł strzęp papieru, przedarty nierówno z jednej

strony. Anglich przykucnął obok samochodu i w świetle następnej zapalki przyjrzał się kartce z notatnika. Od strony nierównej krawędzi biegł napis: „... 3. Prosić Reno”. Policjant zastukał zębami. - Już lepiej - mruknął. Wsiadł do samochodu, zapalił silnik i odjechał. 7. Numer znajdował się na okienku nad drzwiami, oświetlonym od tyłu słabym światłem. Było to jedyne widoczne światło w tym wielkim drewnianym domu, położonym niecałą przecznicą od hotelu, gdzie odbywała się partyjka kości. Zza szczelnie zasłoniętych okien frontowych dolatywał zgiełk rozmów, śmiechy i wysoki głos śpiewającej Murzynki. Po obu stronach ulicy stały zaparkowane samochody. Drzwi otworzył wysoki, szczupły Murzyn w ciemnym ubraniu i ze złotym pince-nez. Za plecami miał drugie, zamknięte drzwi. - Jesteś Reno? - zapytał Pete Anglich. Wysoki czarny przytaknął bez słowa. - Przyszedłem po dziewczynę, którą zostawił Rufe, tę białą. Murzyn stał przez chwilę bez ruchu, patrząc przed siebie ponad głową Anglicha. Wreszcie odezwał się powolnym, szeleszczącym głosem, który zdawał się dobiegać zupełnie skądinąd. - Wejdz i zamknij drzwi. Policjant wykonał polecenie. Murzyn otworzył wewnętrzne drzwi, grube i masywne. Poraził ich hałas i światło - ciemnoczerwony blask. Przeszli korytarzem. Ciemnoczerwony blask padał z szerokiego łuku drzwi długiego salonu, wyposażonego w kotary z

weluru, sofy i głębokie fotele. W rogu znajdował się bar, za którym urzędował Murzyn w białej ma rynarce. Cztery pary popijały tam drinki: smukli, czarni wesółkowie o przylizanych włosach i dziewczyny o wyskubanych brwiach, z gołymi ramionami i w jedwabnych pończochach. W przyćmionym ciemnoczerwonym świetle scena ta wydawała się wręcz nierealna. Reno spojrzął obojętnie nad ramieniem Anglicha i opuścił ciężkie powieki. - Po którą? - spytał ze znudzeniem. Murzyni w salonie przypatrywali im się w milczeniu. Barman schylił się i sięgnął pod kontuar. Pete Anglich powoli wyciągnął z kieszeni zmiętą kartkę. - Teraz lepiej? Reno obejrzał kartkę. Bez pośpiechu sięgnął do kieszonki kamizelki i wyjął podobną, w tym samym kolorze. Złożył obie części, odchylił głowę do tyłu i spojrzął na sufit. - Kto cię przysłał? - Elegancik. - Nie podoba mi się to - rzekł czarny. - Napisał moje imię. Nie podoba mi się. To nie jest mą drze. No, ale chyba cię sprawdziłem. Odwrócił się i wszedł na długie, proste schody. Policjant ruszył za nim. Nagle któryś z młodych Murzynów w salonie parsknął głośnym śmiechem. Reno zatrzymał się wpół kroku, odwrócił, zszedł na dół i zbliżył się do wesółka. - To jest interes - rzucił jednym tchem. - Bo tak w ogóle to białych tu się nie wpuszcza. Dotarło? - W porządku, Reno - odparł chłopak, który przed chwilą się roześmiał, i podniósł wysoką, oszronioną

szklanę. Reno ruszył do schodów, złorzecząc pod nosem. W korytarzu na piętrze było wiele zamkniętych drzwi. Z kinkietów na ścianach padało słabe różowe światło. Reno wyciągnął klucz, otworzył drzwi na końcu i odstąpił na bok. - Zabieraj ją - polecił zwierzęle. - Ja tu białego towaru nie trzymam. Anglich minął go i wszedł do sypialni. W przeciwległym rogu paliła się pomarańczowa lampa, obok łóżka przykrytego jaskrawą narzutą z falbankami. Okna były zamknięte, a powietrze duszne, niezdrowe. Token Ware leżała na boku, twarzą do ściany. Chlipała. Policjant podszedł do łóżka i dotknął dziewczyny. Odwróciła się raptownie, skulona ze strachu. Poderwała głowę; oczy miała rozszerzone, a otwarte usta gotowe do krzyku. - Jak się masz? - odezwał się Anglich łagodnie. - Szukam cię po całym mieście. Spojrzała na niego; strach powoli ustąpił z jej twarzy. 8. Fotograf z redakcji "News" lewą ręką uniósł wysoki flesz i pochylił się nad aparatem. - Proszę o uśmiech, panie Vidaury - powiedział. - Smutny... taki, żeby panienki omdlewały. Aktor odwrócił się na krześle, demonstrując profil. Uśmiechnął się do dziewczyny w czerwonym kapeluszu, po czym z tym samym uśmiechem spojrzął w obiektyw aparatu. Błysnął flesz, trzasnęła migawka. - Wcale nieźle, panie Vidaury. Chociaż bywało lepiej. - Miałem ciężkie przejścia - przypomniał gwiazdor łagodnie. - Myślę. Oblanie twarzy kwasem to nic

zabawnego - przyznał fotograf. Dziewczyna w czerwonym kapeluszu zachichotała i zaniósła się kaszlem, zasłaniając usta dłonią w czerwonej siatkowej rękawiczce. Fotograf spakował swój sprzęt. Był to starszawy mężczyzna o smutnych oczach. Nosił jasnoniebieski garnitur z serży. Potrząsnął siwą głową i poprawił kapelusz. - Tak, oblanie buzi kwasem to wcale nie do śmiechu. No, panie Vidaury, mam nadzieję, że przyjmie pan z rana naszych chłopców? - Z przyjemnością - odparł aktor ze znużeniem. - Proszę im tylko powiedzieć, żeby najpierw zadzwonili z dołu. I proszę się napić na odchodnym. - Ja nie piję - rzekł fotograf. - Taki już ze mnie dziwak. Przerzucił przez ramię torbę ze sprzętem i ruszył do wyjścia. Nie wiadomo skąd pojawił się na gładkim Japończyk, odprowadził fotografa do drzwi i zniknął. - Oblanie buzi kwasem - powtórzyła kobieta w czerwonym kapeluszu. - Cha, cha, cha! Toż to sam ból i udręka, jeśli porządnej dziewczynie wolno się tak wyrazić. Mogę się napić? - Nikt ci nie zabrania - warknął aktor. - I nigdy nie bronił, kochasiu. Podeszła chwiejnie do stołu, na którym stała kwadratowa chińska taca, i nalała sobie solidną miarkę. - Na dzisiaj to już chyba koniec - powiedział Vidaury z westchnieniem. - Byli z "Bulletin", z "Press-Chronicle", z trzech stacji radiowych, z "News"... Nie jest źle. - Ja bym powiedziała, że wręcz znakomicie - wtrąciła dziewczyna.

Gwiazdor spojrział na nią spode łba. - Ale nikogo nie złapali - ciągnął cicho. - Tylko niewinnego przechodnia. A może tobie wiadomo coś na ten temat, co, Irma? Jej leniwy uśmiech był lodowaty. - Ja bym cię miała oskubać na marny tysiąc? Nie bądź dzieckiem, Johnny. Ja zawsze idę na całość. Vidaury wstał i podszedł do sekretarzyka z rzeźbionego drewna. Wysunął szufladę i wyjął z niej wielką kryształową kulę. Wrócił do fotela i usiadł pochylony. Trzymając kulę przed sobą, wpatrywał się w nią pustym wzrokiem. Dziewczyna w czerwonym kapeluszu obserwowała go sponad szklanki szeroko otwartymi, szklistymi oczyma. - Cholera! On zszikował - szepnęła. Z głośnym trzaskiem odstawiła szklankę na tacę, podeszła do aktora i nachyliła się. - Wiesz, Johnny, co to takiego uwiad starczy? - zagruchała napiętym głosem. - To coś, co przytrafia się największym rozpustnikom po czterdziestce. Dostają fioła na punkcie kwiatów i zabawek, wycinają laleczki z papieru, bawią się szklanymi kulami... Na miłość boską, Johnny, skończ z tym! Nie jest z tobą jeszcze tak źle. Gwiazdor nie odrywał wzroku od kryształowej kuli. Oddychał głęboko, powoli. Dziewczyna nachyliła się ku niemu jeszcze bardziej. - Przejedźmy się gdzieś, Johnny - zagruchała. - Lubię nocne powietrze. Dobrze mi robi na mig dałki. - Nie chce mi się nigdzie jeździć - wymówił się. - Mam... mam przecucie. Coś wisi w powie trzu. Kobieta

pochyliła się nagle i wytrąciła mu kulę, która upadła ciężko na podłogę i niemrawo po toczyła się po puszystym dywanie. Vidaury zerwał się na, równe nogi; jego twarz wykrzywił grymas wściekłości. - Chcę się przejechać, przystojniaczku - oświadczyła dziewczyna zimno. - Noc jest ładna, wóz też masz ładny, więc chcę się przejechać. Aktor gapił się na nią pełnym nienawiści wzrokiem. Nagle uśmiechnął się powoli. Nienawiść zniknęła z jego oczu. Wyciągnął rękę i przytknął dwa palce do ust dziewczyny. - Przejeździemy się, kochanie, oczywiście - szepnął. Podniósł kulę, zamknął ją w sekretarzyku i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Kobieta w czerwonym kapeluszu otworzyła torebkę, poprawiła usta szminką, wydeła wargi i wykrzywiła się do swego odbicia w lusterku puderniczki. Następnie ostrożnie włożyła beżowy płaszcz z grubej wełny, obszyty czerwoną lamówką, i zarzuciła na ramię kołnierz w kształcie szala. Vidaury wrócił w płaszczu i kapeluszu. Na szyi miał szalik z frędzlami. Oboje ruszyli do drzwi. - Wymknijmy się tylnym wyjściem - zaproponował aktor od progu. - Na wypadek, gdyby kręcili się tu jeszcze jacyś dziennikarze.- No wiesz, Johnny! - Dziewczyna kpiarzko uniosła brwi. - Widziano mnie, jak wchodziłam, widziano mnie tu w środku. Nie chcesz chyba, żeby pomyśleli, że zostałam u ciebie na noc? - Psiakrew! - zaklął Vidaury i gwałtownie

otworzył drzwi. W tej samej chwili zadzwonił telefon. Aktor znów zaklął i puścił klamkę, czekając, aż mały Ja pończyk w białej marynarce podniesie słuchawkę. Chłopak odłożył słuchawkę, uśmiechnął się pogardliwie i rozłożył ręce. - Pan może odebrać? Ja nie rozumiem. Vidaury podszedł do telefonu. - Tak? Tu John Vidaury. - Przez chwilę słuchał w milczeniu. Jego palce powoli zacisnęły się na słuchawce. Twarz mu stężała, pobladła. - Chwileczkę - powiedział ochryple. Odłożył słuchawkę i oparł się o stół. Dziewczyna w czerwonym kapeluszu podeszła do niego od tyłu. - Złe wieści, przystojniaczku? Jesteś blady jak kreda. Aktor powoli odwrócił głowę i zmierzył ją wzrokiem. - Wynoś się stąd - rzucił beznamiętnie. Kobieta wybuchnęła śmiechem. Vidaury wyprostował się, zrobił jeden krok i uderzył ją w twarz na odlew. - Powiedziałem, żebyś się wynosiła - powtórzył drewnianym głosem. Przestała się śmiać i dotknęła ust palcami w rękawiczce. Zrobiła okrągłe oczy, lecz nie była zaszokowana. - Coś takiego? Po prostu zwałeś mnie z nóg, Johnny - powiedziała ze zdumieniem. - Jesteś fantastyczny. Oczywiście, że sobie pójdę. Odwróciła się szybko, nieznacznie skinęła głową i ruszyła do drzwi. Pomachała mu ręką i zniknęła. Vidaury nawet nie odprowadził jej wzrokiem. Zaledwie trzasnęły zamykane drzwi, podniósł słuchawkę i rzucił ponuro: -

Przyjeżdżaj tu, Waltz... byle szybko! Odłożył słuchawkę na widełki. Przez chwilę stał w miejscu, gapiąc się niewidzącym wzrokiem. Potem wszedł do sąsiedniego pokoju i wrócił już bez płaszcza i kapelusza. W ręku ścisnął gruby, krótki pistolet. Wsunął go lufą w dół do wewnętrznej kieszeni smokingu i powoli zdjął słuchawkę z widełek. - Jeżeli przyjdzie do mnie niejaki pan Anglich, proszę go wpuścić na górę - polecił stanowczo. - Anglich. - Przeliterował nazwisko, odwiesił słuchawkę i usiadł w fotelu koło telefonu. Splótł ręce na piersi i czekał. 9. Japończyk w białej marynarce otworzył drzwi, kiwnął głową i uśmiechnął się. - A proszę, proszę do środka - syknął uprzejmie. Pete Anglich poklepał Token Ware po ramieniu i wepchnął ją do długiego, jaskrawego pokoju. Na tleszykownych mebli wyglądała biednie i smutno. Oczy miała zaczerwienione od płaczu, usta rozmazane. Drzwi zamknęły się za nimi, a Japończyk wyniósł się chyłkiem. Przeszli po grubym, tłumiącym kroki dywanie. W łagodnym świetle lamp mijali regały z książkami, półki zastawione bibelotami z alabastrem i kości słoniowej, porcelany i jadeitu, olbrzymie lustro oprawne w niebieskie szkło i otoczone wianuszkiem zdjęć z dedykacjami, niskie stoły i fotele, kwiaty na wysokich stolikach, i znów książki, fotele, dywany... aż wreszcie dotarli do Vidaury'ego, który siedział na uboczu, ze szklanką w ręku, i spoglądał na

nich lodowatym wzrokiem. Aktor niedbale machnął ręką i obejrzał dziewczynę od stóp do głów. - A, to pana przywieźli tutaj ci policjanci. Oczywiście. Czym mogę służyć? Słyszałem, że to była pomyłka. Anglich przesunął nieco fotel i usadził na nim dziewczynę. Usiadła sztywno, powoli; oblizwała wargi i wlepiała zafascy nowany wzrok w gwiazdora. Vidaury wykrzywił usta z niesmakiem, acz uprzejmie. Oczy miał czujne. Anglich usiadł. Wyjął z kieszeni gumę do żucia, rozpakował ją i włożył do ust. Widać było, że jest skonany, zmaltre towany i wykończony. Policzek i szyję miał pokryte ciemnymi sińcami. Nadal był nie ogolony. - To panna Ware - odezwał się powoli. - Właśnie ona miała odebrać pański szmal. Vidaury zeszywniał. Dłonią, w której trzymał papierosa, zaczął stukać niespokojnie o poręcz fotela. Spojrzał na dziewczynę, ale nie odpowiedział. Uśmiechnęła się do niego lekko i zarumieniła. - Noon Street to mój grajdoł - powiedział Anglich. - Znam tam wszystkich cwaniaków i wiem, kto tam pasuje, a kto nie. Wczoraj wieczorem spotkałem tę dziewczynę w garkuchni na Noon Street. Była niespokojna i ciągle patrzyła na zega rek. Ona mi nie pasowała. Jak wyszła, poszedłem za nią. Aktor nieznacznie skinął głową. Szary popiół spadł mu z papierosa. Zerknął ospale na Anglicha i znów kiwnął głową. - Szła Noon Street - ciągnął policjant. - Nie jest to właściwe miejsce dla białej dziewczyny. Spotkaliśmy się

znowu w bramie, gdzie się schowała. Wtedy zza rogu wyjechał wielki Duesenberg i ktoś wyrzucił pańską forszę na chodnik. Bała się iść po nią, więc poprosiła mnie. No to poszedłem. - Wygląda na ucziwą dziewczynę - wtrącił gładko Vidaury, nie patrząc na Token. - Powiedział pan o niej policji? Chyba nie, bo inaczej by was tu nie było. Anglich potrząsnął głową i przesunął gumę w ustach. - Donieść glinom? Ani mi się śni. Nam ta forsa z nieba spadła. Przyszliśmy po naszą dolę. Aktor podskoczył, lecz opanował się natychmiast. Przestał bębnić w oparcie fotela. Jego pobladła twarz była zimna, ponura. Nagle sięgnął do wewnętrznej kieszeni smokingu i spokojnie położył na kolanach krótki pistolet. Pochylił się z uśmiechem. - Szantażyści zawsze mnie interesowali - stwierdził poważnie. - Ile ma wynosić ta wasza dola... i co macie do sprzedania? Anglich w zamyśleniu spojrział na broń. Z beztroską w oczach spokojnie żuł gumę, miarowo poruszając szczękami. - Milczenie - odparł równie poważnie. - Tylko milczenie. Vidaury gwałtownie machnął pistoletem. - Gadaj! - polecił. - Byle szybko. Ja milczenia nie lubię. Tajniak pokiwał głową. - Groźba oblania kwasem to czysty wymysł - powiedział. - Nikt panu nie groził. Cały ten szantaż był lipny, obliczony na reklamę. To wszystko. - Rozsiadł się wygodnie. Aktor spojrział ponad jego ramieniem w drugą stronę pokoju. Zaczął się

uśmiechać. Nagle jego twarz znieruchomiała. Waltz Elegancik wśliznął się przez otwarte boczne drzwi. W ręku trzymał wielkiego savage. Powoli, bezszelestnie, zbliżał się po dywanie, nie widziany przez Anglicha i dziewczynę. - To wszystko lipa, od początku do końca - ciągnął tajniak. - Normalna reklama. A że to tylko domysły? Jasne, ale chwileczkę, popatrz pan, jak łagodnie to szło na początku i jak ostro poszło, odkąd ja się pojawiłem na widoku. Dziewczyna pracuje dla Waltza w "Juggernaut". Jest przegrana i zastraszona. Więc Waltz wysyła ją na ten skok. Dlaczego? Bo gliny mają ją przyskrzynić. Wszystko jest obmyślane. Jeżeli sypnie Waltza, to ten roześmieje im się w nos i powie, że to się działo nie mal pod jego bramą, że w grę wchodziły pewnie grosze i że on całkiem nieźle wychodzi na swojej knajpie. Zwróci im też uwagę, że on, stary cwaniak, nie wysyłałby przecież na robotę takiej idiotki, to chyba jasne? Gliny mu prawie uwierzą, a pan wspaniałomyślnie odstąpi od oskarżenia dziewczyny. Natomiast gdyby nie sypnęła, pan tak czy owak zrezygnowałby z oskarżenia i też miałby pan reklamę. A potrzebuje jej pan jak jasny gwint, bo pana akcje spadają. Zdawało się panu, że będzie to pana kosztować tylko tyle, ile wyniesie dola dla Waltza. A może to zbyt zwariowa ne? Może to za dużo jak na łajdaka z Hollywood? To powiedz pan, dlaczego nie pracowali nad tym

federalni? Dlatego, że ci chłopcy grzebaliby się w tym aż do skutku i wylądowałyby pan na ławie oskarżonych za utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości. Oto dlaczego. A tutejsze gliny mają to gdzieś. Są tak przyzwyczajeni do różnych cyrków z reklamą, że tylko ziewnęliby i przewrócili się na drugi bok. Waltz był już na środku pokoju. Vidaury nie patrzył na niego, spoglądał na dziewczynę. Uśmiechnął się do niej lekko. - A teraz niech pan popatrzy, co się porobiło, odkąd ja się w to wpakowałem. Poszedłem do "Juggernaut" pogadać z dziewczyną. Waltz zaprosił nas do siebie, gdzie jeden goryl na jego usługach omal mnie nie udusił. Kiedy odzyskałem przytomność, znajdowałem się w jakimś apartamencie w towarzystwie martwej kobiety. Zastrzelono ją, a w moim rewolwerze brakowało naboju. Leżał na podłodze obok mnie, ja śmierdziałem dżinem, a zza rogu wyskakiwał już radiowóz. A pannę Ware zamknięto w burdelu na Noon Street. I po co to wszystko? Ano Waltz nagrał już śliczny szantaż i wycisnąłby z pana krew do ostatniej kropli. Dopóki miałby pan choćby dolara przy duszy, połowa byłaby jego. A pan by płacił, Vidaury, i to z ochotą. Miałby pan rozgłos i ochronę, ty le że za jaką cenę! Waltz był już blisko, za blisko. Nagle aktor powstał raptownie i wycelował pistolet w pierś Anglicha. - Bierz go, Waltz - powiedział z rozmarzeniem, piskliwym głosem starca. - Ja się nie nadaję do takiej

roboty. Pete Anglich nawet się nie obejrzał. Stał bez ruchu, z kamienną twarzą. Waltz wbił mu broń w krzyż i z bladym uśmiechem spojrzał ponad jego ramieniem na gwiazdora. - Durnyś, Pete - powiedział cicho. - Dostyc już się zabawieś jak na jeden dzień. Powinieneś trzymać się stąd z daleka, ale domyśliłem się, że nie przepuścisz takiej okazji. Vidaury przesunął się na bok i stanął w rozkroku. Jego przystojną twarz powlekl dziwny, zielonkawy odcień; głęboko osadzone oczy błyszczały chorobliwie. Token Ware wpatrywała się w Elegancika. Jej szeroko otwarte oczy zdradzały strach. - Tutaj nic nie zwojuję, Vidaury - rzekł Waltz. - I wolałbym sam z nim nie wychodzić. Bierz płaszcz i kapelusz. Aktor lekko skinął głową. Ruch ten był ledwie dostrzegalny. Jego oczy wciąż błyszczały chorobliwie. - A co z dziewczyną? - wyszeptał. Waltz uśmiechnął się szeroko, potrząsnął głową i dźgnął Anglicha lufą savage. Vidaury znów przesunął się w bok i rozstawił nogi. W ręku pewnie trzymał gruby pistolet, choć w nikogo nie celował. Na chwilę przymknął oczy i otworzył je szeroko. - W założeniach wszystko wyglądało jak należy - odezwał się powoli, cedząc słowa. - Hollywood widziało już bardziej skomplikowane i bezwzględne kombinacje. Ale nie sądziłem, że dojdzie do krzywdzenia innych, do morderstw. Ja... ja nie jestem aż takim łajdakiem, Waltz. Nie nadaję się do tego. Już nie. Schowaj lepiej broń i wyjdź.

Waltz potrząsnął głową i uśmiechnął się dziwnie. Odsunął się nieco od Anglicha i przesunął lufę swojego savage. - Karty rozdane - powiedział zimno. - Sam je rozdałeś. Zbieraj się. Vidaury westchnął i zgarbił się w ramionach. Nagle zmienił się w samotnego, opuszczonego, już niemłodego męża czyżnę. - Nie - odparł cicho. - Ja się wypisuję. Ostatni przebłysk nie najlepszej reputacji. W końcu to jest mój występ. Jak zwykłe spartaczony, ale mój. Schowaj broń, Waltz. I zjeżdżaj. Zimna, twarda twarz Elegancika była wyprana z wszelkiego wyrazu; jego beznamiętne oczy stały się oczami mordercy. Jeszcze bardziej przesunął savage. - Bierz kapelusz, Vidaury! - wycedził wyraźnie. - Przepraszam - rzekł aktor i wystrzelił. Broń Waltza wypaliła w tej samej chwili, tak że oba wystrzały zlały się w jeden grzmot. Vidaury zatoczył się, odwrócił i zaraz wyprostował. Spojrzał na Waltza. - Kto gra pierwszy raz, ten wygrywa - rzekł i czekał. Anglich trzymał już w ręku swego colta, ale nie był mu potrzebny. Waltz powoli upadł na bok, wciskając policzek i przekrwiony nos w gruby dywan. Poruszył lewą ręką, jakby chciał sięgnąć za siebie. Nagle zabalgotał i znieruchomiał. Pete Anglich kopniakiem odtrącił wielkiego savage. - Nie żyje? - spytał aktor z wysiłkiem. Anglich burknął pod nosem, nie odpowiedział. Spojrzał na dziewczynę. Oparta plecami o stół z telefonem, przyciskała dłoń do ust, w klasycznej

pozie przerażenia. Tak klasycznej, że aż głupiej. Tajniak przeniósł wzrok na gwiazdora. - Kto gra pierwszy raz, ten wygrywa, owszem - powiedział cierpko. - Ale gdyby tak pan spudłował? On blefował. Chciał tylko wciągnąć pana w to wszystko jeszcze bardziej, żeby w razie czego nie mógł pan sypać. Bo jeśli chodzi o tamto morderstwo, jestem jego alibi. - Przykro mi... - szepnął Vidaury. - Bardzo mi przykro. - Nagle usiadł, odchylił głowę i zamknął oczy. - O Boże, ależ on jest przystojny! - odezwała się Token Ware z szacunkiem. - I jaki dzielny. Vidaury dotknął lewej ręki, przyciskając ją mocno do siebie. Spomiędzy palców płynęła krew. Token Ware pisnęła zduszonym głosem. Pete Anglich rozejrzał się. Po drugiej stronie pokoju stał w milczeniu mały Japończyk w białej marynarce - drobna, skulona przy ścianie postać. Tajniak znów spojrzał na aktora. - Panna Ware ma rodzinę we Frisco - powiedział wolno, niechętnie. - Może pan ją odesłać do domu... z małym pre zentem. To naturalne i oczywiste. Ona naprowadziła mnie na Walta i stąd się znalazłem w tym wszystkim. Powiedziałem mu, że zaczyna pan kombinować, więc przyszedł tu, żeby pana uciszyć. Takie gangsterskie zagranie. Gliny będą się śmiały, ale w kulak. W końcu oni też mają z tego reklamę. O tym, że to była lipa, więcej ani słowa. Zgoda? Vidaury otworzył oczy. - Bardzo... bardzo to przyzwoicie z pana strony - szepnął słabo. - Nie

zapomnę o tym. - Głowa opadła mu na bok. - On zemdlął! - krzyknęła dziewczyna. - No to co? - stwierdził Pete Anglich. - Daj mu ładnie buzi, to od razu się ocknie... A ty będziesz miała co wspominać do końca swoich dni. Zaciśnął zęby, podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę. Czysta robota 1. Portier hotelu "Kilmarnock" miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, bladoniebieską liberię i białe rękawiczki, w których jego dłonie wydawały się olbrzymie. Otworzył drzwi taksówki równie delikatnie, jak stara panna głaszcze kota. Johnny Dalmas wysiadł i zwrócił się do rudego kierowcy: - Zaczekaj na mnie za rogiem, Joey. Rudzielec skinął głową, wepchnął wykałaczkę głębiej w kącik ust i sprawnie odjechał z wyznaczonego białą farbą miejsca dla samochodów dostawczych. Dalmas przeszedł przez zalany słońcem chodnik i zniknął w przestronnym, chłodnym hallu "Kilmarnocka". Grube dywany tłumili odgłosy kroków. Chłopcy hotelowi stali z rękami splecionymi na piersiach. Dwaj recepcjoniści sterczeli groźnie za marmurową ladą. Dalmas skierował się do niszy z windą i wszedł do zdobionej boazerią kabiny. - Na samą górę, proszę - rzekł do windziarza. Na ostatnim piętrze rozejrzał się po niewielkim, cichym korytarzu. Podszedł do jednych z trojga drzwi i zadzwonił. Otworzył mu Derek Walden - czterdziestopięcioletni, a może i nieco starszy mężczyzna o bujnych, przyprószonych si wizażem

włosach i przystojnej twarzy starego hulaki, nieco zeszpeconej workami pod oczyma. Miał na sobie szlafrok z mono gramem, a w ręku pełną szklankę whisky. Był lekko wstawiony. - A, to ty, Dalmas - odezwał się posepnie ochrypłym głosem. - Wejdz. Cofnął się w głąb mieszkania, zostawiając otwarte drzwi. Dalmas zamknął je za sobą i wszedł do długiego, wysokiego pokoju z balkonem na wprost wejścia. Oszklona ściana po lewej wychodziła na taras. Derek Walden usiadł pod ścianą w brązowo-złotym fotelu i oparł stopy na podnóżku. Zakręcił szklanką z whisky, wpatrując się w dno naczynia. - Co cię tu sprowadza? - zapytał. Dalmas przyglądał mu się ponuro. - Wpadłem powiedzieć, że rezygnuję z tej roboty - odparł po chwili. Walden opróżnił szklankę i odstawił ją na skraj stołu. Wygrzebał papierosa, włożył go do ust i zapomniał przypalić. - Naprawdę? - bąknął niewyraźnie, obojętnym tonem. Dalmas odwrócił się i podszedł do otwartego okna, w którym trzepotały zasłony. Z zewnątrz dolatywał odległy zgiełk ruchu ulicznego. - Śledztwo stoi w miejscu... bo sam pan nie chce, żeby się posunęło do przodu - rzucił przez ramię. - Pan zna powody, dla których pana szantażują, ale ja nic o nich nie wiem. Ci z "Eclipse Films" interesują się tym, bo władowali ładny kawał grosza w pańskie filmy. - Mam gdzieś całe "Eclipse Films" - stwierdził Walden spokojnie. Dalmas potrząsnął głową i odwrócił się twarzą do niego.

- Ale ja nie. Jeżeli wpakuje się pan w aferę, której ich specje od reklamy nie dadzą rady zatuszować, wytwórnia poniesie straty. Zaangażował mnie pan na ich prośbę. Ale marnuję tylko czas. Pańska współpraca nie była warta złamanego grosza. - Załatwię to po swojemu i nie dam się wpakować w żadną aferę - odparł Walden nieprzyjemnym tonem. - Sam dobiję targu... jak będę miał pewność, że nie kupuję kota w worku. Twoja rzecz to utwierdzać facetów z "Eclipse" w przekonaniu, że trzymasz rękę na pulsie. Jasne? Dalmas odszedł od okna. Stał przy stole i oparł się o blat, spoglądając niewidzącym wzrokiem na popielniczkę pełną niedopałków ze śladami ciemnej szminki. - Szkoda, że nikt mi tego nie wyjaśnił - stwierdził sucho. - Myślałem, że masz dość oleju w głowie, żeby samemu to wykombinować - zadrwił Walden. Przechylił się na bok i dolał sobie whisky, rozlewając nieco alkoholu na stolik. - Napijesz się? - Nie, dziękuję. Gospodarz trafił ręką do papierosa w ustach i rzucił go na podłogę. - A w ogóle to o co ci chodzi? - parsknął. - Jesteś prywatnym detektywem i bierzesz forszę za to, żeby pokręcić się tu i tam, niby że pracujesz. Robota czysta jak rzadko... przynajmniej w twojej branży. - To już druga odzywka, którą mógł pan sobie darować - powiedział Dalmas. Walden poruszył się raptownie, ze złością. Jego oczy błyszczały. Kąciki ust opadły mu w dół, a twarz

spochmurniała. Unikał wzroku detektywa. - Nie występuję przeciwko panu, ale też pana nie popieram - ciągnął Dalmas. - Nie należy pan do ludzi, których mógłbym polubić. Gdyby poszedł mi pan na rękę, zrobiłbym co w mojej mocy. Zresztą i tak to zrobię... ale nie w trosce o pana. Nie chcę pańskich pieniędzy... więc w każdej chwili może pan odwołać tych, co mnie śledzą. Walden spuścił nogi na podłogę i ostrożnie odstawił szklanke na stolik. Wyraz jego twarzy raptownie się zmienił. - Śledzą cię?... Nie rozumiem. - Przełknął ślinę. - Ja nie kazałem cię śledzić. Dalmas obserwował go uważnie. Po chwili skinął głową. - W porządku. Zasadzę się na następnego cienia i zobaczymy, czy uda mi się go przekonać, żeby wyśpiewał, dla kogo pracuje... Już ja się dowiem. - Na twoim miejscu nie robiłbym tego - przestrzegł spokojnie Walden. - Igrasz... igrasz z ludźmi, z którymi nie ma żar tów... Wiem, co mówię. - Nie powiem, żeby mi to spędzało sen z powiek - odparł detektyw beznamiętnie. - Jeżeli to są ci sami, którzy chcą wycisnąć z pana forszę, to już dawno przestali żartować. Wyciągnął przed siebie kapelusz i przyjrzał mu się. Twarz filmowca świeciła od potu. Miał błędne oczy. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Rozległ się dzwonek do drzwi. Walden łypnął spode łba, zaklął. Spojrzał na drugą stronę pokoju, ale nie ruszył się z miejsca. - Coś za często mam tu nie zapowiedzianych gości - warknął. - Mój

Japoniec ma dziś wychodne. Dzwonek zabrzmiał ponownie. Walden uniósł się z fotela, lecz Dalmas zatrzymał go. - Zobaczę, kto to taki. I tak już się zresztą zbierałem. Skinął głową gospodarzowi, podszedł do drzwi i otworzył. Do pokoju weszli dwaj uzbrojeni mężczyźni. Jeden bezceremonialnie dźgnął Dalmasa rewolwerem w żebra i polecił szybko: - Cofnij no się, raz-dwa. To napad, taki, co to piszą o nim w gazetach. Intruz był śniady, przystojny, wesoly. Twarz miał łagodną jak na kamei, bez śladu brutalności. Uśmiechnął się. Za nim stał niski facet o włosach koloru piasku. Patrzył spode łba. - To platfus Waldena, Noddy - odezwał się wysoki. - Zajmij się nim i sprawdź, czy ma broń. Jasny blondyn, Noddy, wbił rewolwer o krótkiej lufie w brzuch Dalmasa. Jego wspólnik kopniakiem zamknął drzwi i niedbale podszedł do filmowca. Noddy wyciągnął Dalmasowi spod pachy trzydziestkę ósemkę, okrążył go i poklepał po kieszeniach. Schował swój rewolwer i przełożył colta detektywa do prawej ręki. - W porządku, Ricchio - burknął. - Jest czysty. Dalmas opuścił ręce, odwrócił się i przeszedł na drugą stronę pokoju, w zamyśleniu spoglądając na gospodarza mieszkanca, który siedział pochylony, z rozdziawionymi ustami i napiętą twarzą. Detektyw spojrział na wyższego z napastników. - Ricchio? - powiedział cicho. Smagły chłopak zerknął na niego. - Stań przy stole, kochanieńki - rzucił. - A gadanie zostaw

mnie. Walden odchrząknął chrapliwie. Ricchio stał przed nim, przyglądając mu się uprzejmie. W jego dłoni dyndał rewolwer, zawieszony na palcu za osłonkę spustu. - Spóźniasz się z zapłatą, Walden. Spóźniasz się jak cholera! Więc przyszliśmy ci o tym przypomnieć. Mieliliśmy też na oku tego twojego platfusa. Cwane, co? - To twój były goryl, Walden... skoro nazywa się Ricchio - rzekł Dalmas spokojnie, z powagą w głosie. Gospodarz kiwnął głową i przesunął językiem po wargach. - Nie wymądrzaj się, platfusie - parsknął Ricchio. - Żeby nie musiał ci więcej powtarzać. - Obrzucił detektywa ostrym wzrokiem, po czym spojrział na filmowca i zegarek na jego rękę. - Jest osiem po trzeciej, Walden. Ale po mojemu facet o ta kich chodach jak ty da radę wyciągnąć jeszcze forszę z banku. Masz godzinę na zebranie dziesięciu kawałków. Tylko godzinę. A twojego tajniaka zabieramy ze sobą, żeby obgadać przekazanie szmalu. Walden ponownie skinął głową, bez słowa. Oparł ręce na kolanach, zaciskając pięści, aż zbieleły mu kostki. - My gramy czysto - ciągnął Ricchio. - Inaczej nasz interes nie byłby wart funta kłaków. Ty też masz grać czysto. Bo jak nie, to twój tajniak będzie wachać kwiatki... od spodu. Rozumiemy się? - A jak wam zapłaci, to naturalnie puścicie mnie wolno, żebym mógł was wsypać - wtrącił Dalmas z pogardą. - Niech cię o to głowa nie boli - odparł gładko Ricchio, nie patrząc na niego. -

Dziesięć kawałków , Walden. A na stępne dziesięć na początku tygodnia. Jeżeli nie będziemy mieli kłopotów... bo jakby nas co spotkało, zapłacisz nam za to. Walden rozłożył ręce w geście porażki. - Chyba uda mi się zebrać pieniądze - rzekł pośpiesznie. - Klawo. No to zbieramy się. Ricchio energicznie skinął głową i schował broń. Wyjął z kieszeni brązową rękawiczkę z kozłej skóry, włożył ją na prawą rękę i zabrał blondynowi colta Dalmasa. Obejrzał go, wsunął do kieszeni i trzymał go tam przez rękawiczkę. - Zmywamy się - powiedział wskazując głową drzwi. Wyszli. Derek Walden odprowadził ich ponurym wzrokiem. Zjechali na dół tylko w towarzystwie windziarza. Wysiedli na półpiętrze i przeszli przez gabinet, mijając okno witra żowe, za którym paliła się lampa, stwarzająca wrażenie światła dziennego. Ricchio szedł pół kroku za Dalmasem, po jego lewej ręce. Blondyn napierał na niego z prawej. Zeszli po wyłożonych dywanem schodach, przeszli przez pasaż z luksusowymi sklepami i opuścili hotel bocznym wejściem. Naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, stał mały brązowy sedan. Blondyn wśliznął się za kierownicę, wsunął broń pod udo i zapalił silnik. Ricchio i Dalmas zajęli miejsca z tyłu. - Jedź bulwarem na wschód, Noddy - wycedził Ricchio. - Muszę pogłówkować. Noddy jęknął. - Sama radocha - prychnął. - Wozić faceta po Wilshire w biały dzień. - Ruszaj, mówię. Blondyn znów jęknął,

ruszył, a po chwili zwolnił przed skrzyżowaniem. Po drugiej stronie bulwaru wolna taksówka oderwała się od krawężnika, zawróciła nie dojeżdżając do świateł i pojechała ich śladem. Noddy zatrzymał się, skręcił w prawo i dodał gazu. Taksówka zrobiła to samo. Ricchio obejrzał się na nią obojętnie. Na Wilshire był duży ruch. Dalmas oparł się wygodnie. - Dlaczego Walden nie skorzystał z telefonu, jak schodziliśmy? - zapytał z namysłem. Ricchio uśmiechnął się. Zdjął kapelusz, rzucił go na kolana, po czym wyciągnął prawą rękę z rewolwerem i schował ją pod kapeluszem. - Nie chciał, żebyśmy się na niego pogniewali, platfusie. - I dlatego pozwolił, żeby dwóch gnojków zabrało mnie na przejażdżkę? - To nie taka przejażdżka, jak ci się zdaje - odparł zimno Ricchio. - Przydasz nam się do tego interesu... I nie jesteśmy gnojkami, kapujesz? Dalmas potarł szczękę dwoma palcami. Uśmiechnął się lekko, bez słowa. Kierowca szybko odwrócił głowę. - Prosto do Robertson? - warknął. - Tak - potwierdził Ricchio. - Jeszcze główkuję. - Myśliciel! - zadrwił blondyn. Ricchio uśmiechnął się z przymusem, prezentując równe, białe zęby. Przed nimi światła na skrzyżowaniu zmieniły się na czerwone. Noddy podjechał szybko i stanął jako pierwszy w rzędzie samochodów. Pusta taksówka zatrzymała się po ich lewej stronie, nieco z tyłu. Prowadzący ją rudzielec w

zsuniętej na bakier czapce przeżuwał wykałaczkę i pogwizdywał weso ło. Dalmas mocno wsparł nogi o przednie siedzenie, przyciskając plecy dooparcia. Wysoko zawieszona sygnalizacja cyjna zmieniła się na zieloną. Mały sedan wystrzelił do przodu, lecz przyhamował, by przepuścić samochód, który w ostatniej chwili szybko wyjechał z przecznicy i skręcał w lewo. Taksówka także ruszyła spod światła. Wtem pochylony nad kierownicą rudzielec raptownie skręcił w prawo. Z rozdzierającym zgrzytem zderzak taksówki przytarł niski zderzak sedana, blokując jego przednie lewe koło. Oba samochody zatrzymały się z szarpnięciem. Za nimi rozległy się klaksony - gniewne, niecierpliwe. Dalmas wyrzucił Ricchia prawym prostym w szczękę, lewą ręką chwytając broń z jego kolan. Wyszarpnął ją, gdy Ricchio zwiózł się w rogu samochodu. Szantażysta kiwał głową, mrugając szybko. Dalmas odsunął się od niego, chowając colta pod pachę. Noddy siedział za kierownicą bez ruchu i tylko jego ręka wędrowała powoli ku schowanej pod udem broni. Detektyw wysiadł, zatrzasnął za sobą drzwi i zrobiwszy dwa kroki, otworzył drzwiczki taksówki. Stał koło niej, spoglądając na blondynę. Klaksony uwięzionych w korku samochodów trąbiły wściekle. Taksówkarz stał z przodu obu wozów, szarpiąc je równie energicznie, co bezskutecznie. Wykałaczką w jego ustach podskakiwała w górę

i w dół. Policjant w ciemnych okularach przedarł się na motocyklu przez gąszcz pojazdów, ze znużeniem ocenił sytuację i przywołał taksówkarza ruchem głowy. - Wsiadaj pan i daj do tyłu - zarządził. - Kłóćcie się gdzie indziej... tędy się jeździ. Taksówkarz wyszczerzył zęby i umknął dookoła swojej gabloty. Wsiadł, wrzucił bieg wsteczny i szarpnął wozem do tyłu, trąbiąc i gestykulując zawzięcie. Samochody rozczepiły się. Blondyn za kierownicą sedana obserwował to z kamienną twarzą. Policjant wyciągnął gwizdek i przeraźliwie zagwizdał dwa razy, wskazując rękami na wschód i na zachód. Brązowy sedan czmychnął ze skrzyżowania niczym kot ścigany przez psy policyjne. Taksówka wystartowała za nim. Pół przecznicy dalej Dalmas pochylił się i zastukał w szklaną przegrodę za plecami kierowcy. - Niech sobie jadą, Joey. Nie złapiesz ich, a poza tym nie są mi potrzebni... Pięknie to rozegrałeś, tam na skrzyżowaniu. Rudzielec przysunął brodę do otworu w przegrodzie. - To pestka, szefie - rzucił, uśmiechając się od ucha do ucha. - Następnym razem zlec mi coś naprawdę trudnego. 2. Telefon zadzwonił za dwadzieścia piąta. Dalmas leżał na wznak na łóżku w swoim pokoju w hotelu "Merrivale". Nie odwracając głowy, sięgnął po aparat. - Halo? Pomimo lekkiego napięcia, głos dziewczyny brzmiał całkiem miło. - Mówi Mianne Crayle. Pamięta pan? Dalmas wyjął

papierosa z ust. - Tak, panno Crayle. - Proszę posłuchać. Musi pan pojechać do Dereka Waldena. Zamartwia się czymś i pije na umór. Trzeba coś z tym zrobić. Detektyw wpatrywał się w sufit ponad słuchawką. Dłonią, w której trzymał papierosa, wystukiwał szybki rytm o ramę łóżka. - On nie odbiera telefonu, panno Crayle - odparł powoli. - Już parę razy próbowałem się do niego dodzwonić. Po drugiej stronie zapadła cisza. Wreszcie dał się słyszeć głos dziewczyny: - Zostawiłam swój klucz pod drzwiami. Lepiej niech pan tam zajrzy. Oczy detektywa zwęziły się, a palce jego prawej ręki znieruchomiały. - Zaraz jadę, panno Crayle - obiecał. - Gdzie będę mógł panią złapać? - Nie jestem pewna... Chyba u Johna Sutro. Mieliliśmy wpaść do niego z wizytą. - Świetnie. - Dalmas poczekał, aż usłyszy trzask. Dopiero wtedy odłożył słuchawkę i odstawił telefon na nocny stolik. Usiadł na skraju łóżka i przez dłuższą chwilę obserwował smugę światła na ścianie. W końcu wzruszył ramionami i wstał. Dopił resztki ze szklanki stojącej koło telefonu, nałożył kapelusz, zjechał windą na parter i wsiadł do drugiej taksówki na po stoju przed hotelem. - Z powrotem do "Kilmarnocka", Joey. I to gazem. Jazda zajęła piętnaście minut. Była to już pora dansingu i ulice wokół wielkiego hotelu blokował sznur samochodów wylewających się z trzech bram. Dalmas wysiadł nieco wcześniej i skierował się do bocznego wejścia, mijając

zarumienione panny w asyście eskorty. Udał się schodami na półpiętro, przeszedł przez gabinet i wsiadł do zatłoczonej windy. Na najwyższe piętro dojechał samotnie - wszyscy wysiedli niżej. Dwukrotnie zadzwonił do mieszkania Waldena. W końcu pochylił się i zajrzał w szparę pod drzwiami. Cienką nitkę światła przerywała jakaś przeszkoda. Odwrócił się sprawdzając, na którym piętrze stoi winda, pochylił się i ostrzem scyzoryka wygrzebał coś spod drzwi. Płaski klucz. Korzystając z niego wszedł do mieszkania i stanął w progu. W wielkim pokoju zastał śmierć. Ruszył ku niej powoli, cicho stawiając kroki i wytyczając słuch. Jego szare oczy rzucały ostre błyski. Twarz mu stwardniała, blady zarys szczęki kontrastował z opalenizną policzka. W brązowo-złotym fotelu leżał niedbale Derek Walden. Usta miał rozchylone. W jego prawej skroni widniał osmalony otwór, a na policzku i szyi, aż po miękkie kołnierzyk koszuli, spływająca krew utworzyła ażurowy wzór. Prawa ręka filmowca muskała grube włosie dywanu. Palce ścisnęły mały czarny pistolet. Do pokoju wpadały ostatnie promienie słońca. Przez dłuższy czas Dalmas stał jak wryty, gapiąc się na Waldena. Pa nowała absolutna cisza. Wiatr ucichł i zasłony w drzwiach balkonowych wisiały spokojnie. Z lewej tylnej kieszeni spodni Dalmas wyciągnął cienkie zamszowe rękawiczki. Włożył je, przyklęknął na dywanie i delikatnie uwolnił

broń z uścisku sztywniejących palców. Był to pistolet kalibru 0.32, z kolbą wykładaną orzechem włoskim. Detektyw odwrócił go i obejrzał kolbę od spodu. Zacisnął usta. Numer seryjny został spiłowany - ślady pilnika wciąż błyszczą lekko na tle czarnej farby. Dalmas położył broń na dywanie, wstał i podszedł do telefonu stojącego na skraju stołu bibliotecznego, obok płaskiej misy z ciętymi kwiatami. Sięgnął po słuchawkę, ale nie dotknął jej. Opuścił rękę. Przez chwilę stał w miejscu, po czym cofnął się szybko i podniósł pistolet. Wyjął magazynek, wyrzucił łuskę z komory i wcisnął ją do magazynka. Dwoma palcami lewej ręki przytrzymał lufę, odwiódł kurek, przekręcił blokadę zamka i rozłożył broń. Podszedł z kolbą do okna. Numeru wyrytego wewnątrz kolby nie usunięto. Szybko złożył broń z powrotem, wprowadził pustą łuskę do komory, wcisnął magazynek do kolby i spuścił kurek. Włożył pistolet do martwej ręki Waldena, zdjął rękawiczki i zapisał numer seryjny broni w małym notesie. Wyszedł z mieszkania, zjechał windą i opuścił hotel. Dochodziło wpół do szóstej; niektóre samochody na bulwarzejechały już na światłach. 3. Blondyn, który otworzył drzwi u Sutra, nie żałował krzepy. Drzwi huknęły o ścianę, a on sam siadł na podłodze, wciąż uczipiony klamki. - Trzęsienie ziemi, jak Boga kocham! - wybelkotał z oburzeniem. Dalmas spojrział na niego bez śladu

rozbawienia. - Nie wie pan czasem, czy jest tu panna Mianne Crayle? - zapytał. Blondyn pozbierał się na nogi i odepchnął od siebie drzwi, które zamknęły się z kolejnym hukiem. - A kogo tu nie ma? Brakuje tylko dziada z babą, ale ich też oczekujemy - zagrzemiał donośnie. Dalmas skinął głową. - No to się ubawicie na sto dwa. Minął blondyna, przeszedł korytarzem i skręcił w łukowate drzwi prowadzące do wielkiego, staroświeckiego pokoju ze ściennymi szafami i mnóstwem tandetnych mebli. Bawiło się tam siedem czy osiem osób. Pod wpływem alkoholu wszyscy mieli wypieki na twarzach. Na podłodze jakaś dziewczyna w szortach i zielonej bluzce polo grała w kości z mężczyzną w smokingu. Jakiś grubas w pince-nez i ze słuchawką telefoniczną w ręku mówił surowo: - Zamiejscowa... Z Sioux City... i to migiem, siostrzyczko. Z nastawionego na cały regulator radia grzmiało "Słodkie szaleństwo". Dwie roztańczone pary beztrosko obijały się o siebie i o meble. Mężczyzna, ładząco podobny do Ala Smitha, tańczył samotnie, z pełną szklanką w ręku i pustką na twarzy. Wysoka, trupioblada blondynka pomachała do detektywa, wylewając alkohol ze szklanki. - Te, kochaś! - wrzasnęła. - Fajnie, żeś przyszedł! Dalmas wyminął ją, kierując się do kobiety o skórze koloru szafranu, która właśnie weszła do pokoju, w obu rękach niosąc butelki dżinu. Odstawiła je na fortepian i ze znużeniem oparła się o instrument.

Detektyw podszedł do niej i spytał o pannę Crayle. Szafranowa kobieta wzięła papierosa z otwartego pudełka na fortepianie. - Jest na dworze... na dziedzińcu - odparła bezdźwięcznie. - Dziękuję, pani Sutro. Spojrzała na niego pustym wzrokiem. Skręcił pod następny łuk, do nieoświetlonego pokoju zagraconego meblami z wikliny. Drugie drzwi prowadziły na oszklony taras, skąd wychodziło się po schodkach na ścieżkę, która wijąc się znikwała wśród pogrążonych w mroku drzew. Dalmas doszedł nią na skraj urwiska. Roztaczała się stamtąd panorama na oświetloną część Hollywood. Na samej krawędzi ustawiono kamienną ławę. Siedziała na niej jakaś dziewczyna, zwrócona tyłem do do mu. W ciemności rozbłysł koniuszek papierosa. Dziewczyna powoli odwróciła głowę i wstała. Była drobna, śniada, delikatnej budowy. Ciemna szminka na wargach odcinała się wyraźnie, ale w panującym mroku jej twarz była ledwie widoczna, a oczy ginęły w ciemności. - Przed domem czeka taksówka, panno Crayle - odezwał się Dalmas. A może przyjechała pani swoim wozem? - Nie. Chodźmy. Okropnie tu, a ja nie pijam dzinu. Wrócili ścieżką, omijając dom. Przez zwieńczoną kratą bramę wydostali się na chodnik i ruszyli wzdłuż siatki do miejsca, gdzie czekała taksówka. Kierowca stał oparty o siatkę, z obcasem na stopniu samochodu. Otworzył im drzwiczki. Wsiadli. - Zatrzymaj się gdzieś po fajki, Joey - polecił

Dalmas. - Dobra. Joey usiadł za kierownicą i zapalił silnik. Taksówka ruszyła krętą, stromą drogą w dół wzgórza. Na asfaltowym chodniku lśniła wilgoć; witryny sklepów odbijały echem świst opon. - O której wyszła pani od Waldena? - zapytał detektyw po chwili milczenia. - Około trzeciej - odparła dziewczyna, nie patrząc na niego. - Czy aby nie później, panno Crayle? O trzeciej był z nim jeszcze kto inny. Dziewczyna mruknęła cicho, żałośnie. Zabrzmiało to jak zduszony jęk. Po chwili wyszeptała: - Ja wiem... on nie żyje. Ścisnęła skronie dłońmi w rękawiczkach. - Jasne - rzekł detektyw. - Nie kombinujmy więcej niż potrzeba... bo kto wie, czy nie będziemy musieli pokombinować. - Nie żył, kiedy tam przyszedłem - dodała słabym głosem. Dalmas pokiwał głową. Nie patrzył na pannę Crayle. Wkrótce taksówka zajechała przed narożną drogerię. Kierowca odwrócił się i spojrzał na tylne siedzenie. - Szkoda, że nie dowiedziałem się tego przez telefon - powiedział Dalmas, patrząc na taksówkarza, lecz zwracając się do dziewczyny. - Mogłem się nieźle wpakować. Kto wie, czy już się w to nie wpakowałem po uszy. Mianne Crayle pochyliła się bezwładnie. Dalmas szybko wyciągnął rękę, złapał ją, nim zdążyła upaść, i oparł o siedzenie wozu. Głowa opadła jej na ramię, usta tworzyły ciemną szramę na tle białej jak kreda twarzy. Przytrzymując dziewczynę, Dalmas wolną ręką zbadał jej puls. - Jedziemy do Carliego, Joey -

zarządził. - Darujemy sobie fajki. Panienka musi się napić... i to szybko. Joey wrzucił bieg i nacisnął pedał gazu. 4. Carli prowadził niewielki klub usytuowany na końcu pasażu, między sklepem sportowym a wypożyczalnią książek. Dostępu broniły okratowane drzwi i stojący w nich cieć, który dawno już przestał udawać, że obchodzi go, kto zagląda do lokalu. Dalmas usiadł z dziewczyną w małej wnęce, wyposażonej w twarde ławy i podpięte zielone zasłony. Poszczególne wnętrza oddzielone były wysokimi przegrodami. Drugą stroną sali zajmował długi bar i olbrzymia szafa grająca. Od czasu do czasu, kiedy jazgot opadał, barman wrzucał do niej pięć centów. Kelner postawił na stole dwa kieliszki brandy. Mianne Crayle wychyliła swoją jednym haustem. Jej pogrążone w mroku oczy rozbłysły. Ściągnęła z ręki białoczną rękawiczkę i bawiła się jej palcami, wpatrując się w stół. Po chwili kelner podał dwa koktajle z brandy. Gdy odszedł, dziewczyna odezwała się cichym, dźwięcznym głosem, nie podnosząc głowy: - Nie byłam pierwsza... miał przede mną dziesiątki kobiet. I nie ostatnia... po mnie miałyby ich drugie tyle. A poza tym bywał całkiem przyzwoity. I może mi pan wierzyć albo nie, ale sama płaciłam za swoje mieszkanie. Dalmas w milczeniu pokiwał głową. Dziewczyna mówiła dalej, wciąż nie patrząc na niego: - Pod wieloma względami był prawdziwą kanalią. Na trzeźwo miał chandrę. Po pijaku wychodził z

niego lajdak. Ale kiedy się wstawił w sam raz, był to całkiem przyzwoity facet, a do tego najlepszy reżyser od rozbieranek w całym Hollywo od. Potrafił przepchnąć w wytwórni więcej szmiry z golizną niż trzech innych razem wziętych. - Był skończony - wtrącił Dalmas beznamiętnie. - Moda na rozbieranki się skończyła i świetnie o tym wiedział. Dziewczyna zerknęła na niego spod oka, spuściła wzrok i upiła łyk ze szklanki. Z kieszeni sportowej kurtki wyciągnęła malutką chusteczkę i otarła usta. Ludzie po drugiej stronie przegrody hałasowali ile wlezie. - Jedliśmy obiad na tarasie - ciągnęła Mianne Crayle. - Derek był pijany i zalewał się coraz bardziej. Cały czas o czymś myślał. Czymś się gryzł. Dalmas uśmiechnął się lekko. - Może opłakiwał te dwadzieścia kawałków, od których ktoś go chciał uwolnić... chyba wiedziała pani o tym? - To całkiem możliwe. Derek był trochę sknerowaty. - Alkohol kosztował go nielecho - stwierdził sucho detektyw. - I ten jacht motorowy, którym tak lubił pływać na po łudnie... za granicę. Dziewczyna gwałtownie uniosła głowę. W jej ciemnych, pełnych bólu oczach zamigotały błyski. - Zaopatrywał się w alkohol tylko w Enseñada - stwierdziła powoli. - Sam go przywoził. Musiał być bardzo ostrożny... przy tych ilościach, jakie pochłaniał. Dalmas kiwał głową. W kącikach jego ust błąkał się zimny uśmiezek. Dopił koktajl, wziął papierosa i

sięgnął do kieszeni po ogień. Na stole nie było firmowych zapalek. - Proszę dalej, panno Crayle. - Wróciliśmy do pokoju. Wyciągnął następne dwie butelki i powiedział, że zaleje się w trupa... Pokłóciliśmy się... Nie mogłam już tego wytrzymać. Wyszłam. Po powrocie do domu zaczęłam się o niego martwić. Dzwoniłam, ale nie odbierał telefonu. W końcu pojechałam tam, otworzyłam drzwi swoim kluczem i zastałam go w fotelu... martwego. - Dlaczego nie powiedziała mi pani o tym przez telefon? - spytał Dalmas po chwili. Złożyła dłonie. - Strasznie się bałam - szepnęła ledwie dosłyszalnie. - I coś... coś mi się nie zgadzało. Detektyw oparł głowę o przegrodę i czekał, przyglądając się dziewczynie zmrużonymi oczyma. - To oklepany numer - wyjaśniła. - Aż mi wstyd o tym mówić. Ale Derek był mańkutom... Kto jak kto, ale ja chyba coś o tym wiem. - Wielu ludzi musiało o tym wiedzieć - rzekł Dalmas cicho. - Ale ktoś pokpił sprawę. Patrzył, jak dziewczyna miętosi w palcach rękawiczkę. - Walden był mańkutom - podjął. - To znaczy, że nie popełnił samobójstwa. Pistolet trzymał w prawej ręce. Nie znalazłam śladów walki, otwór po kuli był osmalony i tak na oko strzał padł pod właściwym kątem. Czyli że zabił go ktoś, kto mógł tam wejść i zbliżyć się do niego. Chyba że był już spity do nieprzytomności, ale wtedy zabójca musiałby mieć klucz. Mianne Crayle odepchnęła od siebie

rękawiczkę i zacisnęła dłonie. - Wyraził się pan aż nazbyt jasno - rzuciła ostrym tonem. - Wiem, że policja będzie mnie podejrzewać. Ale... ja go nie zabiłam. Kochałam tego żalosego drania. I co pan na to? - Mogła pani to zrobić, panno Crayle - rzekł Dalmas beznamiętnie. - Im też to przyjdzie do głowy, prawda? A potem mogła pani wpaść na chytry pomysł, żeby zachowywać się tak, jak się pani zachowywała. Na to też wpadną. - To by wcale nie było chytne - stwierdziła gorzko. - Raczej przechytrzone. - Czysta robota! - Dalmas roześmiał się ponuro. - Nieźle. - Przejechał palcami po kędzierzawych włosach. - Nie, wąt pię, żeby mogli to zwalić na panią, a zresztą zanim się dowiedzą, że był mańkutem, być może kto inny wykryje, jak to było naprawdę. Pochylił się lekko i oparł o stół, jak gdyby chciał wstać. W zamyśleniu skupił wzrok na jej twarzy. - W komendzie pracuje taki jeden gość, który być może mógłby mi pomóc. Gliniarz z krwi i kości, ale to mój stary kumpel i ma gdzieś, co o nim mówią. Może gdybyśmy pojechali do niego, obejrzałby sobie panią i przesłuchał, to wstrzy małby sprawę na parę godzin i nie dał nic do prasy. Spojrzał na nią pytająco. Naciągnęła rękawiczkę. - Więc jedźmy - powiedziała spokojnie. 5. Za ledwie zamknęły się drzwi windy w hotelu "Merrivale", potężny mężczyzna złożył gazetę, którą trzymał na wyso kości twarzy, i ziewnął. Podniósł się z kanapy w rogu sali, bez pośpiechu

przeszedł przez mały, cichy hall i wcisnął się do ostatniej z rzędu budek telefonicznych. Wrzucił monetę do aparatu i wybrał numer grubym paluchem, bezgłośnie wymawiając kolejne cyfry. Wkrótce nachylił się nad słuchawką. - Mówi Denny. Jestem w "Merrivale". Nasz człowiek właśnie wrócił. Zgubiłem go na mieście, więc zczekałem na niego tutaj. Głos miał tubalny, gardłowy. Wysłuchał rozmówcy, pokiwał głową i rozłączył się bez słowa. Wyszedł z budki i ruszył do windy, po drodze wyrzucając niedopałek cygara do emaliowanego naczynia wypełnionego białym piaskiem. - Dziesiąte - polecił windziarzowi, zdejmując kapelusz. Miał proste, czarne, mokre od potu włosy, szeroką, płaską twarz i małe oczka. Ubranie wygniecione, ale nie wyświechtane. Był detektywem pracującym dla wytwórni "Eclipse Films". Na dziesiątym piętrze wysiadł, przeszedł ciemnym korytarzem, skręcił za róg i zapukał do drzwi. Usłyszał zbliżające się kroki. Drzwi otworzyły się i stanął w nich Dalmas. Olbrzym wszedł do środka, nonszalancko rzucił kapelusz na łóżko i bez pytania usiadł w fotelu przy oknie. - Serwus, stary! - przywitał się. - Słyszałem, że szukasz pomagiera. Przez chwilę Dalmas patrzył na niego w milczeniu. W końcu odparł z niezadowoleniem: - Możliwe, że będę kogoś potrzebował... na cienia. Ale prosiłem o Collinsa. Ty za bardzo wpadasz w oko. Zniknął na moment w łazience i wrócił z dwiema

szklankami. Napełnił je na komodzie i podał jedną gościowi. Ol brzym wypił, oblizał się i postawił szklankę na parapecie otwartego okna. Z kieszeni kamizelki wyjął krótkie, grube cygaro. - Collinsa nie było pod ręką - wyjaśnił. - A ja liczyłem muchy na suficie. Więc miłościwie panujący oddelegował mnie. Trzeba będzie drałować na piechotę? - Nie wiem - odparł Dalmas obojętnie. - Raczej nie. - Bo jakby przyszło śledzić w gablocie, to nie ma sprawy. Jestem bryczką. Dalmas ze szklanką w ręku przysiadł na skraju łóżka, przyglądając się z lekkim uśmiechem, jak jego gość odgryza i wypluwa na podłogę koniec cygara. Olbrzym schylił się, podniósł kawałek tytoniu, obejrzał go i wyrzucił przez okno. - Wieczór jak się patrzy - zauważył. - Zwykle o tej porze jest chłodniej. - Dobrze znasz Dereka Waldena, Denny? - spytał Dalmas. Olbrzym wyjrzał przez okno. W powietrzu wisiała mgiełka i odbłask czerwonego neonu na tyłach sąsiedniego budynku wyglądał jak łuna pożaru. - Znać to go nie znam. Tylko z widzenia. Wiem, że to jeden z bardziej nadzianych facetów w branży. - No to nie spadniesz z krzesła, jak ci powiem, że nie żyje - oświadczył spokojnie Dalmas. Denny odwrócił się powoli. W jego szerokich ustach podskakiwało nie zapalone cygaro, lecz widać było, że ciekawość go nie zżera. - Śmieszna sprawa - ciągnął Dalmas. - Przyczepiło się do niego paru szantażystów. Wygląda na to, że

stracili cierpliwość. Walden nie żyje... w głowie ma dziurę, a w ręku pistolet. To się stało dziś po południu. Denny otworzył oczka nieco szerzej. Dalmas pociągnął łyk ze szklanki i postawił ją na udzie. - Znalazła go jego dziewczyna. Miała klucz do apartamentu w "Kilmarnocku". Japoniec miał akurat wychodne, a innej służby Walden nie trzymał. Panienska nikomu o tym nie pisnęła. Ulotniła się i zadzwoniła do mnie. Pojechałem tam... Ja też nikomu nic nie powiedziałem. - Jak pragnę zdrowia! - skomentował Denny powoli. - Gliny cię w to wrobią i urzędują na perłowo. Nie wywiniesz się z tego, bracie. Dalmas zmierzył go wzrokiem, odwrócił głowę i spojrzął na obraz na ścianie. - To ja się tym zajmuję... ty mi tylko pomagasz - rzekł zimno. - Dostaliśmy takie zlecenie i mamy za sobą wpływową organizację. W grę wchodzi kupa szmalu. - Masz jakiś pomysł? - spytał Denny ponuro. Był wyraźnie niezadowolony. - Panienska nie wierzy, że Walden sam się zabił. Ja też nie, zwłaszcza że wpadłem na pewien trop. Ale trzeba się uwijać, bo to równie dobry trop dla glin. Nie sądziłem, że uda mi się to sprawdzić od razu, ale miałem fart. - Uhm - mruknął Denny. - Oszczędź mi łamigłówek. Myślenie to nie moja specjalność. Potarł zapalną i przypalił cygaro. Jego ręka lekko drżała. - Nie ma nad czym łamać głowy - uspokoił go Dalmas. - To proste jak drut. Pistolet, z którego zabito Waldena, ma spiłowany numer. Ale rozłożyłem

go i okazało się, że numeru wewnątrz kolby nie usunięto. Na policji mają ten numer w rejestrze zezwoleń na posiadanie broni. - A ty tak po prostu zaszedłeś do nich, poprosiłeś ładnie o nazwisko faceta i ci je dali - wtrącił Denny ponuro. - Jak już znajdą Waldena i sami sprawdzą numer, ucieszą się jak jasny gwint, żeś ich wykołował. - Odchrząknął chrapliwie. - Nic się nie bój - uspokoił go Dalmas. - Sprawdził mi to facet na wysokim stołku. Mogę spać spokojnie. - Jak cholera! A na co takiemu gościowi jak Walden pistolet z usuniętym numerem? Za to się siedzi. Dalmas dopił koktajl, podszedł z pustą szklanką do komody i pomachał butelką whisky. Denny odmówił ruchem głowy. Był wyraźnie zde gustowany. - Walden mógł o tym nie wiedzieć, jeżeli to była jego broń, Denny. Ale może to wcale nie był jego pistolet. Jeżeli należał do zabójcy, to zabójca jest amatorem. Zawodowiec nie posługuje się taką armatą. - Niech ci będzie. Coś wykombinował? Dalmas znów przysiadł na łóżku. Wygrzebał z kieszeni paczkę papierosów, zapalił i pochylił się, by wyrzucić zapalniczkę przez okno. Zezwolenie wydano mniej więcej rok temu facetowi o nazwisku Dart Burwand. To taki wścibski dziennikarzyna z "Press-Chronicle". W kwietniu sprzątnęli go na stacji Arcade. Właśnie miał zniknąć z miasta, ale nie zdążył. Sprawa jest do tej pory nie wyjaśniona, ale chodzą słuchy, że ten cały Burwand maczał

palce w porachunkach gangsterów - na przykład w zabójstwie Lingle'a w Chicago - i że chciał wysadzić z siodła jednego ważniaka. Tyle że ważniak nie dał sobie w kaszę dmuchać i przeniósł Burwanda na tamten świat. Olbrzym oddychał ciężko. Cygaro zgasło mu w ustach. Dalmas obserwował go uważnie. - Dowiedziałem się tego od Westfallsa z "Press-Chronicle" - ciągnął. - To mój znajomek. Ale to jeszcze nie koniec. Prawdopodobnie pistolet zwrócono żonie Burwanda. Ona dalej tu mieszka, na North Kenmore. Być może dowiem się od niej, co zrobiła z bronią... chyba że ona też ma powiązania z jakimś gangiem. Jeśli tak, to nic mi nie powie, ale po rozmowie ze mną może spróbuje nawiązać kontakty, o których powinniśmy wiedzieć. Pojmujesz? Denny znów trzasnął zapalką i przysunął ją do cygara. - A co ja mam robić... śledzić lalunię, jak już jej wyklarujesz co i jak z tym pistoletem? - zapytał ochryple. - Właśnie. Olbrzym wstał, udając, że ziewa. - Zrobi się - burknął. - Ale po co ta cała tajemnica z Waldenem? Dlaczego nie zostawić tego glinom? Narobimy sobie tylko wrogów w komendzie. - Musimy zaryzykować. Nie wiemy, co takiego tamci mieli na Waldena, że go szantażowali, a wytwórnia mogłaby stracić sporo pieniędzy, gdyby coś wyszło podczas śledztwa i trafiło na czołówki gazet w całym kraju. - Gadasz, jakby Walden nazywał się Valentino - zaprotestował Denny. - Diabła tam,

w końcu to tylko reżyser. Starczy, że zdejmą jego nazwisko z paru filmów, które nie weszły jeszcze na ekrany. - Oni są innego zdania - uciał Dalmas. - Może dlatego, że nie gadali z tobą. - No dobra - rzucił Denny szorstko. - Ale ja tam bym sobie odpuścił panienkę, niech idzie siedzieć. Glinom zawsze chodzi tylko o kozła ofiarnego. - Okrążył łóżko, wziął kapelusz i wcisnął go na głowę. - To lubię - stwierdził kwaśno. - Mu simy się z tym uwinąć, zanim gliny dowiedzą się, że Walden nie żyje. - Machnął ręką i roześmiał się niewesoło. - Tak, jak to robią na filmach. Dalmas schował butelkę whisky do szuflady komody i włożył kapelusz. Otworzył drzwi i stanął z boku, przepuszczając Denny'ego przodem. Zgasił światło. Była za dziesięć dziewiąta. 6. Wysoka blondynka spojrzała na Dalmasa zielonymi oczyma o nienaturalnie zwężonych źrenicach. Przecisnęła się obok niej szybko, choć bez widocznego pośpiechu i łokciem zamknął drzwi. - Jestem detektywem, pani Burwand... prywatnym. Zbieram informacje w sprawie, o której może pani coś wiedzieć. - Nazywam się Dalton - sprostowała blondynka. - Helen Dalton. Daruj pan sobie tę Burwand. - Przepraszam - odparł Dalmas z uśmiechem. - Powinienem o tym wiedzieć. Kobieta wzruszyła ramionami i odpłynęła od drzwi. Przysiadła na skraju fotela z dziurą od papierosa w poręczy. Znaj dowali się w salonie umeblowanego mieszkania

czynszowego, zagraconym bibelotami rodem z domów towarowych. Za oświetlenie służyły dwie stojące lampy. Na podłodze leżały poduszki z falbankami, o podstawę jednej z lamp opierała się francuska lalka, a na gzymsie kominka gazowego stał rząd książek w jaskrawych obwolutach. - Chodzi mi o pistolet, który należał kiedyś do Darta Burwanda - powiedział Dalmas uprzejmie, kołysząc kapeluszem. - Wyplłynął w sprawie, nad którą właśnie pracuję. Staram się prześledzić jego historię... od momentu, gdy trafił w pani ręce. Helen Dalton podrapała się w ramię. Paznokcie miała długie na centymetr. - Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - stwierdziła krótko. Dalmas oparł się o ścianę, przyglądając się kobiecie. Jego głos stwardniał. - A pamięta pani jeszcze, że kiedyś była pani żoną Darta Burwanda, którego sprzątnęli w kwietniu tego roku... czy może to za stare dzieje? Blondynka zagryzła kciuk. - Spryciarz, co? - warknęła. - Nie, chyba że muszę. Ale niech pani nie zasypia po tej ostatniej szprycy. Helen Dalton wyprostowała się nagle. Jej rysy nabrały wyrazu. - O co chodzi z tym pistoletem? - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - O to, że zabito z niego człowieka - rzucił Dalmas obojętnie. Wytrzeszczyła oczy. - Splukałam się, więc go zastawiłam - wyjaśniła po chwili. - Nigdy z niego nie korzystałam. Miałam męża, który wy ciągał tydzień w tydzień sześć dych, ale na mnie nie wydał ani centa. Zawsze byłam bez grosza przy

duży. Dalmas pokiwał głową. - Pamięta pani, w którym to było lombardzie? A może zachowała pani kwit? - Nie. To było gdzieś na Main. Tam co krok jest jakiś lombard. A kwitu nie mam. - Tego się obawiałem - stwierdził Dalmas.

Przeszedł wolno przez pokój, obrzucił wzrokiem tytuły książek na gzymsie kominka i zatrzymał się przy małym biurku z opuszczonym blatem. Stała na nim fotografia w srebrnej ramce. Obejrzał ją dokładnie i odwrócił się powoli. - Kiepska sprawa z tym pistoletem, Helen. Dziś po południu skasowano nim jednego ważniaka. Numer seryjny na kol bie jest spiłowany. Skoro go zastawiłaś, to mógł go kupić morderca, tyle że zawodowiec nie usunąłby numeru w taki sposób. Wiedziałby, że w środku jest jeszcze jeden. A więc pistoletu nie kupił morderca... a ten, którego zabito, z całą pewnością nie kupowałby broni w lombardzie. Blondynka wstała powoli. Na jej policzkach wykwitły czerwone plamy. Sztywne ręce zwiesiła po bokach. Oddychała ze świstem. - Nie będziesz mną pomiatał, szpiclu - wycedziła napiętym głosem. - W nic się nie dam wrobić... i mam paru przyjaciół, którzy potrafią się mną zaopiekować. Lepiej spływaj. Detektyw zerknął przez ramię na fotografię. - Że też Johnny Sutro pozwala panience trzymać swoje zdjęcie tak na widoku. Można by pomyśleć, że zdradza żonę. Blondynka przeszła sztywno przez pokój i z trzaskiem wrzuciła zdjęcie do szuflady.

Zamknęła ją i oparła się biodrami o biurko. -
Zalaleś się, szpiclu. To nie jest żaden Sutro.
Zbieraj się wreszcie, jak pragnę Boga! Dalmas
roześmiał się nieprzyjemnie. - Widziałem cię u
Sutra dziś wieczorem. Byłaś tak pijana, że nie
pamiętasz. Dziewczyna zerwała się, jak gdyby
chciała wyjść z pokoju. W tej samej chwili z
korytarza wszedł jakiś człowiek. Stał nął w
progu i powoli zamknął drzwi, prawą rękę
trzymając w kieszeni lekkiego tweedowego
płaszcz. Był śniady, barczysty, kanciasty. Miał
orli nos i ostro zarysowany podbródek. Dalmas
patrzył na niego spokojnie. - O, radny Sutro.
Dobry wieczór - przywitał się. Mężczyzna
spojrzał na blondynkę, omijając wzrokiem
Dalmasa, jak gdyby go w ogóle nie było. -
Twierdzi, że jest tajniakiem - wyjąkała drżącym
głosem. - Magluje mnie w sprawie jakiegoś
pistoletu, który podobno kiedyś miałam. Możesz
go wyrzucić? - Tajniak, co? - warknął Sutro.
Przeszedł obok detektywa, nie patrząc na niego.
Blondynka cofała się przed nim, aż klapnęła na
fotel. Cerę miała zie mistą, w jej oczach czaił się
strach. Sutro spoglądał na nią przez chwilę, po
czym odwrócił się i wyciągnął z kieszeni mały
pistolet. Trzymał go swobodnie, celując w
podłogę. - Mam mało czasu - powiedział. -
Właśnie się zbierałem - rzekł Dalmas,
przesuwając się w stronę wyjścia. - Najpierw
gadaj! - polecił ostro radny. - Jasne. Bez
pośpiechu, swobodnym krokiem, detektyw

podszedł do drzwi i otworzył je na oścież. Pistolet w dłoni Sutra pod skoczył. - Skończ pan ten cyrk - parsknął Dalmas. - Nie zacznie pan tu żadnej rozróby i świetnie pan o tym wie. Dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Wreszcie Suro schował broń do kieszeni i obliznął wąskie wargi. - Panna Dalton miała kiedyś pistolet, z którego dopiero co zabito człowieka - wyjaśnił Dalmas. - Ale pozbyła się go już dawno temu. To wszystko, co chciałem wiedzieć. Suro powoli skinął głową. Miał dziwny wyraz oczu. - Panna Dalton jest przyjaciółką mojej żony. Nie życzę sobie, żeby jej się naprzykrzano - oświadczył zimno. - To jasne, że pan sobie nie życzy. Ale działający legalnie detektyw ma prawo zadawać uzasadnione pytania. Ja się tu nie włamałem. Suro zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. - W porządku, ale odczep się od moich przyjaciół. W tym mieście tak tańczą, jak ja zagram, więc uważaj, żebyś mi nie podpadł. Dalmas pokiwał głową. Cicho wyszedł na korytarz, zamykając drzwi. Przez chwilę nasłuchiwał, ale z mieszkania nie dobiegały żadne dźwięki. Wzruszył ramionami i oddalił się. Na końcu korytarza zszedł po trzech schodkach do małego hallu bez centrali telefonicznej i opuścił budynek. Rozejrzał się. Była to dzielnica bloków mieszkalnych, stąd też wzdłuż całej jezdni parkowały samochody. Skierował się do światła czekającej na niego taksówki. Joey stał na krawężniku obok swojej gabloty. Palnął

papierosa, spoglądając na drugą stronę ulicy, gdzie wielki, ciemny kabriolet parkował, zwrócony lewym bokiem do chodnika. Na widok Dalmasa rzucił papierosa i podszedł do niego. - Słuchaj, szefie - powiedział szybko. - Obejrzałem sobie faceta w tym Cadillaku... Znad drzwi kabrioletu wytrysnęła smuga białego płomienia. Echo wystrzałów obilo się o budynki po obu stronach ulicy. Joey runął na Dalmasa w chwili, gdy Cadillac gwałtownie wystartował do przodu. Obarczony wczepionym w niego tak sówkarzem, detektyw skoczył w bok i przyklęknął, próbując wyciągnąć broń. Bezskutecznie. Kabriolet z piskiem opon zniknął za zakrętem, a Joey stoczył się z Dalmasa, przeturlał i zleżł na wznak na chodniku. Trzepocząc rękami po betonie, wydał głęboki, ochryply jęk bólu. Opony znów zapiszczały. Dalmas zerwał się na boki, sięgając pod lewą pachę, lecz odprężył się widząc, że mały samochód hamuje poślizgiem i wyskakuje z niego Denny. Dalmas pochylił się nad kierowcą. Latarnie przy sąsiedniej bramie oświetlały krew na prążkowanej marynarce Joeya, krew, która sączyła się przez materiał. Oczy ранnego zamykały się i otwierały, jak oczy konającego ptaka. - Nie ma co gonić tej bryczki - wysapał Denny. - Za szybka. - Pędź do telefonu i dzwoń po karetkę - polecił Dalmas. - Nafaszerowali go jak cholera. A potem przyklej się do tej blondyny. Olbrzym pognał do swojego wozu,

wskoczył za kierownicę i zniknął za rogiem. Gdzieś otworzyło się okno i ktoś puść cił soczystą wiązanke. Kilka samochodów przyhamowało. - Spokojnie, staruszkule - szeptał Dalmas, pochylony nad taksówkarzem. - Tylko spokojnie. 7. Porucznik z Wydziału Zabójstw nazywał się Weinkassel. Miał rzadkie blond włosy, lodowate błękitne oczy i dzioba tą twarz. Siedział na krześle obrotowym, z nogami opartymi na wysuniętej szufladzie biurka i z telefonem pod ręką. Pokój zalatywał kurzem i niedopałkami. Potężnie zbudowany gliniarz o szpakowatych włosach i wąsach, nazwiskiem Lonergan, stał w otwartym oknie, wyglą dając ponuro na ulicę. Weinkassel przeżuwał zapalke i przyglądał się Dalmasowi, siedzącemu po drugiej stronie biurka. - Może byś nam co powiedział - mruknął. - Bo taksjarz nie może. Do tej pory miałeś fart w tym mieście i nie chcesz go chyba pogrzebać? - To twardziel - wtrącił Lonergan, nie odwracając się od okna. - Nic nie powie. - Lepiej byś nie zabierał głosu, Lonnie - rzekł Weinkassel głucho. Dalmas z bladym uśmieszkiem potarł dłonią bok biurka. Zaskrzypiało. - Niby co mam jeszcze powiedzieć? - zapytał. - Było ciemno i nie widziałem tego, co strzelał. Siedział w odkrytym Cadillaku, bez świateł. Już to panu mówiłem, poruczniku. - To nie klapuje - stwierdził dziobaty zrzedliwie. - Coś tu śmierdzi. Na pewno masz jakieś podejrzenia , kto by to mógł być.

Murowane, że ta kulka była przeznaczona dla ciebie. - A to czemu? Ostatecznie kropnęli taksówkarza, a nie mnie. Ci taksjarze obracają się w różnym towarzystwie. Może zadarł z jakimiś twardzielami? - Takimi jak ty - wpadł mu w słowo Lonergan. Nadal wyglądał przez okno. Weinkassel łypnął spode łba na plecy podwładnego. - Ten samochód stał tam, jak jeszcze byłeś w chałupie - wyjaśnił cierpliwie. - Taksówkarz czekał na ulicy. Jeżeli to je go chcieli kropnąć, to nie musieli czekać, aż wyjdiesz. Dalmas rozłożył ręce i wzruszył ramionami. - Myślicie, że wiem, kto to zrobił? - Niezupełnie. Ale uważamy, że mógłbyś nam podrzucić parę nazwisk do sprawdzenia. Kogo tam odwiedziłeś? Dalmas nie odpowiedział od razu. Lonergan odwrócił się od okna i przysiadł na skraju biurka. Siedział wymachując nogami, z cynicznym uśmiechem na płaskiej twarzy. - No powiedz, dziecinko - rzucił wesoło. Dalmas odchylił się na krześle i schował ręce do kieszeni. Z namysłem przyglądał się porucznikowi, ignorując szpako watego gliniarza, jak gdyby w ogóle nie istniał. - Załatwiałem sprawy mojego klienta - stwierdził po chwili. - Nie możecie wymagać, żebym wam o tym opowiadał. Weinkassel wzruszył ramionami, spoglądając na niego lodowatym wzrokiem. Nagle wyjął z ust przeżutą zapalną, obej rzał ją i wyrzucił. Z tego może wynikać, że twoje interesy mają związek ze strzelaniną - zapowiedział ponuro. - I

będziesz musiał otwo rzyć gębę. Dobrze mówię? Kto wie? - odparł Dalmas. - To się jeszcze okaże. Ale mam prawo porozumieć się przedtem z moim klientem. - W porządku. Masz na to czas do rana. Bo rano chcę zobaczyć na biurku twoją licencję, rozumiemy się? Dalmas pokiwał głową i wstał. - Jak najbardziej, poruczniku. - Ten to potrafi tylko trzymać gębę na kłódkę - rzucił szorstko Lonergan. Dalmas skinął głową porucznikowi i wyszedł na ponury korytarz, a stamtąd po kilku stopniach do hallu. Przed ratusem czekały go jeszcze długie betonowe schody, nim przeszedł na drugą stronę Spring Street, gdzie stał zaparkowany niebieski, pamiętający lepsze czasy Packard. Usiadł za kierownicą, skręcił za róg, minął tunel na Second Street i znów skręcił w najbliższą przecznicę na zachód. Co chwila spoglądał w lusterko wsteczne. Na Alvarado zadzwonił z drogerii do swojego hotelu i dowiedział się od recepcjonisty, że ma gdzieś zatelefonować. Zadzwonił więc pod wskazany numer i po drugiej stronie usłyszał tubalny, niecierpliwy głos Denny'ego: - Gdzieś się podziewał? Ściągnąłem lalkę do siebie. Jest pijana. Przyjeżdżaj, to wywiemy się od niej, co tylko będziesz chciał. Dalmas spoglądał przez szybę budki telefonicznej niewidzącym wzrokiem. W końcu spytał powoli: - Zwinąłeś blondynę? Jak? - To cała historia, bracie. Przyjeżdżaj szybko, to ci opowiem. South Livesay, czternaście pięćdziesiąt cztery. Wiesz,

gdzie to jest? - Mam plan miasta. Trafie - odparł Dalmas tym samym tonem. Denny jednak wyjaśniał mu rozwlekłe, jak najlepiej dojechać. Na koniec dorzucił: - Pośpiesz się. Ona jeszcze śpi, ale w każdej chwili może się obudzić i narobić wrzasku. - Tam, gdzie mieszkasz, to chyba nie ma większego znaczenia - mruknął Dalmas. - Już jadę. Odwiesił słuchawkę i wrócił do samochodu. Z kieszeni w drzwiach wozu wyciągnął półlitrowkę burbona i pociągnął solidny łyk. Potem zapalił silnik i pojechał w stronę Fox Hills. Dwukrotnie przerywał jazdę i siedząc sztywno za kierownicą, namyślał się. Ale za każdym razem ruszał w dalszą drogę. 8.

Odgałęzienie Pico rozdzielało dwa pola golfowe i nikło pośród falistych wzgórz. Szosa biegła skrajem jednego z pól, obok wysokiej drucianej siatki. Tu i ówdzie widać było rozsiane po wzgórzach parterowe domki. Wkrótce droga opadła do kotliny, w której - po drugiej stronie dojazdu na teren pola golfowego - stał samotny bungalow. Dalmas zaparkował nieco dalej, pod olbrzymim eukaliptusem, rzucającym głęboki cień na skąpaną w świetle księżycy szosę. Wysiadł, cofnął się i skręcił na betonowy chodnik prowadzący do domku. Budynek był szeroki, niski, z kilkoma oknami od frontu. Rosnące przed nim krzewy sięgały do połowy zasłon, zza których przebijało łagodne światło i muzyka z cicho nastawionego radia. Czyjś cień przesunął się za oknami i ktoś otworzył drzwi.

Dalmas wszedł do salonu usytuowanego od frontu budynku. Samotna żarówka w lampie i świetlna tarcza radia wystarczały za oświetlenie. Wspomagała je nieco poświata księżycyca. Denny był bez marynarki. Podwinięte rękawy koszuli odsłaniały jego muskularne ramiona. - Lalunia jeszcze śpi - oznajmił. - Obudzę ją, ale wpierw ci opowiem, jak ją tu ściągnąłem. - Jesteś pewny, że nikt was nie śledził? - Na sto procent - zapewnił olbrzym, unosząc wielką dłoń. Dalmas usiadł na wiklinowym krześle w rogu pokoju, między radiem a oknem. Położył kapelusz na podłodze, wyciągnął butelkę bourbona i przyjrzał jej się z niesmakiem. - Dałbyś się napić czegoś porządnego, Denny. Jestem zmordowany jak cholera. Nawet nie jadłem kolacji. - Mam trzygwiazdkowego Martella. Zaraz wracam. Denny wyszedł z pokoju i na tyłach domu zapaliło się światło. Dalmas postawił butelkę obok kapelusza i dwoma palcami pomasaował czoło. Bolała go głowa. Wkrótce światło z tyłu domu zgasło i gospodarz wrócił z dwoma wysokimi kieliszkami. Brandy była łagodna w smaku, lecz mocna. Denny usiadł na drugim wyplatany krześle. W panującym półmroku jego ciemna postać wydawała się jeszcze większa niż zwykle. - Brzmi to głupio, ale poskutkowało - rozpoczął powoli grubym głosem. - Jak się gliny wyniosły, zaparkowałem w bocznej alejce i wszedłem tylnymi drzwiami. Wiedziałem, gdzie mieszka, ale jej nie znałem. Umyśliłem sobie, że

pod ja kimś pretekstem sprawdzę, co też ona porabia. Zapukałem, ale nie otwierała. Słyszałem, jak kręci się po mieszkaniu, a potem do kogoś dzwoni. No to cofnąłem się korytarzem i spróbowałem przez drzwi dla służby. Były otwarte, więc wszedłem. Wiesz, miały taki zatrask, z tych, co to zacinają się i nie zaskakują. - Rozumiem, Denny - rzekł Dalmas kiwając głową. Olbrzym łyknął brandy i podrapał się krawędzią kieliszka w dolną wargę. - Facet, do którego dzwoniła, nazywa się Gayn Donner - podjął. - Znasz go? - Ze słyszenia. A więc panienka ma takie znajomości? - Zwracała się do niego po nazwisku i była wściekła. Stąd wiem. Donner ma knajpę przy Mariposa Canyon Drive... klub "Mariposa". Jego orkiestrę puszczają w radiu... to Hank Munn i jego chłopcy. - Słyszałem ich, Denny. - No dobra. Więc jak skończyła gadać, wszedłem do pokoju. Wyglądała jak naćpana, zataczała się, nie bardzo kojarzyła, co jest grane. Rozejrzałem się i zobaczyłem na biurku zdjęcie Johna Sutro, tego radnego. Wykorzystałem je jako pretekst i powiedziałem, że Sutro przysłał mnie po nią, bo chce, żeby zniknęła na jakiś czas. Kupiła to. Kretynka. Chciała sobie łyknać, więc powiedziałem, że flaszkę mam w wozie. A ona łaps za kapelusik i płaszcz. - Tak po prostu? - No - przytaknął Denny. Dopił brandy i odstawił kieliszek. - W samochodzie dałem jej butelkę, żeby sobie golnęła i siedziała cicho, i

przywiozłem ją tutaj. Poszła spać i to by było na tyle. Co ty na to? A jak poszło na komendzie, ciężko? - Ciężko. Nie dali się wpuścić w maliny. - Mówili coś o zabójstwie Waldena. Dalmas potrząsnął głową. - Zdaje się, że żółtek nie wrócił jeszcze do domu. - Chcesz pogadać z lalunią? Z radia dobiegały dźwięki walca. Przez chwilę Dalmas w milczeniu słuchał muzyki. Wreszcie odparł zmęczonym głosem: - W końcu po to przyjechałem. Denny wstał i wyszedł z pokoju. Dalmas usłyszał skrzypnięcie otwieranych drzwi i stłumione głosy. Wyciągnął rewolwer spod pachy i położył przy nodze. Wchodząc do salonu, blondynka zachwiała się nieco przesadnie. Rozejrzała się i chichocząc zatrzepotała długimi rzęsami. Na widok Dalmasa zamrugła, przez chwilę zataczając się w miejscu, po czym opadła na krzesło, które zwolnił Denny. Olbrzym nie odstępował jej na krok. Stał przy bocznej ścianie, opierając się o stół. - Ho, ho, mój przyjaciel szpicel - odezwiała się pijackim głosem. - Hejże, nieznajomy! Nie zaprosisz damy na jednego? Dalmas przyglądał jej się kamiennym wzrokiem. - Przyszło ci coś nowego do głowy w związku z tamtym pistoletem? - zapytał powoli. - Wiesz, ta spluwa, o której rozmawialiśmy, kiedy wparował Johnny Sutro... ta ze spiłowanym numerem... z której zabito Dereka Waldena? Denny zeszywniał. Nagle sięgnął do biodra. Dalmas uniósł swojego colta i wstał. Widząc rewolwer,

olbrzym znieru chomiał i odprężył się. Blondynka nawet nie drgnęła, ale pijacka poza ulotniła się jak kamfora. Jej twarz zdradzała napięcie i gorycz. - Trzymaj ręce na widoku, Denny, a wszystko będzie cacy - rozkazał Dalmas spokojnie. - A teraz może powiecie mi, krętacze, po coście mnie tu ściągnęli? - Jak pragnę zdrowia! - wychrypiał olbrzym. - Co ci strzeliło do głowy? Wystraszyłem się, jak powiedziałeś przy niej o Waldenie. - Niepotrzebnie - rzekł Dalmas, uśmiechając się od ucha do ucha. - Może ona w ogóle o nim nie słyszała? A teraz wy jaśnijmy to sobie w trymiga. Coś mi się zdaje, że czekają mnie tu kłopoty. - Całkiem ci odbiło! Dalmas lekko przesunął broń. Oparł się o boczną ścianę, nachylił i lewą ręką wyłączył radio. - Sprzedałeś się, Denny - stwierdził z goryczą. - Nic prostszego. Nie nadajesz się na cienia, jesteś za duży. Ostatnio ciągle widziałem, jak za mną łazisz. Nabrałem pewności dziś wieczorem, jak się wpakowałeś w tę sprawę. A kiedy usłyszałem bajeczkę o tym, jakieś to zwabił dziewczynę do siebie, pozbyłem się resztek wątpliwości... Czyś ty naprawdę myślał, że ktoś, kto dożył mojego wieku, da się na to nabrać? Bądź teraz tak dobry i powiedz, dla kogo pracujesz, a może pozwolę ci się ulotnić. To jak? Dla Donnera? Dla Sutra? I co to za pomysł z tą zasadzką? Właśnie tutaj, w tej głuszy? W tym momencie dziewczyna zerwała się na równe nogi i skoczyła

na niego. Odepchnął ją wolną ręką. Upadła na podłogę. - Załatw go, ty bryło mięsa! - wrzasnęła. - Załatw go! Denny ani drgnął. - Zamknij się, szpryco! - warknął Dalmas. - Nikt tu nikogo niezałatwi. To zwykła przyjacielska pogawędka. Wstawaj i przestań pyskować! Blondynka podniosła się niemrawo. W półmroku salonu twarz Denny'ego wydawała się kamienna, nieporuszona. - Sprzedałem się - przyznał chrapliwie. - Jak ostatnia świnia. No i dobrze. Miałem potąd pilnowania odpicowanych la luń, żeby jedna drugiej nie buchnęła szminki... Chcesz, to mnie kropnij. Nadal stał bez ruchu. Dalmas pokiwał głową. - Kto to jest, Denny? - powtórzył. - Dla kogo pracujesz? - Nie wiem. Dzwonię pod taki jeden numer, dostaję polecenia i melduję w ten sam sposób. Forsa przychodzi pocztą. Próbowałem podpytać tę cizię, ale nic z tego... Nie sądzę, żeby to była zasadzka, i nic nie wiem o tej strzelaninie na ulicy. Dalmas obserwował go bacznie. - Chyba nie grasz na zwłokę, żeby mnie tu zatrzymać, co, Denny? Olbrzym powoli uniósł głowę. W pokoju zapanowała nienaturalna cisza. Przed domem zatrzymał się jakiś samochód i lekki warkot silnika umilkł. Górną część zasłon zalało czerwone światło. Było oślepiające. Dalmas przyklęknął błyskawicznie i bezszelestnie uskoczył w bok. Chrapliwy głos Denny'ego prze-rwał ciszę: - Jak pragnę zdrowia, gliny! Podświetlone zasłony zatraciły swój splot, biła z

nich różowa luna, rzucając wielką, jaskrawą plamę na przeciwległą ścianę salonu. Dziewczyna wydała zduszony jęk. Przez mgnienie oka jej twarz przypominała czerwoną maskę, nim osunęła się, niknąc z zasięgu reflektora. Dalmas spojrział na światło, chowając głowę pod parapetem. Na tle czerwonego blasku liście krzewów przed domem wyglądały jak czarne ostrza włóczy. Na chodniku rozległy się kroki. - Łapy do góry i wyłazić! - zazgrzytał chrapliwy głos. W salonie ktoś się poruszył. Dalmas poderwał broń... na próżno. Trzasnął kontakt i na werandzie zapaliła się lampa. W jej świetle mignęli dwaj mężczyźni w niebieskich mundurach policjantów, którzy szybko uskoczyli w cień. Jeden z nich ścisnął pistolet maszynowy, a drugi długiego lugera ze specjalnym magazynkiem. Rozległ się zgrzyt - to Denny uchylał wizjer w drzwiach. Olbrzym uniósł pistolet i wystrzelił. Coś ciężkiego upadło na beton. Jakiś mężczyzna, trzymając się za brzuch, wpadł chwiejnie w snop światła i zatoczył się do tyłu, niknąc z widoku. Po chodniku przeturlała się czapka ze sztywnym daszkiem. Rozterkotał się pistolet maszynowy. Dalmas rozpląszczył się na podłodze przy ścianie, wgniatając twarz w deski. Z tyłu doleciał go wrzask dziewczyny. Rozpylacz szybko omiótł cały pokój, wypełniając powietrze gipsem i drzazgami. Lustro spadło ze ściany. Ostry swąd prochu szedł o lepsze z kwaśnym

odorem pyłu gipsowego. Zdawało się, że trwa to już wieki. Coś spadło Dalmasowi na nogi. Nie otworzył oczu, dalej przyciskał twarz do parkietu. Terkot i jazgot ucichły. Ze ścian nadal sypał się deszcz gipsu. - Jak wam się podobało, chłopcy? - wrzasnął ktoś. Ktoś inny, stojący dalej od domu, warknął ze złością: - Jazda, spływamy! Znow rozległy się kroki, a także szuranie. Więcej kroków. Zawarczał silnik samochodu. Głośno trzasnęły drzwi. Opo ny zapiszczały na żwirze, a śpiew silnika przybrał na sile, by wkrótce zamrzeć w oddali. Dalmas wstał. W uszach czuł łomotanie krwi, a w nosie suchość. Podniósł rewolwer z podłogi, sięgnął do wewnętrznej kieszeni po latarkę i zapalił ją. Jej światło z trudem przebiło wiszący w powietrzu kurz. Dziewczyna leżała na wznak, z sze roko otwartymi oczyma i ustami wykrzywionymi w czymś na kształt uśmiechu. Chlipała. Dalmas pochylił się nad nią. Na pierwszy rzut oka nic jej się nie stało. Przeszedł dalej. Znalazł swój kapelusz nietknięty, koło krzesła z odstrzeloną górną częścią oparcia. Obok stała butelka burbona. Podniósł oba przedmioty. Facet, który kosił z rozpylacza, trzymał automat na wysokości pasa, nie opuszczając lufy. Dalmas podszedł do drzwi. Denny klęczał w progu, chwiejąc się i ściskając sobie dłoń. Spomiędzy grubych paluchów sączyła się krew. Dalmas wyszedł na dwór. Na chodniku ujrzał krwawą plamę i mnóstwo łusek, ale nie dostrzegł żywej

duży. Czuł pulsowanie nabiegłej do twarzy krwi i szczypanie skóry wokół nosa. Pociągnął z butelki, odwrócił się i wszedł z powrotem do domu. Denny tymczasem już wstał i przewiązywał sobie chusteczką zakrwawioną dłoń. Zataczał się jak pijany. Dalmas skierował promień latarki na jego twarz. - Coś poważnego? - spytał. - Nie. Draśnięcie w rękę - wyjaśnił olbrzym chrapliwie. Palcami niezdarnie ścisnął chusteczkę. - Blondyna ledwie żywa ze strachu. Toś nam, chłopie, sprawił bal. Miłych masz kumpli. Chcieli rozwalić nas troje. Zażyłeś ich, jakżeś do nich wygarnął przez judasza. Chyba coś ci się za to ode mnie należy, Denny... A swoją drogą strzelać to oni nie bardzo potrafią. - Dokąd się teraz wybierasz? - A jak myślisz? Denny spojrzał mu prosto w oczy. - Twój człowiek to Sutro - oświadczył powoli. - Mam już dość... zmywam się. Czort z nimi. Dalmas znów przeszedł przez drzwi i ruszył chodnikiem ku szosie. Wsiadł do samochodu i odjechał bez świateł. Do piero za zakrętem, a i to nie od razu, włączył reflektory, wysiadł i otrzepał się z kurzu. 9. Srebrno-czarne kotary, podwiązane w kształcie odwróconej litery "V", odsłaniały mgiełkę dymu z papierosów i cygar, przez którą od czasu do czasu błyskały złotem instrumenty orkiestry tanecznej. W powietrzu unosił się zapach potraw, trunków, perfum i pudru. Plama bursztynowego światła wytyczała pusty parkiet

do tańca, na oko niewiele większy od dywa nika w łazience gwiazdy filmowej. Orkiestra zaczęła występ, światła pogasły. Wyłożonymi dywanem schodami nadszedł ober, klepiąc się złotym ołówkiem po atlasowej lamówce spodni. Miał wąskie, wyprane z życia oczy i prawie białe włosy, zaczesane do tyłu nad kościstym czołem. - Chciałbym się widzieć z panem Donnerem - powiedział Dalmas. Ober poklepał się złotym ołówkiem po zębach. - Niestety, jest zajęty. Pańskie nazwisko? - Dalmas. Niech mu pan powie, że jestem bliskim przyjacielem Johnny'ego Sutro. - Spróbuję. Ober podszedł do tablicy wyposażonej w rząd guzików i małą słuchawkę telefonu. Zdjął ją z widełek i przysunął do ucha, gapiąc się na Dalmasa bezosobowym wzrokiem wypchanego zwierzaka. - Zaczekam w hallu - rzekł detektyw. Minął kotary i bez pośpiechu ruszył do męskiej toalety. Wyciągnął butelkę i wychylił do dna resztkę whisky, stojąc w rozkroku, z odrzuconą do tyłu głową, na środku wyłożonej kafelkami podłogi. Zaszuszonej marynarce nerwowo zatrzepotał rękami. - Tu się nie pije, szefie - wydukał niespokojnie. Dalmas cisnął pustą butelkę do kosza na zużyte ręczniki. Ze szklanej półki wziął czysty ręcznik, otarł usta, zostawił na umywalce dziesięć centów i wyszedł. Do toalety prowadziło dwoje nieco oddalonych od siebie drzwi. Detektyw oparł się o zewnętrzne i wyjął z kieszeni kamizelki mały

pistolet samopowtarzalny, długości najwyżej dziesięciu centymetrów. Nakrył go kapeluszem i przytrzymując go trzema palcami, wyszedł, łagodnie kołysząc kapeluszem u boku. Wkrótce do hallu wszedł wysoki Filipińczyk o jedwabistych czarnych włosach i rozejrzał się. Dalmas ruszył ku niemu. Ober wyjrzał zza kotary i dał znak chłopakowi. - Tędy, szefie - odezwał się Filipińczyk. Przeszli długim, cichym korytarzem. Dźwięki orkiestry stopniowo umilkły. Otwarte drzwi z boku pozwalały dojrzeć zielone blaty opuszczonych stołów. Korytarz skręcał pod kątem prostym w następny, na końcu którego z uchylonych drzwi przebijało światło. Filipińczyk zatrzymał się w pół kroku i z gracją wykonał skomplikowany ruch, w rezultacie czego w jego dłoni pojawił się wielki, czarny pistolet. Uprzejmie dźgnął nim Dalmasa w żebra. - Muszę pana obszukać, szefie. Taki tu zwyczaj. Detektyw znieruchomiał, rozkładając ręce. Chłopak odebrał mu colta i wsunął go do kieszeni. Sprawdził pozostałe kieszenie Dalmasa, cofnął się o krok i schował swoją armatę. Opuszczając ręce, Dalmas upuścił kapelusz i wycelował schowany pod nim pistolecik w brzuch chłopaka. Filipińczyk spojrzał na niego z pełnym niedowierzania uśmiechem. - Ubawiłeś się, żółtku, co? To teraz ja się ubawię - rzekł Dalmas. Schował odzyskanego colta na swoje miejsce, odebrał chłopakowi wielki pistolet,

wyjął z niego magazynek i wyrzucił nabój z komory, po czym zwrócił chłopakowi pustą broń. - Zawsze możesz nim jeszcze dać komuś po głowie. Nie schodź mi z oczu, to twój szef nie dowie się, że tylko do tego jest zdatna ta pukawka. Filipińczyk zwilżył usta. Detektyw upewnił się, że chłopak nie ma drugiego pistoletu, po czym obaj podeszli do uchylonych drzwi na końcu korytarza. Chłopak wszedł pierwszy. Ściany wielkiego pokoju były wyłożone ukośnie drewnianą boazerią. Żółty chiński dywan, mnóstwo drogich mebli, żadnych okien. Obite drzwi zdradzały, że pomieszczenie jest dźwiękoszczelne. Nad głową wisiały pozłacane kraty, a wbudowany w nie wentylator wydawał cichy, kojący pomruk. Znajdowało się tam czterech mężczyzn. Wszyscy milczeli. Dalmas usiadł na skórzanej otomanie i spojrzał na Ricchia - gładkiego faceta, który wyprowadził go z mieszkania Wal dena. Chłopak był przywiązany do krzesła z wysokim oparciem. Wykręcone do tyłu ręce miał skrępowane w nadgarstkach. Z jego oczu wзираła ślepa furia, twarz miał we krwi i siniakach, zmasakrowaną uderzeniami pistoletu. Noddy - blondyn, z którym był w "Kilmarnocku" - siedział w kącie na czymś w rodzaju stołka i palił papierosa. John Sutro, z oczami wbitymi w podłogę, kołysał się powoli na krytym czerwoną skórą bujaku. Nie podniósł wzroku, gdy Dalmas wszedł do pokoju. Czwarty

mężczyzna siedział za biurkiem, które niewątpliwie kosztowało kupę forsy. Miał miękkie, kasztanowate włosy z przedziałkiem na środku, zaczesane do tyłu; czerwone oczy nad wąskimi ustami rzucały nieprzyjemne błyski. W milczeniu patrzył, jak detektyw siada i rozgląda się po pokoju, aż wreszcie odezwał się, zerkając na Ricchia: Właśnie tłumaczyliśmy temu chłystkowi, że nie powinien kombinować na własną rękę. Chyba ci to nie przeszkadza? Dalmas roześmiał się krótko, niewesoło. - Ani trochę, Donner. A co z tym drugim? Widzę, że jest cały i zdrowy. - Do Noddy'ego nic nie mamy. Robił, co do niego należało - stwierdził Donner spokojnie. Ujął pilnik z długą oprawką i zaczął piłować paznokcie. - Ty i ja mamy ze sobą do pogadania. Po toś tu przyszedł. Na mój gust jesteś w porządku... byle byś za bardzo nie zadawał szyku z tym twoim prywaciarskim interesem. Dalmas lekko rozszerzył oczy. - Zamieniam się w słuch, Donner. Sutro uniósł głowę i wbił wzrok w kark właściciela klubu, który gładko, beznamietnie mówił dalej: - Wiem wszystko o rozróbie u Dereka Waldena i o strzelaniu na Kenmore. Gdybym przypuszczał, że gówniarzowi tak odbije, powstrzymałbym go zawczasu. A tak, zdaje się, że teraz sam będę musiał wszystko naprawić... Jak już z nim skończymy, pan Ricchio uda się na komisariat i powie, co ma do powiedzenia. Chcesz wiedzieć, jak do tego doszło? Ricchio

pracował dla Waldena, kiedy tym z Hollywood zamarzyli się ochroniarze. Walden pływał do Enseñada po alkohol - zresztą, o ile wiem, nadal się tam zaopatruje - i przywoził go osobiście. Nikt się go nie czepiał, więc Ricchio zwietrzył szansę spro wadzania po cichu białego proszku. Walden przyłapał go, ale chciał uniknąć skandalu, więc tylko pokazał chłopakowi drzwi. A ten wykorzystał to i zaczął go szantażować na zasadzie, że sam Walden nie jest dość czysty, żeby wyjść cało z magła, jaki by mu sprawili federalni. Tyle że Walden nie bulił tak chętnie, jakby sobie tego Ricchio życzył, więc gówniarz wpadł w szewską pasję i postanowił go przycisnąć. A że ty i twój kierowca weszliście mu w paradę, więc zasadził się na was. Mężczyzna za biurkiem odłożył pilnik i uśmiechnął się. Dalmas wzruszył ramionami i zerknął na Filipińczyka stojącego pod ścianą koło otomany . - Nie mam tak zorganizowanej siatki jak ty, Donner, ale nie urodziłem się wczoraj. To całkiem zgrabna wersja i może by nawet uszła... przy dyskretnej pomocy kogoś z komendy. Tyle że twoja opowiadka sobie, a fakty sobie. Donner uniósł brwi. Sutro założył nogę na nogę i zaczął kołysać czubkiem wypolerowanego buta. - A gdzie się w tym wszystkim mieści pan Sutro? - dorzucił detektyw. Radny wlepił w niego wzrok i przestał kołysać nogą. Poruszył się niecierpliwie. - Jest przyjacielem Waldena - wyjaśnił Donner z

uśmiechem. - Walden wygadał mu co nieco, a Sutro wiedział, że Ric chio pracuje dla mnie. Ale jako radny nie chciał zdradzać Waldenowi wszystkiego, co wie. - Powiem ci, Donner, czego brakuje w twojej wersji - oświadczył Dalmas ponuro. - Strachu. Walden był tak zastraszo ny, że nie chciał mi pomóc, nawet kiedy już dla niego pracowałem... Za to dziś po południu wystraszył kogoś do tego stop nia, że dostał kulkę w łeb. Donner pochylił się i przymrużył oczy. Dłonie na biurku zacisnął w pięści. - Walden... nie żyje? - wyjąkał cicho, niemal szeptem. Dalmas przytaknął. - Dostał w prawą skroń... z trzydziestki dwójki. Na pozór to samobójstwo. Ale tylko na pozór. Sutro szybko uniósł dłoń i zakrył twarz. Blondyn na stołku w rogu pokoju zeszywniał. - Chcesz usłyszeć bardzo prawdopodobną hipotezę, Donner? - spytał detektyw. - Nazwijmy to hipotezą... Walden sam robił w narkotykach... i to nie na własną rękę. Ale po zniesieniu prohibicji chciał się wycofać z interesu. Straż przybrzeżna nie musiała już tracić tyle czasu na ściganie przemytników alkoholu, więc trudno, żeby szmugiel narkotyków dalej szedł jak z płatka. Poza tym zabujał się w panience, której dobrze patrzyło z oczu i która potrafiła zliczyć do czterech. Dlatego chciał się wycofać z handlu narkotykami. - Jakiego znów handlu narkotykami? - spytał Donner, oblizując wargi. Dalmas zmierzył go wzrokiem. - Ty o niczym nie

masz pojęcia, co, Donner? Jasne, że nie, w to się bawią tylko niegrzeczni chłopcy. Ale niegrzecznym chłopcom nie podobał się pomysł, żeby Walden wycofał się w ten sposób. Za dużo pił i mógł zacząć nadawać swojej dziewczynie. Chcieli, żeby się wycofał właśnie tak... nogami do przodu. Donner powoli odwrócił głowę i wbił wzrok w związanego chłopaka na krześle. - Ricchio - powiedział cicho. Wstał i obszedł biurko. Sutro oderwał dłoń od twarzy i z drżącymi ustami śledził rozwój wydarzeń. Donner stanął przed związanym chłopakiem, oparł dłoń na jego twarzy i przycisnął mu głowę do oparcia krzesła. Ricchio jęknął. Donner uśmiechnął się do niego. - Chyba otepiałem na stare lata. To ty zabiłeś Waldena, sukinsynu! Wróciłeś tam i go załatwiłeś. Jakoś zapomniałeś nam o tym powiedzieć, kochasiu. Ricchio otworzył usta i strzyknął krwią na dłoń i nadgarstek Donnera. Właściciel klubu wzdrygnął się i odsunął, wy ciągając rękę przed siebie. Wyjął chusteczkę, starannie otarł dłoń i rzucił chustkę na podłogę. - Daj mi rewolwer, Noddy - zwrócił się spokojnie do blondyna. Sutro podskoczył na krześle i rozdziawił usta. Gapił się błędnym wzrokiem. Wysoki Filipińczyk chwycił za broń, jakby zapomniał, że jego pistolet nie jest nabity. Noddy wyjął spod prawej pachy pękaty rewolwer i podał go Donnerowi. Ten podszedł do Ricchia i uniósł broń. - Ricchio nie zabił Waldena - odezwał się

Dalmas. Filipińczyk błyskawicznie zrobił krok w przód i zamachnął się pistoletem. Trafił Dalmasa w ramię. Rękę detektywa przeszyły fale bólu. Upadł na podłogę, przetoczył się i wyrwał colta spod pachy. Chłopak zamachnął się jeszcze raz. Niecelnie. Dalmas powstał, uskoczył i z całej siły zdzielił chłopaka lufą colta w skroń. Filipińczyk jęknął, siadł na podłodze i oczy wyszły mu z orbit. Osunął się powoli, drapiąc palcami otomanę. Twarz Donnera była kompletnie pozbawiona wyrazu, a rewolwer w jego ręku ani drgnął. Na jego długiej górnej wardze perlił się pot. - Ricchio nie zabił Waldena - powtórzył Dalmas. - Pistolet, z którego zastrzelono Waldena, ma spiłowany numer. Wciśnięto mu go do ręki po śmierci. Ricchio nie zbliżyłby się na kilometr do spluwy z usuniętym numerem. Twarz radnego przybrała upiorny wyraz. Blondyn wstał ze stołka, kołysząc ręką przy boku. - Mów dalej - polecił spokojnie Donner. - Pistolet prowadzi do niejkiej Helen Dalton czy jak kto woli Burwand. To jej własność. Powiedziała mi, że go zastała w lombardzie, dawno temu. Nie uwierzyłem w to. Ona jest przyjaciółką Sutra, a Sutr tak się przejął moją wizytą u niej, że sam wyciągnął na mnie gnata. Jak myślisz, Donner, dlaczego Sutr tak się przejął i skąd wiedział, że pewnie odwiedzę go panienkę? - Śmiało, powiedz mi - rzekł Donner przypatrując się radnemu spokojnie. Dalmas zbliżył się do Donnera o

krok, niedbale trzymając colta w opuszczonej dłoni. - Już ci mówię. Odkąd zacząłem pracować dla Waldena, ktoś za mną chodził...

niedźwiedziowaty tajniak na usługach wytwórni, którego potrafiłem wypatrzeć na kilometr. Ktoś go kupił, Donner. Konkretnie zabójca Waldena. Wykombinował sobie, że tajniakowi z wytwórni łatwo będzie się do mnie zbliżyć, a ja mu to jeszcze ułatwiłem... żeby mu popsuć szyki, jak już się poczuje swobodnie. Jego szefem był Sutro. To Sutro zabił Waldena... własnoręcznie. Od razu było widać, że to ama torszczyzna... robota faceta, który przechytrzył. Chytre miało być to, co w rezultacie doprowadziło do wpadki - sfingowanie samobójstwa za pomocą spluwy z usuniętym numerem. Morderca był przekonany, że nie da się dotrzeć do jej właściciela, bo nie wiedział, że zwykle wewnątrz kolby jest drugi numer. Donner przesunął rewolwer tak, że celował gdzieś w pół drogi między blondynem a radnym. Nie odezwał się. Jego oczy zdradzały zadumę i ciekawość. Dalmas przeniósł ciężar ciała na pięty. Leżący na podłodze Filipińczyk wyciągnął rękę; jego palce zadrapały skórę otomany. - To jeszcze nie wszystko, Donner. Sutro był znajomkiem Waldena i mógł podejść do niego, przystawić mu pistolet do głowy i wypalić. Na ostatnim piętrze "Kilmarnocka" nikt by nie usłyszał wystrzału z trzydziestki dwójki. Więc wcisnął mu potem spluwę do ręki i zmył się. Zapomniał jednak, że Walden był

mańkudem, a poza tym nie przewidział, że uda się znaleźć właściciela pistoletu. Kiedy do tego doszło - i jego człowiek uświadomił go co i jak - a ja trafiłem do dziewczyny, wynajął paru likwidatorów z rozpylaczem i zwabił całą naszą trójkę do domu w Palms, żeby na dobre zamknąć nam usta... Tyle że ci fachowcy byli tak samo do kitu, jak i cała ta szopka. Donner powoli kiwnął głową, wpatrzony w punkt pośrodku brzucha radnego, i wycelował tam rewolwer. - Opowiedz nam o tym, Johnny - odezwał się cicho. - Opowiedz nam, jakżeś to zbystrzał na stare lata... Blondyn poruszył się nagle. Skoczył skulony za biurko, jednocześnie sięgając prawą ręką po drugi rewolwer. Padł strzał. Kula przeleciała pod blatem biurka i utkwiała w ścianie, wydając dźwięk, jak gdyby za boazerią uderzyła w metal. Dalmas poderwał colta i dwukrotnie wystrzelił w biurko. Posypały się drzazgi. Noddy zawył, zrywając się na nogi z dymiącym rewolwerem w ręku. Donner zachwiał się. Jego broń wypaliła szybko dwa razy. Noddy znów zawył; z policzka trysnęła mu krew. Zwalił się na podłogę za biurkiem i znieruchomiał. Donner cofnął się i oparł plecami o ścianę. Sutro wstał, trzymając się za brzuch. Spróbował krzyknąć. - Kolej na ciebie, Johnny - rzekł Donner. Nagle zakaszłał i z suchym szelestem materiału osunął się po ścianie. Pochylił się, wypuścił rewolwer i opadł na czworo raki, wciąż zanosząc się kaszlem. Jego twarz

poszarzała. Sutro stał sztywno wyprostowany, z dłońmi wciśniętymi w brzuch. Jego zakrzywione palce przypominały szpony. Oczy radnego straciły wszelki wyraz, były martwe. Po chwili kolana ugięły się pod nim i upadł na wznak na podłogę. Donner wciąż kaszłał. Dalmas podskoczył do drzwi i nastawił ucha. Wyjrzał na korytarz i czym prędzej zamknął drzwi z powrotem. - Dźwiękoszczelne - mruknął. - I to jak! Podszedł do biurka i sięgnął po telefon. Odłożył colta, wybrał numer i po chwili powiedział: - Z kapitanem Cathcartem... Ja muszę z nim mówić... Jasne, że to ważne... bardzo ważne. Czekał, bębniąc palcami w biurko i twardym wzrokiem omiatając pokój. Drgnął lekko, kiedy w słuchawce odezwał się zaspany głos. - Mówi Dalmas, kapitanie. Dzwonię z Casa Mariposa, z prywatnego gabinetu Gayna Donnera. Mieliśmy tu właśnie małą strzelaninę, ale obyło się bez większych strat... Mam dla pana zabójcę Dereka Waldena... To Johnny Sutro... Tak, ten radny... Byle szybko, kapitanie... Wie pan, nie uśmiecha mi się wojować z odsieczą... Rozłączył się, podniósł swojego colta i trzymając go w otwartej dłoni, spojrział na radnego. - Wstawaj, Johnny - pole cił ze znużeniem. - Wstawaj i wyjaśnij tępemu tajniakowi, jak chcesz się z tego wykręcić... cwaniaczku! 10. Światło nad wielkim dębowym stołem w komendzie głównej było zbyt silne. Dalmas przejechał palcem po dREW nie,

obejrzał go i wytarł w rękaw. Oparł brodę na szczupłych dłoniach i wlepił wzrok w ścianę nad składanym biurkiem, sto jącym po drugiej stronie stołu. Poza nim w pokoju nie było nikogo. Głośnik na ścianie zaskrzeczał: - Wóz 71W z obwodu 72 do centrali... na rogu Trzeciej i Berendo... w drogerii... spotkacie mężczyznę... Otworzyły się drzwi. Kapitan Cathcart starannie zamknął je za sobą. Był to kawał chłopa o szerokiej, spotniałej twarzy, poplamionych wąsach i sękatych rękach. Usiadł między dębowym stołem a składanym biurkiem i zaczął się bawić wystygłą fajką leżącą w popielniczce. Dalmas uniósł głowę. - Sutro nie żyje - oznajmił Cathcart. Detektyw patrzył na niego bez słowa. - Sprzątnęła go żona. Po drodze chciał zajrzeć na chwilę do domu. Chłopcy nie spuszczała z niego oka, ale jej nikt nie pilnował. Naszpikowała go, zanim się obejrzeli. Policjant dwukrotnie otworzył i zamknął usta. Miał silne, pożółkłe zęby. - Nie odezwała się ani słowem. Wyciągnęła zza pleców maleńki pistolecik i wpakowała mu trzy pestki. Raz, dwa, trzy. Trzask, prask, i po krzyku. Tak po prostu. A potem odwróciła pistolet w rękę tak ślicznie, że ładniej nie można, i oddała go chłopcom... Po kiego to zrobiła? - Macie zeznanie? - spytał detektyw. Cathcart spojrział na niego, włożył zimną fajkę do ust i zaczął ją ssać głośno. - Jego? Tak... chociaż nie na piśmie. Jak sądzisz, dlaczego to zrobiła? - Wiedziała o tej blondynie

- rzekł Dalmas. - I pomyślała, że taka szansa więcej jej się nie trafi. A może wiedziała o je go kombinacjach z narkotykami? Kapitan pokiwał głową. - Ano - przytaknął. - Pewnie tak. Wykombinowała sobie, że taka okazja więcej jej się nie trafi. Bo i czemu nie miałyby kropnąć sukinsyna? Prokurator zgodzi się na zabójstwo w afekcie, jeżeli ma głowę na karku. A to raptem piętnaście miesięcy w Tehachapi. Wywczas. Detektyw poruszył się na krześle i zmarszczył brwi. - Każdemu to tylko wyjdzie na zdrowie - ciągnął policjant. - Nie będzie prania brudów ani po twojej, ani po naszej stronie. Gdyby tego nie zrobiła, wszystkim dostałoby się po dupie. Zasłużyła na nagrodę. - Zasłużyła na kontrakt z "Eclipse Films" - sprostował Dalmas. - Jak doszedłem do tego, że to Sutro, zrozumiałem, że nie wygram z opinią publiczną. Sam chętnie byłbym go zastrzelił... gdyby nie był z niego taki cykor... i gdyby nie był radnym. - Wybij sobie takie rzeczy z głowy, bracie - warknął kapitan. - Wymierzanie sprawiedliwości zostaw nam. Teraz sprawa ma się tak, że raczej nie da rady uznać śmierci Waldena za samobójstwo. Przemawia przeciwko temu ten spłowany nu mer na spluwie, a zresztą musimy czekać na wyniki sekcji i raport specja od broni. Test parafinowany pewnie wykaże, że Walden w ogóle nie strzelał z tego pistoletu. Z drugiej strony sprawa Sutra jest zamknięta, a to, co musi wyjść na jaw, nie powinno nikomu

specjalnie zaszkodzić. Dobrze mówię? Dalmas wyjął papierosa i obrócił go w palcach. Zapalił bez pośpiechu i pomachał zapalką, by zgasła. - Walden miał swoje grzeszki - powiedział. - Przez te narkotyki byłaby draka jak jasna cholera, ale to już pogrzebana sprawa. Jest jeszcze parę niejasnych punktów, ale chyba wyszliśmy z tego na czysto. - Chromolę niejasne punkty! - Cathcart wyszczerzył zęby. - Nie widzę, kto by mógł pójść siedzieć. Ten twój pomagier, Denny, zniknie stąd w trymiga, a jak dostanę w łapy tę Dalton, to wyślę ją na kurację do Mendocino. Może wygrzebiemy coś na Donnera... jak już go poskładają w szpitalu. Trzeba będzie wnieść oskarżenie przeciwko tym dwóm pętakom za napad i za taksówkarza, ale obojętne, który z nich go kropnął, żaden nie puści pary z gęby. Muszą myśleć o przyszłości, a z taksia rzem nie jest w końcu tak źle. Zostają tylko ci od rozpylacza... - Policjant ziewnął. - Na pewno przyjechali na występy gość cinne z Frisco. My tu nie przepadamy za rozpylaczami. Dalmas zgarbił się na krześle. - Nie napiłby się pan czasem, kapitanie? - zapytał ospale. Cathcart zmierzył go wzrokiem. - Jeszcze jedno - rzekł ponuro. - Chciałbym, żebyś to sobie dobrze wbił do głowy. Nie ma sprawy, żeś rozłożył tamtą spluwę, bo nie spaskudziłeś odcisków palców. I pewnie dobrześ zrobił, nic mi o tym nie mówiąc, skoro już wpadłeś w taki gips. Ale jeżeli nas wyrolujesz i zgarniesz nasze zasługi na własne

konto, to niech mnie nagły szlag trafi, jeżeli puszcze ci to płazem. Detektyw uśmiechnął się do niego w zamyśleniu. - Ma pan świętą rację, kapitanie - przytaknął skromnie. - Była robota i po robocie, to wszystko. Cathcart energicznie potarł policzek, a jego posępną minę rozwiął szeroki uśmiech. Nachylił się, wysunął szufladę i wyciągnął litrową butelkę żytniówki. Postawił ją na stole i nacisnął dzwonek. Do pokoju wsunął się olbrzymi tors w mundurze. - Hej, Mikrus! - zagrział Cathcart. - Pożycz no mi ten korkociąg, coś mi go buchnął z biurka. Tors zniknął, a po chwili wrócił. - Za co pijemy? - spytał kapitan po dłuższej chwili. - Po prostu, napijmy się - odparł Dalmas. Perły to tylko kłopot 1. Nie da się ukryć, że od samego rana nie robiłem nic, tylko kontemplowałem czystą kartkę wkręconą w maszynę do pisania, zbierając się do spłodzenia listu. Nie da się także ukryć, że z rana zwykle nie mam nic szczególnego do roboty. Ale to jeszcze nie powód, żebym miał zawracać sobie głowę szukaniem naszyjnika z pereł staruszki Penruddock. Tak się skła da, że nie jestem policjantem. Jednakże zadzwoniła do mnie Ellen Macintosh, co - naturalnie - zmieniało postać rzeczy. - Jak się masz, kochanie? - spytała. - Zajęty? - I tak, i nie - odpowiedziałem sztywno. - Właściwie nie. Mam się doskonale. O co chodzi tym razem? - Ty mnie chyba nie kochasz, Walterze. A w ogóle to powinienes znaleźć sobie

coś do roboty. Masz stanowczo za du żo
pieniędzy. Ktoś ukradł perły pani Penruddock i
chcę, żebyś je odzyskał. - Sądzi pani zapewne, że
rozmawia z posterunkiem policji - odparłem
zimno. - Tu rezydencja Waltera Gage. Pan Gage
przy aparacie. - Wobec tego niech pan przekaże
panu Gage od panny Ellen Macintosh, że jeżeli
nie zobaczę go tu za pół godziny, to otrzyma
przesyłkę poleconą zawierającą pierścionek
zaręczynowy z brylantem, sztuk jeden. - I dużo
mi z niego przyszło - burknąłem. - Ta stara
krowa będzie żyła jeszcze przez następne
pięćdziesiąt lat. Jednakże Ellen odwiesiła już
słuchawkę, wobec czego nasadziłem kapelusz,
wyszedłem i odjechałem Packardem. Jeże li
obchodzą was takie rzeczy, był piękny poranek
pod koniec kwietnia. Pani Penruddock
mieszkała przy szerokiej, spokojnej ulicy w
Carondelet Park. Jej dom wyglądał zapewne
dokładnie tak samo, jak przed pięćdziesięciu
laty, lecz żadna to dla mnie pociecha wobec
perspektywy, że Ellen Macintosh może spędzić
w nim najbliższe pół wieku, chyba że staruszka
Penruddock umrze wcześniej i nie będzie już
potrzebowała pielęgniarki. Pan Penruddock
opuścił ziemski padół przed kilku laty, zostawia
jąc w miejsce testamentu gruntownie powikłane
sprawy majątkowe i listę emerytów długą jak
kolejka po darmową zupę. Przycisnąłem
dzwonek u frontowych drzwi i po dłuższej chwili
otworzyła mi drobna starowina w fartuszk

pokojówki, o siwych włosach zebranych w ciasny kok na czubku głowy. Obrzuciła mnie takim spojrzeniem, jak gdyby widziała mnie po raz pierwszy w życiu, a i teraz nie miała ochoty oglądać. - Pan Walter Gage do panny Ellen Macintosh - powiedziałem. Pociągnęła nosem, odwróciła się bez słowa i zapuściliśmy się w zatęchłe zakamarki domostwa, wychodząc ostatecznie na przeszkloną werandę pełną trzcinowych mebli i zapachów rodem z egipskich grobowców. Pociągnąwszy nosem raz jeszcze, zostawiła mnie tam i zniknęła. Wkrótce drzwi otworzyły się ponownie i weszła Ellen Macintosh. Być może nie podobają wam się wysokie dziewczyny o włosach koloru miodu i cerze jak pierwsza brzoskwinia, którą sprzedawca ukradkiem odkłada dla siebie. Jeśli tak, to żal mi was. - Kochanie, a jednak przyjechałeś! - zawołała. - To bardzo ładnie z twojej strony. Usiądź, zaraz ci wszystko opowiem. Usiedliśmy. - Walterze, pani Penruddock skradziono naszyjnik z pereł. - Mówiłaś mi o tym przez telefon. Temperaturę mam wciąż normalną. - Anormalną, przewlekłe obniżoną, jeśli wybaczysz mi tę profesjonalną uwagę - zawyrokowała. - Chodzi o sznur czterdziestu dziewięciu różowych pereł, dobranych odcieniem, które pani Penruddock dostała w prezencie od męża na złote gody. Ostatnio rzadko kiedy je nosiła, może jedynie podczas świąt Bożego Narodzenia albo obiadów

ze starymi przyjaciółkami, jeżeli pozwalał jej na to stan zdrowia. No i co roku w Dniu Dziękczynienia wydaje obiad dla wszystkich emerytów, przyjaciół i byłych pracowników pana Penruddocka, których zostawił jej na głowie, i wówczas także je zakładała. - Gramatyka ci się cokolwiek poplątała, ale ogólna idea jest przejrzysta - rzekłem. - Mów dalej. - Otóż, Walterze - ciągnęła Ellen, obrzucając mnie spojrzeniem określanym niekiedy jako figlarne - perły skradziono. Tak, wiem, że powtarzam ci to już trzeci raz, ale to dziwnie tajemnicza sprawa. Przechowywano je w skórzanym futerale w starym sejfie, który prawie zawsze był otwarty, ale nawet gdyby był zamknięty, moim zdaniem silny mężczyzna potrafiłby go otworzyć gołymi rękami. Dziś rano musiałam pójść po gazetę i zajrzałam do pereł, ot tak, żeby się z nimi przywitać... - Mam nadzieję, że nie kręcisz się koło pani Penruddock licząc na to, że ci zostawi naszyjnik - wtrąciłem oschle. - Perły są dobre dla staruszek i tłustych blondynek, ale dla wysokich, smukłych... - Oj, bądźże cicho, kochanie - przerwała mi Ellen. - Naturalnie, że nie liczyłam na te perły... ponieważ były sztuczne. Głośno przełknąłem ślinę i wlepiłem w nią wzrok. - Tam, do kata! - powiedziałem uśmiechając się łajdacko. - Słyszałem, że stary Penruddock potrafił czasami wyciąć lepszy numer, ale sprezentować żonie lipne perły na złote gody to

już szczyt wszystkiego. - Przestań się wreszcie wyglupiać, Walterze! Wtedy były jak najbardziej prawdziwe. Rzecz w tym, że pani Penruddock sprzedała je i zleciła wykonanie imitacji. Zajął się tym jeden z jej starych przyjaciół, pan Lansing Gallemore z Firmy Jubilerskiej Gallemore, oczywiście dyskretnie, ponieważ zależało jej, żeby się nikt nie dowiedział. Właśnie dlatego nie wezwaliśmy policji. Odzyskasz dla niej te perły, Walterze, powiedz? - Jak? I dlaczego je sprzedała? - Dlatego, że pan Penruddock zmarł nagle, nie zapisawszy ani grosza tym wszystkim ludziom, których utrzymywał. Później nastąpił kryzys i z pieniędzy prawie nic nie zostało. Wystarcza ich zaledwie na prowadzenie domu i opłacanie służby, która pracuje tu od tylu lat, że pani Penruddock wolałaby przymierać głodem, niż odprawić choćby jedną osobę. - A, to co innego - rzekłem. - Chylę przed nią czoło. Ale jak, u diaska, mam je odzyskać i po co... skoro są sztuczne? - No cóż, te perły - to znaczy ich imitacja - kosztowały dwieście dolarów. Wykonano je na specjalne zamówienie w Czechach, co trwało kilka miesięcy, a obecnie sprawy tak się mają, że chyba już nigdy nie będzie jej stać na drugą tak świetną kopię. Poza tym przeraża ją myśl, że ktoś może się dowiedzieć o imitacji albo że złodziej dowiedziawszy się, że są fałszywe, zacznie ją szantażować. Widzisz, kochanie, ja wiem, kto

ukradł ten naszyjnik. - He? - wyrwało mi się. Słowa tego używam nadzwyczaj rzadko, nie zaliczam go bowiem do słownictwa dżentelmena. - Kierowca, który pracował u nas przez kilka miesięcy, Walterze... odrażający, wielki drań. Nazywa się Henry Eichelberger. Przedwczoraj porzucił nagle pracę, bez najmniejszego powodu. Pani Penruddock nikt nigdy nie porzuca. Jej poprzedni kierowca był już bardzo leciwy i umarł. Ale Henry Eichelberger odszedł bez słowa i jestem pewna, że to on ukradł perły. Kiedyś próbował mnie pocałować, Walterze. - Czy mnie uszy mylą? - powiedziałem całkiem innym tonem. - Próbował cię pocałować, tak? Nie wiesz przypadkiem, gdzie jest ta bryła mięsa, kochanie? Mało prawdopodobne, żeby sterczał na rogu, czekając, aż mu rozkwaszę nos. Ellen zerknęła na mnie, opuszczając długie jedwabiste rzęsy, ja zaś w takich wypadkach mięknię jak przeżuta guma. - On nie uciekł. Na pewno wiedział, że perły są sztuczne i że może bezpiecznie szantażować panią Penruddock. Zadzwoń do agencji, która go tu skierowała, i okazało się, że wrócił tam i znowu wpisał się na listę oczekujących na posadę. Ale oświadczyli mi, że podanie jego adresu byłoby sprzeczne z zasadami firmy. - A dlaczego nie miałby ukraść tych pereł kto inny? Na przykład włamywacz? - Nikt inny nie wchodzi w rachubę. Służba jest poza wszelkim podejrzeniem, dom co wieczór zamykamy szczelnie jak lodówkę i nie

było żadnych śladów włamania. No i Henry Eichelberger wiedział, gdzie leżą perły, bo widział, jak chowałam je ostatnim razem, kiedy pani Penruddock miała je na sobie... to znaczy wtedy, gdy zaprosiła dwie serdeczne przyjaciółki na obiad, w rocznicę śmierci męża. - Ubaw był pewnie po pachy - mruknąłem. - Zgoda, pojedę do tej agencji i zmuszę ich, żeby mi dali jego adres. Gdzie to jest? - Agencja Pośrednictwa Pracy Ady Twomey, mieści się przy Drugiej Wschodniej, w bardzo nieprzyjemnym sąsiedztwie. - To jeszcze nic w porównaniu z tym, jak nieprzyjemne będzie moje sąsiedztwo dla Henry'ego Eichelbergera - zapo wiedziałem. - A więc próbował cię pocałować, tak? - Perły, Walterze - przypomniała mi łagodnie Ellen. - One są najważniejsze. Oby tylko nie odkrył, że są sztuczne, i nie wyrzucił ich do oceanu. - W razie czego zmuszę go, żeby zanurkował po nie osobiście. - On ma metr dziewięćdziesiąt wzrostu i jest bardzo wielki i silny, Walterze - powiedziała nieśmiało Ellen. - Ale oczywiście nie tak przystojny jak ty. - Akurat moja waga - stwierdziłem. - To będzie sama przyjemność. Do zobaczenia, kochanie. Przytrzymała mnie za rękaw. - Jeszcze jedno, Walterze. Nie mam nic przeciwko małej bójce, bo to rzecz męska. Ale nie wolno ci wywołać awantury, która sprowadziłaby policję, pamiętaj. Poza tym, mimo że jesteś duży i silny, a w szkole siałeś

postrach na boisku, masz jedną słabostkę. Obiecaj mi, że nie weźmiesz do ust ani kropli whisky. - Ten Eichelberger to jedyny trunek, jakiego mi trzeba. 2. Agencja Pośrednictwa Pracy Ady Twomey przy ulicy Drugiej Wschodniej reprezentowała sobą wszystko to, czego można się było spodziewać po jej nazwie i lokalizacji. Woń przedpokoju, w którym przez pewien czas zmuszony byłem cze kać, nie należała do przyjemnych. Agencją kierowała kobieta w średnim wieku, o zaciętej twarzy, która powiadomiła mnie, że Henry Eichelberger figuruje w ich rejestrze jako reflektant na posadę kierowcy i że może umówić go ze mną na telefon al bo wezwać tu, do biura, na rozmowę. Kiedy jednak położyłem przed nią na biurku banknot dziesięciodolarowy, zaznaczając, że jest to tylko dowód czystych intencji, bez uszczerbku dla wszelkich prowizji należnych ewentualnie jej agencji, ustąpiła i dała mi jego adres w zachodniej części miasta, przy bulwarze Santa Monica, w pobliżu dzielnicy zwanej Sherman. Pojechałem tam bez zwłoki, w obawie, że Henry Eichelberger może zadzwonić do agencji i dowiedzieć się o mojej wi zycie. Okazało się, że pod wskazanym adresem kryje się obskurny hotel, dogodnie usytuowany w pobliżu trasy autobusów dalekobieżnych, mający wspólne wejście z chińską pralnią. Mieścił się na piętrze, schody zaś tu i ówdzie pokrywały strzępy sparciałej gumowej wykładziny, do której

przyśrubowano nieregularne kawałki
zaśniedziałego mosiądzu. Zapachy z chińskiej
pralni docierały mniej więcej do połowy
schodów, gdzie zastępował je odór nafty i
zaduch pomieszczeń sypialnych. Wszędzie
leżały niedopałki i przesiąknięte tłuszczem
papierowe torby. U szczytu schodów na
drewnianej półce znajdował się re jestr gości.
Ostatni wpis, dokonany ołówkiem, nosił datę
sprzed trzech tygodni, a nabazgrała go
wyjątkowo drżąca ręka. Wywnioskowałem z
tego, że kierownictwo hotelu nie odznacza się
przesadną skrupulatnością. Obok księgi
znajdował się dzwonek i wywieszka,
informująca: "Dyrektor". Zadzwoń i
czekałem. Wkrótce w głębi korytarza uchyliły
się drzwi i ktoś szurając nogami bez pośpiechu
ruszył w moją stronę. Ukazał się mężczyzna w
rozcłapa nych pantoflach i spodniach
nieokreślonego koloru, których dwa górne
guziki były rozpięte, aby zostawić więcej
swobody peryferiom obszernego brzucha. Nosił
on ponadto czerwone szelki, koszulę miał
pociemniałą pod pachami, i nie tylko, a twarz
gwałtownie domagała się mydła i brzytwy. -
Mamy pełno, kolego - odezwał się i prychnął
drwiąco. - Nie szukam pokoju - odparłem. -
Szukam niejakiego Eichelbergera, który, jak
mnie powiadomiono, mieszka tutaj, choć widzę,
że nie wpisał się do pańskiego rejestru. To zaś,
jak panu oczywiście wiadomo, jest sprzeczne z

prawem. - Mądrała. - Grubas znowu prychnął. -
W końcu korytarza, kolego. Dwieście
osiemnaście. - Skinął kciukiem koloru i
wielkości przypalonego ziemniaka. - Zechce pan
z łaski swojej pokazać mi drogę - poprosiłem. -
Łaskawca, jak pragnę zdrowia! - parsknął i
zaczął potrząsać brzuchem. Jego małe oczka
zniknęły w zwałach żółtego tłuszczu. - Sie robi,
kolego. Chodź pan. Weszliśmy w mroczną
otchłań korytarza na tyłach budynku i
zatrzymaliśmy się przed drewnianymi drzwiami
na samym końcu. Okienko nad nimi było
zamknięte. Grubas zagrmocił w drzwi tłustą
ręką. Bez skutku. - Wyszedł - oświadczył. -
Zechce pan z łaski swojej otworzyć drzwi -
powiedziałem. - Chciałbym wejść i zaczekać na
Eichelbergera. - Ucho od śledzia! - warknął
grubas groźnie. - Zdaje ci się, że coś ty za jeden,
pętaku? Rozgniewałem się. Był wprawdzie
słusznego wzrostu, mierzył dobry metr
osiemdziesiąt, ale za bardzo przepelniały go
wspomnienia piwa. Rozejrzałem się po ciemnym
korytarzu. Wyglądało na to, że cały przybytek
jest kompletnie wyludniony. Zaprawiłem
grubasa w kałdun. Siadł na podłodze, czknął, a
jego prawe kolano gwałtownie nawiązało
kontakt ze szczęką. Zakaszał i z oczu trysnęły
mu łzy. - Jezusie, Maryjo, kolego! - zaskomlał. -
Masz nade mną dwadzieścia lat przewagi. Tak
się nie godzi. - Otwórz drzwi - poleciłem. - Nie
mam czasu na dyskusje. - Dolara! - zakwilił,

wycierając oczy koszulą. - Dwa dolce i nie dam cynku. Wyciągnąłem z kieszeni dwa dolary i pomogłem mu dźwignąć się na nogi. Złożył banknoty i wyjął zwykły klucz uniwersalny, jaki mógłbym kupić za pięć centów. - Wiesz, jak bić, bracie - powiedział z uznaniem. - Gdzieżeś się tego nauczył? Większość dużych facetów ma mięśnie do niczego. Otworzył drzwi. - Gdybyś usłyszał później jakieś hałasy, nie wtrącaj się - przykazałem. - Za ewentualne szkody otrzymasz sowitą zapłatę. Skinął głową, a ja wszedłem do pokoju. Zamknął za mną drzwi i jego kroki oddaliły się. Zapadła cisza. Pokoik był mały, urządzone skromnie i bez gustu. Nad ciemną komodą wisiało małe lustro, a ponadto stało tam zwykłe drewniane krzesło, drewniany bujak i jednoosobowe łóżko z odpryskującą farbą, przykryte wielokrotnie cerowaną białą wełnianą narzutą. Zastłony w pojedynczym oknie były upstrzone przez muchy, a żaluzjom brakowało dolnej listewki. W rogu znajdowała się umywalka, obok której wisiały dwa cienkie jak papier ręczniki. Łazienki, ma się rozumieć, nie było, podobnie jak i szafy, której funkcję pełnił zwisający z półki strzęp ciemnego wzorzystego materiału. Znalazłem za nim szary garnitur największego z dostępnych na rynku rozmiarów, czyli w sam raz na mnie, gdyby nie to, że nie mam w zwyczaju nosić gotowców. Na podłodze ujrzałem parę czarnych butów z juchtowej skóry, numer co najmniej

dwanaście. Stała tam również tania walizka z fibry, którą - rzecz jasna - przeszukałem, bo nie była zamknięta. Przejrzałem też zawartość komody i ze zdziwieniem stwierdziłem, że panuje w niej ład, czystość i porządek. Ale nie wiele tam tego było. Przede wszystkim zaś nie było pereł. Przeszukałem również wszystkie mniej lub bardziej podejrzane za kamarki pokoju, lecz nie znalazłem nic ciekawego. Przysiadłem na skraju łóżka i czekając zapaliłem papierosa. Teraz już było dla mnie jasne, że Henry Eichelberger jest albo niewiarygodnie głupi, albo całkiem niewinny. Jego pokój, a także wyraźny ślad, jaki za sobą zostawił, nie wskazywały na człowieka, dla którego kradzieże naszyjników z pereł to chleb powszedni. Wypaliłem cztery papierosy, czyli więcej niż zwykle w ciągu całego dnia, aż wreszcie usłyszałem zbliżające się kroki. Były lekkie i szybkie, ale nie ukradkowe. Ktoś wsunął klucz w zamek, przekręcił i drzwi otworzyły się niedbale. Ktoś stanął w progu i spojrzał na mnie. Mam metr dziewięćdziesiąt wzrostu i wagę prawie sto kilo. Ten nieznajomy był wysoki, ale na oko lżejszy. Nosił niebieski garnitur z popeliny, z tych, które z braku lepszego słowa określa się mianem "gustowny". Miał gęste, sztywne jak drut blond włosy, kark niczym pruski kapral z karykatury, nad podziw szerokie bary i wielkie, silne dłonie, a do kompletu twarz, która swego czasu nie raz

zebrała cięgi. Jego małe zielonkawe oczka błysnęły ku mnie z - jak mi się wówczas zdawało - zjadliwym humorem. Od razu stwierdziłem, że z tym człowiekiem nie ma żartów, ale wcale się go nie bałem. Dorównywa łem mu wzrostem i siłą oraz - co do tego nie miałem cienia wątpliwości - przewyższałem go inteligencją. Spokojnie wstałem z łóżka i odezwałem się: - Szukam niejakiego Eichelbergera. - Jakiś tu wszedł, koleś? - Jego głos brzmiał wesoło i choć tubalny, miło wpadał w ucho. - Wyjaśnienie tej kwestii może poczekać odparłem sztywno. - Szukam niejakiego Eichelbergera. Czy to pan? Ha! - rzucił tamten. - Pajac. Komediant. Zaczekaj, aż popuszczę pasa. - Zrobił dwa kroki w głąb pokoju, a ja tyleż samo w jego stronę. - Nazywam się Walter Gage - powiedziałem. - Czy Eichelberger to pan? - Dasz miedziaka, to ci powiem. Puściłem to mimo uszu. - Jestem narzeczonym panny Ellen Macintosh - poinformowałem go zimno. - O ile mi wiadomo, próbował ją pan całować. Zrobił jeszcze jeden krok w moim kierunku, a ja jeszcze jeden ku niemu. - Co znaczy "próbowałem"? - parsknął. Wyprowadziłem chytrze prawy sierpowy, który wylądował precyzyjnie na jego podbródku. Wydawało mi się, że to całkiem solidny cios, lecz Eichelberger nawet nie drgnął. Następnie przyłożyłem mu silnie dwa razy lewą ręką w kark i zdzie liłem go kolejnym prawym sierpowym dokładnie w bok szerokiego nosa.

Prychnął i wyrznął mnie w splot słoneczny. Zgiąłem się wpół, oburącz schwyciłem pokój i zakręciłem nim. A gdy już pięknie wirował, jeszcze raz zakręciłem nim zamasyście i uderzyłem się w tył głowy podłogą. To sprawiło, że na chwilę straciłem równowagę, kiedy zaś rozmyślałem nad tym, jak by ją odzyskać, mokry ręcznik zaczął mnie klepać po twarzy. Otworzyłem oczy. Twarz Henry'ego Eichelberge ra, przysunięta do mojej, wyrażała niejake zatroskanie. - Koleś, twój brzuch jest słaby jak herbata u Chińczyka - powiedział jego głos. - Brandy! - wychrypiałem. - Co się stało? - Potknąłeś się o dziurę w dywanie, koleś. Naprawdę trzeba ci trunku? - Brandy! - wychrypiałem ponownie i zamknąłem oczy. - Mam nadzieję, że nie popłynę znów w kurs - rzekł jego głos. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Leżałem bez ruchu, usiłując powstrzymać mdłości. Czas mijał powoli, za długim, szarym welonem. Wreszcie drzwi raz jeszcze otworzyły się i zamknęły, a po chwili coś twardego przywarło do moich ust. Roz chyliłem wargi i do gardła spłynął mi trunek. Zaniósłem się kaszlem, ale palący płyn zaczął krążyć mi w żyłach, natychmiast stawiając mnie na nogi. Usiadłem. - Dziękuję, Henry - powiedziałem. - Czy mogę się tak do ciebie zwracać? - Bez podatku, koleś. Dźwignąłem się i stanąłem przed nim. Przyglądał mi się z zaciekawieniem. - Wyglądasz w porządku - orzekł. - Czemuś nie

mówił, żeś chory? A niech cię diabli,
Eichelberger! - krzyknąłem i z całej siły
zaprawiłem go z boku w szczękę. Potrząsnął
głową, a w oczach błysnęło mu coś na kształt
gniewu. Nim skończył potrząsać głową,
ulokowałem trzy dalsze ciosy na jego policzkach
i szczękę. - Więc idziesz na całego! - ryknął,
porwał łóżko i rzucił nim we mnie. Uchyliłem
się, ale zabrałem się do tego ciut za szybko,
straciłem równowagę i wbiłem głowę dobre
dziesięć centymetrów w listwę podłogi pod
oknem. Mokry ręcznik zaczął mnie klepać po
twarzy. Otworzyłem oczy. - Słuchaj, mały.
Zostały ci dwa serwy, a zabrakło krzepy.
Przerzuć ty się może na lżejszą rakietę. -
Brandy! - wychrypiałem. - Dostaniesz żyta! -
oświadczył stanowczo i przycisnął mi szklankę
do ust. Wypiłem łapczywie, a po chwili znów się
dźwignąłem. Ku mojemu zdziwieniu łóżko stało
tam, gdzie przedtem. Przysiadłem na nim.
Henry Eichelberger usiadł obok i poklepał mnie
po ramieniu. - Moglibyśmy się dogadać, ty i ja -
powiedział. - Nigdy nie pocałowałem twojej
dziewczyny, chociaż nie twierdzę, że nie miałem
ochoty. Czy tylko to cię gryzie? Nalał sobie pół
szklanki żytniej whisky z półlitrowki, po którą
wcześniej wyszedł. W zamyśleniu przełknął
trunek. - Nie, jest jeszcze jedna sprawa -
odparłem. - To strzelaj. Ale z młócką koniec.
Słowo? Dałem słowo, choć nie bez oporów. -
Dlaczego rzuciłeś pracę u pani Penruddock? -

spytalem. Zerknął na mnie spod krzaczastych brwi. Potem przyjrzał się butelce, którą trzymał w ręku. - Nazwałbyś mnie przystojniakiem? - zapytał. - No cóż, Henry... - Tylko mnie nie bajeruj! - warknął. - Nie, Henry, nie powiem, żebyś był szczególnie przystojny. Ale nie ulega wątpliwości, że jesteś bardzo męski. Znów nalał mi pół szklanki whisky. - Twoja kolej. Nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robię, wypilem do dna. Kiedy przestałem kaszleć, Henry wyjął mi szklankę z dłoni i jeszcze raz napełnił. Popijał w zamyśleniu. Butelka była już prawie pusta. Wyobraź sobie, żeś się zabujał w babce z nogami do samej szyi i resztą też jak trzeba. Z taką gębą jak moja. Taki facet jak ja, facet, co w szkole rolniczej ostro zagrywał na lewym skrzydle i zostawił urodę i wykształcenie na tablicy wyników. Facet, co wojował ze wszystkimi i wszystkim prócz wielorybów i krokodyli - to po twojemu podnośniki hydrauliczne - i do łożył każdemu, choć czasem sam też musiał oberwać. No i dostaję robotę, gdzie oglądam to cudo na okrągło dzień w dzień i wiem, że nie dla psa kielbasa. To co byś ty zrobił na moim miejscu? Bo ja to rzuciłem posadkę, i tyle. - Henry, chciałbym uścisnąć ci dłoń - oświadczyłem. Apatycznie potrząsnął moją ręką. - No to wzięłem sobie wolne. Bo i co mogłem zrobić? - zakończył. Podniósł butelkę i obejrzał ją pod światło. - Twój błąd, chłopie, żeś mnie po to posłał. Jak zacynam pić, to idę w

kurs na całego. Starczy ci szmalu? - Naturalnie. Dostaniesz whisky, Henry, skoro tego pragniesz. Mam całkiem sympatyczne mieszkanie w alei Franklina w Hollywood, toteż nie rzucając kalumnii na twoją skromną i niewątpliwie tymczasową siedzibę, proponuję przenieść się teraz do mojego apartamentu, który jest znacznie większy i pozwala człowiekowi swobodnie rozprostować kości - powiedział łem, beztrąsco wymachując ręką. - A niech mnie, zalałeś się! - rzekł Henry z podziwem w małych zielonych oczkach. - Nie jestem jeszcze pijany, Henry, chociaż istotnie odczuwam już działanie whisky, zresztą wcale przyjemne. Nie zwracaj uwagi na mój sposób wysławiania się, gdyż jest to cecha indywidualna, podobnie jak twój zwięzły i treściwy styl wy powiedzi. Jednakże pozostaje jeszcze jeden, drobny w sumie szczegół, który chciałbym z tobą przedyskutować, zanim wyjdziemy. Upoważniono mnie, abym postarał się o zwrot pereł pani Penruddock. Jak zrozumiałem, niewykluczone, iż to ty je ukradłeś. - Ryzykujesz jak jasny gwint, synu - powiedział łagodnie. - To czysto handlowa transakcja, Henry, dlatego też najlepiej będzie szczerze sobie wszystko wyjaśnić. Te perły są sztuczne, a zatem bez trudu powinniśmy dojść do porozumienia. Życzę ci jak najlepiej, Henry, i jestem ci dłużny za zorganizowanie whisky, ale interes interesem. Czy przyjmiesz pięćdziesiąt dolarów w zamian za zwrot pereł bez żadnych pytań?

Henry wybuchnął krótkim, niewesołym śmiechem, lecz w jego głosie nie było ani śladu urazy, kiedy powiedział: - Więc myślisz, że gwizdnąłem te kulki, a teraz siedzę tu i czekam, aż wparują gliny i mnie przyskrzynią? - Nie zawiadomiono policji, Henry, a ty miałeś prawo nie wiedzieć, że perły są sztuczne. Nalej trunku. Nalał mi większość z tego, co zostało w butelce, a ja wypilem do dna. Humor dopisywał mi jak rzadko kiedy. Cisną łem szklanką w lustro, niestety chybiłem i grube, liche szkło spadło na podłogę, nie tłukąc się. Henry Eichelberger roześmiał się serdecznie. - Co cię tak bawi, Henry? - Nic - odparł. - Tak sobie tylko myślałem, jak ktoś tu wyjdzie na jelenia... z tymi kulkami. - Chcesz przez to powiedzieć, Henry, że nie ukradłeś tych pereł? Znów się roześmiał, tym razem posępnie. - Tak - powiedział. - Znaczy się, nie. Powinienem ci przyłożyć, ale po kiego? Każdemu może odbić. Nie, kolego, ja tam nie rąbnałem żadnych pereł. Lipnymi nie zawracałbym sobie głowy, a jeśliby były takie, jak te, które widziałem na szyi starszej pani, to na pewno nie kiblowałbym w jakiejś tandetnej dziurze w Los Angeles i nie czekał, aż zjadą się po mnie bla charze. Ponownie uścisnąłem mu dłoń. - To wszystko, czego chciałem się dowiedzieć - stwierdziłem radośnie. - Nareszcie jestem spokojny. Udamy się teraz do mojego apartamentu i rozważymy sposoby odzyskania pereł. We dwóch powinniśmy stworzyć zespół,

który stawia czoło każdemu przeciwnikowi. - Nie robisz mnie w konia? Wstałem i nałożyłem kapelusz... do góry nogami. - Nie, Henry. Proponuję ci pracę, której, jak rozumiem, potrzebujesz, i tyle whisky, ile zdołasz wypić. Chodźmy więc. Czy możesz prowadzić samochód w takim stanie? - Diabła tam, toć przecież nie jestem pijany - zaprotestował, wyraźnie zdziwiony. Wyszliśmy z pokoju i ruszyliśmy mrocznym korytarzem. Z mglistego cienia wychynął znieczulony gruby kierownik hotelu i zagroził nam drogę. Masując brzuch, łypał na mnie wyczekująco małymi, chciwymi oczkami. - Wszystko gra? - zapytał przeżuwając nadzartą zębem czasu wykałaczkę. - Daj mi dolara - rzekł Henry. - Za co? - Bo ja wiem? Normalnie, daj mi dolara. Wyciągnąłem banknot z kieszeni i podałem go grubasowi. - Dzięki, stary - powiedział Henry. Dźgnął grubasa w jabłko Adama i zręcznie wysupłał banknot z jego palców. - To za gorzałkę - dorzucił. - Nie znoszę żebrać o szmal. Kiedy ramię w ramię schodziliśmy po schodach, kierownik hotelu usiłował wykrztusić z przelęku wykałaczkę. 3. O piątej po południu tegoż dnia ocknąłem się z drzemki i stwierdziłem, że leżę we własnym łóżku w Château Moraine przy alei Franklina, róg Ivar, w Hollywood. Przekręciłem obolałą głowę i ujrzałem, że obok mnie leży Henry Eichelberger, w spodniach i podkoszulku. Uprzytomniłem sobie wówczas, że

sam jestem równie skąpo przyodziany. Na pobliskim sto liku stała prawie pełna litrowa butelka żytniej whisky Old Plantation, na podłodze zaś leżała całkiem pusta butelka tej samej wybornej marki. Wszędzie wały się części garderoby, a na oparciu jednego z krytych brokatem foteli widniała wypalona papierosem dziura. Obmacałem się troskliwie. W brzuchu miałem obolały węzeł, a szczękę jakby nieco spuchniętą z jednej strony. Ale na tym obrażenia się kończyły. Gdy wstałem z łóżka, kłujący ból przeszył mi skronie, lecz nie bacząc na nic, ruszyłem wprost do butelki na stoliku i podniosłem ją do ust. Pociągnąwszy spory łyk wody ognistej, poczułem się o niebo lepiej. Ogarnął mnie serdeczny, radosny nastrój i byłem gotów na każdą przygodę. Wróciłem do łóżka i energicznie potrząsnąłem Henry'ego za ramię. - Wstawaj, Henry - powiedziałem. - Zachód słońca za pasem. Drozdy ćwierkają, wiewiórki chroboczą i powój składa się do snu. Jak wszyscy ludzie czynu, Henry Eichelberger obudził się z zaciśniętymi pięściami. - Co to za mowa-trawa? - warknął. - A, to ty. Sie masz, Walter. Żyjesz? - Czuję się wspaniale. Wypocząłeś? - Jasne. - Opuścił bose stopy na podłogę i zmierzwił palcami gęste jasne włosy. - Szło nam bosko, póki ci się film nie urwał. No to się przekimałem. Nigdy nie piję solo. Zdrów i cały? - Tak, Henry. Istotnie, czuję się znakomicie. Ale czeka nas praca. - To byczo. -

Ruszył do butelki, pociągnął z niej zdrowo i pomasował brzuch otwartą dłonią. Jego zielone oczka błyszczwały przyjaźnie. - Jestem chory, muszę zażyć lekarstwo - wyjaśnił, odstawił butelkę na stolik i zlustrował pokój. - Kur cze, wstawiliśmy się tak szybko, że nawet nie obejrzałem tej meliny. Masz tu ładne gniazdko, Walter. O kurcze, biała maszyna do pisania i biały telefon! Co jest grane, mały, wróciłeś od komunii? - To tylko taki głupi kaprys - wyjaśniłem, beztrąsko wymachując ręką. Henry podszedł do biurka i obejrzał maszynę i stojący obok telefon, a także zestaw oprawnych w srebro przyborów do pisania, znaczonych moimi inicjałami. - Nieźleś ustawiony, co? - rzekł zwracając na mnie zielone spojrzenie. - Całkiem znośnie, Henry - odparłem skromnie. - No dobra, stary, i co dalej? Masz jakiś pomysł, czy łykniemy po małpeczce? - Owszem, Henry, mam pewien pomysł. Uważam, że z pomocą człowieka twojego pokroju uda się wcielić go w czyn. Odnoszę wrażenie, że musimy, jak to się mówi, trafić po nitce do kłębka. Wieść o kradzieży sznura pereł natychmiast rozchodzi się wśród przestępców. Perły trudno jest sprzedać, zważywszy, że - jak czytałem - nie można ich pociąć, a zatem spe cjaliści mogą je zidentyfikować. W światku przestępczym będzie wrzało jak w ulu. Znalezienie osoby, która da znać, komu trzeba, że jesteśmy skłonni godziwie zapłacić za zwrot naszyjnika, nie powinno

nastreczyć nam trudności. - Jak na faceta pod muchą, gadasz całkiem do rzeczy - stwierdził Henry, sięgając po butelkę. - Ale czyś ty nie zapom niał, że te kulki są lipne? - Tak czy inaczej, ze względu na pewne sentymenty, gotów jestem zapłacić za ich zwrot. Henry pociągnął nieco whisky, smakując ją z wyraźnym upodobaniem. Wypił jeszcze trochę i uprzejmie wyciągnął do mnie butelkę. - Jak na razie, szafa gra - powiedział. - Ale ten cały świątek przestępczy, co to ma niby wrzeć jak w ulu, nie będzie wrzał tylko dlatego, że ktoś zakosił sznurek paciorków. A może mam nie po kolei pod sufitem? - Myślałem, Henry, że przestępcy też mają poczucie humoru i że śmiech pójdzie w świat. - Coś w tym jest - przyznał. - Jakiś oprych słyszy, że pani Penruddock ma kupę mamony w owocach ostrygi, więc ele gancko robi kasę i drałuje do pasera. A ten zrywa boki ze śmiechu. To by się mogło rozejść po ferajnie, nie powiem, wiara miałaby o czym gadać. No i klawo. Ale nasz kasiarz pchnie te kulki byle szybciej, bo wie, że towar jest trefny, nawet jeśli jest wart tylko miedziaka plus podatek. Kradzież z włamaniem to odsiadka, Walter. - A jednak, Henry, nie uwzględniłeś pewnego czynnika. Nie ma on, oczywiście, większego znaczenia, jeżeli ten zło dziej jest głupi. Ale jeśli jest choć trochę inteligentny, to co innego. Pani Penruddock jest niezwykle dumna i mieszka w bar dzo ekskluzywnej dzielnicy. Gdyby rozeszło się, że

nosiła sztuczne perły, a przede wszystkim, gdyby w gazetach pojawiła się choćby wzmianka o tym, że właśnie ten naszyjnik dostała w prezencie od męża na złote gody... no cóż, Henry, sam chyba rozumiesz. - Kasiarze główkować nie lubią - stwierdził, pocierając kamienny podbródek. Uniósł kciuk i przygryzł go w zamyśle niu. Spojrzał na okna, na przeciwległy róg pokoju, wreszcie na podłogę. W końcu zerknął na mnie z ukosa. - Szantaż, co? - mruknął. - Kto wie? Chociaż w ferajnie każdy pilnuje swojej działki. Ale gość mógł coś szepnąć, komu trzeba. Zawsze to ja kaś szansa, Walter. Nie postawiłbym na to swoich złotych plomb, ale szansa jest. Ile myślisz odpalić? - Sto dolarów byłoby aż nadto, ale gotów jestem dać nawet dwieście, to znaczy dokładnie tyle, ile kosztowała imitacja. Henry potrząsnął głową i zajął się butelką. - E tam. Na taką forszę to on nie polecie. Niewarta ryzyka. Wywali kulki i będzie czysty. - W każdym razie możemy spróbować. - Jasne. Ale gdzie? Poza tym gorzałka się kończy. Lepiej wskoczę w buty i znikam, co? W tej samej chwili, jak gdyby w odpowiedzi na moją niemą modlitwę, od drzwi doleciał głuchy stuk. Otworzyłem je i podniosłem ostatnie wydanie popołudniówki. Zamknąłem drzwi i wróciłem z gazetą do pokoju, rozkładając ją po drodze. Dotknąłem jej palcem wskazującym i uśmiechnąłem się do Henry'ego z pewnością siebie. - Proszę. Zakładam się o cały litr Old

Plantation, że odpowiedź znajdziemy na kolumnie kryminalnej tej gazety. - Nie ma żadnej kolumny kryminalnej - zarechotał. - Jesteśmy w Los Angeles. To ja wybywam. Kiedy otwierałem gazetę na trzeciej stronie, ręce mi drżały, bo wprawdzie czekając w Agencji Pośrednictwa Pracy Ady Twomey czytałem w porannym wydaniu artykuł, którego teraz szukałem, ale nie byłem pewien, czy w popołudniówce za mieszczą go w pełnej wersji. Moja wiara została jednak nagrodzona - zajmował on, tak jak poprzednio, środek trzeciej szpal ty. Był to jeden krótki akapit, zatytułowany: "Lou Gandesi przesłuchiwany w związku z kradzieżami biżuterii". - Posłuchaj, Henry - rzekłem i odczytałem na głos: "Wczoraj wieczorem, na skutek donosu anonimowego informatora, policja zatrzymała Louisa G. (Lou) Gandesiego, właściciela znanego lokalu przy Spring Street. Zatrzymanego poddano wielogodzinnym przesłuchaniom w związku z nie dawną serią napadów dokonanych w ekskluzywnych dzielnicach naszego miasta. Szacuje się, że łupem bandytów padła biżuteria wartości ponad dwustu tysięcy dolarów, skradziona pod groźbą użycia broni kobietom bawiącym na eleganckich przyjęciach. Gandesi, zwolniony w późnych godzinach nocnych, odmówił dziennikarzom wszelkich komentarzy. Stwierdził je dynie: "Nigdy nie kapuję glinom". Kapitan William Norgaard z policji miejskiej

wyraził przekonanie, że Gandesi nie miał nic wspólnego z tymi napadami, a donos był po prostu aktem zemsty z pobudek osobistych". Złożyłem gazetę i rzuciłem ją na łóżko. - Twoje na wierzchu, szefie - przyznał Henry i podał mi whisky. Wypiłem solidny łyk i oddałem mu butelkę. - Więc co robimy? - zapytał. - Przyciśniemy Gandesiego i wymagujemy drania? - On może być niebezpieczny, Henry. Sądziś, że podaliśmy temu zadaniu? Prychnął z pogardą. - Też coś! To zwykły gnojek ze Spring Street. Jakiś tłusciuch z lipnym rubinem na paluchu. Wywrócimy grubasa na lewą stronę i wyciśniemy mu wątrobę. Ale trunku coś mało. Będzie tego góra pół literka. - Obejrzał butelkę pod światło. - To nam na razie wystarczy. - A co, czy ktoś tu jest wstawiony? Łyknąłem u ciebie tylko siedem razy, no, może dziewięć. - Naturalnie, że nie jesteśmy pijani, Henry, ale twoje łyki są raczej spore, a mamy przed sobą ciężki wieczór. Myślę, że już najwyższy czas ogolić się i ubrać, a poza tym sądzę, że powinniśmy włożyć smokingi. Mam tu zapasowy, który powinien leżeć na tobie jak ulał, skoro jesteśmy tego samego wzrostu i budowy. Czyż to nie prawdziwy omen, że dwóch takich dużych mężczyzn połączy się we wspólnym przedsięwzięciu? Stroje wizytowe budzą u mętów społecznych należny respekt, Henry. - Byczo. Wezmą nas za silnorekich jakiejś szychy. Ten cały Gandesi ze strachu

połknie własny krawat. Uzgodniliśmy, że zrobimy tak, jak mówiłem. Przygotowałem ubranie dla Henry'ego, a kiedy poszedł wykapać się i ogolić, zadzwoniłem do Ellen Macintosh. - Jakże się cieszę, że dzwonisz, Walterze! - zawołała. - Dowiedziałeś się czegoś? - Jeszcze nie, kochanie. Ale mamy pewien pomysł. Henry i ja zamierzamy właśnie wcielić go w czyn. - Henry, Walterze? Co za Henry? - Jak to? Henry Eichelberger, skarbie, to przecież oczywiste. Czyżbyś tak szybko o nim zapomniała? Henry i ja zaprzy jaźniliśmy się serdecznie i... - Walterze, ty piłeś, przyznaj się! - przerwała mi lodowatym tonem. - Skądże znowu, najdroższa. Henry jest abstynentem. W słuchawce wyraźnie usłyszałem, jak gwałtownie pociąga nosem. - Czyli że Henry nie ukradł pereł? - zapytała po wymownej przerwie. - Henry, aniele? Oczywiście, że nie. Zrezygnował z pracy dlatego, że się w tobie zako chał. - Co też ty opowiadasz, Walterze! Ten goryl? Jestem pewna, że pijesz na umór! Nie po kazuj mi się więcej na oczy! Żegnam. I odłożyła słuchawkę tak raptownie, że w uchu pozostało mi bolesne ukłucie. Z butelką Old Plantation w ręku przysiadłem na krześle, zastanawiając się, czy powie działałem coś, co można by poczytać za obrazę lub niedyskrecję. Pocieszając się zawartością bu telki, siedziałem tak do chwili, gdy Henry wyszedł z łazienki. W mojej koszuli z gorsem i koł nierzykiem do fraka oraz czarnej muszce prezentował się

niezwykle elegancko. Kiedy opuszczaliśmy mieszkanie, było już ciemno. Z nas dwóch przynajmniej ja byłem pełen wiary i nadziei, choć nieco przygnębiony tym, jak Ellen Macintosh potraktowała mnie przez telefon. 4. Bez trudu odnaleźliśmy przybytek pana Gandesi, wskazał nam go bowiem pierwszy taksówkarz na Spring Street, przywołany rykiem Henry'ego. Lokal, skąpany w nieprzyjemnym niebieskim świetle, nazywał się "Błękitna laguna". Henry i ja weszliśmy do środka dziarskim krokiem, do czego przyczyniła się kolacja - tylko częściowo płynna - którą skonsumowaliśmy w "Karaibskiej grocie" Mandy'ego, zanim wyruszyliśmy na poszukiwanie pana Gandesi. W jednym z moich najlepszych smokingów, czarnym filcowym kapeluszu zsuniętym na tył głowy (tylko trochę większej od mojej) i z białym, wykończonym frędzlami szalikiem przewieszonym przez ramię oraz butelką whisky w każdej bocznej kieszeni płaszcz mój towarzysz był nieomal przystojny. W barze "Błękitnej laguny" panował tłok, ale przeszliśmy na tyły lokalu, do małej, mrocznej sali. Podszedł do nas jakiś mężczyzna w brudnym smokingu. Gdy Henry zapytał o Gandesiego, wskazał nam samotnego grubasa przy stole w rogu sali. Ruszyliśmy za wyciągniętym palcem. Grubas siedział nad szklaneczką czerwonego wina i powoli obracał na palcu wielki żółty kamień. Nie spojrzał na nas. Przy

stole nie było wolnych krzeseł, więc Henry oparł się łokciami o blat. - Jesteś Gandesi? - odezwał się. Nawet teraz Włoch nie zaszczyił nas spojrzeniem. Ściągnął tylko gęste czarne brwi i odparł drewnianym głosem: - Si. Tak. - Mamy z tobą do pogadania na osobności - rzekł Henry. - Tak, żeby nam nie przeszka dzano. Tym razem Gandesi podniósł wzrok. Z jego matowych, czarnych migdałowych oczu przebijało śmiertelne znudzenie. - Tak? - bąknął, wzruszając ramionami. - A w jakiej sprawie? - dorzucił z silnym włoskim akcentem. - W sprawie pereł - wyjaśnił Henry. - Czterdziestu dziewięciu różowych, dobranych od cieniem pereł na jednym sznurku. - Chcecie sprzedać... czy kupić? - zapytał Gandesi. Jego broda zaczęła się trząść, jak gdyby coś go rozbawiło. - Kupić - odparł mój towarzysz. Grubas przy stole spokojnie zakrzywił palec i u jego boku pojawił się olbrzymi kelner. - On jest pijany - stwierdził Włoch apatycznie. - Wyrzuć ich. Olbrzym chwycił Henry'ego za ramię. Mój wspólnik niedbale wyciągnął rękę, ścisnął jej dłoń i wykręcił. W niebieskim świetle twarz kelnera przybrała kolor, którego nie potrafię opisać, w każdym razie zdecydowanie niezdrowy. Słyszając cichy jęk, Henry puścił jego rękę i zwrócił się do mnie: - Połóż paczkę na stole. Wyciągnąłem portfel i wyjąłem jedną z dwóch studolarówek, w które przezornie zaopatrzyłem się u kasjera w Château Moraine.

Gandesi wlepił wzrok w banknot i dał znak kelne rowi, który odszedł, masując przyciśniętą do piersi dłoń. - Za co to? - spytał Włoch. - Za pięć minut sam na sam z tobą. - On jest bardzo zabawny, bardzo. Zgoda, biorę. - Gandesi wziął banknot, złożył go sta rannie i schował do kieszonki kamizelki. Potem oparł się oburącz o blat stołu i dźwignął z wy siłkiem. Nie patrząc na nas, ruszył przed siebie. Lawirując między zajęтыми stolikami, Henry i ja wyszliśmy za nim przez drzwi w boazerii do wąskiej, ciemnej sieni. Na końcu korytarza Gandesi otworzył drzwi do oświetlonego poko ju i przytrzymał je, przepuszczając nas przodem. Na jego smagłej twarzy błąkał się posepny uśmiech. Wszedłem pierwszy. W chwili gdy Henry mijał Włocha, ten z zadziwiającą zręcznością wyciągnął małą błyszczącą pałkę z czarnej skóry i z całej siły uderzył Henry'ego w głowę. Mój towarzysz osunął się na kolana. Nadspodziewanie szybko, jak na człowieka swej postury, Gandesi zatrzasnął drzwi i oparł się o nie, trzymając pałkę w lewej ręce. W jego prawej dłoni pojawił się znienacka krótki, pękaty rewolwer. - On jest bardzo zabawny - rzekł uprzejmie i zachichotał pod nosem. To, co się potem wydarzyło, umknęło nieco mojej uwagi. W pewnym momencie Henry znalazł się na czworakach, zwrócony plecami do Włocha. W następnej, a może nawet w tej samej chwili coś zakotłowało się niczym wielka ryba w wodzie i Gandesi jęknął. Ujrzałem wówczas, jak

jasnowłosa, twarda głowa Henry'ego znika w brzuszku grubasa, a jego wielkie dłonie zaciskają się na owłosionych nadgarstkach tłuściocha. Henry wyprostował się i Gandesi, z rozdziawionymi z napięcia ustami i nabiegłą krwią twarzą, zawisł w powietrzu, balansując na czubku głowy Henry'ego. Zdawało się, że mój towarzysz otrząsnął się lekko i Włoch zwałił się na ziemię z potwornym łoskotem. Leżał na plecach, łapczywie chwytając powietrze. Następnie w zamku przekręcił się klucz, a Henry stał oparty o drzwi, w lewej ręce trzymając pałkę i re wolwer, a prawą niespokojnie macając kieszenie, w których nosił nasz zapas whisky. Wszystko to rozegrało się tak szybko, że oparłem się o ścianę, powstrzymując mdłości. - Pajac - wycedził Henry. - Komediant. Zaczekaj, aż popuszczę pasa. Gandesi przeturlał się na brzuch; walcząc z bólem, powolutku stanął o własnych siłach i chwiejąc się, przesuwając dłońmi po twarzy. Cały był zakurzony. - To jest kicha - objaśnił Henry, pokazując mi małą, czarną pałkę. - Tym mi przyłożył, dobrze mówię? - Jak to, Henry, czyżbyś sam nie wiedział? - zdziwiłem się. - Chciałem się tylko upewnić - odparł. - Tak się nie traktuje Eichelbergerów. - Dobra jest, chłopaki, o co biega? - odezwał się nagle Gandesi, już bez śladu włoskiego akcentu. - Mówiłem ci, zakuta pała. - My się chyba nie znamy, chłopcy - powiedział grubas, ostrożnie

sadzając cielsko na drewnianym krześle za sfatygowanym biurkiem. Przetarł twarz i szyję, po czym obmacał się tu i ówdzie. - Bierzesz nas za kogo innego, Gandesi. Dwa dni temu w Carondelet Park świsnęli jednej babce naszymi kulki z czterdziestu dziewięciu pereł. Robota dla kasiarza, ale łatwizna. Nasza firma ubezpiecza te kulki. A tamtą stówę zabieram. Henry zbliżył się do Włocha, który czym prędzej wyłowił banknot z kieszonki i podał go mojemu przyjacielowi. Ten z kolei przekazał go mnie. Schowałem pieniądze do portfela. - Nie przypominam sobie, żebym o tym słyszał - powiedział ostrożnie Gandesi. - Zrobiłeś mnie na kichę - rzekł Henry. - Rusz łepetyną. Grubas potrząsnął głową i skrzywił się z bólu. - Ja nie nadaję roboty kasiarzom - stwierdził. - Nie wysyłam chłopaków na włam. Trafi liście pod zły adres. - Rusz łepetyną - powtórzył cicho Henry. - Może sobie przypomnisz. - Dwoma palcami prawej ręki zakołysał przed sobą czarną pałką. Przymiały kapelusz, teraz już nieco pognieciony, wciąż siedział mu na głowie. - Wygląda na to, Henry, że dziś wieczór całą pracę przejąłeś na siebie - wtrąciłem się. - Nie sądzisz, że to niesprawiedliwe? - Dobra, weź go w obroty - odparł. - Takie grubasy w siniakach to coś ślicznego. Gandesi odzyskał tymczasem względnie naturalny kolor twarzy i wlepił w nas wzrok. - Wy z ubezpieczeń? - mruknął z powątpiewaniem. - A jak ci się zdaje, zakuta

pało? - Melachrino - rzekł nagle Gandesi. -
Próbowaliście? - Ha! - rzucił Henry ochryple. -
Pajac. Kome... - ale przerwałem mu bez
pardonu. - Chwileczkę, Henry - powiedziałem i
zwróciłem się do Włocha: - Czy Melachrino to
osoba? Grubas ze zdumienia wybałuszył oczy. -
Jasne... taki jeden gość. Nie znacie go, co? - W
jego czarnych jak smoła oczach zrodził się błysk
podejrzliwości, lecz zniknął szybciej, niż się
pojawił. - Dzwon do niego - rozkazał Henry,
wskazując aparat stojący na sfatygowanym
biurku. - Telefon nie wychodzi na zdrowie -
zaprotestował Gandesi w zamyśleniu. - Kicha
też nie. Włoch westchnął, odwrócił swoje cielsko
na krześle i przysunął sobie aparat telefoniczny.
Wybrał numer palcem poplamionym
atramentem. Przez chwilę słuchał w milczeniu. -
Joe? - odezwał się w końcu. - Lou. Mam tu
dwóch z ubezpieczeń, chcą się dogadać w
sprawie roboty w Carondelet Park... Tak... Nie,
kulki... Nic ci się nie obilo o uszy?... To na razie,
Joe. Odstawił telefon i z powrotem odwrócił się
na krześle. Przyjrzał nam się badawczo sen nym
wzrokiem. - Nici. Dla jakiej firmy robicie,
chłopaki? - Daj mu wizytówkę - rzekł Henry.
Ponownie wyciągnąłem portfel, a z niego
wizytówkę. Na karcie wytłoczone było tylko
nazwisko. Wobec tego ołówkiem dopisałem pod
spodem: Château Moraine Apartments, aleja
Franklina, róg Ivar. Pokazałem kartonik
Henry'emu i podałem go Włochowi. Gandesi

obejrzał wizytówkę i w milczeniu przygryzł kciuk. Nagle rozpromienił się. - Zajdźcie, chłopaki, do Jacka Lawlera - doradził. Henry przyglądał mu się uważnie. Włoch patrzył teraz bez zmrużenia powieki, błyszczą cym, szczerym wzrokiem. - Co to za jeden? - spytał mój wspólnik. - Prowadzi klub "Pingwin". Na Bulwarze Zachodzącego Słońca, osiemdziesiąt sześć czterdzieści cztery, czy jakoś tak. Jeżeli ktoś coś wie, to tylko on. - Dzięki - rzekł Henry spokojnie. Zerknął na mnie. - Wierzysz mu? - Prawdę mówiąc, Henry, przypuszczam, że byłby zdolny pokalać usta kłamstwem - odparłem. - Ha! - wyrwał się Gandesi. - Pajac! Kome... - Stul pysk! - warknął Henry. - To moja śpiewka. Nie zalewasz, Gandesi, co? Z tym Jackiem Lawlerem? Włoch energicznie pokiwał głową. - Nie zalewam, słowo daję. Przez niego przechodzi każdy towar z klasą. Ale niełatwo się z nim zobaczyć. - Niech cię o to głowa nie boli. Dzięki, Gandesi. Henry rzucił pałkę w kąt pokoju i otworzył bębenek rewolweru, który przez cały czas trzymał w lewej ręce. Wyjął kule, nachylił się i pchnął broń tak, że zniknęła pod biurkiem. Przez chwilę bezmyślnie podrzucał naboje, aż wreszcie rozsypał je po podłodze. - Żegnaj, Gandesi - powiedział zimno. - I nie pakuj nochala, gdzie nie trzeba, bo go znajdziesz pod łóżkiem. Otworzył drzwi. Wyszliśmy szybko i nie zatrzymywani przez nikogo z personelu, opuściliśmy "Błękitną lagunę". 5. Mój

samochód stał niedaleko. Kiedy wsiedliśmy, Henry oparł ręce na kierownicy i markotnie zapatrzył się w dal. - I co o tym myślisz, Walter? - zapytał po chwili. - Jeżeli pytasz mnie o zdanie, Henry, uważam, że pan Gandesi uraczył nas wyssaną z palca bajeczką, żeby się nas pozbyć. Co więcej, nie wierzę, że wziął nas za agentów ubezpieczeniowych. - Ja też. Mało tego, po mojemu takich facetów jak ten Melachrino czy Jack Lawler w ogóle nie ma. Ten cały Gandesi zadzwonił pod pierwszy lepszy numer i uciął sobie dętą gadkę. Powinienem wrócić i powyrywać mu rączki i nóżki. Żeby tak pękł, tłuścioch jeden! - To był najlepszy plan, jaki nam przyszedł do głowy, i przeprowadziliśmy go na miarę na szych możliwości. Proponuję więc, żebyśmy wrócili teraz do mnie. Spróbujemy wymyślić coś innego. - I ubzdryngolimy się - dorzucił Henry, zapuszczając silnik i odrywając samochód od krawężnika. - Możemy sobie chyba pozwolić na odrobinę alkoholu - przyznałem. - Bлагier! - parsknął nagle Henry. - Kogoś kryje. Powinienem wrócić i rozwalić mu bu dę. Na skrzyżowaniu przyhamował, mimo że o tej porze sygnalizacja świetlna już nie działała, i podniósł do ust butelkę whisky. W tym momencie z tyłu nadjechał drugi samochód i zderzył się z naszym, na szczęście niegroźnie. Henry zakrztusił się i opuścił butelkę, rozlewając nieco alkoholu na ubranie. - Coś tłoczno w tym mieście! - warknął. - Człowiek sobie nawet

łyknąć nie może, żeby mu się jakiś palant nie wtrynił na odcisk. Kierowca za nami uparcie naciskał klakson, albowiem nie ruszaliśmy z miejsca. Henry gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi, wysiadł i przeszedł na tył samochodu. Usłyszałem podniesione głosy, przy czym zdecydowanie wybijał się głos Henry'ego. Po chwili mój przyjaciel wrócił, usiadł za kierownicą i odjechaliśmy. - Powinienem rozkwasić mu ryło, ale zmiękłem - wyjaśnił. Przez resztę drogi do Hollywood i Château Moraine prowadził szybko, a kiedy już znaleźliśmy się w moim apartamencie, usiedliśmy z wielkimi szklankami w rękach. - Mamy ponad półtora basa - oznajmił, spoglądając na dwie butelki, które ustawił na stole obok innych, z dawką dawną pustych. - Powinno starczyć na dobry pomysł. - Jeśli zabraknie, Henry, to wiemy, gdzie zdobyć dalsze zapasy. - Co rzekłszy, radośnie wychyliłem szklankę. - Tak w ogóle, to równy z ciebie gość - orzekł. - Ale co jest, że zawsze tak śmisznie ga dasz? - Niestety, nie potrafię zmienić sposobu wysławiania się. Moi rodzice byli zatwardziałymi purystami wychowanymi w tradycji nowoangielskiej i mowa potoczna nigdy nie przechodziła mi przez gardło, nawet w szkole. Henry usiłował przetrwać tę uwagę, ale widziałem, że stanęła mu na żołądku. Przez pewien czas rozprawialiśmy o Gandesim i jego wątpliwej radzie. W ten sposób upłynęło nam mniej więcej

pół godziny, aż tu znienacka zadzwonił biały telefon na moim biurku. Odebrałem czym prędzej, z nadzieją, że to Ellen Macintosh przestała się gniewać. Okazało się jednak, że głos należy do mężczyzny, w dodatku zupełnie mi obcego. Mówił szybko, nieprzyjemnym, metalicznym tonem. - Walter Gage? - Przy aparacie. - To uważaj pan, panie Gage. Słyszałem, że reflektujesz pan na błyskotki? Mocniej ścisnąłem słuchawkę i odwróciłem się, robiąc miny do Henry'ego. On jednak melancholijnie nalewał sobie kolejną solidną porcję Old Plantation. - Istotnie - powiedziałem do rozmówcy, starając się panować nad głosem, choć podnie cenie mnie rozpierało. - Jeżeli przez błyskotki rozumie pan perły. - Czterdzieści dziewięć na jednym sznurku, brachu. Za jedyne pięć patoli. - Ależ to czysty absurd! - zachłysnąłem się. - Pięć tysięcy dolarów za te... - Słyszałeś, brachu - przerwał mi bezceremonialnie głos w słuchawce. - Pięć patoli. Weź łapę i policz palce. Nie mniej, nie więcej. Przemyśl to sobie. Jeszcze zadzwonię. Usłyszawszy suchy trzask, drżącą ręką odłożyłem słuchawkę na widełki. Cały dygotałem. Wróciłem do fotela, usiadłem i wytarłem twarz chusteczką. - Henry, a jednak poskutkowało - oświadczyłem. - Ale jak dziwnie. Mój wspólnik odstawił pustą szklankę na podłogę. Po raz pierwszy ujrzałem, jak odstawia szklankę nie napelniwszy jej. Wbił we mnie

zwięzione zielonkawe oczy. - Tak? - powiedział łagodnie. - Niby co poskutkowało, mały? - Niespiesznie przejechał czubkiem języka po wargach. - To, czego dokonaliśmy w lokalu Gandesiego, Henry. Właśnie dzwonił jakiś człowiek i pytał, czy reflektuję na błyskotki. - O w mordę! - Henry wyduł wargi i zagwizdał cicho. - A jednak ten sakramencki maka roniarz coś wiedział! - Ale cena wynosi pięć tysięcy dolarów. Nie da się tego wytłumaczyć w żaden rozsądny sposób. - He? - Oczy Henry'ego omal nie wyszły z orbit. - Pięć kawałków za lipne kulki? Facet sfiksował. Mówiłeś, że kosztują dwie paczki. Świrus, regularny świrus. Pięć kawałków? Za pięć kawałków kupiłbym dość lipnych pereł, żeby obwiesić kufer słonicy. Widziałem, że jest zdziwiony. W milczeniu nalał dwie porcje whisky i przyglądaliśmy się sobie ponad szklankami. Po dłuższej chwili przerwał ciszę. - No i co z tym zrobisz, do ciężkiej jasnej? - zapytał. - Pozostaje nam tylko jedno, Henry - odparłem stanowczo. - Faktem jest, że Ellen Macintosh zdradziła mi historię pereł w zaufaniu, bo nie miała wyraźnej zgody pani Penruddock, a zatem powinienem to uszanować i zachować dyskrecję. Jednakże Ellen jest na mnie zła i nie chce ze mną rozmawiać, ponieważ piję whisky w znacznych ilościach, choć wciąż mówię i myślę względnie jasno, co, prawdę powiedziawszy, jest dla mnie samego niespodzianką. Mi mo wszystko uważam, że należy skonsultować się z

jakimś przyjacielem rodziny. Oczywiście, najlepiej z mężczyzną, z kimś, kto ma doświadczenie w prowadzeniu interesów i kto w dodatku zna się na biżuterii. Taki człowiek istnieje i jutro z samego rana zamierzam do niego zatelefonować. - Ja cię kręcę - rzekł Henry. Mogłeś to wszystko powiedzieć w dziewięciu słowach, sześć. Co to za jeden? - Myślę o panu Lansingu Gallemore, prezesie Firmy Jubilerskiej Gallemore z ulicy Siódmej. Jest on jednym z najstarszych przyjaciół pani Penruddock. Ellen często o nim wspominała, a poza tym to właśnie on wystarał się o imitację naszyjnika. - Ależ facet wychłapie wszystko śledziom! - zaprotestował Henry. - Nie sądzę. Nie sądzę, żeby uczynił coś, co mogłoby sprawić kłopot pani Penruddock. Henry wzruszył ramionami. - Paciorki to tylko paciorki - powiedział. - I choćbyś się skichał, nic na to nie poradzisz, ani ty, ani żaden tam prezes jubilerów. - A jednak musi być jakiś powód, dla którego żądają tak wygórowanej sumy. Przychodzi mi na myśl tylko szantaż, a to, szczerze mówiąc, przerasta moje możliwości, bo nie znam wystarczająco dobrze historii rodziny Penruddocków. - No dobra - rzekł Henry z westchnieniem. - Rób, jak uważasz, skoro masz czuja. To ja lecę do siebie uderzyć w kimono. Jakby co do czego, wolę być w formie. - Nie miałbyś ochoty spędzić nocy tutaj? - Dzięki, stary, ale dobrze mi w hotelu. Wezmę tylko

jedną flaszkę tej śmierdziuchy na dobry sen. Rano mogą zadzwonić do mnie z agencji, to będzie trzeba wyszorować zęby i bie gać po robotę. Aha, i lepiej zmienię łachy, żebym się mógł pokazać na oczy zwykłym ludziom. Mówiąc to, wszedł do łazienki i wkrótce ukazał się w swoim niebieskim garniturze z po peliny. Nalegałem, żeby wziął mój samochód, ale odparł, że wolałby go nie zostawiać na ulicy. Zgodził się jednak zatrzymać płaszcz i ostrożnie chowając do kieszeni nie napoczętą butelkę whisky, gorąco uściśnął mi dłoń. - Chwileczkę, Henry - zatrzymałem go, wyjmując portfel. Podąłem mu banknot dwu dziesięt dolarowy. - A to niby za co? - warknął. - Jesteś chwilowo bez pracy, Henry, a dziś wieczór napracowałeś się solidnie, nawet jeśli rezultaty okazały się zaskakujące. Należy ci się nagroda, a mnie naprawdę stać na tę symbo liczną zapłatę. - Jak tak, to dzięki, stary - odparł. - Ale to tylko pożyczka. - Głos mu ochrypl ze wzruszenia. - Zadzwonić do ciebie rano? - Koniecznie, Henry. Ale, ale, właśnie coś mi przyszło do głowy. Czy w twoim wypadku nie byłaby wskazana zmiana hotelu? Załóżmy, że - nie z mojej winy - policja dowie się o kra dzieży. Nie sądzisz, że uznaliby cię co najmniej za podejrzanego? - Tam do licha, dusiliby mnie całymi godzinami - przyznał. - Ale co by ze mnie wycisnę li? Nie jestem cytryną. - Decyzja należy, oczywiście, do ciebie. - Mowa. Dobranoc, stary, i śpij bez

koszmarów. Zostawił mnie samego, a ja poczułem się nagle przygnębiony i samotny. Pomimo niewyśzukanego języka, swym towarzystwem dostarczał mi bodźca do działania. Był uosobieniem męskości. Nalałem sobie godziwą miarkę whisky z butelki, którą zostawił, i wypilem szybko, acz posępnie. W rezultacie za wszelką cenę zapragnąłem porozmawiać z Ellen Macintosh. Uczucie to było tak przemożne, że podszedłem do telefonu i zadzwoniłem do niej. Po dłuższej chwili odebrała zaspana pokojówka. Jednakże Ellen, usłyszawszy moje nazwisko, odmówiła rozmowy. Przygnębiło mnie to jeszcze bardziej i prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, wypilem whisky do ostatniej kropli. Następnie zleżłem na łóżku i zapadłem w niespokojny sen.

6. Obudziło mnie natarczywe dzwonięcie telefonu. Stwierdziłem, że poranne słońce za gląda do pokoju, a wszystkie światła się palą. Była dziewiąta. Wstałem cokolwiek zdrętwiały po hulance, wciąż jeszcze w smokingu. Mam jednak końskie zdrowie i nerwy jak postronki, więc czułem się o wiele lepiej, niż można by się spodziewać. Podniosłem słuchawkę. - Jak tam zdrówko, stary? - usłyszałem głos Henry'ego. - Bo ja mam kaca jak kompania rekruta. - Wcale nieźle, Henry. - Dzwonili z agencji, że mają dla mnie robotę. Chyba pójdę rzucić okiem co i jak. Wpaść potem do ciebie? - Tak, Henry, koniecznie. Do jedenastej powinienem wrócić ze

spotkania, o którym ci mówiłem wczoraj wieczorem. - Dzwonił ten co wiesz? - Jeszcze nie. - No i klawo. Do rychłego. Rozłączył się, a ja poszedłem wziąć zimny prysznic, ogolić się i ubrać. Włożyłem spo kojny brązowy garnitur i zamówiłem kawę z kawiarni na parterze. Kazałem też kelnerowi usu nać z apartamentu puste butelki i dałem mu dolara za fatygę. Po dwóch filiżankach czarnej kawy znowu poczułem się sobą i wyjechałem do miasta odwiedzić wielki, szykowny salon Firmy Jubilerskiej Gallemore na ulicy Siódmej Zachodniej. Był znowu pogodny, złocisty poranek i wydawało mi się, że w taki dzień wszystko po winno jakoś ułożyć się samo. Okazało się, że o spotkanie z panem Lansingiem Gallemore wcale nie jest łatwo, wobec czego zmuszony byłem wyjawic jego sekretarce, że przyszedłem w poufnej sprawie dotyczącej pani Penruddock. Gdy przekazano mu tę wiadomość, natychmiast zostałem wprowadzony do długiego, wykładanego boazerią gabinetu. Na wprost drzwi stał za masywnym biurkiem pan Gallemore. Wyciągnął do mnie szczupłą, różową dłoń. - Pan Gage? My się chyba nie znamy? - To prawda, panie Gallemore, nie znamy się. Jestem - a raczej byłem do ubiegłego wie czoru - narzeczonym panny Ellen Macintosh, która, jak panu zapewne wiadomo, jest pielęg niarką pani Penruddock. Przychodzę w sprawie niezwykle delikatnej natury, dlatego też, zanim przejdę do

szczegółów, muszę pana prosić o dyskrecję. Jubiler miał około siedemdziesięciu pięciu lat, był nadzwyczaj szczupły, wysoki i po prawny w każdym calu. Trzymał się świetnie. Niebieskie oczy miał zimne, za to uśmiech ciepły. W garniturze z szarej flaneli, z czerwonym goździkiem w klapie, prezentował się nieomal jak młodzieniec. - Mam zasadę nigdy nie składać takich obietnic, panie Gage - odparł. - Uważam, że za tego rodzaju prośbą prawie zawsze kryje się coś nieuczciwego. Ale jeśli da mi pan słowo, że sprawa dotyczy pani Penruddock i jest rzeczywiście delikatna i poufna, tym razem zrobię wyjątek. - Istotnie, panie Gallemore, to prawda - zapewniłem go, a następnie przedstawiłem mu całą historię, nie ukrywając niczego, nawet faktu, że poprzedniego dnia skonsumowałem sta nowczo za dużo whisky. Kiedy skończyłem opowieść, przyglądał mi się zaciekawiony. Kształtną dłonią ujął białe, staroświeckie gęsie pióro i niespiesznie polechtał się nim w prawe ucho. - Panie Gage, nie domyśla się pan, dlaczego żądają za ten naszyjnik pięć tysięcy dola rów? - zapytał. - Jeśli pozwoli mi pan na domysły w tak osobistej sprawie, panie Gallemore, go tów jestem pokusić się o wyjaśnienie. Przesunął białe pióro do lewego ucha i skinął głową. - Śmiało, synu. - Perły są prawdziwe. Od dawien dawna jest pan przyjacielem pani Penruddock... może nawet jej sympatią z lat dziecięcych. Kiedy,

zmuszona pałącą koniecznością zdobycia pieniędzy na szlachetny cel, zleciła panu sprzedaż naszyjnika - prezentu, który dostała od męża na złote gody - pan tego nie zrobił, panie Gallemore. Pan tylko udawał, że go sprzedał. Wypłacił jej pan dwadzieścia tysięcy dolarów z własnej kieszeni i zwrócił prawdziwe perły, utrzymując, że jest to imitacja wykonana w Czechach. - Mądrzej myślisz, niż mówisz, synu. Jubiler wstał, podszedł do okna i odsunął zasłonę. Przez chwilę obserwował ruch na ulicy, po czym wrócił za biurko, usiadł i uśmiechnął się ze smutkiem. - Trafność pańskich domysłów jest wręcz krępująca, panie Gage - powiedział. - Pani Penruddock to niezwykle dumna kobieta, inaczej po prostu zaproponowałbym jej te dwadzieścia tysięcy jako pożyczkę bez zabezpieczenia. Tak się składa, że byłem jednym z zarządców majątku pana Penruddocka i zdawałem sobie sprawę, że ówczesna sytuacja na rynku finansowym wyklucza podjęcie gotówki w ilości wystarczającej na utrzymanie tych wszystkich krewnych i emerytów bez nieodwracalnego naruszenia żelaznego kapitału. Toteż pani Penruddock sprzedawała perły - a w każdym razie tak jej się zdawało - stanowczo żądając, żeby się o tym nikt nie dowiedział. A ja postąpiłem tak, jak pan mówił. To była błaźliwość, mogłem sobie pozwolić na taki gest. Nigdy się nie ożeniłem, Gage, i uchodzę za człowieka bogatego. Gwoli ścisłości, w owym

czasie te perły nie osiągnęłyby nawet połowy sumy, jaką jej dałem, czy jaką przyniosłyby dzisiaj. Spuściłem wzrok w obawie, że ten starszy pan o złotym sercu może się poczuć skrępo wany moim spojrzeniem. - I dlatego uważam, że musimy zdobyć te pięć tysięcy, synu - dorzucił dziarsko jubiler. - Cena jest stosunkowo niska, choć kradzione perły o wiele trudniej sprzedać niż pocięte kamie nie. A skoro już twoja twarz wzbudziła we mnie tyle zaufania, jak sądzisz, czy dasz sobie radę z tym zadaniem? - Panie Gallemore - odparłem cicho, lecz stanowczo - jestem tylko człowiekiem z krwi i kości, w dodatku zupełnie panu obcym. Ale przyrzekam na cześć i pamięć moich zmarłych rodziców, że nie okażę się małoduszny. - Sporo tej krwi i kości, synu - stwierdził dobrotliwie. - Nie obawiam się, że ukradniesz pieniądze, ponieważ przypadkiem wiem o panie Ellen Macintosh i jej narzeczonym więcej, niż ci się zdaje. Poza tym perły są ubezpieczone, oczywiście na moje nazwisko. W gruncie rze czy powinno się tym zająć towarzystwo ubezpieczeniowe, ale jak dotąd ty i twój zabawny przyjaciel radziliście sobie wcale nieźle, a ja wierzę w dobrą passę. Ten Henry to chyba chłop na schwał. - Jest wprawdzie nieokrzesany, lecz bardzo się do niego przywiązałem - odrzekłem. Jubiler zabawił się przez chwilę gęsim piórem, a następnie wyciągnął okazałą książeczkę czekową.

Wystawił czek, starannie osuszył go bibułą i podał mi go nad biurkiem. - Jeżeli odzyska pan perły, dopilnuję, żeby zwrócili mi to z ubezpieczenia - rzekł. - Nie będzie z tym problemu, jeśli chcą prowadzić ze mną interesy. Bank jest na rogu. Będę czekał na telefon od nich. Prawdopodobnie nie zrealizują czeku, zanim się ze mną nie skontaktują. Bądź ostrożny, synu, i uważaj na siebie. Jeszcze raz uściśnął mi dłoń. Zawahałem się. - Panie Gallemore, pokłada pan we mnie zaufanie, jakim dotychczas nikt mnie nie obdarzył - wyznałem. - Z wyjątkiem mojego ojca, ma się rozumieć. - Zachowuję się jak skończony dureń - odparł z dziwnym uśmiechem. - Tak dawno już nie słyszałem, żeby ktoś mówił językiem jakby żywcem wyjętym z książek Jane Austin, że po stępuję jak pierwszy naiwny. - Dziękuję panu. Wiem, że mój język jest nieco zwietrzały. Czy zechciałby pan wyświadczyć mi drobną przysługę? - Jaką, Gage? - Zadzwoń do panny Ellen Macintosh, która się do mnie lekko zraziła, i powiedz jej, że dzisiaj nie piję i że powierzył mi pan bardzo delikatną misję. Roześmiał się głośno. - Z przyjemnością, Walterze. A ponieważ wiem, że można jej ufać, dam jej do zrozu mienia, o co chodzi. Rozstaliśmy się. Zszedłem z czekiem do banku, gdzie kasjer, obrzuciwszy mnie podejrzliwym spojrzeniem, opuścił na dłuższy czas swą klatkę, aż w końcu odliczył należność w ban knotach

studolarowych z takim oporem, jak gdyby wypłacał mi swoje własne pieniądze. Schowałem płaski plik banknotów do kieszeni i rzekłem: - Poproszę jeszcze rulon ćwierćdolarówek. - Rulon ćwierćdolarówek, proszę pana? - powtórzył kasjer, unosząc brwi. - Właśnie. Potrzebne mi są na napiwki, a wygodniej byłoby mi je zabrać w opakowaniu, rzecz jasna. - Ach tak, rozumiem. Proszę. Dziesięć dolarów. Schowałem gruby, twardy rulon monet do kieszeni i wróciłem do Hollywood. W hallu Château Moraine czekał na mnie Henry, miętosząc kapelusz w twardych, sęka tych dłoniach. Zmarszczki na jego twarzy wydawały się głębsze niż poprzedniego dnia, a także poczułem od niego zapach whisky. - Jak poszło, stary? - zapytał skwapliwie, za ledwie weszliśmy do mieszkania. - Henry, zanim przejdziemy do czekających nas zadań, chciałbym postawić jasno jedną sprawę: ja dziś nie piję. Widzę, że ty już zaglądałeś do butelki. - Strzeliłem sobie tylko klina - odparł ze skruchą. - Jak dojechałem, roboty już nie było. Mów, co dobrego. Usiadłem, zapaliłem papierosa i spojrzałem mu prosto w oczy. - Właściwie sam nie wiem, Henry, czy powinienem ci o tym mówić. Ale zatajenie faktów byłoby małostkowe, zważywszy na to, co zrobiłeś wczoraj z Gandesim. - Przez dłuższą chwilę wahałem się, a tymczasem on nie spuszczał ze mnie wzroku, napinając mięśnie lewej ręki. - Te perły są

prawdziwe, Henry. Polecono mi dokonać transakcji i mam teraz przy sobie pięć tysięcy dolarów w gotówce. Streściłem mu pokrótce przebieg wydarzeń. Nie sposób wyrazić słowami jego zdziwienia. - Jezus, Maria! - zawołał i rozdziawił usta. - Mówisz, żeś wyciągnął pięć kawałków od tego Gallemore'a... ot tak, po prostu? - Właśnie tak, Henry. - Dziecko, niejeden facet sychnąłby groszem aż miło, żeby tylko mieć to, co ci daje ten gładki cyferblat i ta gadka-szmatka. Wycyganić pięć kawałków od dusigrosza... tak po prostu! A niech mnie dunder świśnie! A niech mnie co pokręci! A niech mnie kaczka kopnie zadnimi łapami... W tej samej chwili, zupełnie jak gdyby ktoś obserwował mój powrót do domu, zadzwonił telefon. Poderwałem się, by odebrać. Usłyszałem jeden z tych głosów, na które czekałem, choć nie ten najbardziej wytęskniony. - I jak to widzisz dziś rano, Gage? - Widzę to w lepszym świetle - odparłem. - Jeżeli uzyskam gwarancję uczciwego traktowania, jestem przygotowany do przeprowadzenia transakcji. Odniosłem wrażenie, że głos powoli wciąga powietrze. - Nie bój nic, Gage, dostaniesz swoje kulki... jeżeli my dostaniemy flotę. Za długo w tym siedzimy, żeby nawalać. Smród by poszedł po ludziach i nikt by z nami więcej nie gadał. - Tak, potrafię to zrozumieć - przyznałem i dorzuciłem zimno: - Czekać na instrukcje. - Słuchaj uważnie, Gage. Wieczorem punkt ósma masz być w Pacific

Palisades. Wiesz, gdzie to jest? - Naturalnie. To mała dzielnica willowa na zachód od pól do gry w polo przy Bulwarze Zachodzącego Słońca. - Zgadza się. Bulwar przecina ją na pół. Jest tam taka drogeria, otwarta do dziewiątej. Czeka tam dziś wieczorem na telefon, punkt ósma. Sam. A jak mówię sam, to sam, Gage. Żadnych glin, żadnej obstawy. Teren tam górzysty, więc możemy cię poprowadzić na miejsce tak, żeby sprawdzić, czy nikogo za sobą nie ciągniesz. Dotarło? - Nie jestem idiotą - odparowałem. - Żadnej lipy, Gage. Przeliczymy szmal. Żadnej broni. Zrewidujemy cię, a jest nas dość, żeby cię wziąć na cel z każdej strony. Znamy twój samochód. Jak nie będzie żadnych nume rów, kombinacji i partaniny, to wszyscy będą zdrowi. Tak załatwiamy interesy. W czym jest forsa? - W banknotach studolarowych - odparłem. - Prawie wszystkie są używane. - Tak lubię. To do ósmej. Tylko nie nawal, Gage. Usłyszałem trzask i odłożyłem słuchawkę. Prawie natychmiast telefon zadzwonił znowu. Tym razem był to ten jeden jedyny głos. - Och, Walterze! - zawołała Ellen. - Taka byłam dla ciebie okropna! Wybacz mi, proszę. Pan Gallemore powiedział mi o wszystkim. Tak się boję! - Nie ma się czego obawiać - uspokoiłem ją ciepło. - Czy pani Penruddock już wie, naj droższa? - Nie, kochany. Pan Gallemore kazał mi nic jej nie mówić. Dzwonię ze sklepu przy Szós tej. Walterze, ja się naprawdę boję. Czy Henry

pojedzie z tobą? - Niestety nie, skarbie. Decyzja już zapadła, i oni się na to nie zgadzają. Muszę jechać sam. - Walterze, umieram ze strachu! Nie zniosę tego napięcia! - Nie ma się czego obawiać - zapewniłem ją. - To zwyczajna transakcja. A ja nie jestem karzełkiem. - Ale Walterze... No dobrze, postaram się być dzielna. Czy przyrzekniesz mi tylko jeden, jedyny drobiażdżek? - Ani kropli, kochanie - oświadczyłem stanowczo. - Ani jednej kropelki. - Och, Walterze! Jeszcze przez chwilę trwała podobna wymiana zdań, w tych okolicznościach bardzo dla mnie przyjemna, choć dla innych zapewne niezbyt interesująca. Ostatecznie rozstaliśmy się, gdy obiecałem, że zadzwonię, jak tylko moje spotkanie z przestępcami zostanie sfinalizowane. Odwróciwszy się stwierdziłem, że Henry pociąga tęgo z butelki, którą wydobyl z tylnej kieszeni spodni. - Henry! - krzyknąłem ostro. Łypnął na mnie sponad butelki, a w jego oczach pod krzaczastymi brwiami widać było upór. - Słuchaj, bracie - odezwał się niskim, twardym głosem. - Słyszałem dość, żeby wykom binować co i jak. Każą ci jechać w jakieś krzaki samemu, uśpią cię na kichę, zwiną szmal i zos tawią cię tam... a kulki wciąż będą mieli w garści. Nic z tego, bracie. Powiedziałem: nic z tego! - Ostatnie słowa niemal wykrzyczał. - To mój obowiązek, Henry, i muszę go wypełnić - wtrąciłem spokojnie. - Ha! - parsknął. - Powiedziałem: nie.

Jesteś bzik, ale poza tym swój chłop. Mówię: nie! Henry Eichelberger z Eichelbergerów z Wisconsin - a ściślej z Eichelbergerów z Milwaukee - mówi nie. I mówi to zdrowy na ciele i umyśle. - Znowu pociągnął z butelki. - Wątpię, żebyś w stanie upojenia przysłużył się naszej sprawie - powiedziałem z goryczą. Opuścił butelkę i spojrzał na mnie. Na jego grubo ciosanej twarzy malowało się komp letne osłupienie. - Pijany, Walterze?! - ryknął. - Czy mnie uszy mylą, czyś powiedział "pijany"? Pijany Ei chelberger? Słuchaj no, synu. Nie ma teraz na to czasu. Trza by mieć ze trzy miesiące. Jak bę dziesz miał kiedy ze trzy miesiące, a do tego z pięć tysięcy galonów whisky i lejek, to chętnie zrobię sobie wolne i pokażę ci, jak wygląda pijany Eichelberger. W życiu byś nie uwierzył. Sy nu, z całej tej miejsciny zostałyby tylko parę rozwalonych belek i kupka potłuczonych cegieł, pośrodku których - o, psiakrew, jeszcze parę dni z tobą, a sam zacznę gadać jak jaki lord - po środku których spokojniutko, bez żywej duszy w promieniu pięćdziesięciu mil, Henry Eichelberger będzie się wylegiwał na plecach i uśmiechał do słońca. Pijany, Walterze. Nie pijany w trupa, nawet nie zalany w pestkę. Ale jak mi wtedy powiesz, że jestem pijany, nie będę cho wał urazy. Usiadł i jeszcze raz pociągnął z butelki. Posępnie wpatrzyłem się w podłogę. Cóż mog łem powiedzieć? - Ale to już innym razem - dorzucił.

- Póki co zażywam tylko lekarstwo. Jak to się mówi, nie jestem sobą bez lekkiego delirium tremens. Wyssałem je z mlekiem matki. I jadę z tobą, Walterze. Gdzie to ma być? - Niedaleko plaży, ale nie pojedziesz ze mną. Upij się, jeśli już koniecznie musisz, ale ze mną nie pojedziesz.

- Masz przecież wielką gablotę. Schowam się z tyłu na podłodze, pod dywanikiem. Nie ma mowy o wpadce. - Nie, Henry. - Jesteś swój chłop, Walterze, i razem wskoczmy w ten kocioł. Powąchaj korek, bracie. Coś mi się widzisz nietęgi. Sprzeczaliśmy się tak jeszcze przez godzinę, aż rozboleła mnie głowa i poczułem się zmęczony i podenerwowany. I wtedy to właśnie popełniłem błąd, który mógł się okazać fatalny w skutkach. Uległem podszeptom Henry'ego i wypilem niewielką porcję whisky, wyłącznie w celach leczniczych. Odprężyłem się dzięki temu tak dalece, że pozwoliłem sobie na jeszcze jedną, większą miarkę. Byłem na czczo, rano wypilem tylko kawę, a poprzedniego wieczora zjadłem jedynie lekką kolacyjkę. Zanim następna godzina dobiegła końca, Henry wyszedł po dwie dalsze butelki whisky, a ja byłem radosny jak szczygiełek. Wszelkie przeszkody zniknęły i z ochotą przystałem na to, żeby Henry towarzyszył mi w drodze na spotkanie, leżąc na podłodze samochodu pod dywanikiem. Spędzaliśmy czas bardzo przyjemnie aż do drugiej, kiedy to ogarnięty sennością zleżłem na

łóżku i zapadłem w głęboki sen. 7. Kiedy się obudziłem, było już prawie całkiem ciemno. Zerwałem się z łóżka z paniką w sercu i ostrym, kłującym bólem w skroniach. Ale minęła dopiero szósta trzydzieści. Byłem w mieszkaniu sam. Na podłodze kładły się coraz dłuższe cienie, a kolekcja pustych butelek po whisky na stole wyglądała odrażająco. Henry Eichelberger przepadł bez śladu. Powodowany nagłym instynktem, czym prędzej ruszyłem do wiszącej na oparciu krzesła marynarki i wsty dząc się tego, co robię, zanurzyłem rękę w wewnętrznej kieszeni. Plik studolarówek był nie tknięty. Po chwili wahania wyciągnąłem je z nieczystym sumieniem i przeliczyłem powoli. Nie brakowało ani jednego banknotu. Schowałem pieniądze z powrotem, próbując uśmiechem zbyć ten brak zaufania. Następnie zapaliłem światło i wszedłem do łazienki, gdzie brałem na przemian gorący i zimny prysznic, aż jako tako rozjaśniło mi się w głowie. Wkładałem akurat świeżą bieliznę, kiedy w drzwiach przekręcił się klucz i wszedł Henry Eichelberger z dwiema zawiniętymi butelkami pod pachą. Gdy spojrzał na mnie, w jego wzroku wyczytałem niekłamane przywiązanie. - Facet, co potrafi tak odespać kaca jak ty, to jest klasa - odezwał się z podziwem. - Podprowadziłem ci klucze, żeby cię nie budzić. Musiałem zorganizować wałówkę i trunek. Pogazowałem trochę solo, co, jak wiesz, kłóci się z moimi zasadami, ale mamy dziś wielki

dzień. W każdym razie od tej pory pomalutku z gorzałką. Musimy trzymać formę, póki się to nie skończy. Mówiąc to, rozpakował jedną butelkę i nalał mi trochę do szklanki. Wypiłem z wdzięcznością i natychmiast poczułem ożywcze ciepło w żyłach. - Idę o zakład, żeś szukał po kieszeniach tej paczki szmalcu? - rzekł Henry wykrzywając twarz w uśmiechu. Poczułem, że się rumienię. Nie odpowiedziałem. - Nie ma sprawy, bracie, dobrześ zrobił. Co ty w końcu wiesz, do ciężkiej jasnej, kto to jest Henry Eichelberger? A, i jeszcze coś załatwiłem. - Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął mały pistolet samopowtarzalny. - Jakby tamci szukali guza, to mam tu pięć dolców w żelastwie, które też jest nie od tego, żeby trochę pohłasować. A mało który Eichelberger pudłuje, jak już się bierze do strzelania. - Nie podoba mi się to, Henry - stwierdziłem poważnie. - To niezgodne z umową. - Kicham na umowę - odparł. - Mają tylko dostać swoją dolę i żadnych glin. Jadę dopilnować, żeby nie dali dyla, zanim nie oddadzą kulek. Zrozumiałem, że nie ma sensu się sprzeczać, toteż ubrałem się i przygotowałem do wyjścia. Obaj wypiliśmy jeszcze po szklaneczce. Henry schował pełną butelkę do kieszeni i opuści liśmy mieszkanie. - Przed domem czeka na mnie taryfa, żebym cię mógł śledzić, na wypadek, gdyby tamci też wpadli na to samo - wyjaśnił po drodze do windy. - Przejedź się po paru spokojnych uliczkach, to

sprawdzą co i jak. Chociaż pewnie cię namierzą dopiero przy plaży. - Wszystko to musiało cię bardzo dużo kosztować, Henry - powiedziałem i kiedy czeka liśmy na windę, wyciągnąłem z portfela kolejne dwadzieścia dolarów i podałem mu. Wzbraniał się przyjąć pieniądze, ostatecznie jednak złożył banknot i schował do kieszeni. Zgodnie z sugestią Henry'ego objechałem kilka uliczek na wzgórzach po północnej stro nie Bulwaru Hollywood i wkrótce usłyszałem za sobą znajomy dźwięk klaksonu taksówki. Zjechałem na pobocze. Henry wysiadł, zapłacił kierowcy i zajął miejsce obok mnie. - Szafa gra - oświadczył. - Żadnego ogona. To ja się tu przykulę, a ty stań gdzieś po prowiant, bo jakby przyszło dać wycisk tym cwaniakom, lepiej wrzucić coś wpierw na ruszt. Zawróciłem więc na zachód, skręciłem w Bulwar Zachodzącego Słońca i wkrótce zaje chałem do restauracji dla zmotoryzowanych, gdzie przy kontuarze zjedliśmy lekki posiłek z omletów i czarnej kawy. Następnie ruszyliśmy w dalszą drogę. Gdy znaleźliśmy się w Beverly Hills, Henry znów kazał mi krążyć po uliczkach, sam zaś uważnie wyglądał przez tylną szybę. W końcu wróciliśmy usatysfakcjonowani na Bulwar Zachodzącego Słońca i mijając bez przeszkód Bel Air i obrzeża Westwood, dotarliśmy na skraj terenów do gry w polo, zwanych Riwierą, gdzie w niewielkiej kotlinie znajduje się kanion Mandeville - niezwykle

spokojny za kątek. Henry kazał mi tam wjechać. Wkrótce zahamowałem, a on, pociągnawszy nieco whis ky, przesiadł się do tyłu i skulił swe potężne ciało na podłodze. Kiedy już nakrył się dywanami i kładąc broń i butelkę tuż pod ręką, ruszyłem w dalszą drogę. Mieszkańcy Pacific Palisades najwyraźniej wcześniej udają się na spoczynek. Kiedy dotarłem do centrum handlowego, z wyjątkiem sąsiadującej z bankiem drogerii wszystko było po zamykane na cztery spusty. Zaparkowałem. Henry leżał pod dywanikiem nie wydając naj mniejszego dźwięku, jeśli nie liczyć cichego bulgotu, który doleciał mnie, zaledwie stanąłem na ciemnym chodniku. Wszedłem do drogerii. Zegar na ścianie wskazywał za kwadrans ósma. Kupiłem paczkę papierosów, zapaliłem i zająłem stanowisko przy otwartych drzwiach budki telefonicznej. Sprzedawca, barczysty osobnik o czerwonej twarzy, w bliżej nie określonym wieku, słu chał zbyt głośno nastawionego radia. Nadawano właśnie jakieś głupawe słuchowisko w odcin kach. Poprosiłem go, żeby przyciszył aparat, ponieważ oczekuję ważnego telefonu. Tak też zrobił, aczkolwiek niechętnie, i natychmiast wycofał się na zaplecze, skąd obserwował mnie jadowitym wzrokiem przez okienko. Gdy na zegarze ściennym była dokładnie za minutę ósma, rozległ się natarczywy dzwonek telefonu. Pośpieszyłem do budki i starannie zamknąłem za sobą drzwi.

Podnosząc słu chawkę, mimo woli dygotałem. Był to ten sam zimny, metaliczny głos. - Gage? - Przy aparacie. - Zrobiłeś, jak kazałem? - Tak. Mam przy sobie pieniądze i jestem sam - odparłem zbierając się na odwagę, gdyż tak bezwstydnego kłamstwo, nawet wobec złodzieja, wzbudzało we mnie niesmak. - To uważaj. Wrócisz ze sto metrów szosą, którą tu przyjechałeś. Za remizą jest nieczynna stacja obsługi samochodów, biało-zielono-czerwona. Dalej odchodzi na południe piaszczysta droga. Pojedziesz nią z kilometr, aż zobaczysz biały płot ustawiony w poprzek drogi. Na oko blokuje przejazd, ale przecisniesz się po lewej stronie. Przygaś światła i zjedź ze wzgórza do kotliny porośniętej szalwią. Zaparkuj tam, zgaś światła i czekaj. Kapewu? - Owszem - odparłem lodowato. - Zastosuję się ściśle do instrukcji. - Jeszcze jedno, brachu. W promieniu kilometra nie ma tam żadnego domu i nikt się tam nie kręci. Na dojazd masz dziesięć minut. Jesteś pod obserwacją. Bądź tam migiem i sam... al bo zobaczysz figę, nie kulki. I nie zapalaj żadnych świateł, petów ani latarki. Zbieraj się. W słuchawce zapadła cisza. Wyszedłem z budki. Jeszcze nie zamknęły się za mną drzwi drogerii, a już sklepikarz popędził do radia i nastawił je na cały regulator. Wsiadłem do samo chodu, zawróciłem i zgodnie z poleceniem, cofnąłem się nieco Bulwarem Zachodzącego Słońca. Mój przyjaciel leżał za mną cicho jak mysz pod

miotłą. Teraz już byłem porządnie zdenerwowany, a tymczasem to Henry miał w swojej pieczy cały nasz trunek. Nim się obejrzałem, mijaliśmy już remizę. Przez okno dostrzegłem czterech strażaków grających w karty. Za biało-zielono-czerwoną stacją obsługi samochodów skręciłem w prawo, na piaszczystą drogę, i w jednej chwili noc wypełniła taka cisza, że pomimo nikłego szumu samochodu słyszałem cykanie świerszczy i kumkanie rzekotek. Od pobliskiej sadzawki doleciał mnie ochryply rechot samotnej ropuchy. Droga to opadała, to znów się wznosiła. W oddali widać było żółte okno. Nagle, w mroku bezksiężycowej nocy, zamajaczyła przede mną niewyraźna biała bariera zagradzająca przejazd. Dostrzegłem lukę po lewej stronie, przygasilem światła, ostrożnie minąłem ogrodzenie i stromym, krótkim zboczem zjechałem do owalnej kotlinki otoczonej niskimi krzewami. Dookoła wały się puste butelki, puszki i papierzyska, ale o tak późnej porze nie było tam nikogo.

Zahamowałem, zgasilem silnik i światła i siedziałem bez ruchu z rękami opartymi na kierownicy. Za moimi plecami Henry ani pisnął. Odczekałem z pięć minut, choć wydawało mi się, że trwa to o wiele dłużej, ale wciąż nic się nie działo. Było cicho, pusto i czułem się nieswojo. W końcu usłyszałem za sobą lekki szelest. Odwróciwszy się ujrzałem bladą plamę - twarz Henry'ego, który patrzył na mnie spod

dywanika. - Dzieje się co? - wyszeptał ochryplym głosem. Zaprzeczyłem energicznym ruchem głowy, na co z powrotem zakrył twarz. Usłyszałem cichy bulgot. Minał cały kwadrans, zanim znów odważyłem się poruszyć. Zdrętwiałem z napięcia. Wobec tego śmiało otworzyłem drzwiczki, wysiadłem i stanąłem na wyboistej ziemi. Nic się nie stało. Z rękami w kieszeniach zacząłem spacerować powoli tam i z powrotem. Mijała mi nuta za minutą. Gdy upłynęło ponad pół godziny, zniecierpliwilem się. Podszedłem do tylnej szyby samochodu i powiedziałem cicho: - Henry, obawiam się, że padliśmy ofiarą prymitywnego żartu. Poważnie się obawiam, że cała ta historia to tylko kiepski dowcip pana Gandesi w odwecie za to, jak go potraktowałeś wczoraj wieczorem. Nie ma tu nikogo, a dojechać można tylko z jednej strony. Wydaje mi się, że to najmniej stosowne miejsce na spotkanie, jakie nas czeka. - To sukinsyn! - odszepnął Henry i w ciemnościach samochodu znów rozległ się cichy bulgot. Potem coś się poruszyło, to mój przyjaciel uwalniał się od dywanika. Trąciły mnie otwierane drzwi i ukazała się jego głowa. - Siądź na stopniu - wyszeptał. - Ja wysiadam. Jeżeli filują na nas zza krzaków, to zobaczą tylko jeden czerep. Poszedłem za jego radą, nasunąłem kapelusz na oczy i postawiłem kołnierz. Henry wy siadł z samochodu jak cień, bezszelestnie zamknął drzwi i stanął przede mną, omiatając wzrokiem

ograniczony horyzont. Widziałem słaby odbłask światła na broni, którą trzymał w ręku.

Czekaliśmy tak jeszcze dziesięć minut. W końcu Henry zeźlił się i machnął ręką na dyskrecję. -

Wystawili nas do wiatru! - warknął. - Wiesz, co się stało? - Nie, Henry. Nie mam pojęcia. -

Chcieli cię wypróbować, ot co. Ci skubani tacy-owacy sprawdzili gdzieś po drodze, żeś połknął haczyk, a potem sprawdzili cię jeszcze tam w sklepie. Stawiam dwa koła rowerowe z czystej platyny, że ten telefon, coś go tam odebrał, był zamiejscowy. - Rzeczywiście, Henry, teraz, kiedy o tym wspomniałeś, też tak myślę - przyznałem ze smutkiem. - A nie mówiłem? Nygusy nawet nie ruszyły tyłków z miasta. Grzeją sobie teraz nogi przy kominku i nabijają się z ciebie aż miło. A jutro facet znowu zadzwoni i powie, że klawo jest, ale muszą być ostrożni, więc tym razem masz być wieczorem na przykład w dolinie San Fernando, tyle że zaśpiewają ci już dziesięć kawałków, niby za ekstra fatygę.

Powinienem wrócić i tak potaćcować z

Gandesim, żeby go własna babka nie poznała. -

No cóż, Henry, prawdę mówiąc ja również nie postąpiłem tak, jak mi kazali, ponieważ uparłem się jechać ze mną. Bardzo możliwe, że oni są sprytniejsi, niż ci się zdaje. W tej sytuacji uważam, że należy wrócić do miasta. Miejmy nadzieję, że jutro nadarzy się okazja, by jeszcze raz spróbować. Ale musisz mi solennie obiecać, że nie będziesz się wtrącał. - Gadaj zdrów!

odciął się ze złością. - Gdyby nie ja, potańcowaliby z tobą jak kot z myszą. Równy z ciebie gość, Walter, ale o życiu to masz takie pojęcie, jakbyś się wczoraj urodził. Ci faceci to złodzieje i mają w garści kulki, za które wyciągnęliby ze dwadzieścia kawałków, jakby się do tego zabrali z głową. Chcą ubić szybki interes, ale spróbują wydusić z ciebie, ile się da. Powinienem teraz wrócić do tej beki makaronu. Wykręciłbym mu parę takich numerów, o jakich nikomu się jeszcze nie śniło. - No, no, Henry, nie bądź brutalny - wtrąciłem. - Ha! - parsknął. - Zależli mi za skórę, gnojki jedne. - Lewą ręką podniósł butelkę do ust i pociągnął z niej łąpczywie. Gdy się znów odezwał, mówił o kilka tonów ciszej i jakby spo kojniej. - Umocz dzioba, Walter. Z imprezy kłapa. - Chyba masz rację, Henry - przytaknąłem z westchnieniem. - Wyznam ci szczerze, że od pół godziny ściska mnie w żołądku jak obcęgi. Tak więc śmiało stanąłem obok niego i przepłukałem gardło solidną miarką wody ognis tej. Natychmiast wróciła mi odwaga. Oddałem mu butelkę, on zaś postawił ją ostrożnie na stopniu samochodu. Stał obok mnie, podrzucając w szerokiej dłoni krótki pistolet samopowta rzałny. - Potrafię załatwić tych chłystków gołymi rękami. Do diabła z tym. - Zamachnął się i cisnął pistolet w krzaki. Broń spadła na ziemię z głuchym odgłosem. Henry odszedł kilka kroków od samochodu, podparł się pod boki i zapatrzył w niebo. Stanąłem koło

niego, przyglądając się - na ile to było możliwe w panujących ciemnościach - jego twarzy. Ogarnęła mnie dziwna melancholia. W trakcie naszej krótkiej znajomości niezmiernie go polubiłem. - I co teraz, Henry? - zapytałem. - Jaki będzie następny ruch? - Po mojemu spływamy do domu - odparł wolno, ponuro. - I zalejemy robaka. - Zaciśnął dłonie w pięści i potrząsnął nimi powoli. Odwrócił się do mnie. - Taaa - mruknął. - Nic tu po nas. Spływamy do domu, mały, tylko to nam zostało. - Niezupełnie, Henry - rzekłem cicho. Wyciągnąłem z kieszeni prawą rękę. Mam duże dłonie. W prawej niańczyłem rulon ćwierćdola różek, który otrzymałem rano w banku. Zaciśnięta na monetach dłoń tworzyła olbrzymią pięść. - Żegnaj, Henry - powiedziałem spokojnie i zamachnąłem się, wkładając w cios całą siłę i ciężar ciała. - Dałem ci dwie szanse, Henry - ciągnąłem. - Trzeciej nie będzie. Ale Henry już tego nie słyszał. Moja pięść, ściskająca ciężkie, zapakowane monety, trafiła go czysto i precyzyjnie w podbródek. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa - runął na twarz, ocierając się o mój rękaw. Szybko odskoczyłem na bok. Henry Eichelberger leżał na ziemi bez ruchu, sflaczały jak gumowa rękawiczka. Spoglądałem na niego ze smutkiem, czekając, aż się poruszy, lecz on ani drgnął. Leżał bez władny, nieprzytomny. Wsunąłem monety z powrotem do kieszeni, pochyliłem się i zrewidowałem go dokładnie,

obchodząc się z nim jak z workiem kartofli, ale minęło sporo czasu, zanim znalazłem perły. Miał je owinięte wokół kostki lewej nogi, pod skarpetką. - No i tak, Henry - zwróciłem się do niego po raz ostatni, mimo iż nie mógł mnie słyszeć. - Jes teś wprawdzie złodziejem, ale prawdziwym dżentelmenem. Dzisiaj co najmniej dziesięć razy mogłeś mi zabrać pieniądze, nie dając nic w zamian. Mogłeś to zrobić przed chwilą, gdy trzymałeś pistolet, ale i to budziło w tobie wstręt. Wyrzuciłeś broń i stanęliśmy twarzą w twarz, sami, zdani tylko na własne siły. Ale nawet wtedy się zawahałeś. Prawdę mówiąc, Henry, jak na dobrego złodzieja wahałeś się zbyt długo. Lecz jako człowiek doceniający sportową postawę, tym wyżej cię cenię. Żegnaj, Henry, i powodzenia. Wyjąłem z portfela sto dolarów i ostrożnie wsunąłem mu je do kieszeni, w której - jak zauważyłem - nosił pieniądze. Następnie wróciłem do samochodu, wypilem łyk whisky, mocno zakorkowałem butelkę i położyłem ją obok Henry'ego tak, by miał ją pod ręką. Nie wątpiłem, że ocknąwszy się, będzie jej potrzebował. 8. Kiedy wróciłem do domu, było już po dziesiątej, lecz czym prędzej podszedłem do telefonu i zadzwoniłem do Ellen Macintosh. - Kochanie! - zawołałem. - Mam perły. Usłyszałem, jak gwałtownie wciąga powietrze po drugiej stronie sznura. - Mój ty kochany. - Jej głos zdradzał napięcie i podniecenie. - I nic ci się nie stało? Nie zrobili ci nic złego? Wzięli tylko

pieniądze i puścili cię wolno? - Nie "oni", bo żadnych "onych" nie było - odparłem z dumą. - Pieniądze pana Gallemore'a na dal mam nietknięte. Był tylko Henry.- Henry?! - krzyknęła zmienionym głosem. - A ja myślałam... Walterze Gage, przyjeżdżaj tu natychmiast i wyjaśnij mi... - Mój oddech zdradza, że piłem whisky, Ellen. - Widocznie była ci potrzebna, kochanie! Przyjeżdżaj natychmiast. Tak więc raz jeszcze wyszedłem z domu, pojechałem szybko do Carondelet Park i ani się obejrzałem, a już byłem w rezydencji pani Penruddock. Ellen oczekiwała mnie na werandzie. Trzymając się za rękę, rozmawialiśmy tam szeptem, ponieważ domownicy już spali. Najprościej, jak potrafiłem, opowiedziałem jej całą historię. - Kochanie, ale skąd wiedziałeś, że złodziejem jest Henry? - zapytała w końcu. - Zdawało mi się, że on był twoim przyjacielem. A ten drugi człowiek, z którym rozmawiałeś przez telefon... - Henry rzeczywiście był moim przyjacielem - przyznałem ze smutkiem. - I właśnie to go zgubiło. Co się zaś tyczy mojego rozmówcy, to bez trudu można było załatwić taką błahostkę. Henry wie lokrotnie rozstawał się ze mną i mógł to zorganizować. Ale pewien drobiazg dał mi wiele do myślenia. Kiedy wręczyłem Gandesiemu wizytówkę z dopisanym adresem, Henry musiał przekazać tę wiadomość swojemu wspólnikowi. Mój głupi - a może nie taki znów

głupi - pomysł wizyty u któregoś ze znanych przestępców dawał Henry'emu możliwość przekonania mnie, iż ów telefon jest wynikiem na szej rozmowy z Gandesim. Skoro jednak po raz pierwszy zadzwoniono do mnie, zanim jeszcze Henry miał okazję porozumieć się ze współnikiem, było jasne, że kryje się za tym jakiś podstęp. Aż wreszcie przypomniałem sobie, że po drodze mieliśmy kraksę i Henry wysiadł naubliżać kierowcy. Było to, ma się rozumieć, planowe zderzenie, które Henry celowo sprowokował, a kierowcą tamtego samochodu był oczywiście jego współnik. I w ten oto sposób, pod pretekstem sztorcowania sprawcy wypadku, Henry zdołał przekazać mu niezbędne informacje. - Ależ Walterze, opowiadasz mi tu o drobiazgach - zaprotestowała Ellen, wysłuchawszy niecierpliwie mego wyjaśnienia. - A ja się chcę dowiedzieć, skąd wpadłeś na pomysł, że Henry w ogóle ma te perły? - Przecież sama mi o tym powiedziałaś - odparłem. - Byłaś o tym święcie przekonana. Henry to wyjątkowo twarda sztuka. Byłoby to do niego bardzo podobne, gdyby ukrył gdzieś naszyjnik, nie obawiając się policji, i zmienił posadę, by po dłuższym czasie wyciągnąć perły z kryjówki i spokojnie opuścić te strony. W ciemnościach werandy Ellen potrząsnęła głową niecierpliwie. - Walterze, ty coś przede mną ukrywasz - stwierdziła ostro. - Nie mogłeś być tego pewny, a nie mając

absolutnej pewności, nie potraktowałbyś Henry'ego tak brutalnie. Dobrze cię znam. - No cóż, kochanie - rzekłem skromnie. - Istotnie, była jeszcze jedna wskazówka, jeden z tych głupich szczegółików, które umykają uwagi nawet najbystrzejszych ludzi. Jak wiesz, nie korzystam z centrali telefonicznej w moim bloku, ponieważ nie życzę sobie, żeby mi się naprzykrzali akwizytorzy i im podobni. Mam telefon bezpośredni, co więcej - zastrzeżony. A jednak wspólnik Henry'ego zadzwonił do mnie właśnie pod ten numer. Henry dużo czasu spędził w moim mieszkaniu, a ja przewidując to nie podałem panu Gandesi tego telefonu, bo naturalnie nie liczyłem na jego pomoc. Od samego początku byłem pewny, że to Henry ma perły i że muszę tylko znaleźć sposób, aby wyciągnął je z kryjówek. - Kochanie! - zawołała Ellen, zarzucając mi ręce na szyję. - Taki jesteś dzielny! Naprawdę uważam, że jesteś bardzo mądry, na swój przedziwny sposób. Wierzysz, że Henry się we mnie kochał, powiedz? Jednakże ten temat nie interesował mnie w najmniejszym stopniu. Zostawiłem naszyjnik pod opieką Ellen i mimo późnej pory, bez zwłoki pojechałem do rezydencji pana Lansinga Gallemore'a, gdzie zrelacjonowałem mu całą historię i zwróciłem pieniądze. Kilka miesięcy później wielką radość sprawił mi list nadany w Honolulu i skreślony na papierze bardzo pośledniego gatunku. "Aleś mnie, bracie, zamalował w tę niedzielę, aniby

się tego po Tobie spodziewał, choć oczywiście nie byłem przygotowany. Majstersztyk. Przez tydzień myślałem o Tobie za każdym razem, jak szorowałem zęby. Szkoda, że musiałem nawiać, bo jesteś swój chłop, chociaż stuknięty, i wolałbym siedzieć teraz z Tobą, zamiast czyścić zawory, w czym właśnie robię ładne parę tysięcy kilometrów od miejsca, gdzie nadali ten list. Chcę tylko, żebyś wiedział dwie rzeczy, nic nie zalewam. Naprawdę mnie wzięła ta wysoka blondyna i to był główny powód, dla którego urwałem się z roboty u starszej pani. A zakosić perły to był durny pomysł z tych, co to przychodzą do głowy, jak się człowiek zabuja w pa niencie. Żal było patrzeć, jak trzymali te kulki w tym pudełku na chleb, a że robiłem kiedyś w Dżibuti u Żabojada, to poznam co perła, a co piguła ze śniegu. Ale jak przyszło co do czego tam w krzakach, jakeśmy zostali sam na sam, to zmiękłem i nie potrafiłem ubić interesu. Powiedz tej blondynie, coś ją zaobrączkował, że o nią pytałem. Jak zawsze Twój, Henry Eichelberger (Alias) PS. Ten palant od telefonów chciał wycyckać ode mnie pół paczki, coś mi ją wsadził do kieszeni, masz pojęcie? Musiałem frajera zwyobrazić na fest. Twój Henry Eichelberger (Alias)" Król w złotogłowie 1. George Millar był wytworny w każdym calu, żyłasty i niewysoki. Pracował w hotelu "Carlton" na nocnej zmianie. Właśnie mówił spokojnie miękko, głębokim głosem szansonistki, choć jego oczy

błyszczały gniewnie. - Stokrotnie przepraszam. Więcej się to nie powtórzy. Natychmiast kogoś przyślę. Odłożył słuchawkę na pulpit centralki i szybko wyszedł z za szklanej przegrody do przedsiionka. Minęła pierwsza w nocy, a klientela "Carltona" składała się w dwóch trzecich ze stałych mieszkańców. W głównym hallu, za trzema wąskimi stopniami, nocny portier skończył już sprzątać. W przestronnej sali nie było żywej duszy, jedynie przygaszone światła, matowe meble i kosztowny dywan. Gdzieś obok cicho grało radio. Millar zszedł po schodkach i ruszył w kierunku źródła dźwięku. Skręcił w łuk kowate przejście i zmierzył wzrokiem mężczyznę na jasnozielonym tapczanie. Wyglądało na to, że uwalnił się on na wszystkich wolnych poduszkach z całego hotelu - leżał na boku i z rozmarzonym wzrokiem słuchał muzyki ze stojącego dwa metry dalej radia. - Hej, ty tam! - warknął Millar. - Masz tu etat detektywa hotelowego czy hotelowego kota? Steve Grayce powoli odwrócił głowę. Był to wysoki mężczyzna o czarnych włosach, głęboko osadzonych spokojnych oczach i łagodnym wykroju ust. Miał około dwudziestu ośmiu lat. Wskazał kciukiem odbiornik i uśmiechnął się. - Król Leopardi, George. Posłuchaj tylko tej trąbki. Dźwięk aksamitny jak skrzydło anioła. - No i dobrze! Wracaj na górę i usuń go z korytarza! Steve Grayce był wyraźnie zaskoczony. - Co takiego... znowu? Myślałem, że

po mojej ostatniej wizycie ptaszki poszły grzecznie spać. - Opuścił nogi na podłogę i wstał. Przewyższał Millara przynajmniej o głowę. - Osiem szesnaście twierdzi, że nie. Osiem szesnaście twierdzi, że lata po korytarzu w samych spodenkach i z puzonem i że urządził sobie z dwoma przydupasami sesję jazzową. A jedna z tych dziwek, które Quillan ulokował w osiem jedenaście, odstawia tam dla nich balet. Bierz się do roboty, Steve... ale tym razem ma być spokój. Detektyw uśmiechnął się kwaśno. - Leopardi i tak tu nie pasuje - stwierdził. - Mogę gopotraktować chloroformem, czy wystarczy pałką? Wielkimi krokami przemierzył jasnozielony dywan, skręcił w łukowate przejście i po drugiej stronie hallu wsiadł do jedynej windy, która była otwarta i oświetlona. Zamknął drzwi, wjechał na ósme piętro, raptownie zatrzymał kabinę i wyszedł na korytarz. Hałas uderzył go niczym nagły podmuch wiatru. Ściany dudniły echem. Z uchylonych drzwi kilku pokoi wyglądali rozwścieczeni goście hotelowi w nocnych strojach. - Wszystko w porządku, kochani - rzucił Steve pośpiesznie. - Nie denerwujcie się, tym razem to już ostatni akt. Za rogiem ogłuszająca muzyka niemal zbiła go z nóg. Obok drzwi, z których padało światło, stało przy ścianie trzech mężczyzn. Ten w środku - puzonista - był mocno zbudowany, miał sześć stóp wzrostu, cienki jak kreska wąsik i kocie

ruchy. Jego oczy błyszczały z przepicia na tle zaczerwienionej twarzy. Za cały strój służyły mu tylko żółte atlasowe spodenki z wielkim, czarnym monogramem na lewej nogawce. Nic więcej. Nagi tors był opalony. Pozostali dwaj występowali w piżamach - typowi, ani ładni, ani brzydki muzycy orkiestrowi, obaj pijani, ale nie zalani w pestkę. Jeden z nich pitoł zawzięcie na klarncie, a drugi wtórował mu na saksofonie tenorowym. Przed nimi platynowa blondynka drobiła dumnymi kroczkami, podrygiwała i wdzięczyła się jak paw. Wyginając brwi i ręce, aż niemal dotykała ramion karminowymi paznokciami, kołysała się i pląsała w takt muzyki. Jej głos przypominał ochrypły rechot; był wyprany z melodii, fałszywy jak jej rzęsy i ostry jak jej paznokcie. Nosła pantofle bez pięt, na wysokich obcasach, i czarną piżamę z długą purpurową szarfą. Steve Grayce zatrzymał się w pół kroku i gwałtownie machnął ręką. - Zwijać żagle! - warknął. - Będzie tego. Dajcie sobie siana. Zbierać zabawki i do domu. Przedstawienie skończone. Spadać stąd, ale już! Król Leopardi odessał się od puzonu. - Fanfara na cześć hotelowego tajniaka! - ryknął. Trzej pijaczkowie zagrali urywany motyw, od którego zadrżały ściany. Dziewczyna roześmiała się głupkowato i machnęła nogą. Pantofel trafił detektywa w pierś. Steve złapał go, nim zdążył upaść, podskoczył do dziewczyny i chwycił ją za rękę. - Takaś ostra? - rzucił z uśmiechem. -

Ciebie odstawię w pierwszej kolejności. - Brać go! - wrzasnął Leopardi. - Przyładujcie mu w bebech! Skręćcie śledziowi kark! Steve porwał dziewczynę pod pachę i popędził. Niósł ją jak paczkę, bez wysiłku. Próbowwała kopać go po nogach. Roześmiał się i mijając otwarte drzwi, zerknął do apartamentu. Pod komodą stały męskie brązowe buty z juchtowej skóry. Dobiegł do następnego otwartego pokoju, wpadł do środka, zatrzasnął drzwi kopniakiem i odwrócił się, by przekręcić w zamku klucz hotelowy. W samą porę. Prawie natychmiast ktoś zaczął się dobijać. Detektyw nie zareagował. Wepchnął dziewczynę krótkim korytarzem obok łazienki do pokoju i puścił ją. Zatoczyła się i odsunęła od niego. Oparta plecami o komodę, dyszała ciężko, przeszywając go wściekłym wzrokiem. Kosmyk mokrych platynowych włosów opadł jej na oko. Gwałtownie potrząsnęła głową i odsłoniła zęby. - Nie chcesz przypadkiem trafić do mamra za włóczęgostwo, siostrzyczko? - Idź do diabła! - Splunęła na niego. - Król jest moim przyjacielem, kapujesz? Trzymaj lepiej łapy przy sobie, ty szpiclu. - Chłopaki zabrali cię w trasę? Znów go opluła. - Skąd wiedziałaś, że tu będą? Na łóżku, z głową przy ścianie, leżała druga dziewczyna. Rozczochrane czarne włosy przesła niały jej bladą twarz. Miała rozdartą nogawkę piżamy. Leżała bez sił, pojękując. - Oho, stary numer z podartą piżamą - rzucił ostro detektyw. - Tutaj nikt się na to nie

nabierze, siostrzyczko. Uważajcie, dziewczyny. Macie do wyboru albo pójść grzecznie spać i zostać do rana, albo wyfrunąć od razu. Jak wolicie. Brunetka jęknęła. - Wynoś się z mojego pokoju, ty śledziu! - krzyknęła blondynka. Sięgnęła za siebie i cisnęła w niego stojącym na komodzie lustrem. Steve uchylił się. Lustro uderzyło w ścianę i nie tłukąc się, spadło na podłogę. Brunetka przekręciła się na łóżku. - Dajcie mi święty spokój! - wystękała. - Jestem chora. Leżała z zamkniętymi oczami; jej powieki drgały. Blondynka kołysząc biodrami przeszła na drugą stronę pokoju. Stała przy biurku pod oknem, nalala sobie pół szklanki whisky i wypila duszkiem, zanim Steve zdążył ją powstrzymać. Zaniósła się gwałtownym kaszlem, wypuściła naczynie z ręki i opadła na czworaki. - Trzeba było aż tego, żeby cię rzucić na kolana? - rzekł Steve ponuro. Dziewczyna gramoliła się na czworakach, potrząsając głową. Czknęła, jak gdyby zbierało jej się na wymioty, i podniosła karminowe paznokcie do ust. Spróbowała wstać, pośliznęła się i upadła na bok. Zasnęła prawie natychmiast. Steve westchnął, podszedł do okna i zamknął je. Przeturlał brunetkę na skraj łóżka, ułożył ją prosto i wyciągnął spod niej kołdrę. Wsunął jej poduszkę pod głowę, przeniósł zewłok blondynki z podłogi na łóżko i przykrył obie dziewczyny po szyję. Otworzył lufcik, zgasił światło i wyszedł, za mykając za sobą drzwi kluczem

uniwersalnym. - Nie ma to jak pracować w hotelu - mruknął pod nosem. Na korytarzu nie było już nikogo. Tylko z jednych otwartych drzwi wciąż padało światło - spod numeru 815, dwa pokoje dalej. Dolatywał stamtąd dźwięk puzonu... cichy, ale i tak za głośny jak na pierwszą dwadzieścia pięć w nocy. Steve Grayce wszedł do środka, barkiem zatrzasnął drzwi i minął łazienkę. Król Leopardi był sam. Siedział rozparty w fotelu, z oszronioną szklanką pod ręką, i grał, zataczając puzonem małe kółka. Światło odbijało się od instrumentu. Steve zapalił papierosa, wypuścił chmurę dymu i spojrzał na muzyka ni to z podziwem, ni to z pogardą. - Gaś światło, ty w żółtych portkach - rozkazał. - Na trąbce grasz bosko, a i od twojego puzonu uszy nie bolą. Ale nie czas i miejsce na to. Mówiłem ci już. Więc daj spokój i odłóż instrument. Leopardi uśmiechnął się wrednie i zagrał urywany motyw. Zabrzmiało to niczym diabelski chi chot. - Mów do mnie jeszcze - parsknął. - Leopardi robi, co chce, gdzie chce i kiedy chce. I nikt nigdy mu w tym nie przeszkodził, śledziu. Idź się przewietrz. Steve zgarbił się w ramionach i przysunął do wysokiego, śniadego mężczyzny. - Odłóż tę fujarę, waźniaku - powiedział spokojnie. - Ludzie chcą spać. Tacy już są dziwni. Wielki to ty możesz być na estradzie. Ale poza nią jesteś po prostu zwykłym facetem, co to ma kupę szmalu i reputację, która śmierdzi jak stąd do

Miami i z powrotem. Mam swoją robotę i właśnie ją wykonuję. Więc dmuchnij jeszcze raz, a owinę ci szyję tą trąbą. Leopardi opuścił puzon i pociągnął solidny łyk ze szklanki. W jego oczach migotały złośliwe błyski. Znow podniósł instrument do ust, nabrał powietrza i zadał, aż zatrzęsły się ściany. Nagle wstał płynnie i zdzielił Steve'a puzonem w głowę. - Nie znoszę hotelowych szpicli! - warknął. - Cuchną jak szalet publiczny. Steve cofnął się o krok i potrząsnął głową. Uśmiechnął się złośliwie, wysunął nogę do przodu i uderzył muzyka otwartą dłonią. Cios wydawał się lekki, a jednak Leopardi zataczając się przeleciał przez pokój i siadł na podłodze u wezgowia łóżka. Prawą rękę oparł na otwartej walizce. Na chwilę obaj znieruchomieli. Wreszcie Steve kopniakiem odtrącił puzon i zdusił papierosa na szklanej tacy. Jego czarne oczy były pozbawione wszelkiego wyrazu, lecz uśmiechnięte usta błyskały bielą. - Jeśli szukasz guza, to chętnie ci go nabiję - powiedział. Leopardi uśmiechnął się blado, z napięciem, i wyciągnął prawą rękę z walizki. Trzymał w niej pistolet. Kciukiem odsunął bezpiecznik i wycelował pewnie. - To nabij mi tym - odparł i wypalił. W zamkniętym pomieszczeniu ostry huk wystrzału zabrzmiał jak grzmot. Z lustra na ścianie po sypały się odłamki szkła. Jeden z nich, niczym brzytwa, przeciął detektywowi policzek. Po twarzy spłynął mu cienki czerwony strumyczek krwi.

Steve skoczył szczupakiem. Prawym barkiem wyrznął Leopardiego w nagą pierś, a jednocześnie lewą ręką wyrwał mu broń i cisnął ją pod łóżko. Przetoczył się szybko na bok i przyklęknął. - Trafiła kosa na kamień, bracie - rzucił ochryple. Zwarł się z przeciwnikiem, złapał go za włosy i ciągnąc z całej siły, poderwał go na nogi. Leo pardi wrzasnął i dwukrotnie uderzył detektywa w szczękę. Steve tylko się uśmiechnął, nadal ciągnąc lewą ręką długie, przylizane czarne włosy. Odgiął głowę Leopardiego tak, że trzeci cios trębacza za ledwie musnął go w ramię, chwycił cofającą się rękę i wykręcił. Muzyk wyjąc osunął się na kolana. Steve podniósł go w ten sam sposób, co przedtem, puścił jego nadgarstek i trzy razy zaprawił go w brzuch krótkimi, zdradliwymi pchnięciami. Przy czwartym uderzeniu, wbijając rękę niemal po nad garstek, puścił włosy jazzmana. Leopardi osunął się na kolana i z wymiotował. Steve przeszedł do łazienki, wrócił z ręcznikiem i rzucił go muzykowi. Następnie wtaszczył otwartą walizkę na łóżko i zabrał się do pakowania. Leopardi wytarł twarz i wstał. Wciąż zbierało mu się na wymioty. Zatoczył się i oparł o komodę. Był biały jak płótno. - Ubieraj się albo wychodź tak jak stoisz - polecił Steve. - Mnie tam wszystko jedno. Leopardi chwiejnie ruszył do łazienki, trzymając się ściany jak ślepiec. 2. Gdy otworzyły się drzwi windy, Millar stał za ladą recepcji sztywny jakby kij

połknął. Twarz miał pobladłą, wystraszoną; jego przyszczyżone czarne wąsy tworzyły ciemną smugę nad górną wargą. Pierwszy wysiadł z windy Leopardi, z szalikiem na szyi, lekkim płaszczem przerzuconym przez ramię i w zsuniętym na bakier kapeluszu. Pochylony do przodu, kroczył sztywno z pustką w oczach i zzieleniałą twarzą. Za nim wyszedł Steve Grayce z walizką, a na końcu Carl, nocny portier, z dwiema dalszymi walizkami i dwoma skórzanymi futerałami na instrumenty. Steve skierował się do recepcji. - Rachunek pana Leopardi... jeśli w ogóle coś płaci - rzucił ochryple. - Wymeldowuje się. Millar wybałuszył na niego oczy zza marmurowej lady. - Ch... chyba nie, Steve... - Nie ma sprawy. Tak też myślałem. Leopardi uśmiechnął się blado, nieprzyjemnie i wyszedł przez okute mosiądzem drzwi wahadłowe, które przytrzymał mu usługowy portier. Przed hotelem stały dwie nocne taksówki. Jedna z nich ożyła i podjechała przed wejście. Gdy portier załadował bagaże, Leopardi wsiadł do samochodu i na chylił się do opuszczonej szyby. - Żal mi cię, śledziu - powiedział wolno, ochryple. - Naprawdę mi cię żal. Steve Grayce cofnął się i obrzucił go kamiennym wzrokiem. Taksówka oderwała się od kra wężnika, skręciła za róg i zniknęła z widoku. Steve zawrócił na pięcie, wyciągnął z kieszeni ćwierć dolara, podrzucił monetę i wcisnął ją portierowi do ręki. - To od Króla -

wyjaśnił. - Będziesz miał co pokazywać wnukom, jeśli jej nie wydasz. Wrócił do hotelu, nie patrząc na Millara wszedł do windy i pojechał na ósme piętro. Kluczem uniwersalnym otworzył drzwi pokoju Leopardiego i zamknął je od środka. Odsunął łóżko od ściany, podniósł z dywanu pistolet kalibru 0.32 i schował go do kieszeni. Zlustrował podłogę w poszukiwaniu łuski. Leżała obok kosza na śmieci. Schylając się po nią, zajrzał do środka i znieruchomiał. Zacisnął usta. Podniósł łuskę, odruchowo wrzucił ją do kieszeni i wyciągnął ze śmieci strzęp papieru, na którym naklejono wycięte z gazet litery. Wrócił do łóżka, przesunął je z powrotem do ściany i wysypał na nie zawartość kosza. Ze sterty papierów i zapalek wybrał skrawki papieru z ponaklejanymi literami i usiadł z nimi przy biurku. Wkrótce złożył je w całość niczym układankę i przeczytał tekst, na który składały się wycięte z gazet litery i całe słowa: "Dziesięć kawałków w czwartek wieczorem, Leopardi. Dzień po premierze w klubie "Shalotte". Inaczej mogiła. Jej brat". - Taaak - mruknął. Zgarnął skrawki papieru do koperty firmowej, schował ją do wewnętrznej kieszeni i zapalił papierosa. - Facet ma ikrę, trzeba mu to przyznać... no i jego trąbce! Zamknął pokój, przez chwilę nasłuchiwał w ciszy korytarza, po czym ruszył do pokoju dziewczyn. Zapukał cicho i przyłożył ucho do drzwi. Usłyszał skrzypnięcie krzesła i zbliżające się

kroki. - Kto tam? - dobiegł go zimny, ani trochę nie zaspany głos. Nie był to głos blondynki. - Detektyw hotelowy. Chciałbym z panią chwilę porozmawiać. - Właśnie to robisz. - Ale nie przez drzwi, jeśli łaska. - Masz wytrych. Sam sobie otwórz. Kroki oddaliły się. Steve skorzystał z klucza uniwersalnego, cicho wszedł do pokoju i zamknął drzwi. Na biurku stała lampa z marszczonym abażurem. W jej ciemnym świetle dostrzegł blondynkę na łóżku. Chrapała głośno, z jedną ręką zanurzoną w błyszczących platynowych włosach. Brunetka usiadła na krześle przy oknie, skrzyżowała nogi po męsku i spojrzała na detektywa pustym wzrokiem. Podszedł do niej i wskazał rozdartą nogawkę piżamy. - Pani nie jest chora. Nie była pani pijana. To rozdarcie jest stare jak świat. Co jest grane? Chcia łyście oskubać Króla? Dziewczyna zmierzyła go lodowatym wzrokiem i bez słowa zaciągnęła się papierosem. - Właśnie się wymeldowałem, więc nic z tego nie będzie, siostrzyczko - ciągnął Steve, nie odrywa jąc od niej przenikliwego spojrzenia. - Ech, wy hotelowi tajniacy, rzygać mi się chce, jak na was patrzę! - rzuciła gniewnie brunetka. Zerwała się z krzesła, przeszła obok detektywa i zamknęła się w łazience. Steve wzruszył ramionami i zbadał tętno śpiącej dziewczyny - nierówny, dudniący puls, puls al koholowy. - Żalodne dziwki - mruknął pod nosem. Spojrzał na wielką, ciemnoczerwoną torbę leżącą na

komodzie, podniósł ją odruchowo i upuść cił. Jego twarz znów stężała. Torba stuknęła o szklany blat, jak gdyby zawierała bryłę ołowiu. Otworzył ją szybko i sięgnął do środka. Palcami namacał zimny metal. Otworzył torbę szerzej i wlepił wzrok w mały pistolecik kalibru 0.25. Jego uwagę przyciągnęła biała kartka. Wyciągnął ją i przysunął do światła - było to pokwitowanie za czynsz, z nazwiskiem i adresem. Schował kartkę do kieszeni, zamknął torbę i kiedy dziewczyna wróciła z łazienki, stał już przy oknie. - Cholera, jeszcze tu jesteś? - warknęła. - Wiesz, co spotyka hotelowych szpicli, którzy z wytrychem pchają się po nocy do damskich sypialni? - Ehe - odparł Steve swobodnie. - Mają kłopoty. A czasem mogą nawet zarobić kulkę. Twarz brunetki znieruchomiała, lecz jej wzrok uciekł w stronę czerwonej torby. Steve nie spuszczał dziewczyny z oka. - Znasz Leopardiego jeszcze z Frisco? - zapytał. - Tutaj nie grał już od dwóch lat. Wtedy był jeszcze zwykłym trębaczem w zespole Vane'a Utigore'a... to taka marna kapela. Dziewczyna wydeła wargi, przeszła obok niego i znowu usiadła przy oknie. Twarz miała bladą, nieruchomą. - Blossom go zna - wyjaśniła stłumionym głosem. - Blossom to ta na łóżku. - Wiedziałyście, że dziś zatrzyma się u nas? - A co cię to obchodzi? - Nie wyobrażam go sobie w takim hotelu. To spokojne miejsce. Więc nie bardzo sobie wyobrażam, żeby ktoś przyjeżdżał

go szantażować akurat tutaj. - Idź sobie wyobrazić gdzie indziej. Chce mi się spać. - Dobranoc, złotko - pożegnał się Steve. - I zamknij dobrze drzwi. Chudzielec o rzadkich blond włosach i wąskiej twarzy stał obok recepcji, bębniąc w marmur kościstymi palcami. Millar wciąż tkwił za ladą i wciąż był blady i wystraszony. Chudzielec miał na sobie ciemnoszary garnitur z fularem pod kołnierzem marynarki. Sprawiał wrażenie, jakby dopiero co wstał z łóżka. Powoli odwrócił niebieskozielone oczy i patrzył, jak Steve wysiada z windy, podchodzi do recepcji i rzuca na ladę klucz. - Klucz Leopardięgo, George - odezwał się detektyw. - Lustro w pokoju jest stłuczone, a na dywanie została jego kolacja... głównie whisky. - Spojrzał na chudzielca. - Chciał się pan ze mną zo baczyć, panie Peters? - Co się stało, Grayce? - Blondyn mówił takim tonem, jakby nie spodziewał się usłyszeć niczego prócz kłamstw. - Leopardi zainstalował się z dwoma koleśiami na ósmym, a reszta zespołu na piątym. Ci z piątego poszli spać. Ale dwie ewidentne dziwki załatwiły sobie jakoś pokój prawie drzwi w drzwi z Leopardim, skumały się z nim i całe towarzystwo wyległo na korytarz. Ubaw był przedni. Nie mogłem się cackać, jeśli miałem z tym skończyć. - Ma pan krew na policzku - stwierdził zimno Peters. - Niech pan ją zetrze. Steve potarł twarz chusteczką. Cienki strumyczek krwi już zasechł. - Odstawiłem dziewczyny do pokoju - podjął

detektyw. - Dwaj kolesie zwąchali, co się święci, i zwinęli manatki, ale Leopardi dalej myślał, że nasi goście nie mają nic lepszego do roboty, jak słu chać jego puzonu. Więc zagroziłem, że mu zawiążę tę trąbę na szyi, a on walnął mnie nią w głowę. No to trzasnąłem go na odlew, na co sięgnął po spluwę i strzelił do mnie. To właśnie ten pistolet. Wyciągnął z kieszeni trzydziestkę dwójkę i położył ją na ladzie, razem z łuską. - Wobec tego wbiłem mu trochę rozumu do głowy i wyrzuciłem go z hotelu - zakończył. Peters zabębnił w marmur. - Jak widzę, postąpił pan z właściwym sobie taktem. Steve wlepił w niego wzrok. - On do mnie strzelił - powtórzył spokojnie. - Z tego pistoletu. Nie jestem kuloodporny. Na szczęście spudłował, ale gdyby tak trafił? Lubię swój brzuch takim, jakim jest, z jednym tylko wlotem i wylotem. Peters zmarszczył brązowe brwi. - Na liście płac figuruje pan jako nocny recepcjonista, bo nie lubimy nazwy "detektyw hotelowy" - wyjaśnił uprzejmie. - Ale ani recepcjonista, ani detektyw hotelowy nie ma prawa wyrzucać naszych gości bez uzgodnienia tego ze mną. W żadnym wypadku, panie Grayce. - Człowieku, ten facet do mnie strzelił. Z pistoletu. Rozumiemy się? Gdzie jest powiedziane, że mam puszczać takie rzeczy płazem? - Jego twarz pobladła. - Niech pan weźmie pod uwagę jeszcze i to, że głównym udziałowcem tego hotelu jest pan Hal sey G. Walters - ciągnął Peters. - Pan Walters jest

również właścicielem klubu "Shalotte", gdzie w środę wieczorem Król Leopardi rozpoczyna występy. I właśnie dlatego, panie Grayce, Leopardi zaszczycił nas swoją obecnością. Czy pańskim zdaniem miałbym panu jeszcze coś do powiedzenia? - Ehe. Że jestem zwolniony - odparł Steve niewesoło. - Bardzo słusznie, panie Grayce. Dobranoc panu. Chudy blondyn wsiadł do windy i portier zawiózł go na górę. Steve spojrzął na Millara. - Słoń Walters, co? - rzucił cicho. - Twardziel i lepszy cwaniak. Taki spryciarz dobrze wie, że ta buda i klub "Shalotte" mają cokolwiek inną klientelę. Czy to Peters zaprosił do nas Leopardiego? - Chyba tak, Steve - odrzekł Millar cichym, posępnym głosem. - To dlaczego nie dostał apartamentu z prywatnym tarasem, gdzie mógłby tańczyć do upadłego, za dwadzieścia osiem dolców dziennie? Dlaczego ulokowano go na średnio drogim piętrze dla przyjezdnych? I dlaczego Quillan zakwaterował te dziewczyny tak blisko niego? Millar szarpał czarnego wąsa. - Pewnie lubi pieniądze nie mniej niż szkocką. A jak to było z dziewczynami, tego nie wiem. Steve trzasnął w ladę otwartą dłonią. - Jednym słowem wyleciałem dlatego, że nie pozwoliłem jakiemuś pijaczynie przerobić ósmego piętra na burdel i strzelnicę. Bez sensu! A jednak będzie mi brak tej budy. - Mnie też będzie cię brak, Steve - rzekł Millar łagodnie. - Ale to dopiero za kilka dni. Od ju tra biorę tydzień urlopu. Mój

brat ma domek w Crestline. - Nie wiedziałem, że masz brata - mruknął detektyw z roztargnieniem. Przez cały czas otwierał i zaciskał pięść na marmurowej ladzie. - On rzadko zagląda do miasta. Kawał chłopca, ten mój brat. Kiedyś był zawodowym bokserem. Grayce skinął głową i wyprostował się. - No nic, trzeba przeczekać do rana - powiedział. - Na plecach. Schowaj gdzieś tę pu kawkę, George. Uśmiechnął się zimno, zszedł po schodkach do pogrążonego w mroku głównego hallu i zniknął w pokoju, gdzie grało radio. Poprawił poduszki na jasnozielonym tapczanie i sięgnął do kieszeni po skrawek papieru, który zabrał z torby brunetki. Było to pokwitowanie tygodniowego czynszu, wystawione pannie Marilyn Delorme, zamieszkałej przy Court Street 118, Ridgeland Apartments 211. Schował kartkę do portfela i wlepił wzrok w milczący radiodbiornik. - Zdaje się, Steve, żeś znalazł nową robotę - mruknął sam do siebie. - Coś mi w tym wszystkim śmierdzi. Wcisnął się do przypominającej szafkę budki telefonicznej w rogu pokoju, wrzucił pięć centów do automatu i wybrał numer całonocnej stacji radiowej. Dopiero za czwartym razem uzyskał połączenie ze spikerem programu "Tylko dla asów". - Moglibyście powtórzyć "Samotność" Króla Leopardiego? - poprosił. - To już szło dwa razy, a mam tu całą stertę zamówień. Kto dzwoni? - Steve Grayce, detektyw z nocnej zmiany w "Carltonie". - Oho,

trzeźwy facet przy pracy. Dla ciebie, stary, wszystko. Steve wrócił do tapczanu, włączył radio i położył się na plecach, splatając ręce pod głowę. Dziesięć minut później z odbiornika doleciał wysoki, przeszywający, a zarazem miękki dźwięk trąbki Króla Leopardiego, wyciszony niemal do szeptu. Niewiarygodnie zawieszony E nad wysokim C zdawało się rozbrzmiewać w nieskończoność. - Psiakrew! - burknął detektyw, gdy melodia dobiegła końca. - Facet tak gra, że bo ja wiem?... może i byłem dla niego za ostry. 3. Court Street, przecinając szczyt Bunker Hill, zamieszkiwali starcy i włoscy emigranci, drobni kanciarze i niedoszli artyści. Można tu było znaleźć ludzi wszelkiej maści i zawodu - obdartych wyrzutków z lepszych dzielnic miasta i dekujących się przestępców, panienki lek kich obyczajów i klientów opieki społecznej, toczących wieczną wojnę z zasuszonymi własci cielkami starych domostw wyposażonych w bogato zdobione werandy, parkiety i olbrzymie półkoliste obręcze z białego dębu, mahoniu i orzecha włoskiego. Niegdyś okolica Bunker Hill była wcale sympatyczna, a z czasów jej świetności do dziś zachowała się śmieszna kolejka linowa, zwana "Anielskim lotem", która pełzała tam i z powrotem po żółtym gliniastym stoku górującym nad Hill Street. Było już po południu, gdy z wago niku na szczycie wzgórza wysiadł jedyny pasażer i ruszył w słońcu przed

siebie: wysoki, bar czysty i smukły mężczyzna w dobrze skrojonym niebieskim garniturze - Steve Grayce. Przy Court skręcił na zachód, sprawdzając numery domów. Ten, którego szukał, był za raz za rogiem, naprzeciw budynku z czerwonej cegły. W zasłoniętych kotarą drzwiach, pod złotym szyldem z napisem: "Zakład Pogrzebowy Paolo Perruginiego", stał śniady, szpakowaty Włoch w żakiecie. Palił papierosa, czekając, aż ktoś umrze. Dom pod numerem sto osiemnastym był drewniany. Miał trzy kondygnacje, szklane drzwi, ledwie widoczne zza brudnej firanki, a w korytarzu szeroki na pół metra chodnik, ciemne numery wymalowane na ciemnych drzwiach i w głębi schody. Mosiężne pręty podtrzymujące chodnik na stopniach błyszcząły w mroku. Steve Grayce wszedł na samą górę i zagłębił się w korytarz. Mieszkanie numer 211, zajmowane przez pannę Marilyn Delorme, leżało po prawej, od frontu. Detektyw zapukał do drzwi, odczekał chwilę i zastukał ponownie. Za drzwiami, jak i w całym korytarzu, panowała cisza. W mieszkaniu naprzeciwko ktoś zaniósł się kaszlem. Steve czekał w półmroku, zastanawiając się, po co właściwie przyszedł. Panna Delorme nosiła broń. Leopardi dostał list z pogrózkami, podarł go i wyrzucił. Panna Delorme, dowiedziawszy się o wyjeździe Króla wymeldowała się z "Carltona" w ciągu godziny. A jednak... Wyjął skórzany futerał na klucze i

obejrzał zamek. Na oko nie powinien się specjalnie opierać. Podłubał więc w nim, odsunął zasuwkę i cicho wszedł do pokoju, zamykając za sobą drzwi tylko na klamkę, bo od wewnątrz wytrych nie chciał ruszyć zamka. Zasłony w obu oknach były zaciągnięte, toteż w mieszkaniu panował półmrok. W po wietrze unosił się zapach pudru. Stało tam parę mebli utrzymanych w jasnych kolorach. Skła dane podwójne łóżko było rozłożone, lecz zasłane. Leżało na nim jakieś czasopismo, szklana popielniczka pełna niedopałków i na wpół opróżniona półlitrowka whisky. Obok, na krześle, stała szklanka. Dwie poduszki, które ktoś podkładał sobie pod plecy, wciąż jeszcze były wgniecione. Na komodzie walały się rozmaite kosmetyki, ani tanie, ani drogie, grzebień z wplątanymi czarnym włosami oraz zasypana pudrem taca z przyborami do manicure. W łazience nie było nic. W szafie za łóżkiem wisiała masa ciuchów i stały dwie walizki. Wszystkie buty były tego samego rozmiaru. Steve stanął przy łóżku i uszczypnął się w policzek. - Blossom, blondynka plujka, tu nie mieszka - mruknął pod nosem. - Tylko Marilyn, brunetka w podartej piżamie. Znów podszedł do komody i wyciągnął szuflady. W najniższej, pod wyściółką z tapety, znalazł pudełko amunicji do pistoletu kaliber 0.25. Naboje miały koszulki ze stopu miedzi i nik lu. Pogmerał w popielniczce. Na ustnikach

wszystkich niedopałków widniały ślady szminki. Znowu uszczypnął się w policzek i pomachał ręką. Wyglądało to, jak gdyby wiosłował w powietrzu. - Nici - szepnął sam do siebie. - Tracisz tylko czas, Stevie. Podszedł do drzwi, złapał za klamkę, lecz nagle puścił ją, wrócił do łóżka i podniósł je za oparcie. Okazało się, że panna Marilyn Delorme była jednak w mieszkaniu. Leżała pod łóżkiem, na boku, z nogami skrzyżowanymi jak podczas biegu. Na jednej stopie miała pantofel, druga była bosa. Tam, gdzie kończyły się pończochy, widać było pod wiązki, a dalej ciało i niebieską różyczkę na różowym tle. Dziewczyna miała na sobie niezbyt czystą sukienkę z dekoltem w karo, bez rękawów. Jej szyję znaczyły fioletowe sińce. Twarz kobiety przybrała barwę przejrzałej śliwki, a oczy zachowały po śmierci lekki matowy blask. Szeroko otwarte usta skracaly optycznie jej twarz. Dziewczyna była zimna jak lód, a jednocześnie zupełnie miękka. Nie żyła od co najmniej dwóch, trzech godzin, a co najwyżej od sześciu. Ciemnoczerwona torba, równie szeroko otwarta jak usta panny Delorme, leżała tuż obok. Steve nie dotknął żadnego z rozsypanych drobiazgów. Nie było wśród nich broni ani papierów. Opuścił łóżko z powrotem i obszedł całe mieszkanie, wycierając wszystko, czego doty kał, a także - na wszelki wypadek mnóstwo innych rzeczy. Przez chwilę nasłuchiwał przy drzwiach, po czym wyszedł. W

korytarzu nadal nie było nikogo. Mężczyzna w mieszkaniu naprzeciwko wciąż kaszlał. Steve zszedł na parter, obrzucił wzrokiem skrzynki na listy i skierował się do drzwi w głębi korytarza, zza których dobiegało monotonne skrzypienie krzesła. Zapukał, a słysząc w odpowiedzi ostry kobiecy głos, nacisnął klamkę przez chusteczkę i wszedł do mieszkania. Na środku pokoju jakaś kobieta kołysała się w starym bujaku.

Spoczywała na nim bez władnie, jak gdyby jej ciało było pozbawione kości, całą swoją postawą demonstrując krańco we wyczerpanie. Twarz o barwie złota, opadające strąkami włosy i szare bawełniane pończochy sprawiały, że mogła uchodzić za wzór właścicielki hoteliku z Bunker Hill. Kiedy spojrzała na Steve'a, w jej wzroku malowało się tyle zainteresowania, co w oczach śniętej złotej rybki. - Pani tu jest właścicielką? Kobieta przestała się bujać. - Hej, Jake! Goście! - wrzasnęła na cały głos i znowu zaczęła się kołysać. Za uchylonymi drzwiami prowadzącymi do sąsiedniego pomieszczenia ktoś z trzaskiem zamknął lodówkę i do pokoju wszedł zwałisty mężczyzna z puszką piwa w ręku. Miał nalaną twarz kretyna, kępkę kłaków na czubku skądinąd łysej głowy, kark byka i wysuniętą brodę oraz piwne świńskie oczka, równie wyprane z wszelkiego wyrazu jak oczy kobiety. Już po przedniego dnia stanowczo powinien był się ogolić. Koszula bez kołnierzyka dosłownie pękała w szwach na jego potężnej,

włochatej piersi. Olbrzym nosił jasnoczerwone szelki z wielkimi, złożonymi klamrami. Wyciągnął puszkę piwa do kobiety, która czym prędzej wyrwała mu ją z ręki. - Takżem się namęczyła, że nie mam głowy do interesów - poskarżyła się. - Normalka. Ale w korytarzu toś chyba mogła posprzątać? - Tak posprzątałam, jak mi się chciało - odburknęła i łapczywie przyssała się do puszki. Steve spojrzał na mężczyznę. - Pan tu szefuje? - Jasne, że ja. Jake Stoyanoff, sto trzydzieści osiem kilo w samych gaciach i wciąż jesz cze w pełnej formie. - Kto mieszka w dwieście jedenaście? Olbrzym zgiął się w pasie, pochylił do przodu i strzelił szelkami. Jego oczy nie zmieniły wyrazu, może tylko skóra na wydatnej szczęce nieco się napięła. - Panienka. - Sama? - Dalej, pytaj pan - rzekł wielkolud. Wyciągnął łapsko i ze skraju wielokrotnie przypala nego stołu podniósł cygaro. Palilo się nierówno, wydzielając smród, jak gdyby ktoś puścił z dymem słomiankę. Olbrzym wsadził je sobie do ust jednym silnym pchnięciem, zapewne przewidując, że jego wargi zbuntują się przeciwko takiemu gościowi. - Właśnie to robię - odparł detektyw. - To chodź pan się pytać do kuchni - wycedził Stoyanoff. Odwrócił się i przytrzymał drzwi, przepuszczając gościa przodem. Steve przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Przy akompaniamencie skrzypienia bujaka wielkolud kopniakiem zatrzaskał drzwi i wy ciągnął z

lodówki dwie puszkę piwa. Otworzył je i podał jedną detektywowi. - Tajniak? Steve upił łyżeczek, odstawił puszkę do zlewu i wyjął z portfela nowiutki bilet wizytowy, który rano odebrał z drukarni. Pokazał go olbrzymowi. Ten przeczytał, odłożył wizytówkę na skraj zlewu i znów podniósł ją do oczu. - A, jeden z tych - warknął sponad puszkę. - Jaki numer wywinęła tym razem? Steve wzruszył ramionami. - Jak zwykle. Podarta piżama i tak dalej. Tyle że tym razem dostała swoją dolę. - Nie może być? A ty masz to teraz załatwić? Przyjemna robótka, co? Detektyw przytaknął. Olbrzym zaciągnął się cygarem. - To bierz pan się do roboty. - A jakby trzeba było ją zwinąć? Wielkolud roześmiał się, szczerze ubawiony. - Gadaj zdrów, bracie - odparł serdecznie. - Jesteś prywatnym łapsem. Znaczą się, nikt nic nie wie. No i dobrze. Załatw to cicho sza. A jakby nawet przyszło ją zwinąć, to mam to gdzieś jak flaszkę mleka. Więc rób swoje. Czuj się jak u siebie w domu. Jake Stoyanoff ma gli ny w głębokim poważaniu. Steve patrzył na niego bez słowa. Olbrzym rozgadał się, nareszcie ciut zainteresowany. - Poza tym - ciągnął, wywijając cygarem - mam miękkie serce. Ja tam nie zakabluję żadnej pani. Ode mnie kobitka nie zarobi poniżej pasa. - Dopił piwo, cisnął puszkę do kosza pod zlewem i wyciągnął przed siebie rękę, pocierając kciukiem o dwa palce. - No, chyba że coś by mi za to kapnęło - dorzucił. - Masz wielkie dłonie -

zauważył cicho detektyw. - To mogła być twoja robota. - Że co? - Stoyanoff mierzył Steve'a niemym spojrzeniem piwnych, twardych jak podeszwa świńskich oczek. - A tak. Może i jesteś czysty. Ale masz takie łapy, że gliny wymagłowałyby cię tam i na zad i z powrotem. Wielkolud przesunął się od zlewozmywaka nieco w lewo. Prawą rękę opuścił swobodnie. Zaciśnął usta tak silnie, że czubek cygara omal nie sparzył mu nosa. - Co jest grane, koleś? - syknął. - W co ty mnie chcesz zrobić? Co... - Przymknij się - wycedził Steve. - Dziewczyna jest sztywna. Udużona. U siebie na górze, pod łóżkiem. Ktoś ją załatwił, gdzieś tak przed południem. Gołymi rękami... takimi jak twoje. Olbrzym popisał się dobywaniem broni z biodra. W jego łapsku wyrósł rewolwer, tak nagle, jak gdyby znajdował się tam przez cały czas. Na widok broni Steve zmarszczył brwi, lecz ani drgnął. Stoyanoff otaksował go wzrokiem. - Twardy jesteś - oświadczył. - Po iluś tam latach na ringu potrafię ocenić krzepę faceta. Prawdziwy twardziel z ciebie, synu. Ale ołów jest twardszy. Więc gadaj migiem. - Zapukałem do niej. Bez skutku. Otworzyć ten zamek to pestka, więc wszedłem. Mało brakowało, a byłbym jej nie zauważył, bo łóżko było rozłożone. Wyglądało na to, że niedawno siedziała na nim i czytała. Podniosłem je, jak już miałem wychodzić... no i znalazłem ją. Ona nie żyje, panie Stoyanoff. Więc odłóż pan tego gnata. Dopiero co

słyszałem, że ma pan gliny w głębokim poważaniu. - I tak i nie - wyszeptał były bokser. - Oglądać ich w każdym razie nie Kocham. Trafiają mi się tu czasem truposze. Co jeden to samobójca. Ale pan żeś coś mówił o moich rękach...? Steve potrząsnął głową. - Żartowałem. Ona ma na szyi ślady paznokci. A pan obgryza paznokcie do samego ciała. Jest pan czysty. Olbrzym nawet nie spojrzął na swoje palce. Był blady. Pod dolną wargą, na czarnej kil kudniowej szczecinie, wystąpiły mu kropelki potu. Wciąż stał pochylony do przodu, bez ruchu. Nagle dobiegło pukanie do drzwi sąsiedniego pokoju, wychodzących na korytarz. Krzesło przestało skrzypieć i ostry kobiecy głos wrzasnął: - Hej, Jake! Goście! Olbrzym skinął głową w bok. - Ten stary wyciruch nie ruszyłby tyłka, choćby się paliło - powiedział ochryple. Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Steve szybko omiótł kuchnię wzrokiem. Wysoko nad zlewem ujrzał małe okienko, a w podłodze klapę zsypu, ale drugich drzwi nie było. Sięgnął po wizytówkę, którą Stoyanoff zostawił na skraju zlewu, i schował ją do marynarki, po czym z wewnętrznej kieszeni wyciągnął policyjną trzydziestkę ósemkę o krótkiej lufie, którą nosił kolbą do góry, niczym w kaburze. Ledwie zdążył to zrobić, za ścianą rozległ się - nieco stłumiony, lecz wyraźny - huk broń palnej. Cztery wystrzały zlały się w jeden grzmot. Steve cofnął się i kopnął drzwi wyprostowaną nogą.

Nie ustąpiły, za to przeszywający ból poraził mu głowę i staw biodrowy. Zaklął, cofnął się pod przeciwległą ścianę kuchni i z rozpędu wyrznął w drzwi lewym barkiem. Tym razem wyleciały z zawiasów. Steve wpadł do pokoju. Kobieta o ziemistej twarzy siedziała pochylona w bujaku, z przekrzywioną na bok głową i kosmykiem mysich włosów przylepionym do kościstego czoła. - Gaźnik, co? - odezwała się głupio. - Jakoś tak blisko. Pewnikiem w alejce przed domem. Steve kilkoma susami przebiegł przez pokój, gwałtownie otworzył drzwi i wypadł na korytarz. Stoyanoff trzymał się jeszcze na nogach. Wsparty o ścianę, stał ze cztery metry dalej, wpatrując się w szklane drzwi wychodzące na alejkę. U jego stóp leżał rewolwer. Nagle ol brzym przyklęknął, gdy lewe kolano odmówiło mu posłuszeństwa. Na korytarz wyjrzało jakieś jędzowate babsko i natychmiast zatrzasnęło drzwi. Muzyka z radia w jej mieszkaniu momentalnie przybrała na sile. Wielkolud dźwignął się z podłogi. Nawet przez nogawkę widać było, jak jego lewa noga dygocze gwałtownie. Osunął się na kolana, chwycił rewolwer i zaczął pełznąć do szklanych drzwi. Nagle uderzył twarzą o podłogę i szorując nią po chodniku, dalej próbował czołgać się do wyjścia. Wtem znieruchomiał; jego ciało zwiotczało. Broń wypadła z bezwładnej ręki i potoczyła się po podłodze. Steve wyskoczył przed dom. Szary samochód, wciąż przyspieszając, zbliżał się już

do końca alejki. Detektyw wyhamował ostro i zebrał się w sobie. W chwili gdy składał się do strzału, samochód znikł właśnie za rogiem. Z budynku po drugiej stronie alejki wyjrzał rozwścieczony mężczyzna. Steve, gestykulując do niego jedną ręką, a drugą wskazując przed siebie, pędził za samochodem. Nie zwalniając biegu, schował rewolwer do kieszeni. Zanim dotarł do końca uliczki, samochód przepadł bez śladu. Detektyw skręcił raptownie za róg, wskoczył na chodnik i zwolnił kroku. Nagle zatrzymał się. Kawalek dalej ktoś parkował przy krawężniku. Steve patrzył, jak kierowca wysiada, przechodzi na drugą stronę ulicy i znika w jadalni. Poprawił kapelusz i sam też ruszył do knajpy. Wszedł do środka, zajął miejsce przy barze i zamówił kawę. Wkrótce usłyszał syreny policyjne. Dopiero po drugiej filiżance kawy zapalił papierosa i zszedł długim zboczem na Piątą, skąd skręcił w Hill i wrócił pod stację "Anielskiego lotu", gdzie zostawił na parkingu swój kabriolet. Odjechał na zachód, za Vermont, do hoteliku, w którym tego dnia rano wynajął pokój. 4. Bill Dockery, kierownik sali w klubie "Shalotte", huśtał się na piętach i ziewał, pilnując wejścia do sali jadalnej. Była to martwa pora dla interesów - na koktajl za późno, na kolację za wcześnie. A przede wszystkim o wiele za wcześnie na to, z czego żył cały klub - to znał hazard. W granatowym smokingu, z goździkiem w klapie, Dockery

prezentował się wcale nieźle. Jego lakierowane czarne włosy odsłaniały pięć centymetrów czoła, przystojne, choć może za grube rysy, czujne piwne oczy i długie, zakręcone rzęsy, które lubił opuszczać, by sprowokować jakiegoś podchmielonego awanturnika do bitki.

Odźwierny w liberii otworzył boczne drzwi i do foyer wszedł Steve Grayce. - Ho, ho - mruknął Dockery i postukał się paznokciem w zęby.

Pochylony do przodu, niespiesznie ruszył powitać nowego gościa. Steve zatrzymał się w progu, lustrując salę. Wysokie ściany foyer wyłożono mlecznym, lekko podświetlonym szkłem. Ozdabiające je sztychy przedstawiały żaglowce, dzikie zwierzęta, syjamskie pagody i świątynie z Jukatenu. Kwadra towe, chromowane futryny drzwi przypominały ramki do pamiątkowych zdjęć. Klub "Shalot te" miał klasę, co do tego nie było wątpliwości. Z baru po lewej dolatywał cichy pomruk głośników.

Dyskretna muzyka hiszpańska w tle była delikatna jak chiński wachlarz. Dockery podszedł do detektywa. - Czym mogę służyć? - zapytał, lekko wysuwając lśniąca głowę. - Jest Król Leopardi? Dockery cofnął głowę.

Wyraźnie stracił zainteresowanie. - Ten muzyk? Występuje dopiero od jutra. - Myślałem, że może wpadnie już dziś... na próbę, czy co. - To pański przyjaciel? - Znajomy. Nie szukam pracy ani nie chcę mu wcisnąć żadnych piosenek, jeśli o to panu chodzi. Dockery zakolysał się na

piętach. Miał drewniane ucho i nazwisko Leopardiego mówiło mu tyle co nic. - Niedawno widziałem go w barze - poinformował z lekkim uśmiechem i skinął kwadra tową, twardą jak skała brodą. Steve Grayce ruszył we wskazanym kierunku. Ciepły, komfortowy i w sam raz oświetlony bar był zajęty najwyżej w jednej trzeciej. Pod arkadą grała na instrumentach z tłumikami niewielka hiszpańska orkiestra smyczkowa. Ci che, tęskne melodie przywodziły na myśl raczej wspomnienia niż dźwięki. Parkietu do tańca nie było. Stał tam długi kontuar i wygodne stołki barowe oraz małe okrągłe stoliki z mozaikowymi blatami, ustawione niezbyt blisko siebie. Wzdłuż trzech ścian biegła ława. Kelnerzy krążyli między stolikami niczym ćmy. Steve dostrzegł Leopardiego. Muzyk siedział w samym rogu sali, w towarzystwie młodej kobiety. Sąsiednie stoliki świeciły pustkami. Dziewczyna była oszalamiająca. Wysoka, o włosach barwy płonących krzewów oglądanych przez chmurę pyłu. Czarny aksamitny beret, zawadiacko zsunięty na bakier, zdobiły dwa motyle z nakrapianych piór, przypięte długimi srebrnymi szpilkami. Dziewczyna ubrana była w wełnianą sukienkę koloru czerwonego wina. Przerzucony przez ramię błękitny lis miał dobrze ponad pół metra szerokości. W olbrzymich, przydymionych niebieskich oczach malowało się znużenie. Lewa dłoń w rękawiczce powoli

obracała na blacie nieduży kieliszek. Leopardi mówił coś do swej towarzyszki, pochylając się ku niej nad stołem. W kremowej, włochatej marynarce sportowej wydawał się jeszcze bardziej barczysty niż zwykle. Zaczęły mu się zbiegać w szpic na brązowym karku, tuż nad kołnierzem. Gdy Steve ruszył w jego stronę, muzyk wybuchnął szyderczym, pewnym siebie śmiechem. Detektyw przystanął i skręcił do sąsiedniego stolika. Leopardi zauważył go kątem oka, z irytacją odwrócił głowę, lecz nagle uniósł brwi i z błyskiem w oku całym ciałem okręcił się w stronę Steve'a, niczym mechaniczna zabawka. Oparł na stole małe, kształtne dłonie, po obu stronach wysokiej szklanki z koktajlem, i uśmiechnął się. Raptownie odsunął krzesło. Wstał, uniósł palec i teatralnym ruchem dotknął cienkiego jak kreska wąsa. - Ty skurwysynu! - wycedził z naciskiem. Siedzący w pobliżu mężczyzna łypnął na niego przez ramię. Kelner, który ruszył w ich stronę, zatrzymał się w pół kroku i zniknął między stolikami. Dziewczyna spojrzała na detek tywa i odchyliła się na oparcie ławy przy ścianie. Zwilżyła językiem czubek palca prawej dłoni i przesunęła nim po kasztanowej brwi. Steve ani drgnął, lecz jego policzki zabarwił ciemny rumieniec. - Zapomniałeś wczoraj czegoś w hotelu - powiedział cicho. - Chyba powinieneś coś z tym zrobić. Trzymaj. Wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę i podał ją muzykowi. Leopardi wziął ją z

uśmiechem, rozłożył i przeczytał. Był to arkusz żółtego papieru z ponaklejanymi literami wyciętymi z gazet. Trębacz zmiął go i upuścił na podłogę. Zbliżył się do Steve'a o krok i - tym razem głośniej - powtórzył: - Ty skurwysynu! Mężczyzna, który przed chwilą zmierzył go wzrokiem, raptownie wstał od stolika i odwrócił się. - Nie zniosę takiego języka w obecności mojej żony - powiedział wyraźnie. - Pocałujcie mnie wiesz gdzie, ty i twoja żona - odparł Leopardi, nie zaszczycając go spojrzeniem. Mężczyzna spurpurowiał. Jego towarzyszka zerwała się z miejsca, chwyciła torebkę i zakiet i odmaszerowała. Po chwili wahania wybiegł za nią. Teraz już cała sala śledziła rozwój wydarzeń. Kelner, który niedawno zniknął między stolikami, pospiesznie wyszedł do foyer. Leopardi zrobił jeszcze jeden, dłuższy krok i uderzył detektywa w szczękę. Steve cofnął głowę, amortyzując cios, i zatoczył się do tyłu. Podparł się ręką o sąsiedni stolik. Gdy się odwracał, by przeprosić siedzącą tam parę za przewróconą szklankę, trębacz raz jeszcze skoczył i zaprawił go w skroń. Dockery wyszedł z foyer, rozsunał dwóch kelnerów na boki niczym skórki banana i błyskając zębami, ruszył na drugą stronę sali. Steve czknął lekko i odskoczył. Odwrócił się. - Zaczekaj, wariacie! - rzucił ochryple. - To nie wszystko... jest jeszcze... Leopardi skoczył za nim i z całej siły uderzył go w twarz. Z wargi detektywa pociekła krew,

spływając błyszczącym strumyczkiem z kącika ust na brodę. Rudowłosa dziewczyna po bladła z wściekłości. Sięgnęła po torebkę i zamierzała wstać od stolika. Nagle Leopardi okręcił się na pięcie i odszedł. Strząsnął dłoń kierownika sali, który próbował go zatrzymać, i zniknął za drzwiami. Wysoka ruda odłożyła torebkę na stół i upuściła chusteczkę. Spokojnie spojrzała na detektywa i z równym spokojem poleciła: - Niech pan zetrze krew z brody, zanim poplamie panu koszulę. Mówiła cicho, ochryplym, wibrującym głosem. Podszedł do nich rozwścieczony Dockery. Złapał Steve'a za ramię i wykręcił mu rękę. - No, jazda! Idziemy! Steve jakby wrósł w ziemię. Wlepił wzrok w dziewczynę, przykładając chusteczkę do ust. Uśmiechnął się blado. Dockery, nie mogąc ruszyć go z miejsca ani o włos, dał znak dwóm kelnerom, którzy szybko stanęli za detektywem. Steve delikatnie pomacał usta i przyjrzał się zakrwawionej chusteczce. Odwrócił się do pary przy stoliku. - Najmocniej przepraszam - powiedział. - Straciłem równowagę. Dziewczyna, której przewrócił szklankę, wycierała sukienkę serwetką obrębiającą frędziami. Spojrzała na niego z uśmiechem. - To nie pańska wina - odparła. Dwaj kelnerzy zniechęceni chwycili detektywa od tyłu za ręce, lecz puścili go natychmiast, gdy Dockery pokręcił głową. - Uderzył go pan? - zapytał kierownik sali z napięciem. - Nie. - A może go pan sprowokował?

- Nie. Rudowłosa dziewczyna schyliła się po upuszczoną chusteczkę. Trwało to trochę, nim się wyprostowała. W końcu jednak odnalazła zgubę i usiadła z powrotem. - To prawda, Bill - odezwała się zimno. - Król po prostu znów musiał zaprezentować się publiczności z najlepszej strony. - Hę? - bąknął Dockery, kiwając głową osadzoną na grubym, twardym karku. Nagle uś miechnął się szeroko i spojrzał na Steve'a. - Przyłożył mi trzy razy, w tym raz od tyłu - rzekł detektyw. - Nie oddałem mu. Z pana jest kawał chłopca. Może sprawdzimy, czy uda się panu taka sztuczka? Dockery otaksował go wzrokiem. - Nie sędzę - przyznał. - Twoje na wierzchu... Jazda stąd! - zwrócił się ostro do kelne rów. Gdy odeszli, powąchał goździk w klapie i dorzucił spokojnie: - My tu nie przepadamy za bijatykami. - Jeszcze raz uśmiechnął się do dziewczyny i odszedł, zamieniając po drodze słów ko z niektórymi gośćmi przy stolikach. Wrócił do foyer. Steve poklepał usta, schował chusteczkę do kieszeni i omiół wzrokiem podłogę. - Mam to, czego pan szuka... w chusteczce - stwierdziła rudowłosa ze spokojem. - Nie usiądzie pan? Jej głos był mu dziwnie znajomy, jak gdyby już go kiedyś słyszał. Zajął miejsce Leopardiego, na wprost dziewczyny. - Ja zapłacę za tamten koktajl - zwróciła się do kelnera. - Byliśmy razem. - Parę kropli gorzkich z coca-colą - zamówił Steve. - A dla pani? - Brandy z wodą sodową. Tylko proszę

nie za mocną. Kelner skłonił głowę i odszedł. -
Krople gorzkie z coca-colą - powiedziała
dziewczyna z rozbawieniem. - Właśnie dlate go
uwielbiam Hollywood. Można tu spotkać tylu
neurotyków! - Nietęgi ze mnie pijak -
wytłumaczył się cicho detektyw, patrząc jej
prosto w oczy. - Jestem z tych, co to wyskakują
na piwko i budzą się w Singapurze z brodą do
pasa. - Nic a nic panu nie wierzę. Od dawna zna
pan Króla? - Poznaliśmy się wczoraj w nocy. Ale
od samego początku jakoś nam się nie układa. -
Dało się zauważyć. - Wybuchnęła głębokim,
dźwięcznym śmiechem. - Pani mi odda tę
kartkę. - Oho, jeszcze jeden niecierpliwy. Przed
nami dużo czasu. - Chusteczkę, w której ukryła
zmiętą żółtą kartkę, trzymała w zaciśniętej
dłoni. Tej w rękawiczce. Środkowym palcem pra
wej ręki musnęła brew. - Pan chyba nie pracuje
w filmie? - Boże, uchowaj. - To rozumiem. Ja też
nie, jestem za wysoka. Nasi precudnej urody
amanci musieliby wkładać koturny, żeby mnie
przycisnąć do piersi. Kelner postawił przed nimi
szklanki, wykonał serwetą skomplikowaną
ewolucję w po wietrze i odszedł. - Pani mi odda
tę kartkę - powtórzył Steve z uporem. - Nie
podoba mi się forma "pani mi odda".
Przypomina mi słownictwo policyjnych szpic li. -
Niestety, nie znam pani nazwiska. - Ja pańskiego
też nie. Gdzie pan poznał Leopardiego? Steve
westchnął. Hiszpańska orkiestra grała
melancholijną melodię w tonacji minorowej,

zdominowaną przez stłumiony klekot tykw. Detektyw przekręcił głowę, wsłuchując się w muzykę. - Struna E przestrojona o pół tonu niżej - zauważył. - Ciekawy efekt. Dziewczyna spojrzała na niego z rozbudzonym zainteresowaniem. - Nigdy bym nie zauważyła. A podobno wcale nieźle śpiewam. Ale nie odpowiedział mi pan na pytanie. - Wczoraj w nocy byłem jeszcze detektywem hotelowym w "Carltonie" - wyjaśnił powoli. - Nazywało się, że jestem recepcjonistą z nocnej zmiany, ale byłem zwyczajnym tajniakiem. Leopardi zatrzymał się u nas i narozrabiał. Więc wyrzuciłem go, za co wyleciałem z roboty. - Zaczynam rozumieć - stwierdziła. - On odgrywał króla, a pan - jak się domyślam - detektywa z gatunku tych twardych. - Coś w tym rodzaju. A teraz, jeśli łaska... - Wciąż jeszcze mi się pan nie przedstawił. Sięgnął do portfela, wyjął jedną z nowiutkich wizytówek i podsunął ją dziewczynie. Czekaając, aż przeczyta, popijał ze szklanki. - Imię i nazwisko ładne - orzekła. - Ale adres nie najlepszy. Poza tym "detektyw prywatny" nie brzmi dobrze. Powinno być: "zlecenia poufne", drobniutkim druczkiem, w lewym dolnym rogu. - Będą drobniutkie, spokojna głowa - wtrącił Steve, uśmiechając się szeroko. - A teraz, jeśli łaska... Zmienacka wyciągnęła rękę ponad stołem i zrzuciła mu na dłoń zmiętoszoną papierową kulkę. - Oczywiście nie czytałam tego... choć naturalnie bardzo bym

chciała. Mam nadzieję, że to doceniasz... -
zerknęła na wizytówkę - Steve. Aha, i
powinieneś mieć biuro w dziewiętnas
towiecznym albo bardzo nowoczesnym gmachu
przy Bulwarze Zachodzącego Słońca, najle piej
w okolicach numeru osiemdziesiątego.
Apartament... i tu jakaś ładna nazwa. Poza tym
ubieraj się krzykliwie. Naprawdę krzykliwie,
Steve. W tym mieście tylko zrujnowani bogacze
starają się nie rzucać w oczy. Uśmiechnął się
szeroko. W jego głęboko osadzonych czarnych
oczach zamigotały ogni ki. Dziewczyna schowała
wizytówkę do torebki, poprawiła futerko na
ramieniu i wychyliła po łowę zawartości
szklanki. - Na mnie już czas. Dała znak
kelnerowi i uregulowała rachunek. Gdy odszedł,
wstała. - Proszę usiąść! - rzucił ostro Steve.
Spojrzała na niego z namysłem. Po chwili
usiadła z powrotem i oparła się o ścianę, nie
spuszczając z niego wzroku. Detektyw pochylił
się nad stołem. - A pani dobrze zna
Leopardiego? - Od lat. Widujemy się raz na
jakiś czas, choć nie wiem, co ci do tego. Tylko,
na Bóg mi ły, nie przybieraj czasem tonu pana i
władcy. Nie cierpię takich mężczyzn. Kiedyś
śpiewałam w jego zespole, ale krótko. Z nim nie
da się tylko śpiewać... jeśli rozumiesz, co mam
na myśli. - Ale dałaś mu się zaprosić na jednego.
Skinęła głową i wzruszyła ramionami. - Jutro
zaczyna tu występy. Namawiał mnie, żebym
znów z nim śpiewała. Odmówiłam, ale kto wie,

czy nie będę musiała się zgodzić... przynajmniej na tydzień, może dwa. Właściciel klubu "Shalotte" jest zarazem właścicielem mojego kontraktu... i stacji radiowej, dla której spo ro nagrywam. - Słoń Walters - rzekł. - Powiadają, że jest twardy, ale uczciwy. Nie poznałem go osobiście, a szkoda. W końcu muszę jakoś zarabiać na życie. Proszę. Wyciągnął rękę ponad stołem i upuścił papierową kulkę. - A nazywa się pani... - Dolores Chiozza. Detektyw przeciągle powtórzył nazwisko. - Ładnie. Pani śpiew też mi się podoba. Często słucham pani nagrań. Pani nie próbuje przedobrzyć, jak te wyciskaczki łez, co tylko tłuką szmal. - Jego oczy błyszczały. Piosenkarka rozpostarła kartkę na blacie i przeczytała ją powoli. Jej twarz nie zmieniła wyrazu. - Kto to podarł? - zapytała spokojnie. - Pewnie Leopardi. Znalazłem te strzępy u niego wczoraj w nocy, w koszu na śmieci. Poskładałem je, jak już wyjechał. Facet ma nerwy... albo dostaje tego tyle, że nie robi to na nim wrażenia. - Albo uznał to za kiepski żart. - Spojrzała mu prosto w oczy i oddała złożoną kartkę. - Być może. Ale jeżeli jest taki, jak słyszałem, to któryś z tych listów okaże się prawdziwy, a jego autor nie poprzestanie na szantażu. - Jest dokładnie taki, jak słyszałeś - potwierdziła Dolores Chiozza. - Wobec tego kobiecie nie byłoby trudno dostać się do niego, prawda? Uzbrojonej ko biecie? Nie spuszczała z niego wzroku. - Prawda. A jeśli chcesz znać moje

zdanie, to wszyscy jak jeden mąż przyszliby jej z po mocą. Na twoim miejscu zapomniałabym o tej całej sprawie. Gdyby chciał ochrony, to Walters mógłby mu zapewnić lepszą obstawę niż cała policja razem wzięta. A skoro nie chce... to co ci do tego? Ja w każdym razie gwizdzę na to.

- Twarda z pani dziewczyna, panno Chiozza... w pewnych sprawach. Nie odpowiedziała. Twarz miała pobladłą, zaciętą. Steve opróżnił szklankę, odsunął krzesło i sięgnął po kapelusz. Wstał. - Dziękuję bardzo za poczęstunek, panno Chiozza. Teraz, kiedy już panią poznałem, z tym większą niecierpliwością będę oczekiwał pani nagrań. - Coś ty nagle taki formalny? - rzuciła. Wyszczerył zęby. - Żegnaj, Dolores. - Żegnaj, Steve. Powodzenia... detektywie. Gdybym coś usłyszała... Odwrócił się i lawirując między stolikami, ruszył do wyjścia.

5. Był rześki jesienny wieczór. Mrugały do niego światła Hollywood i Los Angeles. Ref lektory omiatały bezchmurne niebo, jak gdyby w poszukiwaniu nieprzyjacielskich bombowców. Steve wyjechał kabrioletem z parkingu i skręcił na wschód, w Bulwar Zachodzącego Słońca. Na skrzyżowaniu z Fairfax kupił popołudniówkę i zatrzymał się przy krawężniku, by przejrzeć gazetę. O wypadkach przy Court Street 118 nie było najmniejszej wzmianki. Ruszył w dalszą drogę. W kawiarence na tyłach swego hotelu zjadł kolację i wybrał się na film. Wychodząc z kina kupił lokalne wydanie "Tribune" - gazety

porannej. Znalazł w niej relację o obu morderstwach. Policja nie wykluczała, że dziewczynę zadusił Stoyanoff, choć ofiara nie była napasto wana. Podano, że była stenotypistką, chwilowo bezrobotną. Zdjęcia kobiety nie było, zamieszczono natomiast zdjęcie Stoyanoffa, które wyglądało na retuszowaną fotografię policyjną. Policja szukała człowieka, z którym były bokser rozmawiał tuż przed śmiercią. Kilku świadków opisało go jako wysokiego mężczyznę w ciemnym garniturze. Policja nic więcej o nim nie wiedziała... albo nie ujawniła. Steve uśmiechnął się kwaśno, w kawiarence wypił kawę na dobranoc i wrócił do siebie. Dochodziła jedenasta. Wchodząc do pokoju, usłyszał dzwonek telefonu. Zamknął drzwi i stanął w ciemności, przypominając sobie, gdzie jest telefon. Wkrótce jak kot ruszył po ciemku wprost do celu, klapnął na fotel i wyciągnął z półki pod stolikiem jednoczęściowy aparat telefoniczny. - Halo? - Czy to Steve? - odezwał się głęboki, ochryply głos, niski i dźwięczny. Brzmiało w nim napięcie. - Tak, to ja. Słyszę cię. Wiem, kto dzwoni. Usłyszał cichy, suchy śmiech. - Będzie z ciebie jeszcze detektyw. I zdaje się, że właśnie ode mnie dostaniesz pierwsze zlecenie. Mógłbyś przyjechać do mnie natychmiast? Renfrew - północna, południowej nie ma - dwadzieścia cztery dwanaście, tuż przed Fountain. To coś w rodzaju osiedla domków

jednoro dzinnych. Mój jest ostatni w tylnym rzędzie. - Dobrze, jasne. Ale co się stało? Zapadła cisza. Na ulicy przed hotelem odezwał się klakson. Sufit zalało białe światło reflektorów samochodu, który wyjechał zza rogu. Wreszcie niski głos odparł powoli: - Chodzi o Leopardiego. Nie mogę się go pozbyć. On... on zasnął w mojej sypialni. - Ze słuchawki doleciał piskliwy śmiech, zupełnie nie idący w parze z jej głosem. Steve ścisnął telefon tak silnie, że rozboleła go ręka. Zadzwoił zębami w ciemności. - W porządku - odparł bezbarwnym, nieco łamiącym się głosem. - Będzie cię to kosztować dwadzieścia dolarów. - Oczywiście. Pośpiesz się, proszę. Odłożył słuchawkę. Przez chwilę siedział w ciemności, sapiąc ciężko. Zsunął kapelusz na tył głowy, gwałtownym szarpnięciem nasadził go prosto i roześmiał się w głos. - Psiakrew! A więc to taka damulka. Renfrew nie było osiedlem w pełnym tego słowa znaczeniu. Stało tam w zygzakowatej linii sześć parterowych domków, tak ustawionych, że wejście do każdego z nich było niewi doczne dla sąsiadów, mimo iż wszystkie wychodziły na tę samą stronę. Z tyłu osłaniał je ceglany mur, za którym widać było kościół. Przed domkami rozpościerał się długi strzyżony trawnik, skąpany w świetle księżyca. Do wejścia prowadziły dwa schodki, otoczone z obu stron latarniami. Judasza osłaniała kratka z kutego żelaza. Detektyw zapukał, na co wizjer uchylił

się i wyjrzała drobna, owalna twarz dziewczyny, okolona kasztanowymi lokami. Miała silnie zarysowane usta i wygięte w łuk, wyskubane brwi. Oczy błyszczały niczym świeżo obrane kasztany. Steve rzucił papierosa na ziemię i przydeptał go obcasem. - Do panny Chiozza. Czeka na mnie, nazywam się Steve Grayce. - Panna Chiozza udała się już na spoczynek, proszę pana - odparło dziewczę z nieco bezczelnym grymasem ust. - Dobra, dobra, kochana. Twoja pani czeka na mnie, chyba mówię wyraźnie? Okienko w drzwiach zatrzasnęło się. Detektyw czekał, patrząc spode łba za siebie, na wysoki, skąpany w poświacie księżycy trawnik. A więc to tak... trudno, dla dwudziestu dola rów warto było odbyć tę wieczorną przejażdżkę. Szczęknęła zasuwka i otworzyły się drzwi. Steve minął pokojówkę i wszedł do ciepłego, pogodnego salonu. Królował tu staromodny perkal. Lampy nie były ani stare, ani nowe, za to liczne i usytuowane jak należy. Przy kominku, osłoniętym ażurowym parawanem z miedziowych listew, stała sofa, a w rogu odbiornik radiowy z wbudowanym barkiem. - Bardzo przepraszam - usprawiedliwiła się sztywno pokojówka. - Panna Chiozza za pomniała mnie poinformować. Proszę spocząć. - Jej miękki głos zdradzał przebiegłość. Dziewczyna zniknęła za drzwiami po drugiej stronie salonu, a wraz z nią krótka spódniczka, jedwabne pończochy i

dziesięciocentymetrowe szpilki. Steve usiadł, położył kapelusz na kolanach i wlepił wzrok w ścianę. Skrzypnęły drzwi wahadłowe. Detektyw wyjął papierosa, przesunął go między palcami i zgniótł w drobny mak, po czym rzucił skrawek białej bibułki i okruchy tytoniu na kratę paleniska. Pojawiła się Dolores Chiozza, ubrana w pizamę z zielonego aksamitu, przewiązaną długą, obrębianą złotymi frędzlami szarfą. Wywijiała jej końcem niczym lassem, uśmiechając się sztucznie. Podkrążone oczy odcinały się od świeżo wymytej twarzy. Dziewczyna mrugała nerwowo. Steve wstał, obserwując zielone pantofle z marokinu, wysuwające się spod pizamy przy każdym kroku piosenkarki. Gdy podeszła bliżej, podniósł wzrok na jej twarz. - Witaj - odezwał się drewnianym głosem. Spojrzała mu prosto w oczy. - Wiem, że już późno, ale wiem też, że przyzwyczałeś się nie spać w nocy - powiedziała donośnie przyjaznym tonem. - Więc pomyślałam, że moglibyśmy obgadać... Dlaczego nie sia dasz? Przechyliła głowę, jak gdyby czegoś nasłuchiwała. - Nic nie szkodzi - rzekł Steve. - Nigdy nie kładę się przed drugą. Podeszła do kominka i nacisnęła dzwonek. Wkrótce w łukowatych drzwiach ukazała się pokojówka. - Przynieś lód, Agatha. A potem zmykaj do domu. Późno już. - Tak jest, psze pani. - Dziewczyna zniknęła. Zapadła świdrująca cisza. Wreszcie wysoka kobieta

machinalnie wyciągnęła papierosa ze szkatułki, wsunęła go do ust, a Steve niezdarnie potarł zapalnik o podeszwę buta. Przytknęła czubek papierosa do ognia, nie odrywając swych niebieskich oczu od czarnych oczu detektywa. Ledwie dostrzegalnie pokręciła głową. Pokojówka przyniosła miedziany kubek z lodem. Przysunęła mosiężny hinduski barek na kółkach przed sofę, ustawiła na nim kubek, syfon, szklanki i łyżeczki, a także trójgraniastą butelkę, która sądząc z wyglądu mogłaby zawierać przednią szkocką whisky, gdyby nie pokrywający ją srebrny filigranowy motyw i korek z odmierzaczem. - Możesz zrobić coś do picia? - odezwała się formalnie Dolores Chiozza, zwracając się do gościa. Przyrzędził dwa koktajle, zamieszał i podał jej szklankę. Skosztowała i potrząsnęła głową. - Za słaby - powiedziała. Dolał jeszcze trochę whisky i zwrócił jej naczynie. - Już lepiej - stwierdziła, opierając się w rogu sofy. Do salonu wróciła pokojówka. Jej kasztanowe loki przykrywał zsunięty na bakier kapek. Dziewczyna miała na sobie szary płaszcz obszyty puszystym futrem, a w ręku czarną brokatową torbę, w której można by wynieść zawartość sporej lodówki. - Dobranoc, panno Dolores. - Dobranoc, Agatha. Dziewczyna wyszła frontowymi drzwiami, zamykając je cicho za sobą. Na chodniku za stuknęły obcasy. Trzasnęły drzwiczki samochodu i rozległ się odgłos

zapuszczanego silnika. Warkot wkrótce zamarł w oddali. Była to bardzo spokojna okolica. Steve odstawił szklanę na mosiężny barek i wbił wzrok w panią domu. - To znaczy, że mamy ją z głowy? - spytał szorstko. - Tak. Zawsze wraca do siebie swoim wozem. Moim samochodem przywozi mnie ze studia, jeżeli - tak jak dzisiaj - mam nagrania. Sama nie lubię prowadzić. - To na co czekamy? Siedziała zapatrzona w parawan przed nie rozpalonym kominkiem. Na jej policzku nerwowo drgał mięsień. Po chwili odezwała się: - Zabawne, że zadzwoniłam po ciebie, zamiast do Waltersa. On by mi zapewnił lepszą ochronę. Ale ty - w przeciwieństwie do niego - może mi uwierzysz. Nie zapraszałam Leopariego. O ile się orientuję, nikt oprócz nas nie wie, że on tu jest. Coś w jej głosie sprawiło, że Steve wyprostował się raptownie. Z górnej kieszonki zielonej aksamitnej piżamy wyciągnęła szeleszczącą chusteczkę, upuściła ją na podłogę, podniosła szybko i przycisnęła do ust. Niespodziewanie, bez choćby jednego szlochu czy westchnienia, zaczęła drżeć niczym liść na wietrze. - Co u licha? - rzucił szybko detektyw. - Załatwię tego drania nie wyjmując rąk z kiesze ni. Tak jak wczoraj... mimo że strzelił do mnie z pistoletu. Odwróciła głowę, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczyma. - Ale wtedy to nie był mój pistolet - powiedziała zmartwiałym głosem. - He? Oczywiście, że nie... co u... - Dzisiaj ma mój

pistolet. - Patrzyła mu prosto w oczy. - Sam mówiłeś, że uzbrojona ko bieta bez trudu dałaby mu radę. Gapił się na nią bez słowa. Był blady, z jego ust wydobywał się jakiś chrapliwy dźwięk. - On się nie upił, Steve - wyjaśniła łagodnie. - Nie żyje. Leży tam w żółtej piżamie, mar twy... w moim łóżku. I ściska mój pistolet. Od początku nie wierzyłeś, że się po prostu upił, powiedz? Zerwał się z miejsca i znieruchomiał, patrząc na nią z góry. Przesunął językiem po war gach. W końcu odzyskał głos. - Chodź, obejrzymy go - wyszeptał. 6. Sypialnia znajdowała się na tyłach domu, po lewej. Dolores wyjęła z kieszeni pęk klu czy i otworzyła drzwi. Na stoliku stała niska lampa; żaluzje były zaciągnięte. Steve na palcach przecisnął się obok dziewczyny i wszedł do pokoju. Leopardi zajmował środek łóżka - wielki, gładki, milczący mężczyzna, po śmierci niena turalny niczym figura z wosku. Nawet jego wąsy wyglądały jak sztuczne. Na wpół przymknięte, podobne do szklanych kulek oczy sprawiały wrażenie, jak gdyby nigdy nie widziały. Król leżał na plecach, na prześcieradle; kołdra była przerzucona przez oparcie łóżka. Muzyk miał na sobie żółtą jedwabną piżamę, wkładaną przez głowę, z wywiniętym koł nierzykiem. Była luźna i cienka, na wysokości piersi pociemniała od krwi, która wsiąkła w jedwab niczym w bibułę. Krew splamiła także odsłoniętą brązową szyję. - Król w złotogłowie - mruknął Steve, wpatrując się w

zwłoki. - Czytałem kiedyś taką książkę. Zdaje się, że lubił kanarkowy kolor... widziałem wczoraj trochę jego rzeczy, jak mu się pomagałem pakować. Ale on sam był ptaszkiem dużo większego kalibru. Potrafił pokazać pazury. Chociaż tacy jak on zwykle wolą chować głowę w piasek. Dziewczyna przysiadła na stolku w rogu sypialni i wbiła wzrok w podłogę. Był to ładny pokój. O ile wystrój salonu cechowała pozorna przypadkowość, o tyle sypialnię urządzono na wskroś nowocześnie. Dywan o barwie kawy z mlekiem, ciężkie meble z inkrustowanego drewna, zmyślna komoda z lustrzanym blatem i szufladami umieszczonymi po obu stronach wnęki na kolana, jak w biurku. Nad komodą wisiało lustro w oprawie, nad nim zaś półkolisty kinkiet z mlecznego szkła. Na szklanym stoliku stał kryształowy chart i lampa. Steve nigdy do tąd nie widział tak wielkiego abażuru. Przestał się rozglądać i wrócił do Leopardiego. Delikatnie podciągnął pizamę Króla i obejrzał ranę. Dokładnie na wysokości serca skóra była osmalona i pocętkowana od prochu. Krwi wyciekło stosunkowo niewiele. Śmierć nastąpiła natychmiast. W prawej ręce, wyciągniętej na górnej z dwóch poduszek, muzyk ścisnął mały pistolet - samopowtarzalnego mausera. - Artystyczna robota - stwierdził Steve, wskazując palcem. - Tak, widać rękę mistrza. Prawdopodobnie typowa rana kontaktowa. Nawet podciągnął

przedtem bluzę pizamy. Słysza łem, że niektórzy tak robią. To chyba mauser siedem sześćdziesiąt trzy. Jesteś pewna, że to twój? - Tak. - Nie odrywała wzroku od podłogi. - Leżał w biurku w salonie... nie nabity. Ale naboje też tam były. Sama nie wiem, po co go trzymałam. Dostałam go kiedyś. Nawet nie po trafiłabym go nabić. Podniosła nagle wzrok i wzdrygnęła się, widząc uśmiech na twarzy detektywa. - Nie spodziewam się, że ktoś mi uwierzy - stwierdziła. - Chyba równie dobrze możemy wezwać policję? Steve machinalnie skinął głową, włożył papierosa do ust i zaczął nim kołysać. Od ude rzenia Leopardiego wciąż jeszcze miał spuchnięte wargi. Potarł zapalką o paznokiec kciuka i wypuścił z ust obłoczek dymu. - Żadnych glin - powiedział spokojnie. - Jeszcze nie teraz. Opowiadaj. - Wiesz, że śpiewam dla stacji KFQC - zaczęła. - Trzy razy w tygodniu... przez piętnaś cie minut, w wieczornej audycji dla kierowców. Dziś też występowałam. Wróciłyśmy z Agathą o... gdzieś koło wpół do jedenastej. W progu przypomniałam sobie, że skończyła się woda so dowa, więc posłałam Agathę do sklepu trzy przecznice stąd i weszłam do domu sama. Poczu łam dziwny zapach, trudny do opisanie. Jak gdyby przebywało tam kilku mężczyzn, coś w tym guście. Weszłam do sypialni i... leżał dokładnie tak jak teraz. Zobaczyłam pistolet, przyjrzałam mu się i wiedziałam, że wsiąklam. Nie miałam pojęcia, co robić. Nawet gdyby

policja oczyściła mnie z zarzutów, to na każdym kroku spotykałabym się z... - Jak on się tu dostał? - przerwał Steve ostro. - Nie wiem. - Mów dalej. - Zamknęłam drzwi. Potem rozebrałam się... a ten tu leżał na łóżku. Poszłam do łazienki wziąć prysznic i pozbierać resztki myśli. Wychodząc z pokoju zamknęłam drzwi i wzięłam klucz ze sobą. Agatha była już w domu, ale chyba mnie nie zauważyła. No i tak... po kąpieli trochę odżyłam, wypiłam koktajl i zadzwoniłam do ciebie. Przerwała, pośliniła czubek palca i wygładziła koniuszek lewej brwi. - To wszystko, Steve, naprawdę wszystko. - Służba przeważnie lubi się wtrącać w nie swoje sprawy. A jeśli znam się cokolwiek na ludziach, ta twoja Agatha jest szczególnie wścibska. - Podszedł do drzwi i obejrzał zamek. - Idę o zakład, że po domu wala się ładne parę kluczy, którymi można go otworzyć. - Następnie sprawdził zatrzaski w oknach i szyby. - Czy Król się w tobie kochał? - rzucił przez ramię. - On nigdy nie kochał żadnej kobiety! - zareplikowała ostro, gniewnie. - Parę lat temu, kiedy śpiewałam przez jakiś czas z jego zespołem w San Francisco, krążyły o nas idiotyczne plotki. Wyssane z palca. Odgrzali je teraz w komunikatach dla prasy, żeby narobić szumu wokół jego premiery. Mówiłam mu właśnie po południu, że nie zniosę, żeby ktokolwiek łączył jego nazwisko z moim. Jego życie prywatne było obrzydliwe. Śmierdziało na

kilometr. Każdy z branży ci to powie, choć w tym środowisku niewiniątek ze świecą szukać. - A twoja sypialnia to jedyny bastion, którego nie zdobył? Dziewczyna zarumieniła się po korzonki ciemnorudych włosów. - Brzmi to paskudnie - dorzucił Steve. - Ale wszystko muszę wziąć pod uwagę. Więc jak, mam rację? - Tak... chyba tak. Chociaż jedyny to może przesada. - Idź do salonu, łyknij sobie coś. Wstała i spojrzała mu prosto w oczy. - Nie zabiłam go, Steve. Nie wpuściłam go dziś do domu. Nie miałam pojęcia, że się tu wybiera, że miał powody, by się u mnie zjawić. Możesz mi wierzyć lub nie. Ale coś w tym wszystkim nie gra. Leopardi był ostatnim człowiekiem na świecie, który odebrałby sobie swoje cenne życie. - Wcale tego nie zrobił, skarbie. Idź już się napić. Zamordowano go. A cała ta aranżacja ma na celu wymuszenie ochrony na Słoniu Waltersie. Wyjdź. Stał w bezruchu, w milczeniu, dopóki dolatujące z salonu dźwięki nie upewniły go, że tam dotarła. Dopiero wtedy wyjął chusteczkę i uwolnił pistolet z prawej ręki Leopardiego. Najpierw dokładnie wytarł broń z zewnątrz, potem rozłożył ją i przetaił magazynek, a także wszystkie naboje z osobna, włącznie z tym, który znajdował się w komorze. Złożył pistolet z powrotem i wcisnął go do martwej dłoni. Palec wskazujący muzyka oparł na spuście, pozwalając, by ręka Leopardiego opadła bezwładnie na łóżko i ułożyła się w naturalnej pozycji.

Poszperał w pościeli, znalazł łuskę po wystrzelonym naboju i wytarłszy ją, odłożył na miejsce. Powąchał chusteczkę, z niesmakiem zmarszczył nos i obszedł łóżko, by dostać się do garderoby w ścianie. - Jak można się tak ubierać, stary - mruknął. Na wieszaku wisiała kremowa marynarka, a pod nią ciemnoszare spodnie z paskiem ze skóry jaszczurki. Obok dyndała żółta atlasowa koszula i krawat o barwie czerwonego wina. Z kieszonki marynarki zwisała na dobre dziesięć centymetrów chusteczka pod kolor krawata. Na podłodze stała para brązowych sportowych butów ze skóry gazeli, obok zaś leżały skarpetki bez podwiązek i żółte atlasowe spodenki z wielkim czarnym monogramem. Steve starannie przetrząsnął szare spodnie. Wyjął z nich skórzany futerał na klucze, opuścił sypialnię i przeszedł korytarzem do kuchni. W solidnych, zamykanych na zatrzask drzwiach od strony ulicy tkwił klucz. Detektyw wyciągnął go i spróbował dobrać do zamka któryś z kluczy Leopardiego. Żaden nie pasował. Włożył więc stary klucz z powrotem i przeszedł do salonu. Otworzył drzwi frontowe, wyszedł na dwór i zatrzaskał je, nie patrząc na skuloną w rogu sofy dziewczynę. Znow sięgnął po futerał. Znalazł właściwy klucz, wszedł do domu, w sypialni schował klucze między szare spodnie i wrócił do salonu. Dziewczyna obserwowała go ze swego miejsca bez ruchu.

Oparł się plecami o gzyms kominka i zaciągnął się papierosem. - Agatha była z tobą w studiu przez cały czas? Przytaknęła ruchem głowy. - Tak mi się wydaje. Czyli że on miał klucz. Właśnie to sprawdziłeś, prawda? - Tak. Jak długo ona u ciebie pracuje? - Około roku. - Kradnie? Myślę o jakichś drobiazgach. Dolores Chiozza ze znużeniem wzruszyła ramionami. - Czy to ważne? One wszystkie coś podbierają. A to krem czy puder, a to chusteczkę, czasami pończochy. Tak, myślę, że kradła. One uważają, że w pewnym sensie mają do tego prawo. - Wszystkie oprócz tych uczciwych, skarbie. - Wiesz, ma takie niewygodne godziny pracy... Ja pracuję wieczorami, często wracam bardzo późno. Ona jest także garderobianą, nie tylko pokojówką. - Co jeszcze o niej wiesz? Zażywa kokainę, pali trawkę? Zagląda do butelki? Ni z tego, ni z owego wybucha śmiechem? - Nie sądzę. Ale co to ma do rzeczy, Steve? - Droga pani, ona sprzedała komuś klucz do tego domu. To oczywiste. Od ciebie go nie dostał, od dozorczy też raczej nie, ale Agatha miała trzeci. Jasne? Z oczu Dolores wyzierał strach. Jej usta drżały. Pod ręką miała szklanekę z nie napoczętym koktajlem. Detektyw nachylił się i pociągnął łyk. - Tracimy tylko czas, Steve - stwierdziła wolno. - Trzeba dzwonić na policję. Nikt tu nic nie poradzi. Może nie przestanę być na fali, ale w towarzystwie jestem spalona. Pomyślą, że to była kłótnia kochanków, że go zastrzeliłam, i

kropka. A nawet gdybym ich przekonała, że nie, to wyjdzie na to, że zastrzelił się sam w moim łóżku... i też jestem skończona. Więc chyba najwyższa pora, żebym stanęła z tym twarzą w twarz. - Popatrz - szepnął detektyw. - Tak robiła moja matka. - Przyłożył palec do ust, nachylił się i dotknął jej warg w tym samym miejscu, tym samym palcem. - Pójdziemy do Waltersa... a raczej ty do niego pójdziesz - powiedział z uśmiechem. - Sam wybierze gliniarzy, a ci, których on weźmie, nie narobią rabanu w środku nocy i nie zlecą się z dziennikarzami. Przyjadą cicho jak przedsiębiorcy pogrzebowi. Walters już to załatwi. Na to właśnie liczył morderca. Ja tymczasem wezmę się za Agathę. Bo potrzebuję mieć rysopis fa ceta, któremu opchnęła ten klucz... i to migiem. A tak przy okazji, jesteś mi winna dwadzieścia dolarów za przyjazd. Mam nadzieję, że nie wyleciało ci to z pamięci? Wysoka dziewczyna wstała, uśmiechając się. - Aleś ty stuknięty. Skąd ta pewność, że go zamordowano? - Leży w nie swojej piżamie. Jego miała monogram. Wiem, bo pakowałem wczoraj jego rzeczy... kiedy go wywalilem z "Carltona". Ubieraj się, skarbie... i daj mi adres Agathy. Wszedł do sypialni i nakrył zwłoki Leopardiego. Przez chwilę spoglądał na jego twarz, nim opadł na nią skraj prześcieradła. - Żegnaj, chłopie - powiedział łagodnie. - Był z ciebie kawał świni, ale muzykę czuleś jak mało kto. Drewniany domek przy

Brighton Avenue, koło Jefferson, stał w rzędzie takich właśnie staroświeckich drewnianych domków z werandami od frontu. Prowadzący do drzwi wąski be tonowy chodnik wydawał się w świetle księżyca bielszy niż w rzeczywistości. Steve wszedł po schodkach i spojrzał na obramowaną światłem zasłonę w szerokim frontowym oknie. Zapukał. Zza drzwi dobiegło szuranie. Kobieta, która mu otworzyła, spojrzała na niego przez zawieszoną na hakach zasłonę - przysadzista, podstarzała baba o siwych, kręconych włosach. Ubrana była w szlafrok, skutecznie ukrywający jej figurę. Jej stopy ślizgały się w rozczłapanych pantoflach bez pięt. Przy stole siedział na wiklinowym krześle jakiś mężczyzna. Miał lśniąca łysiną głowę i mętny wzrok. Bezsensownie przebierał kciukami splecionych na kolanach rąk. Nawet nie zerknął na drzwi. - Przysłała mnie panna Chiozza - odezwał się Steve. - Czy pani jest matką Agathy? - A pewno - odparło babsko chmurnie. - Ale jej nie ma. Mężczyzna przy stole wyciągnął chustkę, wysiąkał nos i prychnął ponuro. - Panna Chiozza nie najlepiej się czuje - rzekł detektyw. - Miała nadzieję, że Agatha wróci i zostanie u niej na noc. Mężczyzna znów prychnął, tym razem ostrzej. - A bo my wiemy, gdzie ona jest? - odparła kobieta. - Nie wróciła. Właśnie na nią czekamy z tatkiem. Wraca tak późno, że jesteśmy cali w nerwach. - Jak się będzie tak włóczyć, to ją któregoś razu

przywiozą mundurowi! - warknął pisk liwie facet o mętnych oczach. - Tatko ledwo co widzi. Dlatego taki złośliwy - wyjaśniła kobieta. - Wejdzie pan? Steve pokręcił głową, miętosząc w rękach kapelusz niczym onieśmielony kowboj z kiej skiego westernu. - Muszę jej poszukać - odparł. - Gdzie mogła pójść? - A w miasto, złopać gorzałę z bubkami bez grosza przy duszy - zarechotał tatko. - Z la lusiami, co to zamiast krawatki noszą jedwabne chustki. Żebym ja miał oczy, tobym ją sprął na kwaśne jabłko. - Ścisnął poręczę krzesła; mięśnie jego dłoni zgrubiały. Nagle rozplakał się. Z mętnych oczu trysnęły łzy, spływając na siwą szczecinę porastającą jego brodę. Kobieta po deszła do niego, wyrwała mu chusteczkę z zaciśniętej pięści i otarła twarz męża. Potem wy dmuchała nos i wróciła do drzwi. - Mogła pójść bądź gdzie - powiedziała do Steve'a. - To wielkie miasto. A bo ja, panie, wiem? - Jeszcze zadzwonię - odparł detektyw posepnie. - Proszę jej nie wypuszczać, jeśli przy jdzie. Jaki jest wasz numer telefonu? - Jaki jest nasz telefon, tatku? - zawołała przez ramię. - A kto go wie? - parsknął tatko. - A, już pamiętam - powiedziała. - Południowy dwadzieścia cztery pięćdziesiąt cztery. Dzwon pan kiedy chcesz. Tatko i ja nie mamy nic lepszego do roboty. Steve podziękował, wrócił białym chodnikiem na ulicę i cofnął się kawałek do miejsca, gdzie zostawił samochód. Wsiadając do wozu, rozejrzał się leniwie. Nagle

znieruchomiał, ścis kając klamkę drzwiczek. Puścił ją, zrobił trzy kroki w bok i zaciskając usta, spojrzął na drugą stronę ulicy. Wszystkie okoliczne domy były bardzo podobne do siebie, lecz ten naprzeciwko wyróż niał się plakieta z napisem "Do wynajęcia", umieszczoną za szybą we frontowym oknie, oraz tablicą handlarza nieruchomościami, wbitą w niewielki trawnik. Sam dom był już na pierwszy rzut oka zaniedbany i opustoszały, a jednak na wąskim podejździe stało zgrabne, czarne, cou pé. - Masz nosa, Stevie - powiedział sam do siebie. - Weź się za to. Miękkim krokiem przeszedł na drugą stronę szerokiej, zakurzonej ulicy, ściskając w kieszeni twardy metal rewolweru. Zbliżył się do samochodu od tyłu, przystanął i nastawił uszu. Podszedł cicho do lewych drzwiczek, zerknął na przeciwległy chodnik, po czym zajrzał przez opuszczoną szybę do środka wozu. Dziewczyna siedziała tak, jak gdyby prowadziła, i tylko głowa była zbyt przechylona. Wciąż jeszcze miała na sobie czerwony kapelusz i szary płaszcz obszyty futrem. W świetle księżycy widać było szeroko otwarte usta i wysadzony język. Kasztanowe oczy wpatrywały się w sufit samochodu. Steve nawet nie dotknął dziewczyny. I tak wiedział, że na szyi ma ciemne sińce. - Nie patyczkują się z kobietami ci faceci - mruknął. Czarna brokatowa torebka leżała na siedzeniu wozu obok zamordowanej, rozdziawiona jak jej usta... tak samo, jak usta i

torba panny Marilyn Delorme. - Taak... nie patyczkują się. Steve cofnął się pod palmę na skraju podjazdu. Ulica była pusta i wyludniona jak nie czynny teatr. Detektyw wrócił cicho do swego samochodu, wsiadł i odjechał. Nic tu po nim. Dziewczyna wracająca samotnie po nocy, zaduszona kilka kroków od domu przez jakiegoś oprycha. Prosta sprawa. Chłopaki z pierwszego patrolu, który się tam nawinie, musieliby się całkiem pospać, żeby nie sprawdzić co i jak, widząc napis "Do wynaję cia". Steve dodał gazu i oddalał się stamtąd coraz bardziej. Przy rogu Washington i Figueroa wstąpił do otwartej całą noc drogerii. Zamknął się w budce na tyłach sklepu, wrzucił pięć centów do automatu i wybrał numer komendy policji. Poprosił o połączenie z oficerem dyżurnym. - Niech pan pisze, sierżancie - powiedział. - Brighton Avenue koło numeru trzy tysiące dwieście, strona zachodnia, podjazd do pustego domu. Zapisał pan? - Ehe. No i co? - Stoi tam samochód z trupem kobiety w środku - rzekł Steve i odwiesił słuchawkę. 7. Quillan, dzienny recepcjonista i zastępca kierownika hotelu "Carlton", pracował na nocnej zmianie, ponieważ Millar wziął tydzień urlopu. Nudził się, bo dochodziło wpół do dru giej, a wokół panowała cisza i spokój. Dawno już załatwił wszystko, co było do zrobienia - ostatecznie pracował w branży hotelarskiej całe dwadzieścia lat. Nocny portier skończył sprzątać i zaszył się w swym pokoju

obok wind. Jak zwykle jed na winda była otwarta i oświetlona. Światła w wysprzątanym głównym hallu przygaszono. Wszystko było tak, jak zawsze. Quillan - niski, przysadzisty mężczyzna - miał jasne, błyszczące żabie oczka, które z po zoru patrzyły przyjaźnie, choć w rzeczywistości nic nie wyrażały. Miał także resztki spłowia łych piaskowych włosów. Blade dłonie splótł przed sobą na marmurowej ladzie. Przy swoim wzroście śmiało mógł się oprzeć o blat, bez obawy, że ktoś uzna, iż się na nim pokłada. Nie widzącym wzrokiem gapił się na ścianę obok wejścia. Pomimo szeroko otwartych oczu drze mał, lecz gdyby portier zapalił u siebie w pokoju zapalną, usłyszałby to i natychmiast urucho mił dzwonek. Otworzyły się okute mosiądzem drzwi od ulicy i wszedł Steve Grayce, w letnim płaszczu z postawionym kołnierzem, w nasuniętym na oczy kapeluszu i z dymiącym papierosem w ką ciku ust. Wydawał się zarazem obojętny i czujny, a przy tym zupełnie na luzie. Podszedł do re cepcji i zabębnił w ladę. - Obudź się! - warknął. Quillan przesunął wzrok o dwa centymetry. - Każdy pokój ma okno od ulicy i łazienkę. Ale urządzenie zabaw na ósmym piętrze su rowo wzbronione. Sie masz, Steve. W końcu dali ci kopa, co? I to bez powodu. Samo życie. - Dobra, dobra. Macie już kogoś na moje miejsce? - Nie potrzebujemy tajniaka, Steve. Po mojemu, nigdyśmy takiego nie potrzebowali. - Będziecie

potrzebowali tajniaka, dopóki taki stary wyga hotelowy jak ty nie przestanie meldować lafirynd obok facetów w rodzaju Leopardiego. Quillan na chwilę przymknął oczy. - To nie ja, stary - odparł obojętnie. - Ale każdy może się pomylić. Millar jest w końcu księgowym, a nie recepcjonistą. Steve odchylił się. Jego twarz stężała. Zdawało się, że dym zawisł na czubku jego papie rosa. Oczy detektywa przypominały czarne szkło. Uśmiechnął się nieszczercze. - A dlaczego Leopardi dostał pokój za osiem dolarów na ósmym piętrze, zamiast apartamentu na górze, po dwadzieścia osiem dolców dziennie? Quillan zrewanżował się uśmiechem. - Nie ja go meldowałem, jęłopo. Miał rezerwację. Myślałem, że sam tak chciał. Niektórzy nie szastają forszą. Ma pan jeszcze jakieś pytania, panie Grayce? - Mam. Czy osiem trzynaście był zeszłej nocy pusty? - Pusty, bo coś tam remontowali. Hydraulicy. Dawaj dalej. - Kto zarządził remont? Błyszczące, bezdenne oczy Quillana przesunęły się i znieruchomiały. Recepcjonista nie odpowiedział. - Pytam, bo Leopardi mieszkał w osiem piętnaście, a dziewczyny pod jedenastką - wyjaśnił Steve. - Pośrodku jest tylko osiem trzynaście. Ktoś, kto miał klucz uniwersalny, mógłby tam wejść i odsunąć zasuwę w drzwiach prowadzących do sąsiednich pokoi. Gdyby goście z tamtych numerów zrobili to samo po swojej stronie, mieliby dla siebie cały apartament. - No to co? -

rzekł Quillan. - Okantowaliby nas na osiem
dolców? Takie rzeczy zdarzają się i w lepszych
hotelach. - Jego oczy przybrały senny wyraz. -
Millar mógłby to zrobić - powiedział Steve. -
Cholera, przecież to bez sensu. On nie z takich.
Ryzykować pracą dla paru groszy na boku... e,
tam. Millar to nie dziwka za dolara. - Dobra
jest, policjancie. Gadaj, co ci chodzi po głowie? -
Jedna z dziewczyn w osiem jedenaście miała
broń. Leopardi dostał wczoraj list z po
grózkami... nie wiem gdzie ani jak. Ale nie
zestruchał się. Podarł list i stąd wiem...
pozbierałem strzepy z kosza na śmieci.
Przypuszczam, że jego chłopaki się
wymeldowali? - Oczywiście. Przenieśli się do
"Normandy". - Zadzwoń tam i poproś
Leopardiego. Jeśli jest u siebie, to pewnie dalej
żłopie. Razem ze swoją kompanią. - Dlaczego? -
spytał Quillan łagodnie. - Dlatego, że jesteś
równy chłop. Jeżeli podejdzie do telefonu, po
prostu się rozłącz. - Steve przerwał i uszczypnął
się mocno w podbródek. - A jeśli wyszedł, to
dowiedz się, dokąd. Quillan wyprostował się,
jeszcze raz obrzucił detektywa przeciągłym
spojrzeniem i zniknął za parawanem z
matowego szkła. Steve stał bez ruchu,
nasłuchując. Jedną rękę trzymał zaciśniętą przy
boku, drugą bezgłośnie wystukiwał jakiś rytm
na marmurowej ladzie. Quillan wrócił może po
trzech minutach i z powrotem oparł się o ladę. -
Nie ma go. W jego apartamencie - tam mu nie

dali takiej klitki - odbywa się jubel, co słyhać gołym uchem. Facet, z którym gadałem, był względnie trzeźwy. Powiedział, że koło dziesiątej Leopardi dostał telefon... od dziewczyny. Wyszedł cały w skowronkach, chwając się, że ma jakąś szalową randkę. Facet był podchmielony w sam raz, żeby się z tym wygadać. - Dobry z ciebie kumpel - rzekł Steve. - Szkoda, że nie mogę ci powiedzieć wszystkiego. Fajnie mi się tu pracowało, szkoda gadać. Zwłaszcza że roboty było niewiele. Ruszył do wyjścia. Quillan odczekał, aż Steve chwyci za klamkę, i dopiero wtedy go zawołał. Detektyw odwrócił się i podszedł do niego powoli. - Słyszałem, że Leopardi do ciebie strzelał. Zdaje się, że nikt na to nie zwrócił uwagi. Tutaj o tym nie zameldowano. A Peters chyba zrozumiał, w czym rzecz, dopiero jak zobaczył lustro w osiem piętnaście. Gdybyś chciał do nas wrócić, Steve... - Detektyw potrząsnął głową. - Dzięki, że o tym pomyślałeś. - A w związku z tą historią coś mi się przypomniało - dodał recepcjonista. - Dwa lata temu jakaś dziewczyna zastrzeliła się w osiem piętnaście. Steve wyprostował się tak raptownie, że niemal podskoczył. - Co za dziewczyna? Quillan spojrział ze zdziwieniem. - Nie wiem. Nie pamiętam jej nazwiska. Jakaś mała, której tak dokopali w życiu, że chciała już tylko umrzeć w czystym łóżku... sama. Steve złapał recepcjonistę za ramię. - Akta hotelowe! - rzucił ochryple. - Muszą tam być wycinki,

wszystko, co pisali o tym w gazetach. Chcę je obejrzeć. Quillan przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. W końcu oświadczył: - Nie wiem, w co ty się bawisz, synu, ale znasz się na rzeczy. Muszę ci to przyznać. A ja się tu nudzę jak mops i próbuję zabić czas. Wyciągnął rękę i kciukiem uruchomił dzwonek. Otworzyły się drzwi po drugiej stronie przedsionka i nadszedł nocny portier. Z uśmiechem powitał Steve'a skinieniem głowy. - Przejmij ster, Carl - polecił Quillan. - Muszę zajrzeć do gabinetu pana Petersa. Otworzył sejf i wyciągnął klucze. 8.

Wysoko, pod samym szczytem wzgórza, na tle zwartej ściany sosen australijskich, dę bów i cedrów odcinał się solidny dom z kamiennym kominem, cały kryty gontem. Skutecznie przeciwstawiał się nachyleniu stoku. Za dnia dach był zielony, ściany rudobrązowe, a okiennice i zasłony czerwone. Ale w niesamowitej poświacie księżycy tej październikowej nocy można było rozróżnić wszystkie szczegóły budynku - z wyjątkiem kolorów. Dom ten stał na samym końcu drogi, dobre pół kilometra od najbliższych zabudowań. Steve pokonał ostatni zakręt szosy na wygaszonych światłach. Była piąta nad ranem. Upewniwszy się, że trafił pod właściwy adres, detektyw natychmiast zahamował, wysiadł z samo chodu i bezszelestnie ruszył poboczem zwirowanej drogi, po dywanie dzikich irysów. Na poziomie drogi znajdował się sklecony z sosnowych desek

garaż, a dalej ścieżka prowadząca na werandę. Garaż był otwarty. Steve ostrożnie uchylił drzwi, wyciągnął rękę ku ciemnej sylwetce samochodu i pomacał chłodnicę. Jeszcze nie całkiem ostygła. Wyjął latarkę kieszonkową i omiół nią zaparkowany wóz. Był to szary, zakurzony sedan. Wskaźnik paliwa stał na rezerwie. Detektyw zgasił latarkę, starannie zamknął drzwi garażu i założył na powrót kawałek drewna, który służył za skobel. Potem ruszył ścieżką pod górę, do domu. Zza zaciągniętych czerwonych kotar przebijało światło. Wysoką werandę zawałał stos nie okorowanych pni jałowca. Nad zwykłą klamką w drzwiach frontowych widniała kołatka. Nie starając się zachowywać specjalnie cicho, Steve wszedł na taras, uniósł rękę, wes tchnął z gardłowym pomrukiem i zapukał. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza, musnął kolbę rewolweru, lecz wyciągnął pustą dłoń. Skrzypnęło krzesło i czyjeś kroki zaszurały po podłodze. - Kto tam? - zapytał cichy głos. Głos Millara. Detektyw przysunął usta do futryny. - To ja, Steve. Wstałeś już, George? W zamku szcęknął klucz i otworzyły się drzwi. George Millar, wytworny rewident z hotelu "Carlton", nie odznaczał się teraz elegancją. Ubrany był w stare spodnie i gruby niebieski sweter z wywiniętym kołnierzem. Na nogach miał prążkowane wełniane skarpety i ob szyte barankiem pantofle bez pięt. Przystrzyżone

czarne wąsy tworzyły łukowatą smugę na tle jego bladej twarzy. Mizerne światło dwóch gołych żarówek, wiszących pod spadzistym sufitem, uzupełniała lampa na stole, zwrócona w stronę obszernego skórzanego klubowca z miękkim, regulowanym oparciem. Po sypkim popiele w wielkim, otwartym kominku leniwie pełzał ogień. - A niech mnie, Steve - odezwał się Millar głębokim, ochrypłym głosem. - Miło cię wi dzieć. Jak tyś nas tu znalazł? Wskakuj, stary. - Zamknął drzwi na klucz za detektywem. - Miej ski nawyk - wyjaśnił z uśmiechem. - W górach nikt niczego nie zamyka. Siadaj, rozgrzej nogi. Nad ranem robi się zimno. - Jeszcze jak - przytaknął Steve. Usiadł w klubowcu, odłożył kapelusz i płaszcz na skraj stołu za fotelem i pochylił się, wyciągając ręce do ognia. - Jakim cudem nas tu znalazłeś? - spytał Millar. - Nie było to takie proste - odparł spokojnie detektyw, nie patrząc na niego. - Wczoraj w nocy mówiłeś, że twój brat ma tutaj domek, pamiętasz? Z braku lepszego zajęcia pomyśla łem, że wpadnę i załapię się na śniadanie. Właściciel zajazdu w Crestline nie wiedział, kto tu gdzie mieszka. Jego interesują tylko przyjezdni. Zadzwo niłem do faceta z warsztatu samocho dowego, ale on też nie słyszał o żadnym domu Millara. Aż zobaczyłem, że na placu z opalem zapala się światło i jakiś człeczyna, który jest tu leśniczym, zastępcą szeryfa, sprzedawcą opału i benzyny i diabli wiedzą, kim jeszcze, wprowadza

samochód. Wybierał się do San Bernardi no po cysternę benzyny. Łebski gość. Jak tylko usłyszał, że twój brat był kiedyś bokserem, od razu skapował, o kogo chodzi. No i jestem. Millar zaczął skubać wąsa. Gdzieś na tyłach domu zaskrzypiały sprężyny łóżka. - Tak, on wciąż używa nazwiska, pod którym występował na ringu... Gaff Talley. Obu dżę go, napijemy się kawy. Ty i ja jedziemy chyba na tym samym wózku... przywykliśmy do nocnej pracy i nie możemy spać. Ja się w ogóle nie kładłem. Steve spojrzął na niego powoli i odwrócił wzrok. Nagle doleciał go z tyłu gromki głos: - Gaff już wstał. Kim jest twój kumpel, George? Steve podniósł się bez pośpiechu i odwrócił. Najpierw spojrzął na ręce boksera - nie mógł się od tego powstrzymać. Były to wielkie łapska, czyste, wręcz wypiełgnowane, ale to porne i brzydkie. Jeden kciuk wciąż nosił ślady paskudnego złamania. Talley był potężnie zbudowanym rudzielcem. Okrył się przymałym szlafrokiem narzuconym na flanelową piżamę. Je go twardą, beznamietną twarz znaczyły liczne szramy - na policzkach, nad brwiami, w kącikach ust. Nos miał spłaszczony i zgrubiał. Sądząc po stanie jego twarzy, nadzieją się na nie jedną rękawicę. Jedynie z wyrazu oczu nieco przypominał brata. - Steve Grayce - przedstawił Millar. - Nocny tajniak z naszego hotelu... aż do ostatniej nocy. - Jego uśmiech wypadł dosyć blado. Gaff Talley podszedł i uściśnął dłoń

detektywa. - Fajnie, że mogłem cię poznać. Wbiję się tylko w jakieś łachy i wrzucimy coś na ząb. Już się wyspałem. A George, głupol jeden, wcale nie spał. Ruszył do drzwi, przez które wszedł. W progu zatrzymał się, pochylił nad starym gramofonem, opierając dłoń obok stosu płyt w papierowych obwolutach, i zastygł tak w bezruchu. - Złapałeś już jakąś pracę, Steve? - spytał Millar. - A może jeszcze nie próbowałeś? - Tak. W pewnym sensie. Może mi odbiło, ale spróbuję zaczepić się jako prywatny łaps. Dużo z tego nie wyciągnę, chyba że wyrobię sobie reklamę. - Wzruszył ramionami, a po chwili do rzucił szeptem: - Król Leopardi dostał w czapę. Millarowi opadła szczeka. Stał tak przez dobrą minutę - skamieniały, z rozdziawionymi ustami. Gaff Talley oparł się o ścianę, spoglądając na nich z kamienną twarzą. W końcu Millar odzyskał głos. - Dostał w czapę? Gdzie? Nie mów, że... - Nie w hotelu, George. Szkoda, co? W mieszkaniu pewnej dziewczyny. Całkiem miłutkiej. Ona go tam nie zwabiła. Stary numer z lipnym samobójstwem... ale tym razem to nie przejdzie. Ta dziewczyna jest moją klientką. Millar ani drgnął. Podobnie jak jego brat. Steve oparł łokcie na kamiennym gzymsie ko minka. - Po południu zajrzałem do klubu "Shalotte", przeprosić Leopardiego - rzekł cicho. - Bez sensu, bo nie miałem go za co przeproszać. Siedział tam w barze z dziewczyną. Przyłożył mi trzy razy i wyszedł. Jej się to nie spodobało.

Skumaliśmy się oboje i wypiliśmy po jednym. A dziś w nocy - czy raczej późnym wieczorem - zadzwoniła do mnie i powiedziała, że Leopar di leży u niej pijany i że nie może się go pozbyć. Pojechałem tam. Ale on nie był pijany. Leżał sztywny, w jej łóżku i w żółtej piżamie. Bokser lewą ręką odgarnął włosy do tyłu. Millar oparł się o krawędź stołu, tak powoli, jak gdyby obawiał się, że może się o nią skaleczyć. Jego wargi pod przystrzyżonym czarnym wąsem drgały. - A to świństwo - wychrypiał. - Ano, nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem - rzucił Gaff. - Tyle że to nie była jego piżama - ciągnął Steve. - Jego miała monogram... wielki, czarny monogram. I była atlasowa, nie jedwabna. Poza tym, mimo że trzymał pistolet - nawiasem mówiąc, był to pistolet dziewczyny - nie zastrzelił się sam. Gliny udowodnią to ponad wszelką wątpliwość. Żaden z was, przyjemniaczki, nie słyszał chyba o teście parafinowym Lunda, dzięki któremu można udowodnić, czy ktoś strzelał ostatnio z broni palnej. Zabójstwo miało się odbyć zeszłej nocy, w hotelu, w pokoju osiem piętnaście. Ale popsulem cały plan, wyrzucając go na zbity pysk, zanim ta brunetka z osiem jedenaście zdążyła się do niego dobrać. Mam rację, George? - Pewnie tak... żebym ja tylko wiedział, o czym ty mówisz. - Myślę, że wiesz, o czym mówię, George - oświadczył detektyw powoli. - Byłaby to swego rodzaju romantyczna

sprawiedliwość, gdyby udało się załatwić Króla w numerze osiem piętnaście. Bo właśnie w tym pokoju dwa lata temu zastrzeliła się pewna dziewczyna. Zamel dowiała się jako Mary Smith... ale zwykle używała nazwiska Eve Talley. A naprawdę nazywała się Eve Millar. Bokser oparł się ciężko o gramofon. - Czy ja aby nie śpię? - powiedział ochryple. - Z takiego gadania nic dobrego nie wyjdzie. Eve była naszą siostrą i zastrzeliła się w "Carltonie". I co z tego? Steve uśmiechnął się nieszczercze. - Posłuchaj, George. Mówiłeś, że to Quillan zameldował te dwie panienki w osiem piętnaście. Ale to ty je tam ulokowałeś. Mówiłeś, że Leopardi pewnie ze skąpstwa wziął pokój na ósmym zamiast apartamentu. Ale on nie był skąpy. Po prostu nie obchodziło go, gdzie mieszka, byleby miał pod ręką damskie towarzystwo. Więc postarałeś się o to. Zaplanowałeś wszystko, George. Namówiłeś nawet Petersa, żeby napisał do Leopardiego do Frisco, gdzie mieszkał w "Raleighu", i zaprosił go do "Carltona" na czas pobytu tutaj... pod pretekstem, że właściciel hotelu jest jednocześnie właścicielem klubu "Shalotte". Facet kalibru Waltersa akurat za wracałby sobie głowę załatwianiem kwatery dla jakiegoś grajka! Twarz Millara była trupioblada, pusta. - Steve... - głos mu się załamał. - Steve, na miłość boską, o czym ty mówisz? Skąd mógł lbym...- Przykro mi, stary. Dobrze mi się z tobą pracowało. Lubilem cię,

nawet bardzo. I chy ba wciąż cię lubię. Ale nie lubię dusicieli kobiet... i tych, którzy wrabiają kobiety, żeby ukryć własne, popełnione z zemsty morderstwo. Poderwał rękę... i znieruchomiał. - Wolnego... przyjrzyj się temu - rzekł Gaff. Wyciągnął rękę zza stosu płyt. Trzymał w niej colta kaliber 0.45. - Zawsze uważałem hotelowych tajniaków za bandę wydrwigroszy - podjął przez zęby. - Wygląda na to, że nie wziąłem pod uwagę ciebie. Masz parę szarych komórek. Diabła tam, za łóżę się, żeś trafił nawet na Court Street sto osiemnaście. Dobrze mówię? Steve opuścił pustą dłoń i spojrział na wielkiego colta. - Dobrze. Widziałem dziewczynę - a raczej jej zwłoki - ze śladami twoich palców na szyi. Oni potrafią mierzyć takie rzeczy, kolego. Zabicie w ten sam sposób pokojówki Dolores Chiozza to był błąd. Porównają oba zestawy odcisków, dowiedzą się, że wasza brunetka z pis toletem mieszkała zeszłej nocy w "Carltonie", i dodadzą dwa do dwóch. Dam wam dwa ty godnie, jeśli znikniecie stąd raz dwa. Byle migiem. Millar przejechał językiem po wysuszonych wargach. - Nie ma pośpiechu, Steve - wyszeptał. - Nigdzie nam się nie śpieszy. Zrobiliśmy już, co do nas należało. Może nie najlepiej, może nie najładniej, ale też nie była to ładna sprawa. Leo pardi był ostatnią świnią. Kochaliśmy naszą siostrę, a on z niej zrobił zwykłą dziwkę. To było jeszcze dziecko, naiwna dziewczyna, która zakochała się w mydłku na

szpanie, a ten stał się sławny i rzucił ją dla rudej wyciskaczki lez, bo była bardziej w jego stylu. Dał jej kopniaka, złamał jej serce i dlatego się zabiła. - Taak - rzekł Steve ochryple. - A wy co robiliście przez ten cały czas? Piłowaliście paznokcie? - Kiedy to się stało, nas tu nie było. Minęło trochę czasu, zanim dowiedzieliśmy się co i jak. - I dlatego warto było zabić czterech ludzi? Jeśli chodzi o Dolores Chiozza, to nie pozwoliłaby Leopardiemu czyścić sobie butów... ani wtedy, ani potem. Ale ją też musieliście w to wplątać, w to wasze parszywe morderstwo i zemstę. Rzygać mi się chce na twój widok, George. Każ swojemu braciszkiowi mordować dalej, niech sobie nie psuje zabawy. Gaff wyszczerzył zęby. - Będzie tego gadania, George - powiedział. - Sprawdź, czy ma spluwę. Tylko nie stawaj przed nim ani za nim. Ten straszak przestrzeliłby was na wylot. Steve nie odrywał wzroku od rewolweru w garści boksera. Twarz miał białą i twardą jak kość. Na ustach błąkał mu się zimny, szyderczy uśmiezek. Jego lodowate oczy pociemniały. Millar, poruszając się bezszelestnie w obszytych futrem pantoflach, okrążył stół, pod szedł z boku do detektywa i poklepał go po kieszeniach. - W tej - oświadczył, wskazując palcem. - Chyba całkiem upadłem na głowę - szepnął Steve. - Mogłem cię zwinąć od razu, George! - Odsuń się od niego! - warknął Gaff Talley do brata. Przeszedł przez pokój i wbił wielkiego colta w brzuch detektywa. Nie

odrywając spoj rzenia od jego oczu, lewą ręką wyciągnął mu z kieszeni policyjną trzydziestkę ósemkę. - Trzymaj, George - polecił, wysuwając rękę z rewolwerem detektywa za siebie. Millar wziął od niego broń i wrócił na drugą stronę stołu. Gaff Talley odsunął się od Steve'a. - Koniec z tobą, chytrusie - oświadczył. - Sam chyba wiesz. Z tych gór prowadzą tylko dwie drogi, a musimy zyskać na czasie. Pewnie nikomu nic nie powiedziałaś, co? Rozumiesz teraz? Steve stał jak skamieniały, z pobladłą twarzą i drwiącym uśmieszkiem w kąciку ust. Jego oczy, utkwione w rewolwerze boksera, wyrażały zdziwienie. - Czy nie można tego załatwić inaczej, Gaff? - wtrącił Millar. Jego głos przypominał re chot; nie był już dźwięczny, głęboki. Steve odwrócił nieco głowę i spojrzał na niego. - Oczywiście, że nie, George. W gruncie rzeczy jesteście zwykłymi bandziorami. Dwaj sfiksowani sadyści, udający mścicieli skrzywdzonej dziewczicy. Obyczaj jak z jakiej zapadłej wiochy. Ale jesteście już truposzami... gnijącymi truposzami. Gaff Talley roześmiał się, odciągając kurek rewolweru. - Lepiej się pomódl - zadrwił. - Takiś pewny, że mnie z tego kropniesz, dusicielu? - rzekł Steve ponuro. - Nie nabity. Spróbuj raczej załatwić mnie tak, jak sobie radzisz z kobietami... gołymi rękami. Bokser zerknął w dół; jego oczy pociemniały. Nagle wybuchnął śmiechem. - Rany boskie, ten gnat zarósł kurzem na pół metra - zarechotał. -

Patrzaj pan. Wycelowwał w podłogę i nacisnął spust. Iglica opadła z suchym trzaskiem - komora była pusta. Twarz boksera wykrzywiła wściekłość. Przez chwilę wszyscy stali w bezruchu. W końcu Gaff odwrócił się powoli na piętach i spojrzał na brata. - To twoja robota, George? - spytał łagodnie. Millar obliznął się i przełknął ślinę. Wydał usta i zagryzł wargi, zanim odzyskał głos. - Moja, Gaff. Stałem przy oknie, kiedy Steve wysiadał z samochodu na drodze. Widziałem, jak wchodzi do garażu, i wiedziałem, że nasz wóz jest jeszcze ciepły. Starczy tych za bójstw, Gaff. Za dużo już tego było. Dlatego wyjąłem kule z twojego rewolweru. Odsunął kciukiem kurek policyjnej trzydziestki ósemki. Talley wytrzeszczył oczy. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w krótką lufę rewolweru. Nagle skoczył do przodu, wymachuając pustym coltem. Millar zebrał się w sobie, ale ani drgnął. - Żegnaj, Gaff - powiedział bezbarwnym tonem starca. Rewolwer trzykrotnie podskoczył w jego małej, kształtnej dłoni. Z lufy powoli uleciał dym. Na kominku przewróciła się przepalona kłoda. Gaff Talley uśmiechnął się dziwnie, pochylił i znieruchomiał. Colt spadł mu pod nogi. Bokser chwycił się za brzuch wielkimi, grubymi łapskami. - Nic nie szkodzi, chłopcze... - wychrypiał powoli. - Nic nie szkodzi... Ja... Słowa uwięzły mu w gardle; nogi odmówiły posłuszeństwa. Steve dopadł Millara trzema szybkimi susami i zdzielił go w

szczękę. Tymczasem potężny facet wciąż padał - tak wolno, jak pada ścięte drzewo. Millar przeleciał przez pokój i grzmotnął o ścianę, zrzucając biało-niebieski talerz, który stłukł się na podłodze. Broń wypadła mu z ręki. Steve skoczył szczupakiem. Gdy wstawał z rewolwerem w garści, Millar przykucnął, obserwując brata. Gaff Talley dotknął głową podłogi, podparł się oburącz i położył spokojnie na brzuchu, jak gdyby był zmęczony. Nie wydał najmniejszego dźwięku. W oknach, dokoła czerwonych kotar, zajaśniały pierwsze promienie światła. Z boku kominka dymił kawałek przepalonej kłody; resztę paleniska pokrywała gruba warstwa szarego, rozżarzonego pod spodem popiołu. - Uratowałeś mi życie, George - odezwał się posępnie detektyw. - A w każdym razie za pobiegłeś strzelaninie. Poszedłem na to ryzyko, bo potrzebowalem dowodów. Siadaj przy biurku, opisz po kolei, jak to było, i podpisz się. - On nie żyje? - Tak, George. Zabiłeś go. O tym też napisz. - Zabawne - powiedział Millar spokojnie. - Chciałem wykończyć Leopardiego sam, własnymi rękami, kiedy znalazł się na szczycie i miał co tracić. Po prostu wykończyć go i ponieść karę. Ale Gaff chciał to rozegrać sprytnie. On - walimorda bez żadnego wykształcenia, który nigdy w życiu nie uchylił się przed ciosem - chciał pokombinować, obmyślał plany. Bo ja wiem, może właśnie dlatego dorobił się

nieruchomości, jak choćby tej czynszówki przy Court Street, którą zarządzał Jake Stoyanoff? Nie wiem, jak trafił do pokojówki Dolores Chiozza. Ale to chyba nie ma większego znaczenia? - Idź, spisz to. To ty zadzwoniłeś do Leopardiego, udając dziewczynę? - Tak. Wszystko to opiszę, Steve. Złożę swój podpis, a potem mnie puścisz... tylko na godzinę. Powiedz, Steve? Daj mi tylko godzinę. Zważywszy na starą przyjaźń, nie jest to chyba wygórowana prośba? Millar zdobył się na nikły, upiorny uśmiech. Steve przyklęknął obok leżącego olbrzyma i zbadał mu puls na szyi. Podniósł wzrok. - Zimny trup - oświadczył. - Tak, George, dam ci godzinę, pod warunkiem, że wszystko to opiszesz. Millar cicho podszedł do wysokiej dębowej szyfonierki, ozdobionej ćwiekami z zaśnie działego mosiądzu. Wysunął blat, usiadł i sięgnął po pióro. Odkręcił kałamarz i zaczął zapełniać kartkę starannym, wyraźnym pismem księgowego. Steve Grayce usiadł przed kominkiem, zapalił papierosa i wpatrzył się w popiół na pale nisku. Lewą ręką trzymał na kolanie rewolwer. Na dworze rozszczebiotały się ptaki. W domku słychać było tylko skrzypienie stalówki. 9. Słońce stało już wysoko, gdy Steve wyszedł z domku, zamknął go na klucz i stromą ścieżką, a potem zwirowaną drogą zszedł do samochodu. Garaż był pusty - szary sedan zniknął. Pół mili dalej z innego domku unosił się dym, płynąc leniwie nad

koronami dębów i sosen. Detektyw wszedł do swego auta, zapuścił silnik, minął zakręt i dwa stare wagony towarowe, przerobione na domki, aż wreszcie wyjechał na główną dwukierunkową szosę, która zaprowadziła go do Crestline. Zaparkował na głównej ulicy, przed zajazdem "Na skraju świata". Wypił kawę przy barze i zamknął się w budce na tyłach pustej sali. Poprosił telefonistkę z międzymiastowej o sprawdzenie numeru Waltersa w Los Angeles, po czym zadzwonił do właściciela klubu "Shalotte". - Rezydencja pana Waltersa - usłyszał jedwabisty głos. - Steve Grayce. Proszę mnie z nim połączyć. - Chwileczkę. Trzask w słuchawce, a potem twardy, już nie tak uprzejmy głos: - Tak? - Steve Grayce. Chciałbym mówić z panem Waltersem. - Przykro mi. My się chyba nie znamy. Ciut za wcześnie dzwonisz, przyjacielu. W jakiej sprawie? - Czy pojechał do panny Chiozza? - Aha. - Przerwa. - Tajniak. Rozumiem. Zaczekaj chwilę, kolego. Wreszcie następny głos - leniwy, lekko zabarwiony irlandzkim akcentem: - Tu Walters, synu. Możesz mówić. - Nazywam się Steve Grayce. Jestem... - Wiem wszystko, synu. Tak przy okazji, wiadoma pani ma się dobrze. Zdaje się, że śpi teraz na górze. Mów. - Dzwonię z Crestline... ze szczytu Arrowgrade. Leopardiego zabiło dwóch mężczyzn. Jednym z nich jest George Millar, rezydent w hotelu "Carlton". Drugi to jego brat, Gaff Talley, były

bokser. Talley nie żyje... zastrzelił go brat. Millar uciekł, ale zostawił mi pełne, szczegó łowe zeznanie na piśmie, podpisane. - Szybko działasz, synu - stwierdził Walters powoli. - Chyba że po prostu zbzikowałeś. Przyjeżdżaj tu zaraz. Dlaczego oni to zrobili? - Z powodu siostry. - Z powodu siostry - powtórzył cicho Walters. - A co z tym, który uciekł? Nie chcemy, żeby jakiś prowincjonalny szeryf albo spragniony sławy prokurator zaczął coś kombinować... - O to może pan być spokojny, panie Walters - wtrącił cicho detektyw. - Chyba wiem, dokąd uciekł. W zajeździe zjadł śniadanie, nawet nie tyle z głodu, co z osłabienia. Potem znów wsiadł do samochodu i ruszył w dół gładką szosą z Crestline do San Bernardino. Szeroka, brukowana arteria biegła wzdłuż urwiska opadającego do głębokiej doliny. W miejscach, gdzie droga prowadziła samym skrajem przepaści, ustawiono siatki ochronne. Trzy kilometry za Crestline Steve znalazł to, czego się spodziewał. W miejscu, gdzie szosa tworzyła ostry zakręt nad urwiskiem, ujrzał na poboczu zaparkowane samochody - kilka prywatnych, jedną karetkę i wóz pomocy drogowej. Biała siatka była rozerwana; wokół uszkodzenia stało kilku spoglądających w dół mężczyzn. Dwieście pięćdziesiąt metrów pod nimi leżały w porannym słońcu pogięte, zdruzgotane szczątki szarego sedana.